

NORWESKA MISTRZYNI KRYMINAŁU

ANNE HOLT

TO, CO SIĘ NIGDY NIE ZDARZA



Ali-Baba

Prószyński i S-ka

Ludziom dzisiejszego pokroju znana jest wyłącznie jedna
- i zawsze ta sama - radykalna nowina: jest nią śmierć.

Walter Benjamin, „Park Centralny” (tłum. H. Ortowski)

ANNE HOLT

TO, CO SIĘ NIGDY NIE ZDARZA

Przełożyła
Iwona Zimnicka



Prószyński i S-ka

Straciła już rachubę, ilu uśmierciła. To zresztą nie miało żadnego znaczenia. Jakość była ważniejsza od ilości w większości dziedzin. Również w tej, chociaż przyjemność, jaką sprawiało oryginalne podejście do problemu, z upływem lat straciła nieco blasku. Nieraz się zastanawiała, czy nie poszukać innego zajęcia. Od czasu do czasu przechodziło jej przez myśl, że życie jest pełne możliwości dla takich jak ona. Kłamstwo. Była za stara. Czowała się zmęczona. Ale nic więcej nie umiała robić. No i zajęcie było lukratywne. Od stawki za godzinę kręciło się w głowie. Potrzebowała czasu, by po wszystkim dojść do siebie.

Tak naprawdę dobrze się czuła, kiedy nic nie robiła. Tutaj nie miała nic do roboty. A jednak nie czuła się dobrze.

Może i lepiej, że tamci z nią nie pojechali.

Wino w każdym razie było przereklamowane. Drogie i miało kwaśny posmak.

Na wschód od Oslo, tam gdzie wzgórza się spłaszczają, schodząc ku miasteczku przy stacji kolejowej, co roku nawiedzanemu przez powódź z wylewającej rzeki Nit, samochody zamarły w nocy. Piesi naciągali czapki na uszy i mocniej owijali szyje szalikami, kłusując w pieskim zimnie do odległego o kilometr przystanku autobusowego przy głównej drodze. Domy przy małej ślepej uliczce odcięły się od mrozu zaciągniętymi zasłonami i śnieżnymi zaspami. Z okapu nad wejściem do starej willi pod lasem zwisały metrowej długości sople niczym czyhające katastrofy.

Dom był biały.

Za drzwiami wejściowymi z oprawionymi w ołów szybkami i mosiężną klamką, w znajdującym się na lewo od niezwykle dużego holu gabinecie zdobionym sztuką minimalistyczną i okazałymi meblami, za olbrzymim biurkiem wśród pudeł z nieotwartymi listami siedziała- martwa kobieta. Głowę miała odrzuconą w tył, przedramiona spoczywały na podłokietnikach. Szeroka smuga zakrzepłej krwi ciągnęła się od dolnej wargi w dół odsłoniętej szyi, dzieliła się na wysokości piersi i ponownie zlewała na imponująco płaskim brzuchu. Zakrwawiony był również nos. W świetle sufitowej lampy zmienił się w strzałę wskazującą ciemny otwór - usta. Z języka, najwyraźniej usuniętego, został ledwie strzęp. Cięcie czyste, brzeg rany ostry.

W pokoju było ciepło, wręcz gorąco.

Sigmund Berli, komisarz z Kripas, Centrali Policji Kryminalnej, wyłączył wreszcie telefon komórkowy i mrużąc oczy, spojrzął na cyfrowy termometr umieszczony tuż przy panoramicznym oknie wychodzącym na południowy wschód. Mróz na zewnątrz dochodził do dwudziestu dwóch stopni.

- Dziwne, że szyby nie pękają - powiedział i delikatnie postukał w szkło. - Czterdzieści siedem stopni różnicy między temperaturą wewnątrz i na zewnątrz. Dziwne.

Nikt go nie słuchał.

Pod jedwabnym szlafrokiem ze złotymi połami zmarła kobieta była naga. Pasek leżał na podłodze. Młody funkcjonariusz z Komendy Okręgowej Policji w Romerike aż się cofnął na widok złotego zwoju.

- Cholera! - zaklął, ale zaraz pogładził się po głowie z zakłopotaniem. - Byłem pewien, że to wąż.

Brakująca część ciała kobiety leżała przed nią na podkładce do pisania, artystycznie opakowana w celofan. Z czerwieni wystawał czubek. Pulchna egzotyczna roślina, blada tkanka z jeszcze bledszymi kubkami smakowymi i sinymi smugami od czerwonego wina w bruzdach i załomkach. Do połowy opróżniony kieliszek chwiał się na pliku papierów przy samej krawędzi biurka. Butelki nigdzie nie było widać.

- Nie moglibyśmy przynajmniej zakryć jej cyców? - burknął sierżant. - Tak nie może być, żeby ona tylko...

- Jeszcze się wstrzymamy - odparł Sigmund Berli. Wsunął komórkę do kieszeni na piersi, uklęknął i zmrużonymi oczami przyglądał się martwej kobiecie. - To zainteresuje Yngvara - mruknął.

- No i jego panią.

- Co?

- Nic. Wiemy coś o czasie?

Berli zdusił kichnięcie. Cisza panująca w pokoju szumiała mu w uszach. Podniósł się sztywno, niepotrzebnie otrzepując kurz ze spodni. Przy drzwiach do holu stał funkcjonariusz w mundurze. Z rękami założonymi na plecy, niespokojnie przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, patrzył przez okno, odwracając wzrok od ciała. Jeden świerk wciąż był świątecznie ustrojony. Tu i ówdzie w miejscach, gdzie światło dzienne nie docierało pod zaśnieżone gałęzie, słabo świeciły lampki.

- Czy nikt tutaj nic nie wie? - spytał poirytowany Berli. - Nie potraficie nawet wstępnie określić godziny zgonu?

- Wczoraj wieczorem - odezwał się wreszcie ten drugi. - Ale na razie za wcześnie, żeby...

- .. żeby coś powiedzieć - dokończył Sigmund Berli. - Wczoraj wieczorem. A więc czas bardzo niepewny. Gdzie jest...

- Nie ma ich w każdy wtorek, znaczy rodziny. Męża i sześćiolet-

niej córki. Jeśli o to... - Sierżant uśmiechnął się niepewnie.

- Owszem - odparł Berli. - Język... - Przyglądał się paczuszcze leżącej na blacie. - Obcięty, kiedy jeszcze żyła?

- Nie wiem. Mam tu papiery dla ciebie, a ponieważ już zakończyli badania i wrócili do komendy, to ty może...

- Tak - powiedział Berli, ale sierżant nie był pewien, na co ta zgoda. - Kto ją znalazł, skoro rodziny nie ma?

- Pomoc domowa. Filipińczyk, który przychodzi w każdą środę o szóstej rano. Zaczyna od dołu, żeby za wcześnie nie budzić rodziny. Sypialnie są na górze, na piętrze.

- Tak - powtórzył Berli bez zainteresowania. - Nie ma ich w każdy wtorek?

- Przecież ona o tym mówiła - powiedział sierżant. - W wywiadach i w ogóle. Że co wtorek wyprawia męża i dziecko z domu. Że wszystkie listy przegląda sama. Poczytuje sobie za honor...

- Rzeczywiście - mruknął Berli, lekko wsuwając długopis do jednego z pudeł pełnych listów. - Przejrzenie tego wszystkiego przez jedną osobę jest po prostu niemożliwe.

Znów spojrzał na zwłoki.

- *Sic transit gloria mundi* - stwierdził, wpatrując się w usta.

- Teraz na nic jej się nie przyda status gwiazdy.

- Zebraliśmy już mnóstwo wycinków, wszystko leży gotowe...

- Dobrze, dobrze. - Berli przerwał mu machnięciem ręki.

Cisza znów stała się niemal namacalna. Nie dochodziły żadne odgłosy z ulicy, nie tykał żaden zegarek. Komputer był wyłączony. Radio świeciło czerwoną diodą z witryny przy drzwiach. Na szerokiej półce nad kominkiem balansowała bernikla kanadyjska zastygła w locie. Łapy jej wyblakły, w ogniu prawie nie było piór. Mroźny dzień rysował bezbarwny prostokąt na dywanie pod oknem. Sigmund Berli czuł krew pulsującą w uszach; nieprzyjemne wrażenie znalezienia się w mauzoleum kazało mu potrząść palcem nos. Nie wiedział, czy jest zirytowany, czy zażenowany. Kobieta wciąż siedziała na krześle z rozsuniętymi nogami i obnażonymi piersiami, z pustą jamą ust. Okaleczenie pozbawiło ją nie tylko ważnego organu, lecz poniekąd ograbiło również z człowieczeństwa.

- Zawsze narzekacie, jeśli wezwie się was za późno - odezwał się wreszcie sierżant. - Dlatego zostawiliśmy wszystko, jak było, chociaż, jak już mówiłem, skończyliśmy większość...

- Nigdy nie skończymy - odparł Berli. - Ale dziękuję. Dobrze zrobiliście. Zwłaszcza że chodzi o nią. Czy prasa już...

- Jeszcze nie. Zwinęliśmy Filipińczyka, będzie siedział na przesłuchaniu, jak długo uda nam się to przeciągnąć. Na zewnątrz staraliśmy się być ostrożni. Przecież ważne, żeby zabezpieczyć ślady, szczególnie w takim śniegu, i sąsiedzi pewnie zaczęli już się trochę zastanawiać. Na razie żaden nie mógł nikomu dać cynku. Prawdopodobnie najbardziej interesuje ich nowa książeczka.

- Przelotny uśmiech szybko przeszedł w powagę. - Ale jasne jest, że... Sławna Fiona zamordowana, we własnym domu, i to jeszcze w taki sposób...

- W taki sposób. - Berli pokiwał głową. - To znaczy udużona?

- Tak stwierdził lekarz. Żadnych ran kłutych, żadnych postrzałowych. Ślady na szyi, sam zobacz...

- Mhm. Spójrz raczej na to!

Berli wciąż przyglądał się językowi leżącemu na biurku. Celofan był naprawdę zmyślnie złożony, miał kształt ściętego wazonika z otworem na czubek języka i eleganckimi symetrycznymi skrzydełkami.

- Przypomina płatek kwiatu - stwierdził młodszy policjant, marszcząc nos. - Z czymś paskudnym w środku. Bardzo...

- Dziwne - mruknął Berli. - Ten człowiek musiał to przygotować wcześniej. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś najpierw dokonywał zabójstwa, a potem poświęcał czas na origami.

- Chyba nie nie wskazuje na tło seksualne.

- Origami - powtórzył Sigmund Berli. - Japońska sztuka składania papieru. Ale...

-Co?

Berli pochylił się jeszcze niżej nad biurkiem. Sierżant zrobił to samo. Zbliżyli głowy, wkrótce zaczęli nawet oddychać w równym rytmie.

- Ten język nie tylko został odcięty - stwierdził w końcu Berli,

prostując się. - Czubek jest rozdwojony. Ktoś go naciął.

Po raz pierwszy odkąd Sigmund Berli przybył na miejsce zdarzenia, stojący przy drzwiach funkcjonariusz w mundurze odwrócił się do nich. Twarz miał bez zarostu jak u nastolatka, pokrytą pryszczami. Raz po raz zwilżał językiem wargi, a jabłko Adama przesuwało mu się w górę i w dół nad obcisłym kołnierzykiem.

- Mogę już iść? - jęknął cicho. - Mogę iść?

*

- Zastępca wrony - powiedziała dziewczynka z uśmiechem.

Pólnagi mężczyzna powoli przesunął ostrzem po szyi, potem opłukał maszynkę i odwrócił się do dziecka, które siedziało na podłodze i przeciągało kosmyki włosów przez dziury w zniszczonym czepku kąpielowym.

- Nie możesz w tym iść - oświadczył. - Zdejmij to. Poszukamy czapki, którą dostałaś na Gwiazdkę. Chyba chcesz ładnie wyglądać na pierwszym spotkaniu z siostrą!

- Zastępca wrony - powtórzyła Kristiane, mocniej naciągając czepek na głowę. - Przystępca strony.

- Masz pewnie na myśli następcę tronu. - Yngvar Stubø splukał resztki piany. - To ktoś, kto kiedyś w przyszłości zostanie królem albo królową.

- Moja siostra będzie królową - oznajmiła Kristiane. - A ty jesteś największym człowiekiem na świecie.

- Tak myślisz?

Podniósł dziecko i posadził je sobie na biodrze. Oczy dziewczynki krążyły w nieokreślony sposób, jak gdyby nie potrafiła sobie poradzić jednocześnie ze spojrzeniem i bliskim kontaktem fizycznym. Była drobna jak na swoje prawie dziesięć lat.

- Następca tronu - powiedziała, patrząc w sufit.

- Bardzo dobrze. Bo widzisz, nie nam jednym urodziło się dzisiaj dziecko. Ma je też...

- Mette-Marit jest taka śliczna! - Głośno zaklaskała w ręce. - Pokazują ją w telewizji. Na śniadanie dostaliśmy kanapki z serem. Mama Leonarda powiedziała, że urodziła się księżniczka. Moja siostra!

- Tak. - Yngvar postawił Kristiane na podłodze i spróbował delikatnie zdjąć jej czepek, nie szarpiąc przy tym zbyt mocno za włosy. - Nasza malutka to prześliczna księżniczka. Ale nie jest następczynią tronu. Jak jej mamy na imię?

Czepek wreszcie puścił. Długie włosy lepiły się do niego od środka, lecz Kristiane nie zważała na ból.

- Abendgebet - odpowiedziała.

- To znaczy „wieczorna modlitwa”. Dziewczynka nad twoim łóżkiem tak się nie nazywa. To po niemiecku i wyjaśnia, co dziewczynka na obrazku robi...

- Abendgebet - powtórzyła Kristiane.

- Porozmawiamy z mamą. - Yngvar wciągnął spodnie i koszulę.

- Idź, poszukaj reszty swojego ubrania. Musimy pędzić.

- Pędzić - powtórzyła Kristiane i wyszła na korytarz. - Pędzić krowy, pędzić owce, pędzić kozy. Jack! Królu Ameryki! Pójdziesz z nami odwiedzić dzidziusia?

Z pokoju dziecinnego wybiegł wielki żółtobrzowy kundel z jęczorem wywieszonym z roześmianego pyska. Popiskując z zapalem, zaczął się kręcić wokół dziewczynki.

- Jack musi zostać w domu - stwierdził Yngvar. - Gdzie ta twoja czapka?

- Jack pójdzie z nami - oświadczyła pogodnie Kristiane i zawiązała psu na szyi czerwony szalik. - Następczyni tronu jest też jego siostrą. W Norwegii mamy równouprawnienie. Dziewczynki mogą robić, co chcą. Tak mówi mama Leonarda. A ty nie jesteś moim tatą. Mój tata to Isak. Ja tak mówię.

- To wszystko prawda. - Yngvar się roześmiał. - Ale ja cię bardzo kocham. A teraz naprawdę musimy już iść. Jack zostaje w domu. Do szpitala nie wolno wprowadzać psów.

- Szpital jest dla chorych - powiedziała Kristiane, gdy wciągał jej kurtkę. - Dzidzius nie jest chory. Mama nie jest chora. Ale są w szpitalu. W pisztalu.

- Nieżył z ciebie logik. - Pocałował dziewczynkę i naciągnął jej czapkę na uszy. Nagle popatrzyła mu prosto w oczy. Zdrętwiał, jak zawsze w tych rzadkich momentach otwartości, gdy nagle pojawiały się szczelinki pozwalające zajrzeć w umysł, do którego nikt tak naprawdę nigdy nie miał dostępu.

- Urodziła się następczyni tronu - oznajmiła uroczyście Kristiane i wzięła głęboki oddech, by dalej cytować fragmenty porannych wiadomości: - To wielkie wydarzenie dla kraju, dla całego narodu, lecz oczywiście największe dla rodziców. Wszyscy cieszymy się szczególnie z tego, że tym razem na świat przyszła dziewczynka.

Z przedpokoju dobiegł stłumiony dzwonek.

- Komórka - powiedziała Kristiane mechanicznie. - Dam-di-rum-ram.

Yngvar Stubø wstał i zaczął gorączkowo poklepywać wiszące kurtki i płaszcze. W końcu znalazł telefon.

- Słucham, tu Stubø.

Kristiane spokojnie się rozbierała. Najpierw czapka, potem kurtka.

- Chwileczkę! - rzucił Yngvar do telefonu. - Kristiane! Nie... Zaczekaj.

Dziewczynka już zdążyła zdjąć z siebie większość rzeczy. Stała teraz w różowych majtkach i koszulce. Rajstopy wciągnęła na głowę.

- Nie ma mowy - oświadczył Yngvar. - Mam dwa tygodnie urlopu tacierzyńskiego. Nie spałem ponad dobę. Sigmund, na Boga, mniej niż pięć godzin temu urodziło mi się dziecko, a teraz...

Kristiane ułożyła nogawki rajstop na brzuchu jak warkocze.

- Pippi Långstrump - powiedziała zadowolona. - Hola-li! Ho-hi-la!

- Nie! - rzucił Yngvar tak ostro, że Kristiane drgnęła przestraszona i wybuchnęła płaczem. - Mam wolne. Urodziło mi się dziecko.

Płacz dziewczynki zmienił się w przeciągłe wycie. Yngvar wciąż jeszcze się nie przyzwyczaił do głośnych szlochów wydobywających się z drobnutkiego ciała. Westchnął z rezygnacją.

- Kristiane, ja się wcale na ciebie nie gniewam. Rozmawiam z... I lalo? Nie mogę. Wszystko jedno, jak bardzo jest to ważne, po prostu nie mogę teraz zostawić rodziny. Cześć. I powodzenia.

Zamknął klapkę i usiadł na podłodze. Już dawno powinni być

w szpitalu.

- Kristiane - powtórzył. - Moja mała Pippi. Pokażesz mi Pana Nilssona?

Wiedział, że nie powinien jej obejmować. Zaczął gwizdać. Jack ułożył mu się na kolanach i zasnął. Na nogawce spodni w okolicy otwartego pochrapującego pyska rozpostarła się wilgotna plama. Yngvar śpiewał, nucił i świstał wszystkie piosenki dla dzieci, jakie tylko mógł sobie przypomnieć. Po czterdziestu minutach płacz dziecka ucichł. Kristiane, nie patrząc na niego, zdjęła rajstopy z głowy i powoli zaczęła się ubierać.

- Najwyższa pora odwiedzić następczynię tronu - powiedziała bezbarwnym tonem.

Komórka zdążyła zadzwonić siedem razy.

Wyłączył ją, nie sprawdzając nagranych wiadomości.

*

Minęło osiem dni, a policja najwyraźniej nie posunęła się ani o krok dalej. Nic dziwnego, pomyślała kobieta z laptopem.

Gazety w sieci uznała za nędzne, w dodatku surfowanie po sieci cholernie dużo kosztowało, ponieważ nie zwracała sobie głowy zamówieniem lokalnego dostępu. Stresowało ją to, że licznik bije, gdy ona czeka na odpowiedź powolnej analogowej linii łączącej ją z Norwegią. Oczywiście mogłaby usiąść w Chez Net. Brali pięć euro za kwadrans i mieli szerokopasmowe łącze. Niestety, zawsze tam spotykała pijanych Australijczyków i hałaśliwych Brytyjczyków. Nawet teraz, zimą. Wolała już siedzieć w domu.

W pierwszych dniach zabójstwo wzbudziło zaskakująco niewielkie poruszenie. Główną atrakcją była dziewczynka z rodziny królewskiej. Doprawdy, świat pragnął być oszukiwany.

Teraz wreszcie zaczęto pisać o tym więcej.

Siedząca przy komputerze kobieta wprost nie znosiła Fiony Helle. Gazety używały określenia „ulubienica ludu”. Nie bez racji, skoro programy Fiony Helle oglądało blisko milion widzów w każdziuteńką sobotę przez pięć sezonów z rzędu. Ona widziała nie więcej niż dwa, tuż przed wyjazdem z kraju. To w dostatecznym stopniu wystarczyło, by stwierdzić, że wyjątkowo

musi przyznać rację z reguły nieznośnie aroganckim opiniom elity kulturalnej na temat wszystkiego, co ma posmak popularnej rozrywki. Prawdę mówiąc, właśnie taka agresywna analiza w postaci opublikowanego w „Aftenposten” artykułu autorstwa pewnego profesora socjologii skłoniła ją do tego, by w pewien sobotni wieczór zasiąść przed telewizorem i zmarnować półtorej godziny na „Fionę w akcji”.

Chociaż właściwie nie był to czas stracony. Już od wieków nie czuła się równie sprowokowana. Uczestnikami programu byli albo idioci, albo ludzie głęboko nieszczęśliwi. Trudno im czynić w związku z tym wyrzuty. Fiona Helle natomiast była kobietą sukcesu, wyrachowaną i niekonsekwentną w swojej zwyczajności, gdy tanecznym krokiem wchodziła do studia w kreacjach kupionych nieskończenie daleko od H&M. Bezwstydnie uśmiechała się do kamery, podczas gdy te nieszczęsne istoty obnażały swoje beznadziejne marzenia, fałszywe nadzieje i bardzo ograniczoną inteligencję. *Prime time*.

Kobieta, która teraz wstała od biurka przy oknie i obeszła obcy pokój, nie bardzo wiedząc, czego chce, nie uczestniczyła w publicznej debacie. Ale po odcinku „Fiony w akcji” odczuła pokusę. W połowie pełnego oburzenia listu do gazety uśmiechnęła się, kręcąc głową nad sobą, po czym skasowała dokument. Przez całą resztę wieczoru czuła się pozytywnie pobudzona. Sen nie chciał przyjść, pozwoliła więc sobie na obejrzenie dwóch marnych nocnych filmów na TV3, z pewnym pożytkiem, jak sobie przypominała.

Uczucie, że została sprowokowana, to przynajmniej jakaś forma emocji.

Ale jej formą wyrazu nie były listy do „Dagbladet”.

Jutro pojedzie do Nicei poszukać norweskich gazet.

W podzielonym poziomo dwurodzinnym domu na Tåsen była noc. Wzdłuż króciutkiej ulicy za drewnianym płotem na końcu ogrodu stały trzy smutne latarnie. Żarówki dawno już zostały rozbite przez złośliwe dzieciaki, którym dostał się w ręce lepki śnieg. Wyglądało na to, że okolica poważnie traktuje polecenie oszczędzania energii. Niebo było bezchmurne i czarne. Ponad wzgórzem Grefsen, na północnym wschodzie, Inger Johanne dostrzegła gwiazdozbiór, który, jak jej się wydawało, poznała. Czuli się bardzo samotna.

- Znowu jesteś tutaj? - zapytał Yngvar z rezygnacją.

Stanął w drzwiach do przedpokoju i sennie podrapał się w kroku. Bokserki opinały mu uda, gołe barki miał tak szerokie, że ledwie mieściły się w futrynie.

- Jak długo to będzie trwało, kochana?

- Nie wiem. Wracaj do łóżka.

Znów odwróciła się do okna. Przeprowadzka z bloku do dzielnicy willowej spowodowała większą zmianę, niż się spodziewała. Była przyzwyczajona do wyjących rur, płaczu niemowlęcia przenikającego przez ściany, klócących się nastolatków i dźwięku telewizora pani z parteru, ewidentnie niedosłyszającej, która na domiar wszystkiego zasypiała przy późnych programach. W bloku można było w środku nocy zaparzyć kawę. Posłuchać radia. Porozmawiać, jeśli się chciało. Tu bała się otworzyć lodówkę. W łazience każdego dnia rano unosił się odór moczu Yngvara, bo zabroniła mu przed siódmą przeszkadzać mieszkającym na dole sąsiadom hałasem spuszczonej wody.

- Skradasz się po domu - powiedział. - Nie możesz przynajmniej usiąść?

- Nie mów tak głośno - szepnęła.

- Przestań! Nie jest aż tak źle. Przecież jesteś przyzwyczajona do sąsiadów.

- Owszem, ale do wielu, mniej lub bardziej anonimowych.

Tutaj mieszkamy tylko my i oni, a przez to wszystko się staje takie... Nie wiem.

- Przecież tak się cieszyliśmy z sąsiedztwa Gitty i Samuela! Nie mówiąc już o małym Leonardzie. Gdyby nie on, Kristiane nie miałyby...

- No to spójrz na to! - Inger Johanne wysunęła stopę, śmiejąc się cichutko. - Nigdy w życiu do tej pory nie miałam kapci, a teraz boję się ruszyć bez nich z łóżka.

- Są śliczne. Przypominają muchomory.

- Bo to są muchomory! Nie mogłeś jej namówić, żeby wybrała jakieś inne? Króliki? Misie? A najchętniej całkiem zwyczajne brązowe kapcie.

Parkiet trzeszczał przy każdym kroku, kiedy Yngvar się do niej zbliżał. Skrzywiła się, zanim znów odwróciła się do okna.

- Kristiane nie jest łatwo na cokolwiek namówić - powiedział.

- A ty musisz przestać tak się bać. Nic się nie dzieje.

- Isak też tak mówił, kiedy Kristiane była malutka.

- To zupełnie coś innego. Kristiane...

- Nikt nie wie, co jej jest. Nikt nie może wiedzieć, czy i Ragnhild coś nie dolega.

- Uzgodniliśmy już, że to Ragnhild?

- Lak - oświadczyła Inger Johanne.

Yngvar ją objął.

- Ragnhild to zdrowe jak rydz ósmiodniowe dziecko - szepnął.

- Budzi się trzy razy każdej nocy, dostaje mleko i zaraz zasypia.

Dokładnie tak jak powinna. Napijesz się kawy?

- Tylko zachowuj się cicho.

Miał ochotę coś powiedzieć, już nawet otworzył usta, ale zamiast tego nieznacznie pokręcił głową, podniósł z podłogi bluzę i wciągnął ją, idąc do kuchni.

- Siadaj tutaj - nakazał. - Skoro już tak za wszelką cenę chcesz nie spać przez całą noc, równie dobrze możemy zrobić coś rozsądnego.

Przyciągnęła barowy stół do wyspy kuchennej i ciasniej owinęła się szlafrokiem. Palcami w roztargnieniu przerzucała zawartość grubej teczki z dokumentami, która nie powinna leżeć w kuchni.

- Sigmund się nie poddaje - stwierdziła, przecierając oczy pod okularami.

- Rzeczywiście. Ale ma rację. To fascynująca sprawa.

Yngvar odwrócił się tak gwałtownie, że z dzbanka wychlapała się woda.

- Byłem w pracy przez godzinę - rzekł ze skruchą. - Odkąd wyszedłem z domu do chwili, gdy wróciłem, minęło...

- Spokojnie, wszystko w porządku. Dobrze rozumiem, że od czasu do czasu powinienes tam zajrzeć. Muszę przyznać...

Na samej górze w teczce leżało zdjęcie, podrasowany portret ofiary zabójstwa. Wąska twarz wydawała się jeszcze szczuplejsza z powodu półdługich włosów uczesanych z przedziałkiem. Poza tym w Fionie Helle niewiele było staroświecczynny. Spojrzenie miała wyzywające, wargi pełne, rozciągnięte w pewnym siebie uśmiechu skierowanym do fotografa, a oczy mocno umalowane, ale paradoksalnie nie przydawało jej to wcale wulgarności. W ogóle zdjęcie miało w sobie coś urokliwego, jawnie erotyczny rys, ostro kontrastujący z rodzinnym profilem programu, który stworzyła z tak wielkim sukcesem.

- Co musisz przyznać? - spytał Yngvar.

-Że...

- ...że twoim zdaniem ta sprawa jest cholernie interesująca

- dokończył ze śmiechem i zadzwonił filiżankami. - Przyniosę sobie spodnie.

Życiorys Fiony Helle nie był wcale mniej fascynujący niż jej portret. Magister historii sztuki, czytała Inger Johanne. Wyszła za mąż w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat za hydraulika Bernta Helle, przejęła po dziadkach willę w Lørenskog i przez trzynaście lat pozostawała bezdzietna. Przyjście na świat małej Fiorelli w 1998 roku najwyraźniej nie zahamowało jej kariery. Raczej przeciwnie. Z kultowego, ale przeznaczonego dla wąskiego grona odbiorców programu „Nieźła sztuka” na NRK2 z czasem przeniosła się do działu rozrywki. Po dwóch sezonach talk-show nadawanego późno w czwartki wreszcie trafiła na swoje miejsce. Takiego przynajmniej określenia sama używała w niezliczonych wywiadach, których udzieliła w ciągu ostatnich

trzech lat. Program „Fiona w akcji” stał się jednym z największych hitów telewizji publicznej od lat sześćdziesiątych, kiedy ludzie nie mieli do roboty nic innego, niż zasiadać przed telewizorami z jednym tylko kanałem i łączyć się we wspólnym przeżywaniu atrakcji sobotniego wieczoru w Norwegii.

- Tobie się podobały te programy! Taki wielki facet siedział i płakał! - Inger Johanne uśmiechnęła się do Yngvara, który wrócił ubrany w jaskrawoczerwoną bluzę z polaru, szare spodnie od dresu i pomarańczowe wełniane skarpety.

- Wcale nie płakałem - zaprotestował Yngvar i nalał kawy do filiżanek. - Owszem, wzruszałem się, to muszę przyznać, ale żebym płakał? Nigdy. - Usiadł na barowym stołku. - Szczególnie przy tym odcinku z kobietą, która urodziła się jako niemiecki bękart - powiedział cicho. - Trzeba mieć serce z kamienia, żeby się nie przejąć taką historią. Dokuczano jej przez całe dzieciństwo, w końcu jako nastolatka wyjechała do USA. Myła podłogi w World Trade Center, odkąd je zbudowano, i pierwszy raz w życiu wzięła zwolnienie akurat jedenastego września. Zawsze tęskniła za norweskim chłopcem z sąsiedztwa, który...

- Tak, tak. - Inger Johanne ledwie zwilżyła wargi niemal wrzącą kawą. - Cicho! - Zesztywniała. - To Ragnhild!

- Nie... - zaczął i chciał ją przytrzymać, zanim pobiegnie do pokoju dzieciennego.

Za późno. Niemal bezszelestnie przemknęła przez salon i zniknęła. Kwaśny ucisk w żołądku kazał Yngvarowi dolać więcej mleka do kawy.

Jego historia była gorsza niż jej. Porównywanie było nie tylko paskudne, lecz wręcz niemożliwe. Bólu nie da się zmierzyć. Straty nie da się zważyć. A mimo to nie mógł się powstrzymać. Odkąd się poznali tamtej dramatycznej wiosny przed blisko czterema laty, nieco zbyt często przyłapywał się na złości wywołanej żalem Inger Johanne z powodu inności Kristiane.

Inger Johanne mimo wszystko miała dziecko. Dziecko z wielkim apetytem na życie. Wprawdzie bardzo dziwne, lecz przecież Kristiane na swój własny sposób była dzieckiem kochającym i kochanym.

- Wiem - powiedziała nagle Inger Johanne; nie zauważył, kiedy

wyłoniła się z korytarza. - Ty dźwigasz większy ciężar niż ja. Twoje dziecko umarło. Ja powinnam być wdzięczna losowi. I jestem.

- Umilkła, zakryła dłonią oczy.

- Wszystko w porządku z Ragnhild? - spytał Yngvar.

Kiwnęła głową.

- Po prostu tak się boję - szepnęła. - Kiedy śpi, boję się, że umarła. Kiedy się budzi, boję się, że zaraz umrze. Że coś jest złe.

Westchnął z rezygnacją i poklepał stojący obok stołek.

- Chodź tutaj, usiądź.

Powoli usiadła przy nim. Zaczął ją gładzić po plecach, z góry na dół, odrobinę za szybko.

- Wszystko będzie dobrze.

-Jesteś poirytowany.

- Nie.

- Właśnie że tak.

Jego dłoń znieruchomiała.

- Mówię ci, że nie. A teraz...

- Nie mogłabym po prostu zostać...

-Wiesz co - przerwał jej tonem udawanej wesołości. - Uzgodniliśmy, że dzieciom nic nie jest. Oboje nie możemy spać, poświęćmy więc godzinę na to... - Postukał palcem w twarz Fiony Helle. - A potem zobaczymy, czy przypadkiem nie uda nam się chwilę zdrzemnąć. Okej?

-Jesteś taki dobry - powiedziała, przesuwając dłonią po twarzy.

- A ta sprawa jest gorsza, niż się tego obawiacie.

-Aha.

Opróżnił filizankę, odsunął ją od siebie i rozłożył kartki na rozległej powierzchni blatu. Zdjęcie leżało między nimi. Poglądził palcem nos Fiony Helle, powiódł nim wokół ust, zastanawiał się przez moment, po czym wziął fotografię do ręki i zmrużył oczy.

- A co ty właściwie wiesz o tym, czego się obawiamy?

- Nie ma żadnych śladów, *whatsoever* - stwierdziła lekko.

- Wszystko to ukradkiem przeczytałam. - Zaczęła szukać jakiegoś dokumentu, ale go nie znalazła. - Po pierwsze -

pociągnęła nosem

- te ślady na śniegu do niczego się nie nadają. Wprawdzie znaleźliście na podjeździe trzy odciski należące prawdopodobnie do sprawcy, ale temperatura i wiatr, a także śnieg, którego sporo nasypało we wtorek wieczorem, sprawiają, że ich wartość jest bardzo problematyczna. Pewne jest jedynie to, że sprawca włożył skarpety na buty.

- Od czasu sprawy Orderudów¹ każdy pieprzony złodziej rowerów wykorzystuje tę sztuczkę – mruknął.

- Nie wyrażaj się.

- One śpią.

- Rozmiar buta gdzieś między czterdzieści jeden a czterdzieści pięć, co oznacza dziewięćdziesiąt procent męskiej części ludności.

- I niewielki żeńskiej - dodał z uśmiechem.

Inger Johanne wciągnęła stopy pod stół.

- Poza tym sztuczka z za dużymi butami jest już powszechnie znana. Nie da się też nic powiedzieć o wadze sprawcy na podstawie głębokości śladów. Krótko mówiąc, pogoda mu sprzyjała.

-Albo jej.

- Może jej. Ale szczerze mówiąc, do obezwładnienia Fiony Helle, wysportowanej kobiety w kwiecie wieku, potrzeba było sporo siły.

Znów spojrzeli na zdjęcie. Nie oszukiwało. Czterdzieści dwa lata życia wyraźnie zaznaczyły się wokół oczu. Nad ustami zmarszczki też były czytelne, drobnitkie strzałki przebijające przez makijaż. A jednak ta twarz miała w sobie świeżość w bezpośrednim spojrzeniu, w napiętej skórze na szyi i kościach policzkowych.

-Język odcięto, kiedy jeszcze żyła - powiedział Yngvar. - Mamy teorię, że zemdląca w wyniku duszenia, po czym obcięto jej język. Rana bardzo mocno krwawiła, więc ofiara nie mogła być martwa. Może sprawca starannie wybrał taki sposób działania, a może...

1 Sprawa potrójnego zabójstwa, która wstrząsnęła Norwegią w maju 1999 roku (przyp. tłum.).

- Takie wyliczenie jest w zasadzie niemożliwe. - Inger Johanne zmarszczyła czoło. - Mam na myśli duszenie tylko do utraty przytomności zamiast do śmierci. Na pewno uznał, że już umarła.

- W każdym razie bezpośrednią przyczyną śmierci jest uduszenie. Musiał to wszystko dokończyć rękami. Po obcięciu języka.

- Yngvar się wzdrygnął. - A to widziałeś? - Odszukał sztywną brązową kopertę, przez moment na nią patrzył, po czym wyraźnie zmienił zdanie i odłożył ją nieotwartą.

- Tylko przez moment - odparła Inger Johanne. - Zwykle zdjęcia z miejsca zbrodni nie robią na mnie wrażenia. Ale teraz, odkąd jest Ragnhild... - Łzy z oczu się przelały, ukryła twarz w dłoniach. - Płacę bez powodu - powiedziała głośno, niemal przenikliwie, ale zorientowała się i dalej ciągnęła już szeptem:

- Takie zdjęcia nie robią na mnie wielkiego wrażenia. Zazwyczaj. Widziałam... - Szybko wytarła oczy i uśmiechnęła się z przymusem.

- Mąż ma niezbite alibi.

- Żadne alibi nie jest niezbite - stwierdził Yngvar.

Znów dotknął jej pleców. Przez cienki jedwab poczuła ciepło jego dłoni.

- No dobrze - zgodziła się. - Prawie niezbite. Był u swojej matki razem z Fiorellą. Musiał spać w jednym pokoju z córką, bo nocowała tam również jego siostra z mężem. Siostra na dodatek była przeziębiona i przez całą noc nie mogła zasnąć. Poza tym...

Znów przetarła oczy. Yngvar z uśmiechem przesunął jej pod nosem kciukiem i wytarł go we własną nogawkę.

- Poza tym absolutnie nic nie wskazuje na coś poważniejszego niż całkiem zwyczajne małżeńskie konflikty - dokończyła. - Ani w miłości, a już na pewno nie w finansach. Pod tym względem sobie dorównywali. On zarabia nawet więcej niż ona, za to ona była właścicielką większej części domu. Jego firma wydaje się najzupełniej w porządku.

Ujęła Yngvara za rękę. Poczowała pod palcami szorstką skórę i krótko obcięte paznokcie. Ich kciuki się złączyły i zaczęły zataczać kółka.

- Poza tym minęło już osiem dni - podsumowała. - A wam udało się jedynie wykluczyć paru oczywistych podejrzanych.

- To dopiero początek.

- Wobec tego bardzo słaby.

- A co ty myślisz?

- Dużo.

- Więc co?

- Ten język - powiedziała, wstając po dolewkę kawy.

Przez Hauges vei włókł się samochód. Ściszony warkot silnika sprawił, że kieliszki w narożnej szafce zadzwoniły. Snop światła omiółł sufit, przelotnie rozjaśniając pograżony w półmroku salon.

- Język - powtórzył Yngvar niechętnie, jak gdyby przypomniawszy mu o nieprzyjemnym fakcie, który najchętniej puściłby w niepamięć.

- No tak. Język. Metoda. Nienawiść. Premedytacja. Wazonik.

- Inger Johanne zrobiła znak cudzysłowu w powietrzu. - Wazonik został przygotowany wcześniej. W tym domu nie było czerwonego celofanu. W twoich papierach znalazłam informację, że zrobienie takiej paczuszki trwa osiem minut, jeśli się ma wprawę.

Pierwszy raz wyraźnie się zaangażowała w rozmowę. Otworzyła szafkę i ze srebrnej miseczki wzięła sobie dwie kostki cukru. Zamieszała. Łyzeczka zadzwoniła o kamionkę.

- Kawa, kiedy nie możemy zasnąć - mruknęła. - Mądrze. - Podniosła oczy. - Odcięcie człowiekowi języka to gest symboliczny, a przy tym tak znaczący i tak okrutny, że trudno go wytłumaczyć czymś innym niż nienawiścią. I to niezwykle intensywną.

- A przecież Fiona Helle była kochaną osobą - powiedział cierpko Yngvar. - Już rozmieszałaś ten cukier.

Oblizwała łyżeczkę i usiadła.

- Problem w tym, że kompletnie nie wiadomo, kto jej nienawidził. Skoro rodzina, ludzie z jej otoczenia, koledzy z pracy... wszyscy wokół pozornie nic nie mieli przeciwko niej, to prawdopodobnie musisz szukać mordercy gdzieś tam. - Wskazała palcem okno. W domu naprzeciwko zapaliło się mdłe światelko.

- Nie mam na myśli sąsiadów - dodała z uśmiechem - tylko

przestrzeń publiczną.

- Boże! - mruknął Yngvar.

- Fiona Helle była jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy telewizyjnych w kraju. Chyba nie znajdziesz człowieka, który nie miałby pojęcia, co robiła, a przez to również przekonania, wszystko jedno, prawidłowego czy błędnego, jaka była.

- A więc ponad cztery miliony podejrzanych.

- Hm. No tak. - Inger Johanne wypila łyk kawy i odstawiła filiżankę. - Odejmij od tego wszystkich poniżej piętnastego roku życia, wszystkich powyżej siedemdziesiątki i trochę ponad milion tych, którzy naprawdę ją uwielbiali.

- Ilu zostanie, jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. Pewnie ze dwa miliony?

- Dwa miliony podejrzanych...

- Którzy może nigdy z nią nawet nie rozmawiali. Nie musi istnieć żadne wcześniejsze powiązanie między Fioną a sprawcą.

- Albo sprawczynią.

- Albo sprawczynią. - Pokiwała głową. - Powodzenia! A poza tym, jeśli chodzi o stan języka... Pst!

Z niedawno odnowionego pokoju dziecinnego dał się słyszeć cichutki płacz. Yngvar wstał, zanim Inger Johanne zdążyła zareagować.

- Ona po prostu chce jeść - powiedział, przytrzymując żonę.

- Przyniosę ci ją, usiądź na kanapie.

Inger Johanne próbowała wziąć się w garść. Lęk wywoływał wręcz fizyczne odczucia, był jak zastrzyk środka pobudzającego. Puls jej przyspieszył, gorąco paliło w policzki. Gdy uniosła dłoń i przyjrzała się jej wnętrzu, zobaczyła spoconą linię życia, w której odbijało się światło lampy. Wytarła ręce w szlafrok i ciężko usiadła.

- Mała muszelka jest głodna - usłyszała szept Yngvara przy główce córeczki. - Mama zaraz ją nakarmi. Już dobrze, dobrze.

Ulga na widok otwartych oczek i poszukujących ust znów pobudziła Inger Johanne do płaczu.

- Ja chyba oszaleję - szepnęła, podając dziecku pierś.

- Nie jesteś szalona - odparł Yngvar. - Tylko trochę wzburzona i wystraszona.

- Ten język... - mruknęła Inger Johanne.
- Nie mówmy o tym teraz. Odpręż się.
- To, że był nacięty...
- Cicho, cicho.
- Kłamstwo. - Pociągnęła nosem, podnosząc oczy.
- Kłamstwo?
- Nie o ciebie chodzi. - Szepnęła coś do dziecka, zanim znów spojrzała na Yngvara. - Rozdwojony język. To w zasadzie może znaczyć tylko jedno. Ktoś uważał, że Fiona Helle kłamie.
- Wszyscy od czasu do czasu kłamiemy - stwierdził Yngvar, delikatnie przeciągając palcem po pokrytej puchem główce noworodka. - Zobacz, widać puls na ciemiączku.
- Ktoś uważał, że Fiona Helle kłamała - powtórzyła Inger Johanne. - Kłamała tak, że zasłużyła na śmierć.
Ragnhild puściła pierś. Grymas, który wyglądał jak uśmiech, rzucił Yngvara na kolana i kazał mu przytulić twarz do ciepłego wilgotnego policzka. Ssawka, pęcherzyk na górnej wardze Ragnhild, była wypełniona ciecżą i różowa.
- W takim razie to musiało być jakieś straszne kłamstwo
- mruknął Yngvar. - Większe niż jestem w stanie sobie wyobrazić.
Ragnhild beknęła i zasnęła.

*

Sama nigdy nie wybrałaby tego miejsca.

Tamtym, notorycznie bez pieniędzy, nagle wpadło do głowy, że mogą sobie pozwolić na spędzenie trzech tygodni na Riwierze. Co robić na Riwierze w grudniu, pozostawało w punkcie wyjścia zagadką, lecz mimo to zgodziła się pojechać. Zawsze to jakaś odmiana.

Ojciec po śmierci matki zrobił się nieznośny. Uczepił się jej, stale się skarżył i narzekał. Bił od niego zapach starego człowieka, mieszanka brudnego ubrania z brakiem kontroli nad pęcherzem. Palce, które drapały ją po plecach w bardzo niemile widzianym geście pożegnania, zrobiły się odpychająco chude. Poczucie obowiązku kazało jej zaglądać do niego mniej więcej raz w miesiącu. Mieszkanie w Sandaker nigdy nie było pałacem, ale odkąd ojciec został sam, wyglądało wprost

okropnie. W końcu po wielu listach, wściekłych rozmowach telefonicznych i wielkich trudnościach zdołała załatwić mu pomoc domową. Nie na wiele się to zdało. Spód deski klozetowej wciąż był upstrzony plamkami odchodów, a jedzenie stało w lodówce długo po upływie terminu ważności, uniemożliwiając otwarcie drzwiczek bez odruchu wymiotnego. Niepojęte, że gmina nie może zaproponować staremu wiernemu podatnikowi nic lepszego niż dziewczyna, na której nie można polegać i która z trudem nauczyła się włączać pralkę.

Kusiło ją Boże Narodzenie bez ojca, chociaż do wyjazdu była nastawiona sceptycznie, zwłaszcza że miały jechać też dzieci. Irytowało ją, że dzieci w dzisiejszych czasach sprawiały wrażenie uczulonych na każdą formę zdrowego jedzenia. Nieprzerwanie krzyczały „Nie lubię, nie lubię!”. Taka mantra przed każdym posiłkiem. Nic dziwnego, że były chude jako malcy, a potem rozrastały się bezkształtnie w okresie dojrzewania, dręczone modnymi zaburzeniami odżywiania. Najmłodsza, trzy- czy czteroletnia dziewczynka wciąż zachowała nieco wdzięku, natomiast bez jej rodzeństwa kobieta przy komputerze zdecydowanie mogła się obyć.

Ale dom był duży, a przeznaczony dla niej pokój imponujący. Z takim entuzjazmem pokazywali jej broszury. Podejrzewała, że chcą, by za wynajem zapłaciła więcej niż przypadająca na nią część. Wiedzieli, że ma pieniądze, choć oczywiście nie mieli pojęcia ile.

Zrezygnowała z większości znajomych. Kręcili się w kółko po swoim ograniczonym życiu, rozdmuchując problemy kompletnie dla innych nieinteresujące. W rachunkach towarzyskich, których prowadzenie z czasem uznała za konieczne, czerwone cyfry wprost do niej krzyczały. Dawała o tyle więcej, niż dostawała. Od czasu do czasu, gdy głębiej się zastanowiła, dochodziła do wniosku, że spotkała zaledwie kilkoro ludzi odpowiedniego formatu.

Tamci chcieli, żeby z nimi jechała, a ona nie mogła znieść myśli o jeszcze jednym świątku z ojcem.

Potem stała na lotnisku Gardermoen z biletami w rękę, kiedy

zadzwoiła komórka. Najmłodsza, ta dziewczynka, nagle trafiła do szpitala.

Wpadła we wściekłość. Oczywiście, że przyjaciele nie mogli zostawić małego dziecka, ale czy koniecznie musieli czekać z powiadomieniem jej i zadzwonić dopiero trzy kwadranse przed odlotem? Przecież dziecko zachorowało cztery godziny wcześniej. Wtedy miałyby jeszcze wybór.

Pojechała. Oni i tak będą musieli zapłacić swoją część za wynajem domu, co jasno dała do zrozumienia już podczas tamtej rozmowy telefonicznej. Przecież naprawdę trochę się cieszyła na trzy tygodnie spędzone z ludźmi, których znała od dzieciństwa.

Kiedy minęło dziewiętnaście dni, właściciel domu zaproponował, żeby została do marca. Nie przyjął nowych lokatorów na zimę, a nie chciał, żeby dom stał pusty. Pomogło prawdopodobnie to, że sprzątnęła tuż przed jego przyjściem. A kiedy kręcił się po pokojach, udając, że sprawdza elektrykę, z pewnością zauważył też, że tylko jedno łóżko było używane.

Jej laptop mógł stać równie dobrze tu jak w domu. Mogła mieszkać za darmo.

Riwiera okazała się przereklamowana.

Villefranche to takie niby-miasto dla turystów. Już dawno pozbyło się wszelkiej autentyczności. Nawet kilkusetletnia twierdza nad morzem wyglądała na zbudowaną z kartonu i plastiku. Skoro francuscy taksówkarze mówili całkiem niezłe po angielsku, to coś z tym miejscem musiało być zdecydowanie nie tak.

Irytujące, że policja stoi w miejscu.

Ale z drugiej strony to była wymagająca sprawa. Norwescy policjanci nigdy nie mieli się czym chwalić. To prowincjonalne nienoszące broni eunuchy.

Ona natomiast była ekspertem.

Ale noce zaczęły się dłużyć.

Od zabójstwa Fiony Helle minęło siedemnaście dni; kalendarz pokazywał, że jest szósty lutego.

Yngvar Stubø siedział w swoim pokoju w najbardziej pozbawionej charakteru wschodniej części Oslo i próbował śledzić wzrokiem ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze. Pięknie uformowane szkło, statyw ręcznej roboty, dębowy, tak przynajmniej zawsze uważał Yngvar. Rdzennie norweskie drewno z upływem stuleci postarzało się, nabierając ciemnego odcienia antyku. Pewien technik kryminalistyki z Francji, goszczący u nich tuż przed świętami, wysłuchawszy opowieści Yngvara o tym, że klepsydra towarzyszyła jego pływającym po morzach przodkom przez czternaście pokoleń, pokręcił głową i stwierdził, że to mahoń.

- Ten drobiazg - powiedział bezbłędną angielszczyzną - powstał między rokiem 1880 a 1900. Prawdopodobnie nigdy nie trafił na pokład statku. Wiele takich wytwarzano jako ozdoby bogatszych domów. - Wzruszył ramionami i dodał: - *But by all means, pretty little thing.*

Yngvar postanowił bardziej ufać rodzinnej sadze niż przypadkowemu, nie wiadomo skąd przybyłemu Francuzowi. Klepsydra stała na półce nad kominkiem u jego dziadków, niedotykalna dla wszystkich poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. Była skarbem, a ojciec jedynie z rzadka ją odwracał na oczach chłopca.

Ziarenka piasku połyskiwały wówczas srebrzyście w ręcznie dmuchanym szkle, przesypując się przez dziurkę cieńszą od włosa, jak twierdziła babcia.

Segregatory, ustawione wzdłuż ścian i po obu stronach umieszczonej na środku biurka klepsydry, opowiadały inną, o wiele bardziej konkretną historię. Opowieść o zabójstwie Fiony Helle miała niesamowity początek i nic, co przypominałoby koniec. Liczące setki stron protokoły z przesłuchań świadków, niezliczone wyniki badań technicznych, raporty, zdjęcia i

wnioski taktyczne prowadziły wszędzie, a zarazem donikąd.

Yngvar nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak stał z niczym.

Dobiegał pięćdziesiątki, w policji pracował, odkąd skończył dwadzieścia dwa lata. Szlifował bruk w policji porządkowej, zamykał w pudle włóczęgów i pijanych kierowców jako posterunkowy, z czystej ciekawości węszył w psim patrolu i źle się czuł za biurkiem w Økokrim, jednostce zajmującej się przestępstwami ekonomicznymi i ekologicznymi, zanim wreszcie przez czysty przypadek trafił do Kripos. Miał wrażenie, że od tamtej pory minęły mu już dwa życia. Oczywiście nie pamiętał wszystkich swoich spraw, zabójstw było za dużo, gwałty zbyt okrutne. Liczby z czasem zaczęły tracić sens. Jedno było mimo wszystko pewne i nieodwołalne: Czasami nic się nie składało. Tak po prostu się działo. I Yngvar Stubø nie załamywał się przegraną.

Tym razem jednak było inaczej.

Wyjątkowo nie widział ofiary. Wyjątkowo nie uczestniczył w śledztwie od samego początku. Wszedł w sprawę zdezorientowany, kulejąc, i od tyłu. W pewnym sensie dzięki temu wyostrzyły mu się zmysły. Najwyraźniej czuł to podczas odpraw, tych sesji narastającej zbiorowej frustracji, na których zazwyczaj się nie odzywał. Myślał inaczej niż pozostali.

Oni skupiali się na śladach, których właściwie nie było. Z największą dokładnością i starannością usiłowali ułożyć puzzle, na co nie mieli szans, bo poszczególne kawałki pokazywały niebieskie jak farbka niebo w tych miejscach, gdzie policja szukała mrocznych cieni w nocnym krajobrazie. Chociaż w domu Fiony Helle znaleziono łącznie trzydzieści cztery odciski palców, nic nie wskazywało na to, by bodaj jeden z nich zostawił zabójca. Niewiadomego pochodzenia niedopałek papierosa przy drzwiach wejściowych również nie wskazywał w żadnym konkretnym kierunku. Ostatnie analizy mówiły, że musiał tam leżeć od kilku tygodni. Ślady na śniegu już mogli przekreślić grubą czerwoną kreską, przynajmniej dopóki nie da się ich połączyć z inną wiedzą na temat sprawcy. Krew w miejscu zbrodni również nie okazała się fundamentem, na którym

można by dalej budować. Należała wyłącznie do Fiony Helle. Drobinki śliny na blacie, włosy na podłodze i tłusty jasnoczerwony odcisk na kieliszku z winem opowiadał bardzo zwyczajną historię o kobiecie, która w ciszy i spokoju usiadła w domowym gabinecie, żeby przejrzeć pocztę z całego tygodnia.

- Morderca zjawa - podsumował Sigmund Berli, stając w drzwiach. - Cholera, zaczynam wierzyć w marudzenie chłopaków z Romerike o tym, że to musiało być samobójstwo.

- Imponujące - odpowiedział Yngvar z uśmiechem. - Najpierw udusiła się prawie na śmierć, potem odcięła sobie język i grzecznie usiadła, żeby umrzeć z wykrwawienia. Ale jeszcze później na moment ożyła, żeby ten język ułożyć w ślicznej paczuszce z celofanu. Teoria co najmniej oryginalna. A w ogóle jak się układa współpraca?

- Chłopaki z Romerike są w porządku. Wiesz, to duża komenda. Oczywiście od czasu do czasu każdy chce się wykazać, ale wygląda na to, że są raczej szczęśliwi z włączenia nas w tę sprawę.

Sigmund Berli usiadł i przyciągnął gościnne krzesło bliżej biurka.

-Wybrali Snorrego do udziału w zawodach hokejowych dla dziesięciolatek w weekend - powiedział z dumą. - Ma dopiero osiem lat, a już się dostał do reprezentacji razem z dziesięciolatekami!

- Nie przypuszczałem, że tworzy się reprezentację w tak niskich grupach wiekowych.

- Granica wieku to jakiś bzdurny wymysł Związku Sportowego. Nie można tak robić. Chłopak żyje hokejem. Całymi dniami... Ktoregoś razu spał w łyżwach! Jeśli związek nie zrozumie, jak ważne dla dzieciaków są oficjalne zawody, obudzą się z ręką w nocniku.

- No tak, to twój syn. Ja bym raczej nie...

- Do czego my zmierzamy? - przerwał mu Sigmund, omiatając wzrokiem teczkę i stosy dokumentów. - Dokąd my, do cholery, zmierzamy z tą sprawą?

Yngvar nie odpowiedział. Sięgnął po klepsydrę, odwrócił ją jeszcze raz, próbując liczyć sekundy. Na przesypanie się przez

cieniutką szklaną szyjkę piasek potrzebował jednej minuty i czterech sekund. Wiedział to od zawsze. Przypuszczalnie jakiś błąd w konstrukcji. Zaczął głośno liczyć:

- Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy... I znów się nie udało. Nigdy nie trafiam. - Jeszcze raz odwrócił klepsydrę. - Raz, dwa, trzy...

- Yngvar! Przestań! Zwariowałeś od tych nieprzespanych nocy?

- Nie. Ragnhild jest cudowna. Dziewięć. Dziesięć.

- Dokąd my zmierzamy, Yngvar? - Sigmund nie odpuszczał.

- Nie ma, do pioruna, żadnego cholernego dowodu. Ani technicznego, ani taktycznego. Wczoraj i dziś przejrzałem wszystkie przesłuchania. Fiona Helle była lubiana. Przez większość ludzi. Mówią, że była zabawna. Barwna. Wielu podkreśla, że to wyjątkowo interesująca osoba. Oczytana i zainteresowana wysublimowaną kulturą niszową. A jednak czytała komiksy i uwielbiała „Władcę Pierścieni”.

- Ludzie, którzy odnieśli taki sukces jak Fiona Helle, zawsze mają... - Yngvar szukał słowa.

- Wrogów - odpowiedział Sigmund.

- Nie, niekoniecznie. Ale nieprzyjaciół. Zawsze znajdzie się ktoś, kto się czuje zapomniany przez taką sławę. Usunięty w cień. A gwiazda Fiony Helle świeciła bardzo jasno. Jednak trudno mi sobie wyobrazić, by urażony pracownik telewizji z ambicjami poprowadzenia sobotniego programu rozrywkowego posunął się do tak drastycznego kroku. - Yngvar skinieniem głowy wskazał tablicę, z której krzyczało do nich wielkoformatowe zdjęcie Fiony Helle z rozsuniętymi nogami i obnażonymi piersiami. - Myślę, że odpowiedzi należy raczej szukać tutaj. - Wyjął plik kopii listów, starannie ułożonych w czerwonej okładce. - Wybrałem dwadzieścia, właściwie na chybił trafił, żeby wyrobić sobie opinię o ludziach piszących do Fiony Helle.

Sigmund zmarszczył brwi, wziął do ręki leżącą na wierzchu kartkę i zaczął czytać na głos.

- „Droga Fiono! Jestem dwudziestodwuletnią dziewczyną z Hennesberget. Trzy lata temu odkryłam, że moim ojcem był marynarz z Wenezueli. Moja mama mówi, że to był drań,

pożucił ją. - Sigmund zaczął się drapać w ucho. - Cholera, ona nie umie pisać. - „...I nigdy się nie odezwał, jak się dowiedział, że ja się mam urodzić. Ale jedna pani u nas ze spółdzielni mówi, że Juan Maria był fajny i że to mama chciała...”.

Przyjrzał się czubkowi palca. Brudnożółta grudka zdawała się go fascynować. Wpatrywał się w nią przez kilka sekund, nim wreszcie wytarł palec o nogawkę spodni.

- Wszystkie listy są takie bezradne? - spytał.

- Nie nazwałbym tego przejawem bezradności - odparł Yngvar.

- Dziewczyna przede wszystkim podjęła inicjatywę. Braki w ortografii i gramatyce nie powstrzymały jej od przeprowadzenia na własną rękę całkiem skutecznego śledztwa. Ona nawet wie, gdzie ojciec mieszka. Ten list to prośba, by „Fiona w akcji” zajęła się sprawą dalej. Dziewczyna śmiertelnie się boi odrzucenia i uważa, że jest większa szansa na zaakceptowanie jej przez ojca, jeśli wszystko odbędzie się w telewizji.

- O Boże! - westchnął Sigmund i sięgnął po kolejny list.

- To jest zupełnie inny kaliber - powiedział Yngvar, gdy kolega przesuwiał wzrokiem po kartce. - Prawidłowo wysławiający się dentysta, który zbliża się do wieku emerytalnego. Podczas wojny był kilkuletnim chłopcem, mieszkał we wschodniej dzielnicy Oslo i jako chudy anemiczny sierota został wysłany w czterdziestym piątym na wieś, żeby go podtuczylili. Tam poznał...

- Fiona Helle igrała z ogniem - przerwał mu Sigmund, przerzucając pozostałe listy. - To przecież...

- Ludzkie losy - dokończył Yngvar i rozłożył ręce. - Każdy z listów, które dostawała ta kobieta, a naprawdę nie było ich mało, to opowieść o życiu pełnym tęsknoty i żalu. I rozpacz. Ale w końcu Fionie się dostało. Dyskusja publiczna przybrała typowy obrót. Z jednej strony intelektualne snoby, które ze źle skrywaną pogardą odcinały się od tego rodzaju wykorzystywania maluczkich. Z drugiej był Lud... - Narysował w powietrzu duże L. - Lud, który uważał, że snoby mogą się zamknąć i wyłączyć telewizor, jeśli program im się nie podoba.

- I nie bez racji - mruknął Sigmund.

- Trochę racji miały pewnie obie strony. Ale z wrzaskliwej debaty jak zwykle nic nie wynikło, poza oczywiście jeszcze większą

oglądalnością programu. A na obronę Fiony Helle należy dodać, że na ekrany telewizorów docierali ludzie po bardzo surowym odsiewie. Redakcja zatrudniła aż trzech psychologów i każdy uczestnik musiał przejść przez coś w rodzaju bardzo starannego prześwietlenia.

- A ci, którzy nie dotarli do programu?

- No właśnie. Są tacy, którzy w list do Fiony Helle włożyli całe swoje życie. Wielu opowiedziało historie, którymi nigdy dotąd z nikim się nie podzielili. Odrzucenie musiało być bardzo bolesne, a przecież spotkało większość. Zwłaszcza że redakcja nie była w stanie odpowiedzieć każdemu. Niektórzy z krytyków programu podnosili również problem... - Z kieszonki na piersi Yngvar wyjął etui z matowego aluminium. Ostrożnie je otworzył, wyciągnął cygareto i powąchał. - ...Że Fiona Helle stała się bogiem. - Delektował się zapachem. - Bogiem, który na rozpaczliwe błagania odpowiada milczeniem.

- Bardzo dramatyczne.

- Raczej melodramatyczne. - Schował cygareto z powrotem do etui. - Ale ma też w sobie tyci tyci prawdy, jak mówi Kristiane, kiedy przyłapiemy ją na kłamstwie.

Sigmund zaśmiał się głośno.

- Moje chłopaki po prostu się wypierają. Nawet jeśli przyłapię ich na gorącym uczynku i mam górę dowodów. Twardzi jak orzechy, przynajmniej Snorre. - Zażenowany pogładził się po głowie.

- Młodszy - wyjaśnił. - Ten podobny do mnie.

- Mamy więc nieznaną liczbę ludzi, którzy mieli ważny powód, żeby przynajmniej rozczarować się Fioną Helle.

- Rozczarować się - powtórzył Sigmund. - To raczej nie wystarczy. ..

Obaj znów przenieśli wzrok na zdjęcie ofiary.

- No nie. Dlatego postanowiłem to zbadać na własną rękę. Chcę dokładnie wiedzieć, co się stało z tymi, którzy uzyskali pomoc od Fiony Helle. Ze wszystkimi, którzy mieli swoje pięć minut sławy i spotkali się z biologiczną matką w Korei Południowej, z zaginionym ojcem w Argentynie, z oddaną do adopcji córką w Drøbak i Bóg jeden wie z kim jeszcze. Ze

wszystkimi, których życie stanęło na głowie w porze największej oglądalności.

- A nikt już czegoś takiego nie robił?

- Nie. Okazało się, że nie.

- To znaczy, że NRK nie obserwowało wszystkich, którzy...

-Nie.

Sigmund wpatrywał się w etui z cygarem, które z powrotem trafiło do kieszeni Yngvara.

- Nie rzuciłeś?

- Co? A, o to ci chodzi? Tylko wacham. Stare przyzwyczajenie. Już nie palę. Miałem dość wychodzenia na balkon. Szczególnie z cygarem. Trudno doczekać się niedopałka.

- Posłuchaj...

-Tak?

- Twoim zdaniem cała ta robota ze śladami technicznymi poszła na marne?

Yngvar zaśmiał się ochryple i pięścią zasłonił usta, nim na dobre się rozkaszał.

- To resztki po tym przeklętym paleniu - wyjaśnił. - Oczywiście, że nie. Badania techniczne nigdy nie idą na marne. Ale kiedy wszystko od tej strony wygląda na całkiem bez znaczenia, przynajmniej na razie, to uważam, że musimy zacząć od drugiego końca. Zamiast przyjmować za punkt wyjścia miejsce zdarzenia i przesuwać się na zewnątrz, powinniśmy zacząć właśnie na zewnątrz i pracować do środka. Jeśli będziemy mieć szczęście, znajdziemy kogoś, kto miał motyw. Wystarczająco silny motyw.

- Wychodzisz? Tak wcześniej?

Yngvar już wstał i sięgał po sprany prochowiec, który bezwładnie zwisał z wieszaka przy oknie.

- Tak - odparł, ubierając się. - Jestem nowoczesnym ojcem. Od tej pory zamierzam codziennie wychodzić z pracy o trzeciej, żeby być przy dziecku. Codziennie.

-Co?!

- Żartowałem, ty idioto! - Yngvar poklepał kolegę po ramieniu, a na korytarzu krzyknął jeszcze: - Miłego weekendu wszystkim!

- Co ja, do cholery, tu robię? - mruknął Sigmund, patrząc w

drzwi, które zatrzasnęły się za Yngvarem. - To przecież nawet nie mój pokój.

Zerknął na zegarek. Było już pół do szóstej. Nie mógł pojąć, gdzie się podział ten dzień.

*

Blondynka w kostiumie od Armaniego i adidasach wysiadła z taksówki zadowolona. Do północy wciąż pozostawało jeszcze ponad pół godziny, a ona była prawie trzeźwa. W obszernym wywiadzie, który miał się ukazać w jutrzejszej „VG”, będzie napisane, że Vibeke Heinerback zrozumiała, że jest dorosła, dopiero wtedy, gdy zaczęła wcześniej wracać z imprez do domu z uwagi na produktywność jutrzejszego dnia. Podobało jej się to sformułowanie: „produktywność jutrzejszego dnia”. Sama je wymyśliła. Mówiło coś o niej zarówno pod względem politycznym, jak i osobistym.

Adidasy ani trochę nie pasowały do kostiumu, ale ze złamanym palcem u nogi nie mogła włożyć innych butów. Na szczęście producenci telewizyjni nie wycięli tej części wieczornego talk-show, w której komentowała własny brak elegancji, kokietując tłumaczeniem, że wciąż ma zaledwie dwadzieścia sześć lat, a palec złamała podczas zabawy z bratankiem. Trochę się mijała z prawdą, lecz publiczność w studiu przyjęła tę wersję życzliwie. Vibeke uśmiechnęła się, próbując trafić kluczem do dziurki w drzwiach.

To był dobry tydzień.

Pod względem politycznym. Osobistym. Pod każdym.

Mimo bolącego palca.

Panowała irytująca ciemność. Vibeke podniosła głowę. Ledwie była w stanie dostrzec zbitą żarówkę w lampie. Z pewnym lękiem zerknęła przez ramię. Również latarnia przy furtce się nie świeciła. Starając się utrzymać cały ciężar ciała na zdrowej stopie, Vibeke podniosła pęk kluczy na wysokość oczu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się nie pomyliła.

Nie zdążyła tego stwierdzić.

*

Vibeke Heinerback znalazł następnego dnia rano narzeczony, który, potykając się i bełkocząc, zdołał porannym autobusem i

taksówką dotrzeć do domu z wieczoru kawalerskiego swojego brata.

Siedziała w łóżku. Była naga. Dłonie miała przybite do ściany nad wezłowiem, a nogi szeroko rozrzucone. Wyglądało to tak, jakby ktoś usiłował wepchnąć jej do pochwy książkę.

Narzeczony Vibeke Heinerback w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Oderwał jej dłonie od ściany, wszystko dookoła dokładnie obrzygał, a następnie ściągnął zwłoki na podłogę, jak gdyby doszedł do wniosku, że tak brutalnego ataku dokonało łóżko. Dopiero dobre pół godziny później oprzytomniał na tyle, by wezwać policję.

Wtedy w końcu odkrył zieloną książkę, wciąż wciśniętą między uda Vibeke Heinerback.

Późniejsze oględziny wykazały, że to oprawiony w skórę egzemplarz Koranu.

Kobieta na miejscu 16 A sprawiała sympatyczne wrażenie. Miała wielką ochotę na kawę i czytała brytyjskie gazety. Stewardowi trudno było stwierdzić, skąd pochodzi. Na pokładzie większość stanowili Szwedzi. Było też kilku Norwegów i hałaśliwa duńska rodzina z dzieckiem w przedostatnim rzędzie. Chociaż sezon dawno już się skończył, wielu pasażerów wskakiwało do bezpośredniego samolotu do Nicei, gdy ceny bezwstydnie spadały.

Właściwie miał zamiar rzucić tę pracę. Waga zawsze stanowiła dla niego problem, a ostatnio koledzy zaczęli sypać złośliwymi komentarzami. Bez względu na to, jak się męczył i jak mało jadł, elektroniczny wynik na wadze łazienkowej groził w każdej chwili ukazaniem się trzech cyfr.

Miło podczas lotu mieć takich pasażerów jak kobieta na 16 A.

Różniła się od większości Skandynawów, miała ciemniejszą cerę, piwne oczy. I ona też nie powinna być całkowicie zadowolona ze swojej wagi. Rosła i dość ciężka, ale przede wszystkim silna. Mocna kobieta, pomyślał po chwili.

W każdym razie lubiła kawę.

Poza tym była cudownie bezdzienna i na nic się nie skarżyła.

*

Zwłoki wciąż były ciepłe.

W każdym razie ochroniarz z parkingu centrum handlowego Gallerian uważał, że nie mogło minąć więcej niż dwie godziny, odkąd prostytutka pożegnała się ze światem. Ale może się mylił. Nie był ekspertem. Musiał to przyznać, chociaż już po raz drugi w ciągu trzech miesięcy wzywał policję, ponieważ jakaś nieszczęsna kobieta zdecydowała się na ostatni zastrzyk w miejscu osłaniającym ją przed paskudnym zimowym wiatrem, który hulał po ulicach Sztokholmu i kazał ludziom ubierać się jak uczestnicy wyprawy na biegun. Na klatce schodowej było bardzo ciepło, więc nie dawało się niczego stwierdzić z całą pewnością.

Niemożliwe jednak, by leżała tu długo.

„Jeśli w życiu nie możesz patrzeć w przód ani w tył, patrz w górę!”

Złota myśl wypisana czerwonym flamastrem na ścianie rzucała się w oczy. Dziwka potraktowała przesłanie dosłownie. Leżała na boku z głową opartą na prawym ramieniu i ugiętymi kolanami, jak gdyby ktoś ułożył ją w bezpiecznej pozycji. Twarz miała jednak zwróconą w górę, oczy otwarte i lekko zdziwioną, niemal szczęśliwą minę.

Spokój, pomyślał strażnik, sięgając po komórkę. Kobieta wyglądała tak, jakby odnalazła spokój. Wprawdzie miał dość przeganiaania prostytutek z olbrzymiego parkingu, ale w głębi serca im współczuł. Ich dokuczliwa obecność uświadamiała mu radości własnego życia. Praca była nudna, ale żona w porządku, a dzieciaki sprawowały się dobrze. Stać go było na piwo w piątki, a za punkt honoru poczytywał sobie płacenie rachunków przed terminem.

Zasięg komórki tu, na dole, był bardzo kiepski.

Poznał tę kobietę, to jedna ze stałych bywalczyń. Mogło się wydawać, że mieszkała tu, na dnie klatki schodowej, w pomieszczeniu o powierzchni niespełna pięciu metrów kwadratowych, któremu niebieskie i czerwone pasy na ścianach z pewnością miały przydać życia i jasności. W rogu leżała rzucona torebka, a pod zwiniętym śpiworem pod schodami wały się trzy gazety i jeden tygodnik. Za plecami kobiety przewróciła się butelka wody mineralnej Ramlösa.

Parkingowy ruszył po schodach. Dokuczała mu astma, więc na chwilę przystanął, by złapać oddech. Gdy wreszcie dotarł na górę, otworzył niewielkie drzwi wychodzące na Brunkebergs Torg.

Koleżanki tej kobiety już były w pracy. Zauważył dwie, wychudzone jak szkielety i przemarznięte; jedna wsiadała do bmw, które natychmiast ruszyło z piskiem opon, kierując się w stronę Sergels Torg.

Wreszcie udało mu się dodzwonić na policję. Obiecali, że zjawią się najdalej za pół godziny.

- Pewnie - mruknął ze złością, rozłączając się; zeszyłm razem

musiał tkwić przy zwłokach prostytutki ponad godzinę.

Zapalił papierosa. Druga kobieta w cienkich pończochach i sztucznym futerku złapała klienta po przeciwnej stronie placu.

Zmarła dziwka nie była taka chuda. Należała raczej do tych o pełniejszych kształtach, pomyślał, głęboko zaciągając się papierosem. Rzadko się takie widywało, zazwyczaj prostytutki kurczyły się w miarę upływu lat, stawały coraz mniejsze i chudsze z każdym zrobionym zastrzykiem, z każdą połkniętą tabletką. Może ta pamiętała, żeby między przyjmowaniem klientów a zazywaniem narkotyków coś jeszcze jeść.

Powinien zejść na dół, żeby jej pilnować.

Zapalił jednak jeszcze jednego papierosa i stał na zimnie, dopóki wreszcie nie przyjechali policjanci. Potrzebowali kilku sekund na stwierdzenie tego, o czym parkingowy już wiedział. Kobieta nie żyła. Wezwano karetkę, która zabrała zwłoki.

Katinka Olsson miała zostać skremowana trzy dni później i nikt nie uznał za warte stawianie nagrobka nad szczątkami blisko czterdziestoletniej prostytutki. Czwórka dzieci, które wydała na świat jeszcze przed trzydziestką, miała się nigdy nie dowiedzieć, że ich biologiczna matka trzymała w pustym portfelu zdjęcia ich wszystkich w okresie niemowlęctwa; wyblakłe fotografie ze zniszczonymi, podartymi brzegami. Jedyne majątek Katinki Olsson.

Umarła na skutek przedawkowania i nikt nigdy o nią nie zapytał. Nikt nie będzie rozpaczać po jej śmierci ani się dziwić, dlaczego martwa ulicznica była czysta, pachnąca i ubrana w świeżo uprane, chociaż bardzo znoszone rzeczy. Nikt.

*

Dom Vibeke Heinerback go zdumiał.

Stojąc na środku stosunkowo dużego salonu, Yngvar Stubø odniósł wrażenie znacznie bardziej skomplikowanej osoby aniżeli ta, którą usiłowały prezentować media.

Po zastanowieniu stwierdził, że nie przypomina sobie, by widział reportaż z domu Vibeke Heinerback. Poranne godziny poświęcił na przejrzenie znacznego pliku wywiadów i innych wycinków, kolorowego, glansowanego streszczenia pozornie szczęśliwego życia:

Kiedy narzeczony się jej oświadczył, pojechali do Paryża razem z plotkarskim tygodnikiem „Se og Hør”. Fotografie, na których nieustająco się obejmowali, przed wieżą Eiffla, pod Łukiem Triumfalnym, przed markowymi sklepami na Champs-Élysées i na uliczkach Montmartre’u, przypominały plakaty reklamowe z lat siedemdziesiątych. Vibeke i Trond byli jasnymi blondynami, zadbanymi, ładnymi. Mieli takie same białe uśmiechy jak z reklamy pasty do zębów i takie same koszule w pastelowe psychodeliczne wzory. Jedynie wzniesione na paru zdjęciach kieliszki łamały tę iluzję. Powinny to być butelki coca-coli.

Kiedy Vibeke Heinerback została najmłodszą przewodniczącą partii politycznej w Norwegii, całemu korpusowi prasowemu pozwolono towarzyszyć jej do łóżka po zjeździe krajowym. I gazety, i tygodniki z zachwytem skupiły się na wieczornej kąpeli. Z gładką i kształtną lewą łydką na krawędzi wanny, w morzu różowej piany, Vibeke wznosiła do czytelników toast szampanem. Podpis pod zdjęciem informował, że jest śmiertelnie zmęczona.

Scena rozgrywała się w pokoju hotelowym.

Vibeke Heinerback utożsamiała pojęcie powodzenia skandy-nawskiego młodego pokolenia. Zdążyła skończyć jedynie dwa lata studiów ekonomicznych, zanim całkowicie pochłonęła ją polityka. Na wysokich obcasach przechadzała się w zimowym błocie po Karl Johan, ale pozwalala się też fotografować w kaloszach w lasach wokół Oslo. W parlamencie zawsze była poprawnie ubrana. Podczas debat transmitowanych w telewizji stosowała się do surowego kodu ubraniowego, lecz gdy uczestniczyła w programach popularnych, demonstrowała gust, który rok wcześniej zapewnił jej trzecie miejsce na liście najlepiej ubranych kobiet w kraju; jury z podziwem stwierdziło, że ma niezwykle wyczucie dla beczelnych detali. Dzieci oczywiście także planowała. „Później” - mówiła uśmiechnięta do impertynenckich dziennikarzy i dalej pięła się po szczeblach drabiny w partii, która miewała najwyższe słupki w sondażach.

Yngvara ogarnęło lekkie poczucie winy z powodu własnych uprzedzeń, gdy po raz trzeci omiótł wzrokiem salon. Zatrzymał

spojrzenie na pięknym kloszu z mlecznobiałego szkła. Trzy cienkie stalowe rurki podtrzymywały lampę, a całość przypominała stylizowane UFO z filmu z lat pięćdziesiątych. Salon robił wrażenie. Przy kremowobiałej narożnej kanapie znajdował się stół ze stali i szkła. Krzesła były intensywnie pomarańczowe, a kolor ten bez trudu dało się odnaleźć również w drobnych plamkach na kolosalnym abstrakcyjnym obrazie umieszczonym na przeciwległej ścianie. Wszystkie płaszczyzny poziome zostawiono puste. W całym pokoju nie było żadnych ozdób z wyjątkiem wazonu zaprojektowanego przez Alvara Aalto na surowym kredensie. Barwny bukiet tulipanów usychał z pragnienia.

Gazetnik ze splecionego stalowego drutu był przepelniony, głównie tygodnikami i tabloidami. Yngvar wyjął z niego egzemplarz „Her og Nå”. Okładkę zdobiły dwa rozwody, jeden jubileusz artysty i tragicznie przegrana walka z alkoholem solisty zespołu grającego muzykę taneczną.

Yngvar rzadko myślał o Vibeke Heinerback, ale niechętnie podziwiał ją za instynktowne wyczucie istniejącej w ludziach potrzeby łatwych rozwiązań. Nigdy natomiast nie dostrzegł w niej jakiegokolwiek politycznej wiedzy, nadrzędnych i etycznych celów. Vibeke Heinerback uważała, że ceny benzyny należy obniżyć, a system opieki nad ludźmi starszymi przynosi wstyd całemu narodowi. Chciała wprowadzić niższe podatki i wzmocnić policję. Twierdziła, że jeżdżenie na tańsze zakupy do Szwecji to zrozumiała protest ludzi; skoro politycy decydują się na ustalanie najwyższych w Europie cen alkoholu, to mają.

Tak właśnie ją postrzegał: jako prostą, płytką i politycznie bystrą na poziomie ulicy. Nieoczytaną, jak przypuszczał, bo z pewnego wywiadu wynikało, że swoją ulubioną pisarkę Ayn Rand uważała za mężczyznę.

Ale raczej dziennikarz popełnił tę gafę, pomyślał Yngvar, jeszcze uważniej przyglądając się salonowi. Na pewno nie Vibeke Heinerback.

Wolno przesunął palcami po grzbietach książek na półkach pokrywających dwie ściany salonu od podłogi do sufitu. Obok kieszonkowego wydania „Atlasa zbuntowanego” stało zaczytane

i wystrzępione „Źródło”. Obszerna biografia ekscentrycznego architekta była w tak żalnym stanie, że gdy Yngvar chciał sprawdzić ekslibris, kilka kartek się rozsypało.

Jens Børneboe i Hamsun, PO. Enquist, Gunter Grass i Don DeLillo, Lu Xun i Hannah Arendt, nowe i stare na przemian. Yngvar nagle zrozumiał, że jest to system miłosny.

- Spójrz tutaj! - powiedział do Sigmunda Berliego, który właśnie wyszedł z sypialni. - Ustawiła swoją ukochaną literaturę między wysokością bioder i głowy! Prawie nieruszone książki stoją albo na dole przy podłodze, albo na samej górze.

Wyciągnął się i wskazał zbiór chińskich autorów, o których nigdy nie słyszał. Potem przykucnął, wyjął jakąś książkę z najniższej półki i zdmuchnąwszy z niej kurz, przeczytał głośno:

- Mircea Eliade. - Pokręcił głową i wstawił tom na miejsce.

- Takie rzeczy czyta siostra Inger Johanne. Nie podejrzewałem czegoś podobnego u panny Heinerback.

- Ale jest też mnóstwo kryminałów.

Sigmund Berli przeciągnął palcami po półkach przy samych drzwiach do kuchni. Yngvar, mrużąc oczy, odczytywał tytuły. Były tam wszystkie. *The grand old ladies* literatury brytyjskiej i arogancy Amerykanie z lat osiemdziesiątych. Tu i ówdzie pojawiało się francusko brzmiące nazwisko. Sądząc po okładkach, wielkich samochodach i śmiercionośnej broni rysowanej szarą stylizowaną kreską, te książki musiały pochodzić z lat pięćdziesiątych. Klasycy jak Chandler i Hammett stali w amerykańskich efektownych wydaniach obok niemal kompletnego katalogu kryminałów norweskich wydanych w ostatnich dziesięciu latach.

- Może to książki narzeczonego? - spytał Sigmund.

- Ledwie się wprowadził. A one tu stoją już od jakiegoś czasu. Zastanawiam się, dlaczego nigdy nic o tym nie mówiła.

- O czym? Że czyta?

- Tak. Dzisiaj przejrzałem cały stos wywiadów, z których wyłania się obraz bardzo nieciekawej osoby. Owszem, zwierzęcia politycznego, ale takiego, które jest bardziej zainteresowane zupełnie banalnymi pojedynczymi sprawami niż kojarzeniem

faktów. Nawet w tych... - Yngvar narysował w powietrzu kwadrat - ...w tych ramkach, to się chyba tak nazywa, nawet w tych ramkach ze standardowymi pytaniami nigdy nie mówiła... o tym. Kiedy pytali ją, co czyta, odpowiadała, że gazety. Pięć gazet dziennie. Brakuje czasu na inne rzeczy.

- Możliwe, że czytała dawniej. Kiedyś. A teraz czasu jej nie starczało.

Sigmund przeszedł do kuchni.

- Zobacz to.

Kuchnia stanowiła niezwykłą mieszankę nowego ze starym. Ukośne górne szafki musiały pochodzić z okresu tuż po wojnie. Kiedy Yngvar otworzył drzwiczki, uchyliły się lekko i bezszelestnie na nowoczesnych szynach z plastiku i metalu. Ogromny zlew miał armaturę, która mogłaby zagrać w filmie o latach trzydziestych. Kaligraficzne czerwone i niebieskie napisy na porcelanowych kurkach do ciepłej i zimnej wody wytarły się i przestały być czytelne. Blaty były ciemne i matowe.

- Łupek - stwierdził Yngvar, stukając w kamień kłykciami.

- Odrestaurowała dużo starych rzeczy. I przemieszała je z nowymi elementami.

- Nieźle - stwierdził Sigmund z wahaniem. - Właściwie bardzo fajne, nie?

- Owszem. I drogie.

- A ile oni zarabiają w Stortingu?

- Za mało. - Yngvar ścisnął palcami grzbiet nosa. - O której policja tu była?

- Około siódmej rano. Ten jej facet, nazywa się Trond Arnesen, zdemolował miejsce zbrodni. Narzygał i poprzestawiał wszystko. Wyciągnął swoją dziewczynę z łóżka. Widziałeś sypialnię?

- Mhm.

Yngvar podszedł do kuchennego okna. Od wschodu nadciągał już popołudniowy zmrok. Nad Lillestrøm wisiała zbita pokrywa chmur, grożąc nocnymi opadami śniegu. Ostrożnie odstawił na bok wygięty w łuk stół kuchenny i przysunął twarz do szyby, nie dotykając jej. Przez chwilę tak stał, zatopiony we własnych myślach, nie odpowiadając na komentarze Sigmunda, które

coraz bardziej cichły, w miarę jak kolega krążył po dalszych częściach domu.

Zerknął na kompas w nowoczesnym zegarku. W myślach szkicował mapę. Potem zrobił krok do tyłu i przymknąwszy jedno oko, spojrzął na krajobraz za oknem.

Gdyby się wycięło trzy świerki na samym końcu ogrodu, przesunęło niewielki pagórek na północny wschód i wysadziło w powietrze nieduże osiedle odległe o kilkaset metrów, dałoby się zobaczyć dom, w którym zaledwie siedemnaście dni wcześniej zabita została Fiona Helle.

Odległość dzieląca oba miejsca zbrodni nie przekraczała półtora kilometra.

*

- Czy w ogóle jest jakaś możliwość, żeby te sprawy były ze sobą powiązane?

Yngvar Stubø nałożył sobie solidną porcję smażonych ziemniaków i sięgnął po butelkę keczupu.

- Musisz go używać do absolutnie wszystkiego?

- A jak myślisz? No, odpowiedz, co sądzisz o tym związku.

-Ja wychodzę! - krzyknęła Kristiane z korytarza na parterze.

- O Boże! - jęknęła Inger Johanne i pobiegła w stronę schodów z Ragnhild w objęciach. - Ona nie śpi!

Kristiane przyciskała nos do drzwi wejściowych. Suwak czerwonej puchówki był podciągnięty do końca, szalik ciasno owinięty wokół szyi, a czapka spuszczone na oczy. Lewy but tkwił na prawej nodze, a prawy na lewej. W rękach dziewczynka ścisnęła rękawiczkę. Przyłgnęła całym ciałem do zamkniętych drzwi i oświadczyła:

- Wychodzę.

- Nie teraz - odparła Inger Johanne, oddając niemowlę Yngvarowi. - Jest za późno. Już po dziewiątej. Przecierz się położyłaś i... Nie chcesz na chwilę wziąć Ragnhild na rękę? Zobacz, jaka ona śliczna.

- Paskudna! - prychnęła Kristiane. - Okropny dzieciak!

- Kristiane!

Głos Yngvara zabrzmiał tak ostro, że Ragnhild się rozplakała. Zdenerwowany, zaczął ją kołysać, mrużąc coś w miękki kocyk,

którym była otulona. Z ust Kristiane wydobyło się wycie. Kolebała się, przestępując z nogi na nogę i uderzając czołem o drewno. Wkrótce wycie przeszło w rozpaczliwe szorstkie charczenie.

- Tatusiu! - powarkiwiała od czasu do czasu. - Tatusiu! Idę do mojego tatusia.

Inger Johanne rozłożyła ręce i odwróciła się do Yngvara, który stał w połowie schodów.

- Może tak rzeczywiście byłoby najlepiej - powiedziała niepewnie. - Myślę, że...

- Nie ma mowy - przerwał jej Yngvar. - Spędziła już tydzień u Isaka, teraz ma być u nas. To ważne, żeby poczuła, że jest włączona w nasze życie, że...

Placz noworodka wreszcie ucichł. Przez różowy policzek biegł ciemnoczerwony ślad po bocianim dziobie. Główkę pokrywał puch. Malutka nagle zamruwała niechętnie, jak po długim głębokim śnie. Skrzywiła się, odsłaniając dziąsła.

- Że to jest jej siostra - dokończył cicho, muskając wargami delikatną skórę dziecka. - Kristiane musi być u nas. Do Isaka może wrócić za kilka dni.

- Chcę do tatusia!

Yngvar zszedł do niewielkiej sieni. Ciepło kabli ogrzewania podłogowego paliło przez wełniane skarpety. Obawiał się, że elektryk podczas remontu popełni jakiś błąd. Bóg jeden wie, kiedy znajdzie czas, żeby to sprawdzić. Delikatnie oddał córeczkę Inger Johanne.

- Oto nadchodzi troll Fabiliusz - powiedział i strażackim chwytem przrzuciwszy sobie Kristiane przez ramię, ruszył na górę po schodach.

- Nie! - wykrztusiła Kristiane, gdy ściągnął jej but i umieścił go w doniczce. - Nie!

- Za tydzień albo dwa wyrośnie z niego bucikowy kwiat. A ten...

- Drugi but wrzucił do kosza na papiery. - Ten nie jest nam potrzebny - oświadczył, przesuwając Kristiane w mocne objęcia.

- Trolle nie noszą butów. Proszę! - Kopniakiem otworzył

drzwi do pokoju dzieciennego i z ogromnym pośpiechem małą rozebrał. Na szczęście pod wierzchnim ubraniem wciąż miała piżamę.

- Szybko! - wydyszał. - Bo inaczej troll zapoci się na śmierć. Zaczynam liczyć.

- Nie! - krzyknęła Kristiane, tym razem zachwycona, i zakopała się pod kołdrę.

-Jeden - zaczął. - Dwa. Trzy. Od tej chwili czary zaczynają działać. Fabiliusz już śpi.

Zatrzasnął drzwi i wzruszył ramionami.

-Już.

Inger Johanne stała oszołomiona, tuląc Ragnhild.

- Zwykle tak robimy, kiedy jesteśmy sami - zaczął się tłumaczyć.

- Metoda szybka i skuteczna. Myślisz, że istnieje jakiś związek między zabójstwami Fiony Helle i Vibeke Heinerback?

- Kładziesz dziecko spać w ten sposób?

- Nie masz się czym przejmować. Ona już śpi. Takie czary. Chodź!

Przeszedł do salonu i zaczął zbierać ze stołu. Resztki jedzenia trafiły do śmieci z wyjątkiem smażonych ziemniaków, które podjadał, sprzątając. Utłuścił palce i gdy dolewał sobie wina, butelka o mało nie wysunęła mu się z ręki.

- Ops! Chcesz? To już nie jest takie groźne. Jeden mały kieliszek nie zaszkodzi Ragnhild.

- Nie, dziękuję. A zresztą...

Ostrożnie położyła dziecko w kołysce, na której przenoszenie w zależności od tego, gdzie się w danej chwili znajdowali, Yngvar wreszcie się zgodził. Stała teraz przy kanapie.

- Może troszeczkę - powiedziała Inger Johanne, siadając przy pustym stole. - Przetrzesz jeszcze ścierką, dobrze?

Z normalną, niemal obojętną miną sięgnęła po dokumenty, które Yngvar rzucił po powrocie do domu. Teczka była cienka. Tym razem nie zawierała żadnych zdjęć. Kilka raportów, dwie ręcznie sporządzone notatki i mapa Lørenskog z zaznaczonym krzyżykiem miejscem zamieszkania Vibeke Heinerback były

spięte ze sobą w sposób, w którym Inger Johanne nie potrafiła się dopatrzeć żadnego systemu.

- Widzę, że tu też nie bardzo macie na czym się oprzeć.

- To zabójstwo zostało odkryte ledwie dziś rano!

- Przebrałeś te papiery. Chciałeś mi oszczędzić oglądania zdjęć?

- Nie. - Wydawał się szczery. Usiadł i podrapał się w głowę.

- Na razie nie zrobili jeszcze dostatecznej liczby kopii - dodał i ziewnął. - Ale nie masz czego żałować. Straszny widok. Zwłaszcza to, że...

- Nie, nie, dziękuję. - Wstrzymała go gestem uniesionych dłoni. - Przez telefon podałeś mi wystarczająco dużo szczegółów. I pod tym względem to jest cecha wspólna. Niesamowicie wynaturzone zabójstwa. Zwłoki w obu wypadkach zostały okaleczone, tak to trzeba nazwać.

Między oczami Yngvara pojawiła się zmarszczka. Przekrzywił głowę i poruszył wargami, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co.

- Okaleczone - powtórzył w końcu. - Odcięcie komuś języka z pewnością kwalifikuje się jako okaleczenie. A jeśli chodzi o Vibeke Heinerback...

Jego twarz znów wyrażała powątpiewanie, jakby scenariusz z mordercą polującym na celebrytki był nie do przyjęcia. Zerknął na kołyskę.

- Myślisz, że do niej nic z tego nie dociera?

- Przecież ma raptem dwa tygodnie.

- Ale mózg jest jak gąbka. Może ona wszystko podświadomie wychwytuje i gromadzi. A później się to odezwie i będzie miało na nią wpływ.

- Wariat! - Inger Johanne wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła policzka męża. - Ty się boisz, że prasa ma rację - stwierdziła. - Widziałeś wydania specjalne gazet?

Pokręcił głową. Inger Johanne nie cofnęła ręki.

- Urządzili niezłe przedstawienie. Straszne dla nich jest to, że zbrodnię odkryto dopiero rano, a upubliczniono jeszcze później. Wydania specjalne to fuszerka. Pełno w nich spekulacji, nieścisłości i częściowo nieprawdziwych faktów, sądząc z tego,

czego się dowiedziałam od ciebie. Już ochrzcili sprawcę Mordercą Gwiazd.

- Albo sprawczynię - zauważył Yngvar, całując jej rękę.

- No tak, albo sprawczynię. Nie bądź taki pedantyczny. W wieczornych wiadomościach byli na szczęście bardziej powściągliwi, lecz oni też się zastanawiają, czy gdzieś nie krąży szalenciec polujący na piękne kobiety sukcesu. „VG” natomiast dopadła cieszącego się uznaniem psychologa, który naszkicował profil odrzuconego przez matkę seksualnie sfrustrowanego mężczyzny nienawidzącego kobiet, zapewne niepełnosprawnego.

- Zaśmiała się cicho i wypła łyk z kieliszka. - Wiesz, pierwszy raz czuję, jakie to naprawdę smaczne. Nie miałam wina w ustach od dziesięciu miesięcy.

-Jesteś...

- ...cudowna - dokończyła, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- A ty co myślisz?

- O tobie?

- O powiązaniu tych spraw. Nie można tego całkiem odrzucić. Ty, Sigmund i inni pracujecie przy obu sprawach. Oba zabójstwa...

- ...miały miejsce w Lørenskog, obie ofiary to kobiety, obie znane osobowości medialne, obie...

- ...mają dobrą prezencję. To znaczy miały. - Obracając kieliszek w dłoniach, ciągnęła: - I w obu tych sprawach zabójca zostawił przesłanie. Silnie nacechowane symboliką zbezczeszczenie zwłok.

Mówiła teraz wolniej, ściszone głośnie, jakby się przestraszyła własnego toku rozumowania.

- Prasa wciąż nie wie nic o książce - powiedział Yngvar. - O Koranie. Był przyklejony taśmą do uda. Tak jakby zamiarem było wbicie go w cipkę, ale...

- Nie używaj takich określeń!

- Dobrze, w pochwę. Książka była umocowana taśmą do uda przy pochwie.

- Lub odbycie.

- Lub odbycie — powtórzył zdumiony. - Prawdopodobnie

właśnie coś takiego miał na myśli! *Up yours!*

- Możliwe. Chcesz jeszcze?

Kiwnął głową. Inger Johanne wlała mu do kieliszka resztę wina z butelki. Ze swojego wciąż wypila ledwie jeden tyczek.

- Jeśli chce się naprawdę szukać cech podobieństwa oprócz tego, co jest oczywiste i co może być najzupełniej przypadkowe, to uderza mnie siła symbolu. Odcięcie języka i rozdwojenie go jest działaniem tak banalnym, tak oczywistym w swojej symbolice, że można by przypuszczać, iż sprawca naczytał się w dzieciństwie książek o Indianach. Muzułmańska Biblia wepchnięta w tyłek również nie jest szczególnie wysublimowanym przekazem.

- Nie wydaje mi się, żeby naszym nowym krajanom spodobalo się nazywanie Koranu Biblią. - Yngvar złapał się za kark.

- Chciałoby ci się?

Inger Johanne z uśmiechem pełnym rezygnacji wstała, stanęła za nim, oparła się plecami o wyspę kuchenną i mocno zacisnęła palce na mięśniach karku Yngvara.

Był taki rośły, taki wielki. Pod zdumiewająco miękką skórą dały się wyczuć twarde kłębki mięśni. Właśnie jego rozmiar w pierwszej chwili ją zauroczył. Zachwycił ją mężczyzna, który waży sto piętnaście kilogramów i nie wydaje się przy tym gruby. Gdy tylko razem zamieszkali, zaczęła go odchudzać. Ze względu na zdrowie, stwierdziła i po trzech tygodniach zrezygnowała. Yngvar na diecie nie stawał się zły. On wpadł w rozpacz. Pewnego popołudnia nad talerzem, na którym leżał kawałek gotowanego dorsza bez tłuszczu, jeden ziemniak i łyżka gotowanej na parze marchewki, otarł oczy, być może z łez, a następnie poszedł do łazienki i tam przesiedział do końca obiadu. Wtedy uznała projekt za zakończony. Yngvar używał masła do wszystkiego, sosu do większości potraw i żył w przekonaniu, że porządny obiad zawsze musi kończyć się deserem.

- Mam świadomość, że jeszcze za wcześnie, by coś powiedzieć - odezwała się Inger Johanne, wbijając kciuki w mięśnie między łopatkami a kręgosłupem. - Ale ostrzegalabym przed przyjęciem za pewnik, że macie do

czynienia z tym samym zabójcą.

- Oczywiście, że nie przyjmujemy tego za pewnik - jęknął.

- Mocniej i trochę wyżej. Ale prawdę mówiąc, już na samą myśl o mało nie robię w gacie. To znaczy... Au! O tu, właśnie tu!

- Chcesz powiedzieć, że jeśli naprawdę jest jeden zabójca, to możecie się spodziewać kolejnych ofiar. Kolejnych zabójstw.

Mięśnie pod jej dłońmi się napięły. Yngvar wyprostował plecy, delikatnie odsunął żonę i naciągnął koszulę. Z kołyski dochodziło leciutkie posapywanie Ragnhild. Gdzieś pod domem kręcił się kot, który wyprawił się na zaloty. Przenikliwe miauczenie rozdzierało wieczorną ciszę. Inger Johanne wydało się, że odór kociego moczu dociera aż na piętro.

- Nienawidzę tych dzikich zwierzków - oświadczyła, siadając.

- Możesz mi pomóc? - Głos Yngvara zabrzmiał teraz błagalnie, wręcz nalegająco. - Czy w ogóle jesteś w stanie coś z tego wyczytać?

- Mam za mało danych, dobrze wiesz. Musiałabym przejrzeć... Potrzebowałabym... - Zaśmiała się z rezygnacją, rozkładając ręce.

- O Boże! Nie mogę wam pomóc. Muszę się zająć maleńkim dzieckiem! Jestem na urlopie macierzyńskim! Oczywiście możemy trochę o tym porozmawiać, ale...

- Nie ma w kraju drugiej osoby, która tak dobrze by się na tym znała jak ty. W Norwegii nie ma prawdziwych profilerów, a my...

-Ja nie jestem profilerem - zdenerwowała się. - Ile razy mam ci to powtarzać? Dosyć mam już...

- Dobrze, dobrze. - Uniesieniem dłoni wstrzymał jej dalsze protesty. - Ale jak na osobę niebędącą profilerem wiesz mnóstwo na temat sporządzania profilu. Poza tym nie znam nikogo oprócz ciebie, kto by się szkolił u najlepszego w FBI...

- Yngvar!

Wieczorem przed ślubem przyrzekł wreszcie, uroczyście i z ręką na sercu, że nigdy nie będzie wypytywać o jej przeszłość w FBI. Pokłócili się ostro, jak nie oni. Inger Johanne używała

słów, o jakie sama się nie podejrzewała, on był szczerze wściekły, że tak ważny okres w jej życiu ma dla niego pozostać spowity mrokiem.

Ale ona nie chciała się dzielić wspomnieniami. Nigdy i z nikim. Będąc młodziutką studentką psychologii w Bostonie, dostała szansę uczestniczenia w jednym z *profiler courses* organizowanym przez Federalne Biuro Śledcze. Kurs prowadził Warren Scifford, który już jako pięćdziesięcioletek stał się legendą, zasłynąwszy zarówno swoimi zdolnościami, jak i bezwzględny łamaniem serc obiecującym studentkom. Nazywano go *The Chief*, a Inger Johanne zaufała temu niemal o trzydzieści lat od niej starszemu wodzowi. Z czasem uwierzyła, że sama jest kimś wyjątkowym. Że została wybrana - i przez niego, i przez FBI. Że on oczywiście rozwiedzie się z żoną, gdy tylko dzieci trochę podrosną.

Wszystko ułożyło się nie tak, a ona o mały włos nie przypłaciła tego życiem. Wsiadła do pierwszego samolotu do Oslo, trzy tygodnie później zaczęła studiować prawo, w rekordowym czasie zdała egzamin i zdobyła tytuł naukowy. O Warrenie Sciffordzie starała się zapomnieć od trzynastu lat. Czas spędzony w FBI, miesiące z Warrenem i tamto katastrofalne zdarzenie, które doprowadziło do tego, że *The Chief* musiał odbyć trwającą pół roku rundę karną za biurkiem, zanim wszystko poszło w niepamięć i znów stał się jednym z wielkich, stanowiły rozdział w jej życiu, do którego od czasu do czasu wracała myślą, niechętnie i zawsze z leciutkim uczuciem mdłości, lecz o którym nigdy w żadnych okolicznościach nie chciała mówić.

Nieszczęśliwie się złożyło, że Yngvar znał Warrena Scifforda. Spotkali się latem ubiegłego roku, kiedy Yngvar pojechał na międzynarodowy zjazd policji w Nowym Orleanie. Po powrocie do domu przelotnie rzucił jego nazwisko przy kolacji, a Inger Johanne w gwałtownym przypływie złości stłukła dwa talerze. Potem zamknęła się na klucz w pokoju gościnnym i płakała, dopóki nie zasnęła. Przez trzy dni odpowiadała mu wyłącznie monosylabami.

Teraz znów niebezpiecznie się zbliżył do złamania swojej

obietnicy.

- Yngvar - powtórzyła ostro. - *Don't even go there!*

- Spokojnie. Jeśli nie chcesz pomóc, to nie pomagaj. - Usiadł wygodniej i uśmiechnął się z obojętną miną. - To przecież mimo wszystko nie twój problem.

- Nie bądź taki - powiedziała z rezygnacją.

-Jaki? Po prostu stwierdzam rzecz oczywistą. Nie jest twoim problemem to, że ktoś zabija i okalecza znane kobiety na przedmieściach Oslo. - Dopił wino, odstawił kieliszek odrobinę za mocno.

-Ja mam dzieci - oświadczyła Inger Johanne dobitnie. - Wymagającą szczególnej troski dziewięcioletkę i dwutygodniowego noworodka. Mam dostatecznie dużo zajęć, by nie podejmować się istotnej roli w trudnym śledztwie.

- W porządku! Przecież mówię, że w porządku! - Poderwał się gwałtownie i z górnej szafki wyjął dwie miseczki do deseru.

- Zjesz sałatki owocowej?

-Yngvar, bardzo cię proszę. Usiądź. Możemy... Zgadzam się na rozmowę o twoich sprawach. Wieczorami, kiedy dzieci już pójda spać. Ale oboje dobrze wiemy, że tworzenie profilu wymaga mnóstwa pracy. Jest tak absorbujące, że...

- Wiesz - przerwał jej, z taką siłą stawiając na stole plastikową miskę, że ubita śmietana się rozprysnęła. - Zabójstwo Fiony Helle było straszne. Tragiczne. Małe dziecko, mąż, za młoda, żeby umierać. Vibeke Heinerback wprowadzie nie miała dzieci, ale uważam, że dwadzieścia sześć lat to trochę za wcześnie, żeby się przenieść na tamten świat. Ale odłóżmy to na bok. Ludzie umierają. Ktoś ich zabija. - Poglądził się po grzbiecie nosa, prostego i kształtnego, którego skrzydełka drżały, gdy z rzadka wpadał w prawdziwą złość. - W tym kraju, do cholery, co drugi dzień ktoś kogoś zabija. Tym, co mnie porusza, co budzi we mnie... strach... - Zdziwiony własnym doborem słów, zadrzał, ale powtórzył: - Strach. Ja się boję, Inger Johanne. Nic nie rozumiem. Te sprawy łączy tyle podobieństw, że myślę jedynie o tym...

- .. .kiedy będzie następna ofiara - pomogła mu Inger Johanne, bo nie dokończył zdania.

- No właśnie. I dlatego proszę o pomoc. Wiem, że dużo wymagam. Wiem, że jesteś zajęta Kristiane, Ragnhild, swoją matką, domem i...

- Okej.

-Co?

- Zgadzam się. Zobaczą, co mi z tego wyjdzie.

- Naprawdę?

- Tak. Ale muszę znać wszystkie fakty. Dotyczące obu spraw. I niech to będzie jasne już teraz: w każdej chwili będę mogła się wycofać.

- W każdej chwili. - Zdecydowanie kiwnął głową. - Czy mam...? Mogę pojechać taksówką do pracy i...

-Już prawie pół do jedenastej.

Zaśmiała się bez przekonania. Ale to mimo wszystko śmiech, pomyślał Yngvar. Przyglądał się twarzy żony, szukając na niej oznak irytacji, lekkiego drgania dolnej wargi, napięcia mięśnia rzucającego cień wzdłuż kości policzkowej. Zobaczył jednak tylko doleczki w policzkach i przeciągłe ziewnięcie.

- Zajrzę do dzieci - oświadczyła.

Uwielbiał sposób, w jaki się poruszała. Była szczupłą, ale nie chuda. Nawet teraz, ledwie dwa tygodnie po porodzie, poruszała się z chłopcą zwinnością, która wywoływała u niego uśmiech. Biodra miała wąskie, ramiona proste. Kiedy pochyliła się nad Ragnhild, włosy opadły jej na twarz, miękkie i potargane. Odgarnęła je za ucho, coś szepcząc. Ragnhild leciutko posapywała.

Poszedł za żonę do pokoju Kristiane. Delikatnie uchyliła drzwi. Dziecko spało z głową w nogach łóżka, na kołdrze, okryte puchową kurtką. Oddychało regularnie. W pokoju unosił się zapach czystej pościeli. Yngvar objął Inger Johanne.

- Te twoje czary zadziałały - szepnęła. Usłyszał, że się uśmiecha.

- Dziękuję - odszepnął.

- Za co?

Stała w milczeniu. Yngvar jej nie puszczał. Niepokój, który przez całe popołudnie usiłowała stłumić, teraz ją dopadł. Około południa poczuła go po raz pierwszy podczas rozmowy telefo-

nicznej, w której Yngvar krótko wyjaśnił, dlaczego bardzo się spóźni, ale wtedy stłumiła to uczucie. Przecież zawsze się niepokoiła. O dzieci, o matkę, która po trzecim zawale ojca zaczęła robić głupstwa i nie zawsze pamiętała, jaki jest dzień, o swoje badania naukowe, bo nie wiedziała, czy do nich wróci. O kredyt na dom i słabe hamulce w samochodzie. O przesadną łagodność Isaka w wyznaczaniu granic i o wojnę na Bliskim Wschodzie. Zawsze był jakiś powód do zmartwień. Dziś po południu sięgnęła po jeden ze swoich niezliczonych poradników medycznych, żeby się dowiedzieć, czy białe plamki na przednich zębach Kristiane to objaw picia zbyt dużej ilości mleka czy innych zaniedbań w odżywianiu. Lęk, wyrzuty sumienia i obawa, że się nie sprawdzi jako matka, stały się dla niej normalnym stanem, z którym z czasem nauczyła się żyć.

Tym razem jednak chodziło o coś innego.

Po ciemku, gdy czuła ciepło Yngvara i słyszała cichutki oddech śpiącego dziecka, które przypominały jej o codziennym szczęściu, nie potrafiła zdefiniować tego nieprzyjemnego uczucia, wrażenia, że wie coś, czego nie potrafi sobie przypomnieć.

- O co chodzi? - spytał Yngvar.

- O nic - odparła cicho i delikatnie zamknęła drzwi do pokoju dzieciennego.

*

Już od wielu lat nie miała odwagi pić kawy w samolocie. Tym razem jednak po kabinie rozniósł się tak smakowity aromat, że przez chwilę się zastanawiała, czy na pokładzie przypadkiem nie ma baristy.

Steward odpowiedzialny za jej rząd siedzeń musiał ważyć dobrze ponad sto kilo. Pocił się jak Świnia. Normalnie zirytowałyby ją nieapetyczne kręgi wilgoci rysujące się na jasnym płótnie koszuli. Nie miała nic przeciwko mężczyznom w roli stewardes, ale prawdę powiedziawszy, lepiej sprawdzali się w tym ci bardziej kobiecy, pomyślała, patrząc teraz na południowy wschód przez panoramiczne okno w domu na wzgórzu nad Villefranche. Stewardom z reguły po gejowsku miękko załamywał się nadgarstek, a poza tym zlewali się wodą

po goleniu, której zapach bardziej przypominał lekkie wiosenne perfumy niż męskie piżmo. Ten knur z rudawą czupryną był więc rzucającym się w oczy wyjątkiem. Normalnie by go zignorowała, ale zapach kawy całkiem ją wytrącił z równowagi. Trzy razy prosiła o dolewkę, i to z uśmiechem.

Również wino jej teraz smakowało.

W końcu odkryła, że cena, jakiej żądał monopol spirytusowy po ostrożnym i zapewne podrażającym przetransportowaniu towaru do Norwegii, jest faktycznie taka sama jak w którejkolwiek tutejszej winiarni na Starym Mieście. Niewiarygodne, pomyślała, lecz nie mniej przez to prawdziwe. Tego popołudnia otworzyła butelkę kupioną za dwadzieścia pięć euro i wypila jeden kieliszek.

Nie pamiętała, żeby kiedyś piła lepsze wino. Sprzedawca zapewnił ją, że trunek wytrzyma parę dni w otwartej butelce. Miała nadzieję, że się nie mylił.

Tyle lat, pomyślała, przyglądając włosy. Tyle projektów, które nigdy nie przyniosły jej nic oprócz pieniędzy i nieprzyjemnych wrażeń. Cała ta wiedza wykorzystywana jedynie do zaspokajania innych.

Rano poczuła w powietrzu ukłucie zimy; luty był najchłodniejszym miesiącem na Riwierze. Morze straciło odcień lazuru. Szare, z brudną pianą, szczyrzyło do niej zęby, gdy chodziła plażą, napawając się samotnością. Większość drzew wreszcie straciła liście. Tylko tu i ówdzie przeżyły się wzdłuż drogi iglaki jaśniejące kolorem mchu. Nawet na ścieżce biegnącej w stronę Saint-Jean, gdzie elegancko ubrane dzieci z chudymi jak szczapa matkami i potwornie bogatymi ojcami zwykle psuły hałasem wszelką idyllę, było bezludnie i pusto. Często się zatrzymywała. Od czasu do czasu zapalała papierosa, chociaż rzuciła palenie już wiele lat temu. Lekki posmak smoły kleił się do języka. Przyjemne uczucie.

Niepokój, który ją dręczył, odkąd sięgała pamięcią, teraz wydawał się inny. Miała wrażenie, że wreszcie zaczyna pojmować siebie, życie, które zbyt długo trwało w próżni oczekiwania. Zmarnowałam lata, wyglądając tego, co nigdy nie nastąpi, pomyślała, dotykając dłonią chłodnej szyby.

- Spodziewając się, że coś wydarzy się samo z siebie - szepnęła. Szkło na moment pokryło się szarym obłokiem pary.

Wciąż czuła niepokój. Lekkie napięcie w ciele. Ale wcześniej ten niepokój ściągał ją w dół, teraz przeradzał się w życiodajny strach.

- Strach - szepnęła zadowolona, długimi pociągnięciami głaszcząc szybę.

Starannie wybrała to słowo. Czuła przyjemny, szarpiący, pobudzający strach. Uczucie podobne do zakochania. Tak sobie wmawiała.

Kiedyś była przygnębiona, nie płacząc, zmęczona, nie śpiąc, a teraz intensywnie czuła, że istnieje. Często wybuchała śmiechem. Wysypiała się, chociaż stale budziło ją w nocy uczucie, które można by pomylić ze... szczęściem.

Wybrała słowo „szczęście”, mimo że na razie było zbyt wielkie.

Niektórzy z pewnością nazwaliby ją samotną. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, lecz ani trochę się nie przejmowała. Dopiero by było, gdyby przeczuwali, co ona naprawdę myśli o wszystkich, którym wydaje się, że ją znają i wiedzą, czym się zajmuje. Wielu oślepiły jej sukcesy, chociaż mieszkała w kraju, w którym skromność uważano za cnotę, a poczucie wyższości za najbardziej śmiertelny ze wszystkich grzechów.

Nagle ogarnął ją nieokreślony dziwny gniew, ramiona pokryły się gęsią skórą. Chłodną dłonią przesunęła po lewej ręce, czując napięcie i jędrność ciała, jego twardość, jak gdyby skórę miała odrobinę za ciasną.

Już dawno nie zawracała sobie głowy myśleniem o przeszłości. Nie warto. Ale w ostatnich tygodniach wszystko bardzo się zmieniło.

Urodziła się w ciężki od deszczu niedzielny wieczór w listopadzie 1958 roku. Już przy ratowaniu półżywego noworodka, którego w dwudziestej minucie życia osierociła matka, Norwegia jasno dała do zrozumienia, że nie jest krajem, w którym komuś może się wydawać, że jest kimś.

Jej ojciec był za granicą. Dziadków nie miała. Kiedy się okazało, że mimo wszystko będzie żyła, jedna z pielęgniarek

chciała ją zabrać do domu, uznając, że dziecko potrzebuje opieki i miłości większej niż ta, którą może mu zaofiarować pracujący na trzy zmiany personel szpitala. Ale takich szczególnych wyjątków nie dopuszczano w egalitarnym kraju, którego dziecko stało się obywatelem. Leżała więc w kącie na oddziale dziecięcym, karmiona i przewijana w ustalonych porach, a oprócz tego dostawała niewiele, dopóki wreszcie po trzech miesiącach nie zjawił się ojciec i nie zabrał jej do domu, w którym czekała już na nią nowa matka.

- Rozgoryczenie nie leży w mojej naturze - powiedziała głośno do swego niewyraźnego odbicia w szybie. - Rozgoryczenie nie leży w mojej naturze!

Nigdy nie użyłaby wyrażenia „ognista wściekłość”, a jednak właśnie ten frazes przyszedł jej do głowy, gdy odwracała się plecami do okna i kładła na zbyt miękkiej kanapie. Palilo ją w dołku. Powoli podniosła rękę do twarzy. Duże, spocone kwadratowe dłonie z krótko obcięzonymi paznokciami. Odwróciła je. Na grzbiecie jednej zauważyła blizny. Kciuk dziwnie się wykrzywił. Próbowła przypomnieć sobie jakąś historię, która, jak wiedziała, powinna gdzieś istnieć. Szybkim ruchem podciągnęła rękawy swetra i zaczęła dotykać własnej skóry. Oblało ją gorąco. Gwałtownie usiadła i zmierzyła własne ciało wzrokiem jak kogoś obcego. Przeciągnęła palcami przez włosy, koniuszkami wyczuła tłuszcz pokrywający skórę głowy. Długimi pociągnięciami drapała się do krwi.

Zaczęła chciwie ssać palce. Pod paznokciami pozostał lekki smak żelaza. Obgryzała je, połykała kawałeczki oderwanej skóry. Wszystko zdawało się teraz o wiele wyraźniejsze. Należało obejrzeć się wstecz, by złożyć własną historię w całość.

Już raz próbowała to zrobić.

Gdy wreszcie wyklóciła się o kopię epikryzy, pełnej suchych terminów fachowych opowieści o własnych narodzinach, miała trzydzieści pięć lat i na razie nie była w stanie nic zdziałać. Przerzucała poźółkłe kartki pachnące kurzem archiwów i znalazła potwierdzenie, którego zarazem się bała, pragnęła i na które czekała. Matka jej nie urodziła. Kobieta, którą znała jako mamę, była obcą, intruzem. Kimś, kogo nie musiała kochać.

Nie poczuła gniewu ani tęsknoty. Kiedy ostrożnie składała ręcznie zapisane arkusze, czuła wyłącznie słabość, a raczej niejasną, niemal obojętną irytację.

Jej nieprawdziwa matka wkrótce umarła.
Od tamtego czasu minęło już dziesięć lat.

*

Vibeke Heinerback zawsze ją irytowała.

Vibeke Heinerback była rasistką.

Oczywiście nie jawną i nie zdeklarowaną. Miała intuicję polityczną i wręcz imponująco rozumiała sposób funkcjonowania mediów. Natomiast jej koledzy z partii nieustannie sypali głupkowatymi i do bólu nieinteligentnymi charakterystykami imigrantów. Dla nich Somalijczycy i Chińczycy to jeden pies. Dobrze zasymilowanych Lankijczyków wrzucali do jednego wora z obdartusami z Somalii. W opinii partii Vibeke Heinerback sumienny Pakistańczyk prowadzący warzywniak stanowił dla społeczeństwa takie samo obciążenie jak poszukiwacz szczęścia z Maroka, który przyjechał do Norwegii, sądząc, że tu będzie mógł do woli korzystać z kobiet i ze środków ofiarowanych przez państwo.

Vibeke Heinerback była odpowiedzialna za to wszystko, to oczywiste.

Kobieta, która samotnie spędzała zimę na Riwierze, spuściła nogi na ziemię i raptownie wstała. Zachwiała się lekko. Musiała się przytrzymać, tak kręciło się jej w głowie.

Wszystko się dobrze składało. Wszystko działało.

Zaśmiała się do siebie, zdziwiona siłą zmian.

Inspekcja w domu człowieka mówi o nim więcej niż tysiąc wywiadów, pomyślała, gdy mdłości ustąpiły.

Zbliżał się wieczór. Zamierzała nalać sobie jeszcze kieliszek dobrego wina kupionego na Starym Mieście. Gdy znów popatrzyła na zatokę, omiółł ją pulsujący snop światła latarni na Cap Ferrat. Na północy zapaliły się już latarnie wzdłuż dróg przecinających strome zbocze.

Była mistrzynią w swoim fachu. A teraz nie będzie jej już oceniał nikt inny oprócz niej samej.

Wizyta w mieszkaniu Vibeke Heinerback nie wyzwoliła Yngvara od uprzedzeń, lecz przynajmniej pozwoliła mu stworzyć sobie obraz przebiegu uroczystości żałobnej.

Były przewodniczący partii wielkodusznie oddał do dyspozycji własny dom. Kolosalna willa nad brzegiem morza, wzniesiona zaledwie kilkaset metrów od pasów startowych dawnego lotniska Fornebu, otrząsnęła się z zanieczyszczeń i hałasu wywoływanego przez samoloty, gdy wytęsknione przeniesienie głównego lotniska wreszcie nastąpiło. Nienadający się do mieszkania drewniany dom z zapadniętym dachem, dziesiątkami wykuszy, dużych tarasów, a ponadto dwiema jońskimi kolumnami przy wejściu, powstał jak feniks z popiołów w ogrodzie, w którym nie było jeszcze nic oprócz gliny i szarych luźnych kamieni wystających spod śniegu na zboczu schodzącym do fiordu.

Ubrani na ciemno żałobnicy robili duże wrażenie.

Yngvar Stubø zaparkował w pewnej odległości, bo stojące jeden za drugim wzdłuż rowu samochody uniemożliwiały poruszanie się wąską drogą. Podał rękę stojącej w drzwiach kobiecie i na wszelki wypadek wymamrotał kondolencje. Nie miał pojęcia, kim mogła być. W holu potknął się o stojak do parasoli. Co najmniej piętnaście osób czekało na pozbycie się okryć. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Młody człowiek o cienkiej szyi, w źle zawiązanym krawacie, zdjął z niego płaszcz i życzliwie pchnął go ku jednemu z najwyraźniej licznych salonów.

Zanim Yngvar się zorientował, stał już z napełnionym do połowy kieliszkiem w ręku. Ponieważ przyjechał samochodem, bezradnie rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby go odstawić.

- To bezalkoholowe - usłyszał szept.

Od razu rozpoznał tę kobietę.

- Dziękuję - powiedział oszołomiony i precyzyjnie przesunął się bardziej na bok, żeby nie blokować drzwi. - Więc i pani tu jest?

Chętnie cofnąłby te ostatnie słowa i poczuł, że robi mu się gorąco.

- Tak - odparła przyjaźnie, wciąż ścisząc głos. - Większość z nas tu jest. To nie polityka. To tragedia, która wszystkich nas porusza.

W skromnym czarnym kostiumie, kontrastującym z jasnymi krótkimi włosami, wyglądała bladziej niż w telewizji. Yngvar spuścił wzrok, głównie z zakłopotania, i zauważył, że pogrzebowa atmosfera nie powstrzymała przewodniczącej partii socjalistycznej SV przed włożeniem spódnicy tak krótkiej, że lekko licząc, musiała być co najmniej o dziesięć lat za stara na jej noszenie. Ale łydki miała jędrne. Yngvar nagle uświadomił sobie, że powinien podnieść wzrok.

- A pan jest przyjacielem Vibeke? - spytała kobieta.

- Nie. - Wyciągnął dłoń. - Yngvar Stubø - przedstawił się.

- Kripos. Centrala Policji Kryminalnej. Bardzo mi przyjemnie.

Oczy miała niebieskie i czujne. Wychwycił ciekawość w sposobie, w jaki przekrzywiła głowę, przekładając kieliszek z ręki do ręki. Przyłapała się na tym i lekko mu skinęła.

- Oby tylko udało wam się dotrzeć do sedna prawdy - powiedziała, odwracając twarz w głąb pokoju, gdzie od niedawna były przewodniczący partii Kjell Mundal wszedł na mównicę, najpewniej wypożyczoną z pobliskiego hotelu.

- Drodzy przyjaciele! - rozległo się po przywołującym uwagę kaszlnięciu. - Wszystkich serdecznie witam w domu moim i Kari z okazji tej smutnej uroczystości, której zorganizowanie wydało nam się słuszne i ważne. - Znów kaszlnął, tym razem mocniej.

- Przepraszam. - I podjął: - Minęły zaledwie dwa dni, odkąd dotarła do nas bolesna wiadomość o tym, że tak brutalnie odebrano nam Vibeke. Ona...

Yngvar gotów był się założyć, że z oczu starszego człowieka płyną łzy. Prawdziwe łzy, pomyślał zdziwiony. Prawdziwe słone krople publicznie zwilżały grube rysy twarzy mężczyzny, który przez trzy dziesiątki lat zdołał pokazać, że jest najwytrwalszym, najprzebieglejszym i obdarzonym największą zdolnością prze-

trwania politykiem w Norwegii.

- Nie jest żadną tajemnicą, że Vibeke była... - Kjell Mundal urwał. Odetchnął głęboko, jakby musiał zebrać siły. - Nie powiem, że była dla mnie jak córka. Mam cztery córki i Vibeke traktowałem inaczej. Ale była mi bardzo bliska, oczywiście pod względem politycznym. Mimo jej młodego wieku od lat blisko ze sobą współpracowaliśmy. Lecz również osobiście, w takim stopniu, jak można w polityce... - Znów umilkł.

Cisza wydawała się aż gęsta. Nikt nie pił. Nikt nie szurał krzesłami ani butami po ciemnej podłodze z wiśniowego drewna. Mało kto miał odwagę oddychać. Yngvar omiółł pokój spojrzeniem, nie poruszając głową. Nieco dalej przy jednym z kompletów wypoczynkowych, wciśnięty między olbrzymi fotel i dwóch mężczyzn, których Yngvar nie rozpoznawał, stał przewodniczący parlamentarnej Komisji do spraw Zagranicznych z rękami niestosownie głęboko w kieszeniach. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się zmrużonymi oczami w okno, jak gdyby liczył, że Vibeke Heinerback zaskoczy ich wszystkich, machając z pokładu łódki zbliżającej się do pobliskiej przystani. Przy kompozycji z białych lilii w olbrzymim chińskim wazonie jedna z najmłodszych parlamentarzystek z Partii Pracy otwarcie, ale bezgłośnie płakała. Zasiadała w Komisji do spraw Finansów i przez to prawdopodobnie znała Vibeke Heinerback lepiej niż wielu obecnych. Minister finansów stał ze spuszczoną głową tuż przy mównicy. Dyskretnie poprawił okulary. Marszałek parlamentu trzymał za rękę jakąś kobietę. Yngvar stwierdził w duchu, że willa na Teistveien jest w tej chwili najbardziej niestrzeżonym atrakcyjnym celem ataków terrorystycznych w Europie. Lekko zadrżał. Kiedy przyjechał, zauważył przy drodze pojedynczy oznakowany radiowóz.

- ...w takim stopniu, w jakim można się przyjaźnić w polityce - zakończył wreszcie Kjell Mundal. - A można. Cieszę się, że...

Yngvar lekko skinął głową jasnowłosej kobiecie z jędrnymi łydkami, która odpowiedziała mu przelotnym smutnym uśmiechem, i powoli zaczął się wycofywać, mimo że żałobna przemowa wciąż trwała.

- Przepraszam - szeptał do poirytowanych ludzi, wolno zbli-

zając się do celu. - Przepraszam, ja tylko...

Wreszcie znalazł się w holu. Nikogo tu nie było. Delikatnie zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi.

Może głupio zrobił, że tu przyszedł. Założył, że żałobna uroczystość ukaże mu pełniejszy obraz ofiary. Najwyraźniej Vibeke Heinerback nie była osobą, za którą uchodziła. Chociaż nawet przez moment nie wyobrażał sobie, by obraz jakiegokolwiek osoby publicznej kiedykolwiek mógł być prawdziwy albo pełny, tak jak malowano go dla ogółu, szerokim, niepozwalającym na ukazanie niuansów pędzlem, to oględziny miejsca zbrodni przed dwoma dniami zrobiły na nim większe wrażenie, niż chciał się do tego przyznać. Wcześniej w ciągu dnia, gwałtownie poszukując czystej białej koszuli, pomyślał, że ludzie z otoczenia Vibeke Heinerback pokażą swoje prawdziwsze twarze i może bardziej odsłonią oblicze tej młodej kobiety podczas spontanicznej uroczystości zorganizowanej tuż po jej śmierci. Wystarczyło zaledwie kilka minut tego przedstawienia, by zrozumiał, że się mylił. To był dzień hołdów.

Dzień dobrych myśli i dobrych wspomnień, dzień żałoby i międzypartyjnej wspólnoty.

Yngvar stał odwrócony tyłem do salonów, zastanawiając się, gdzie znajdzie swój płaszcz. Przemowa byłego przewodniczącego z zaplanowanymi pauzami i jednym czy drugim kasznięciem docierała do niego przytłumiona zza masywnych drzwi.

Z lewej strony, tam gdzie znajdowało się wejście do pomieszczenia, które mogło być kuchnią, dochodził jeszcze jeden głos. Jakaś kobieta szeptała z wysiłkiem, jak gdyby tak naprawdę chciała krzyżeć. Yngvar już miał dać znać o swojej obecności, gdy nagle usłyszał:

- Niech cię to, do cholery, nie obchodzi!

Głos męczyzny, niski i agresywny.

Odgłos szkła uderzającego o stół, kobieta prychnęła i zaraz coś powiedziała. Yngvar rozróżnił zaledwie kilka oderwanych słów, które nie złożyły się w nic sensownego. Zrobił kilka kroków w kierunku snopa światła padającego przez uchylone drzwi.

- Uważaj! - syknęła kobieta. - Naprawdę uważaj, Rudolfie!
Nagle wyszła do holu, a Yngvar odruchowo cofnął się o krok.

- Ojej! - powiedział z uśmiechem. - Ależ mnie pani przestraszyła!

Kobieta przepuściła idącego za nią mężczyznę, starannie zamknęła drzwi, ujęła wyciągniętą dłoń Yngvara i odwzajemniła uśmiech. Była niska, talię miała wąską jak osa, co podkreślała jeszcze obcisła czarna spódnica kończąca się tuż pod kolanem. Marszczenia przy kołnierzyku szarej bluzki spływały aż na piersi. Kobieta przypominała miniaturowe wydanie Margaret Thatcher. Duży, garbaty nos, ostry podbródek. Oczy godne Żelaznej Damy. Niebieskie jak lód i bardzo bystre, chociaż twarz wyrażała spokój i życzliwość.

- Kari Mundal - przedstawiła się cicho. - Bardzo mi przyjemnie. Serdecznie witam, jeśli wolno mi tak powiedzieć, zważywszy na okoliczności. Zna pan Rudolfa Fjorda?

Mężczyzna sprawiał wrażenie dwa razy wyższego od niej. Najwyraźniej nie wprawił się jeszcze w ukrywaniu myśli. Dłoń, którą podał Yngvarowi, była wilgotna. Spojrzeniem przez kilka sekund krążył to tu, to tam, wreszcie wziął się w garść i kiwnął głową, niemal się uklonił, jakby zrozumiał, że uścisk dłoni nie był szczególnie udany.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała Kari Mundal. - Szuka pan toalety? Tędy, proszę. - Wskazała ręką. - Kiedy uroczystość się skończy, podamy drobną przekąskę. Oczywiście nie spodziewaliśmy się aż tylu osób. Ale to dobrze. Vibeke była przecież... - Przyglądała włosy.

Kari Mundal można było chyba nazwać oficjalną ikoną gospodyni domowej starych dobrych czasów. Nigdy nie pracowała, miała cztery córki, trzech synów i jednego męża, który w żaden sposób nie ukrywał, że wierna żona to źródło jego niewyczerpanych sił do walki na arenie politycznej.

„Każdy powinien mieć w domu taką Kari”, powtarzał często w wywiadach, zawsze odporny na gniewne ataki młodszych kobiet. „Jedna Kari w domu jest lepsza niż dziesięć w pracy”.

Kari Mundal zajmowała się domem, dziećmi i prasowaniem koszul przez ponad czterdzieści lat. Chętnie pokazywała się w

tygodnikach i w telewizyjnych sobotnich programach rozrywkowych, a odkąd mąż wycofał się z polityki, stała się kimś w rodzaju narodowej maskotki, niepoprawnej politycznie, życzliwej i bystrej babuni.

- Szukał pan toalety? - powtórzyła pytanie i jeszcze raz pokazała drogę.

- Tak - powiedział Yngvar. - Głupio wychodzić podczas przemowy pani męża...

- Jak trzeba, to trzeba - przerwała mu Kari Mundal. - Rudolfie, wejdziemy do środka?

Rudolf Fjord uklonił się jeszcze raz, sztywno i wyraźnie nie swój. Ruszył za starszą kobietą, która otworzyła drzwi do salonu. Zamknęły się za nimi bezszelestnie.

Yngvar został sam. Głos z salonu brzmiał teraz monotennie. Yngvar zastanawiał się, czy zgromadzeni wkrótce nie zaczną śpiewać. Zwłoki Vibeke Heinerback nie zostaną wydane rodzinie jeszcze przez długi czas. Ponieważ nie można wyprawić pogrzebu, w dzisiejszej uroczystości nie było nic dziwnego. A jednak po raz pierwszy, odkąd się tu znalazł, uświadomił sobie, że jest coś lekko niesmacznego w organizowaniu jej tutaj, w prywatnym domu, niczym pospiesznie zwołanego, lecz najwyraźniej dobrze zaplanowanego seansu.

Kiedy uchylił drzwi do pomieszczenia, w którym przed chwilą Rudolf Fjord i Kari Mundal kłócili się szeptem, jego przypuszczenia się potwierdziły. Kuchnia była kolosalna, jak gdyby zbudowano ją z myślą o okazjach takich jak ta. Srebrne półmiski z kanapkami, przekąskami i eleganckimi przystawkami stały gęsto na ławach i stołach, wcisnięte między miski kolorowych sałatek. Pod ścianą ustawiono stos skrzynek z butelkami wody mineralnej. Na parapecie, o głębokości pół metra, a długości zapewne ze dwa, gospodyni umieściła sporo butelek wina, i białego, i czerwonego. Część była już otwarta.

Yngvar delikatnie uniósł plastikową folię z jednej z tac i włożył do ust trzy kawałki kurczaka.

Potem się wycofał.

Na końcu holu dostrzegł niewielką garderobę. Zapamiętał

zując, a jednocześnie próbując odnaleźć swoje okrycie w mnóstwie płaszczy, kurtek, kapeluszy i szalików, uświadomił sobie, że pani Mundal nie spytała go, kim jest ani dlaczego się tu zjawił. Niemożliwe, by go znała. Przecież tylko raz zgodził się na udzielenie wywiadu dla mediów o zasięgu krajowym. Dzień później poprzysiął sobie i swoim przełożonym, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

Wreszcie odnalazł płaszcz. Wyszedł.

Kłótnia, pomyślał, gdy wilgotne morskie powietrze uderzyło go w twarz. Kłótnia w taki dzień jak dzisiaj. Między małą panią Mundal a Rudolfem Fjordem, wiceprzewodniczącym partii, według gazet oczywistym spadkobiercą stanowiska zajmowanego przez Vibeke Heinerback. Spór był najwyraźniej tak ważny, że oboje nie uznali za konieczną swojej obecności nawet podczas przemowy Kjella Mundala w salonie.

Gwałtowny powiew wiatru szarpnął połami płaszcza. Yngvar skulił się przed podmuchem i ciężkim truchtem ruszył po zwi-rze.

Oczywiście nie musiało to nic oznaczać.

Kiedy dobiegł do samochodu, usłyszał, że nadlatują helikoptery. Dwa. Jeden wylądował na wzgórzu od wschodniej strony, drugi zawisł nisko nad wodą kilkaset metrów od brzegu. Yngvar zobaczył teraz, że łódka przy pomocy również należy do policji. Po drodze naliczył pięciu umundurowanych funkcjonariuszy. Wszyscy pod bronią, a więc zgromadzeni są bezpieczni, stwierdził w myślach. Wrzucił bieg. Wypluł listek pietruszki i musiał tyłem przejechać pięćdziesiąt metrów, nim wreszcie dało się zawrócić.

*

Fizyczne bóle nie były najgorsze. Yvonne Knutsen już się do nich przyzwyczaiła. Chorowała na stwardnienie rozsiane od ponad dwudziestu lat. Chociaż miała dopiero sześćdziesiąt siedem, wiedziała, że koniec powoli się zbliża. Nic już nie funkcjonowało normalnie. Odleżyny się nie goiły, podchodziły ropą. Ciało zmieniło się w skorupę otaczającą coś, co ledwo przypominało życie. Leżała wyprostowana na łóżku w nieprzytulnym pokoju w zakładzie, którego nie znosiła. Żałoba

odbierała jej resztkę sił.

Bernt oczywiście był bardzo miły. Codziennie przyprowadzał Fiorellę. Długo siedział, chociaż Yvonne stale przysypiała. Dostawała teraz silniejsze leki.

Chciała umrzeć. Bóg jednak odmawiał zabrania jej do siebie.

Najgorszy w takim leżeniu był czas. Rozciągał się, kiedy człowiek nie mógł nic robić. Krążył w kółko, wywijał ósemki, posuwał się łukiem i wracał do punktu wyjścia. Ona tego nie chciała. Jej chwila na ziemi powinna się skończyć już dawno temu, a żałoba sprawiała, że kurczowe czepianie się życia przez ciało stawało się jeszcze bardziej niezdolne.

Fiona była dobrą córką. Oczywiście się kłóciły, jak zawsze matki z córkami. Czasami ich stosunki trochę się ochładzały, ale nie mijало wiele tygodni i wszystko znów wracało do normy. Fiona była dobra. Przyjaciółki Yvonne tak mówiły kiedyś, gdy przychodziły do niej, a ona jeszcze potrafiła sama o siebie zadbać i podać kawę, czy w lepszy dzień nawet obiad. Mówiły: „Masz szczęście, Yvonne”.

Fiona nigdy jej nie zawiodła.

Łączyła je tajemnica. Tajemnica tak wielka, że stała się niewidzialna.

Tak jak czas się rozrastał, gdy nie było w nim żadnego sensu, tak samo rosnać potrafiły tajemnice, osiągając takie rozmiary, że stawały się niewidzialne. Początkowo tajemnica dzieliła je jak cierniste zarośla. Kiedy nie było już drogi odwrotu, w dość zaskakujący sposób zdołały ustalić: „O tym zapomnimy”.

Yvonne Knutsen wciąż miała w uszach własny głos z tamtej chwili, zdecydowany i ostry, bo pełen matczynej troski. Świadczący o gotowości, by za wszelką cenę ochraniać.

„O tym zapomnimy”.

I zapomniały.

Fiona umarła, a tajemnica zaczęła nawiedzać Yvonne, szczególnie nocami; wydawało jej się wtedy, że pojawia się w postaci cienia przy oknie, cichego mściciela, który wreszcie znalazł powód, by ją dręczyć, bo nie miała już z kim zapominać.

Gdyby tylko Bóg pozwolił jej iść za Fioną!

- Dobry Boże - szepnęła w powietrze.

Ale serce w wychudzonej klatce piersiowej wciąż uparcie biło.

*

Światło dzienne zanikało. Była czwarta po południu, dziewiąty lutego, poniedziałek. Trzydziestosiedmioletni mężczyzna wspinał się, całkowicie nielegalnie, na dwudziestometrowy żółty dźwig wznoszący się ponad chaosem materiałów i maszyn budowlanych. Gdy tylko znalazł się nad ziemią, poczuł lodowaty wiatr przenikający przez ubranie. Miał za cienkie rękawiczki. Kolega go ostrzegał. Metal był jak lód. A mimo to nie zdecydował się na włożenie czegoś cieplejszego. Chciał móc bez przeszkód poruszać palcami.

Nie wspinał się dostatecznie szybko. Kumpel dotarł już do połowy drogi. No, ale był młodszy i lepiej wytrenowany.

Vegard Krogh usiłował myśleć pozytywnie.

Właściwie nie miał sił na takie wybryki. Zbliżał się już do czterdziestki, nie zdobył uznania i popularności, na jakie zasługiwał. W swojej opinii pisał stosunkowo przystępnie, ale z domieszką literackiego zacięcia i wysokich lotów. Krytycy, przynajmniej na tyle, na ile dzieła Vegarda Krogha stawały się przedmiotem recenzji innych niż przypadkowe omówienia w lokalnej gazecie wydawanej tam, skąd pochodził, byli w zasadzie zgodni. Jeden napisał, że Vegard Krogh mówi własnym głosem, że ma oryginalne, ironiczne pióro. Nazwano go talentem. Od tamtej pory nie tylko posunął się w latach, lecz stał się również pisarzem znaczącym. Dobrze to wiedział: miał do przekazania ważne rzeczy. Jego talent już rozkwitł, teraz trzeba się ustabilizować, stać się kimś, z kim się liczą. Na tablicy w domu wisiała wycięta z „Morgenbladet” recenzja jego trzeciej książki. Niezbyt obszerna, zaledwie na dwie szpalty, zniszczona i pożółkła po kilku latach wiszenia w kuchni, ale użyto w niej stwierdzenia: „Mocna, witalna i momentami technicznie znakomita proza”.

Czytelnicy natomiast kompletnie go zawiedli.

Nie myśleć. Wspinać się.

Powinien był włożyć kombinezon. Między swetrem a paskiem spodni pojawiła się szczelina. Mróz kłuł w krzyż jak lodowe sople. Vegard spróbował jedną ręką wepchnąć sweter w

spodnie. Pomogło zaledwie na kilka sekund.

Musi wytrzymać. Nie bardzo wiedział, skąd czerpie energię. Nie myślał o zimnie, nie przejmował się coraz większą odległością od ziemi, nie analizował ryzyka, skupiał się wyłącznie na stawianiu nóg jednej za drugą. Przenieść jedną rękę o stopień wyżej, drugą przytrzymując się metalu. Jeszcze raz, i jeszcze. Trzymać tempo. Pokazać żelastwu.

Dotarł na górę.

Tutaj wiało tak mocno, że czuł kołysanie dźwigu. Spojrzał w dół. Zamknął oczy.

- Nie patrz w dół! - krzyknął kolega. - Jeszcze nie, Vegard! Spójrz na mnie!

Powieki lepiły się do tęczówek.

Chciał patrzeć, ale nie miał odwagi. Mdłości napływały gwałtownymi falami.

- Robiłeś to już wcześniej - dotarł do niego głos kumpla, teraz już znacznie bliżej.

Ręka złapała go za przedramię. Ucisnęła.

- Będzie dokładnie tak samo jak latem - usłyszał. - Jediną różnicą jest pogoda.

I nielegalność, pomyślał Vegard Krogh, starając się nie wracać do przeszłości.

„Klassekampen” była ślepą uliczką. Został tam za długo. Może dlatego, że mimo wszystko pozwolono mu pisać to, co chciał. „Klassekampen” była ważna. Zajmowała stanowisko. A ponieważ gazety miały zajmować stanowisko na czysto politycznych podstawach, więc Vegardowi Kroghowi pozwolono się wściekać, byle tylko swoją agresję kierował we właściwym kierunku, jak wyraził się naczelny. Skoro zaś „Klassekampen” i młodego Vegarda Krogha łączyły mniej więcej zbieżne przekonania na temat norweskiego życia kulturalnego, mógł liczyć na redakcyjne poparcie dla swoich sprawnie napisanych jadowitych recenzji, napastliwych analiz i głęboko obraźliwych komentarzy. Pracował tam ładnie kilka lat, dopóki ze zdumieniem nie pojął, że „Klassekampen” prawie nikt już nie czyta.

Nigdy nie wytoczono mu procesu.

Kiedy zatrudniono go jako współpracownika w dziale kultury w TV 2, wydawało się, że od tej pory wszystko pójdzie lepiej. Przez blisko rok był kimś w rodzaju postaci kultowej dla wysuwających oskarżenia, ubranych w długie płaszcze młodych mężczyzn, którzy wiedzieli, gdzie leży pies pogrzebany i w którą stronę Norwegia powinna podążać. Vegard Krogh był jednym z nich, może odrobinę za starym, ale bezwzględnie jednym z nich. Najpierw zasłynął jako reporter od spraw niezwykłych w programie „Młodzi w mieście”, a następnie z własnego gniewnego dziesięcio-minutowego kącika w programie „Absolutna rozrywka” nadawanego w każdy czwartek.

Później, po nieco zbyt wielu „prawie procesach”, które dzięki zbyt jowialnemu i skłonnemu do przeprosin szefowi kanału nigdy nie dotarły do sali sądowej, został zdjęty z afisza. Kanał TV 2 nie był równie otwarty jak „Klassekampen” na to, co potem na wewnętrznym zebraniu, na którym prano własne brudy, ignoranci nazwali „błazenadą”. Vegard Krogh po zastanowieniu właściwie się z tego cieszył. TV 2 był na wskroś komercyjnym kanałem z najgorszej zamerykanizowanej półki, a on miał ochotę wreszcie stanąć na własnych nogach.

Odważył się spojrzeć w dół.

- Widzisz ją?! - zawołał kolega. - Na tej pomarańczowej tarczy.

Vegard Krogh popatrzył na ziemię, ale wiatr przemienił anorak w balon, w olbrzymią bańkę, która zasłaniała mu widok.

- Zaczynamy! - syknął.

- Musimy wyjść kawałek na ramię dźwigu! - wrzasnął kumpel, puszczając go. - Dasz radę?

Wreszcie znalazł się tam, gdzie być powinien. Usiłował się rozluźnić, zapomnieć o zimnie, o wysokości. Utkwił wzrok w znajdującej się na dole książce, prawie niewidocznym prostokącie umieszczonym na dużej pomarańczowej tarczy. Łzy pociekły mu z oczu. Tłumaczył je wiatrem, usiłując poczuć własną siłę. Z lewej strony na stercie betonowych bloków stała kamera. Filmowiec naciągnął kaptur na głowę. Vegard Krogh podniósł rękę, żeby dać znak. Gwałtowne światło go oślepiło.

Musiał poświęcić kilka sekund na to, by znów dojrzeć punkt, w który miał trafić.

Uprząż była właściwie zamocowana. Kolega sprawdził ją po raz ostatni.

-Już! Możesz skakać.

-Jesteś pewien gumy?! - niepotrzebnie zawołał Vegard.

- Co do grama! Do cholery, trzy razy cię ważyłem, zanim dobrałem gumę. A ten dźwig mierzyłem ledwie wczoraj. Skacz, bo zamarznę na śmierć!

Vegard Krogh posłał ostatnie spojrzenie kamerzyście. Kaptur oblamowany wilczym futrem zakrywał pół kamery. Obiektyw skierowany był w górę, na nich dwóch na dźwigu. W oddali dała się słyszeć syrena. Zbliżała się.

Vegard Krogh wycelował w książkę, w swój najnowszy zbiór esejów, prawie niewidoczną plamkę na okrągłej płycie w kolorze pomarańczy.

Skoczył.

Spadał za wolno.

Miał czas, by myśleć. Myślał za dużo. Myślał o tym, że wkrótce będzie miał czterdzieści lat, i o tym, że żona chyba jest bezpłodna; już od trzech lat starali się o dziecko i co miesiąc doznawali rozczarowania, o którym już nie mówili. Myślał o tym, że wciąż żyją w dwupokojowym mieszkaniu na Grønland i że nigdy nie będą w stanie odłożyć więcej niż jakieś drobne sumy.

W połowie spadania przestał myśleć.

Spadał za szybko.

Zdecydowanie za szybko, uznał kamerzystę, śledząc obiektywem tor spadania człowieka na ziemię.

Książka przed oczami Vegarda rosła. Nie mógł mrugnąć, nie widział nic poza białą obwolutą, która stale się powiększała. Wyciągnął ręce przed siebie, ale zaraz je opuścił. Lecąc głową w dół, pomyślał: To się dzieje za szybko.

Wiatr zerwał mu czapkę z głowy i przeredzone nad czołem jasne włosy musnęły pomarańczową tarczę w chwili, gdy Vegard Krogh pojął, że to już koniec. Delikatnie, jak gdyby miał mnóstwo czasu, złapał książkę i przycisnął ją do serca. Kość

czołowa poczuła lekkie dotknięcie ziemi, grzywka pocałowała fosforyzujące drewno.

Guma szarpnęła. Jej ruch przeniósł się na ciało, mocny nacisk od stóp przesunął się przez łydki i dotarł wyżej, kręgosłup się rozciągnął przy nagłym poderwaniu.

Vegard wybuchnął śmiechem.

Krzyczał głośno, wznosząc się i opadając, kołysząc z boku na bok. Zanosił się śmiechem, gdy na plac budowy oznakowanym radiowozem wjechała policja, a kamerzysta usiłował spakować swoje graty, jednocześnie biegnąc ku dziurze w płocie otaczającym zamknięty teren budowy.

Vegard Krogh jeszcze nigdy aż tak mocno nie czuł, że żyje. Jeśli tylko film się udał, wszystko będzie idealnie. Skok był dokładnie taki, jaki miał być, taki jak książka, taki jak Vegard Krogh we własnej ocenie: śmiały, niebezpieczny i wyzywający, na granicy tego, co dozwolone.

Nie umarł w ten poniedziałek w połowie lutego. Przeciwnie, poczuł się nieśmiertelny, zwisając z jaskrawożółtego dźwigu nad pomarańczową drewnianą tarczą, w mocnym niebieskim blasku bijącym z wyjącego radiowozu. Vegard Krogh w szare wietrzne popołudnie unosił się w powietrzu wśród intensywnych barw, ściskając w rękach pierwszy egzemplarz swojej nowej książki: „Skok na bungee”.

Śmierć Vegarda Krogha została odłożona o tydzień i trzy dni. Ale on oczywiście nic o tym nie wiedział.

*

Inger Johanne nie potrafiła się przemóc i polubić Sigmunda Berliego. Ten człowiek był na wskroś nieapetyczny. Bez cienia skrupowania dłuwał w nosie, stale popierdywał, nawet nie przepraszając. Wiercił palcem w uszach, obgryzał paznokcie na oczach wszystkich, a akurat w tej chwili darł na kawałeczki brudną papierową serwetkę, nie myśląc o tym, że porwane przez przeciąg drobiny spadają na podłogę.

- To dobry chłopak - powtarza! zwykle Yngvar, z rezygnacją przyjmując chłodne nastawienie Inger Johanne. - Tylko trochę niewychowany. Czym są gile na nogawkach spodni w porównaniu z prawdziwą lojalnością? On jedyny naprawdę ze

mną rozmawiał po śmierci Elisabeth i Trine.

Ten ostatni argument był nie do obalenia. Po tragicznej śmierci pierwszej żony i dorosłej córki Yngvar się załamał, chciał rzucić pracę, popadł w depresję. Dopiero Sigmund dzięki szorstkiej męskiej przyjaźni i wzruszającej trosce wciągnął go z powrotem w coś w rodzaju życia, które ostatecznego kształtu nabrało dopiero dwa lata po tragedii, kiedy Yngvar poznał Inger Johanne i zaczął wszystko od początku.

Teraz Sigmund siedział na stołku barowym w domu Inger Johanne, a przed chwilą zjadł kurczaka i trzy porcje sałatki z rukoli.

- Pysznie gotujesz - pochwalił, uśmiechając się szeroko i patrząc na Yngvara.

- Dziękuję - powiedziała Inger Johanne.

- No, ja zrobiłem dressing! - wykrzyknął Yngvar. - Dressing jest najważniejszy. Ale masz rację, to Inger Johanne jest w tym domu kucharką. Ja jestem tylko... *Feinschmecker*. Zajmuję się szczegółami. Wszystkim tym, co podnosi zwyczajny posiłek do...

Roześmiał się, gdy Inger Johanne zaatakowała go ścierką.

- Ona się nie zna na żartach - oświadczył, przyciągając żonę do siebie. - Ale w gruncie rzeczy nie jest taka zła. - Pocałował ją i nie chciał puścić.

- Kłótnia w kuchni - zaczął Sigmund i zakłopotany zmiął serwetkę, zanim odsunął ją od siebie, nie wiedząc, co zrobić z porwanymi kawałeczkami. - Mogło chodzić o jakiś drobiazg.

- Owszem. — Yngvar wreszcie uwolnił żonę z objęć. - Mimo wszystko powinniśmy odnotować sobie, że coś tam może być. Kari Mundal i Rudolf Fjord serio skakali sobie do oczu, a kłótnia była na tyle poważna, że nie poszli wysłuchać napuszonej przemowy Kjella Mundala. To zupełnie niepodobne do Kari, żeby opuścić taką okazję dla okazania mężowi uwielbienia i wsparcia. A Rudolf Fjord wydawał się bardzo wzburzony.

- Polityka to, jak wiadomo, nie jest szkółka niedzielna - stwierdziła Inger Johanne. - Gdyby gwałtowne dyskusje za politycznymi kulisami stanowiły podstawę do podejrzenia

kogoś o zabójstwo, mielibyście pełne ręce roboty.

- Mimo wszystko... - Yngvar przyciągnął drugi barowy stół do wyspy kuchennej i rozsiadł się na nim wygodnie. Nogi rozsunął, a przedramiona oparł o blat. - Było coś w tej sytuacji... — Pokręcił głową. - Chwilowo to zostawmy. Musimy się zająć innymi rzeczami. Na razie.

- Na razie nie mamy właściwie nic - stwierdził Sigmund ponuro. - W żadnej ze spraw. *Nada*.

- Chyba za ostro to oceniasz - zaprotestował Yngvar. - Coś przecież mamy.

- Coś - powtórzył Sigmund.

- Ale nic do siebie nie pasuje - ciągnął Yngvar. - Nic donikąd nas nie prowadzi. Z tym się zgodzę. Nie znajdujemy kolejnych powiązań między obiema kobietami, tylko te oczywiste, które dało się stwierdzić od razu i które omawialiśmy już tysiąc razy. Brutalność zabójstw. Płeć ofiar. Osoby publiczne. Miejsce zamieszkania w tej samej gminie. - Ziewnął przeciągle. - Ale chyba nie szukamy mordercy żywiącego wyjątkową urazę wobec Lørenskog. Vibeke i Fiona się nie znały nie miały wspólnych przyjaciół, tylko przygodnych znajomych, z czym zawsze należy się liczyć w takim małym kraju jak nasz. Nie były zaangażowane w żadną wspólną pracę. Jedna to lubiąca balować singielka, druga miała rodzinę, małe dziecko. Mnie to wygląda na...

- ...dwie różne sprawy - dokończyła Inger Johanne, podsuwając elektryczny czajnik pod kran. - Ale obaj mordercy musieli być silni. Vibeke została przecież zabita pod domem i przeniesiona do sypialni. Fionę obezwładniono.

- Często tak rozmawiacie? - spytał Sigmund.

-Jak?

- Kończycie nawzajem za siebie zdania. Jak bliźnięta mojej siostry.

- Bo my jesteśmy duchowymi bliźniętami - powiedziała Inger Johanne z uśmiechem. - Myślimy identycznie i czujemy identycznie. Przez cały czas. Kawy?

- Owszem, dziękuję. Ale jeżeli... — Sigmund zasłonił ręką usta, próbując zdusić głębokie beknienie. - .. Jeżeli to są dwie

sprawy, to możliwe, że zabójca numer dwa, ten, który załatwił Vibeke Heinerback, mógł chcieć, żeby to wyglądało na serię.

- Niezbyt długa ta seria - stwierdził Yngvar. - Przede wszystkim musimy ustalić, czy mamy do czynienia z jednym sprawcą.

- Takie ustalenie jest oczywiście niemożliwe - powiedziała Inger Johanne. - Na razie jeszcze nie. Ale ja się z tym zgadzam. Wprawdzie jest wiele podobieństw, jednak nie mają takiego charakteru, żeby... Te zabójstwa nie krzyczą o serii.

- Zastanawiałem się... - zaczął Sigmund i poczerwieniał jak młody chłopak, który ma głowę pełną pozostających bez odpowiedzi pytań na temat życia płciowego.

Podrapał się po udzie z zakłopotaniem. Przez moment wydał się Inger Johanne słodki. Wlała gorącą wodę do dzbanka, napełniła mlekiem dzbanuszek i postawiła na blacie miseczkę z brązowym cukrem.

Sigmund spróbował jeszcze raz.

- Po prostu się zastanawiam. Jak takie profilowanie, *profiling*... — Nie potrafił się zdecydować, czy ma mówić po norwesku, czy po angielsku. W końcu kciukiem i palcem wskazującym ścisnął nos.

- Możesz mówić „profilowanie” - wybawiła go Inger Johanne. - *Profiling* brzmi jak z filmu kryminalnego, nie uważasz?

Sigmund nalał sobie za dużo kawy, musiał więc nachylić się nad filiżanką i siorbnąć niemal wrzący płyn, zanim mógł ją podnieść.

- Au, au! - Mocno potarł górną wargę i podjął, lekko sepleniąc: - My też trochę umiemy. Całkiem sporo. Ale ponieważ ty się szkoliliś w FBI, i do tego u ich głównego specy...

- Mleko - przerwał mu Yngvar i bez pytania dolał do filiżanki Sigmunda tyle mleka, że kawa się przelała. - Chcesz cukier? Proszę!

- Tworzenie profilu może wyglądać różnie. - Inger Johanne podała Sigmundowi ścierkę. - W zasadzie każde zabójstwo zawiera w sobie elementy mówiące o cechach charakteru sprawcy. Tego rodzaju profilowanie wykorzystywane jest

właściwie w każdym śledztwie. Tyle że nie używa się takiego pojęcia.

Sigmund wycierał blat przed sobą, bezsensownie, bo kawa z mlekiem rozlewała się już na wszystkie strony.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy w brudnym i zaniedbanym domu znajdziemy człowieka z nożem w brzuchu, a facet, który zadzwonił na policję, siedzi w kącie pijany i płacze, to rysujemy jakiś profil? Coś w rodzaju: sprawca pokłócił się z bliskim krewnym podczas libacji alkoholowej, a że pod ręką akurat miał nóż... Ale wcale nie chciał zabijać, teraz cholernie żałuje. Taki profil?

Inger Johanne roześmiała się serdecznie i wytarła jasnobrązową plamę papierem.

- Wyjąłeś mi to z ust - powiedziała. - A ten profil, który przed chwilą opisałeś, jest tak powszechny i łatwy do skonstruowania, że potrzeba wam trzydziestu sekund na stwierdzenie, że winny jest ten pijak w kącie. Ale ty i Yngvar niewiele macie podobnych spraw. Kripos zajmuje się trudniejszymi zagadkami.

- Zakładam, że ty analizujesz każdą sprawę, rozbierając ją na kawałeczki.

- Analizuje się sposób działania. Czyn przestępczy rozbiera się na kawałki, jak mówisz, na pojedyncze elementy składowe. Potem przeprowadzamy dedukcję opartą na pojedynczych elementach oraz na łącznym wrażeniu. Przy dokonywaniu analizy kładziemy nacisk na pochodzenie i środowisko ofiary, na poprzedzające zbrodnię zachowanie, oraz na samo zabójstwo. Mnóstwo pracy, no i... chyba nie ma nauki, która byłaby równie niepewna, równie trudna i niegodna zaufania jak określanie profilu.

- Opisujesz w zasadzie to samo, co my nazywamy śledztwem taktycznym - zauważył Sigmund, na którego czole pojawiła się zmarszczka wyrażająca sceptycyzm.

- Tak, trochę to podobne. Różnica w głównej mierze polega na tym, że śledztwo taktyczne w dużo większym stopniu niż określanie profilu trzyma się... jak by to powiedzieć... bezspornych faktów. Profilerzy to często psychologowie.

Celem śledztwa taktycznego jest znalezienie sprawcy, a profilera - ustalenie psychologicznego modelu przestępcy. Tak na to patrząc, profilowanie to jedynie środek pomocniczy w śledztwie taktycznym.

- Gdybyś więc miała coś powiedzieć o samym zabójstwie Fiony Helle, na moment zapominając całkiem o Vibeke Heinerback, to co byś powiedziała? - Sigmundowi na policzkach wykwitły gorączkowe rumieńce.

Inger Johanne spojrzała na niego znad filizanki. Okulary zaszyły jej głę.

- Nie bardzo wiem - stwierdziła z namysłem. - To mi się wydaje takie bardzo... nienorweskie. Nie podoba mi się to określenie, bo czasy, kiedy mogliśmy się uważać za chronionych przed tego rodzaju wynaturzonymi zabójstwami, już dawno minęły. Ale mimo wszystko... - Odetchnęła głęboko i napiła się kawy. - Powiedziałabym, że można się dopatrzeć konturów dwóch różnych profili. Weźmy najpierw cechy wspólne. Zabójstwo Fiony Helle zostało starannie zaplanowane. To oczywiste, że mówimy o działaniu z premedytacją, mamy więc do czynienia z osobą, która jest w stanie aż po najdrobniejsze szczegóły zaplanować czyjąś śmierć. Trudno sobie wyobrazić, by ten koszyczek z celofanu miał służyć do czegoś innego niż do umieszczenia w nim odciętego języka. Pasowały do siebie idealnie. A to, że ktoś miałby myśleć o odcięciu języka ofierze, nie zabijając jej, chyba możemy wykluczyć. Czas zabójstwa również był świetnie dobrany. Wtorek wieczorem. Wszyscy wiedzieli, że tego dnia Fiona Helle zawsze jest sama. Poza tym w wielu wywiadach chwaliła się, że Lørenskog to „oaza spokoju, z dala od zgiełku wielkiego miasta”... - Dwoma palcami narysowała w powietrzu cudzysłów.

- Co za wyrażenie! - westchnął Yngvar.

- To idiotyzm obwieszczać całemu światu, że nie ma powodów do zamykania drzwi na klucz w tej ślepej uliczce, skoro w tym miejscu każdy opiekuje się każdym i nie ma tu żadnych złych ludzi. Idiotyzm! - prychnął Sigmund. - Akurat ta deklaracja kazała chłopakom z Romerike do niej zadzwonić.

Po prostu żeby ją ostrzec. Ale drzwi dalej zostawiała otwarte. Mówiła coś o „nieuleganiu złym siłom”. Mój Boże... - mruknął coś niezrozumiałego w filiżankę.

Inger Johanne sięgnęła po blok rysunkowy, który Yngvar wyciągnął z należącej do Kristiane czerwonej skrzynki z zabawkami.

- Tak więc zabójstwa dokonano z premedytacją. No, to już posunęliśmy się kawałek. - Oparła łokcie na wysokim blacie.

- Są podstawy do wyciągnięcia jeszcze jednego stosunkowo pewnego wniosku. Twierdzę, że takie zabójstwo ma cechy czynu dokonanego pod wpływem silnej nienawiści. Zarówno premedytacja, a więc zbrodniczy zamysł sprawcy, jak i metoda...

Urwała i ledwie zauważalnie zmarszczyła czoło, odwracając się lewym uchem w stronę korytarza.

- Nic - zapewnił ją Yngvar. - Mów dalej.

- Uduszenie osoby, związanie jej, obcięcie języka. - Inger Johanne mówiła teraz ściszym głosem, napięta, wciąż nasłuchując.

- Nienawiść - podsumowała. - Ale tu zaczynają się problemy. Ten dramatyzm, rozdwojony język, origami... cała ta scena właściwie ...

Czerwona kredka kreśliła powoli koła na papierze.

- To może być przykrywką. Kamuflaż. Symbolika jest tak piekielnie banalna, taka...

- ...dziecinna - podsunął Sigmund.

- Można to i tak nazwać. W każdym razie taka prosta, że może się wydawać przykrywką. Możliwe, że jej celem było wprowadzenie zamieszania. W takim razie mówilibyśmy o niezwykle przemyślnie działającej osobie. Takiej, która w dodatku musiała gorąco nienawidzić Fiony Helle. To prowadzi nas z powrotem do...

- .. do punktu wyjścia - dokończył z rezygnacją Yngvar. - A jeśli tę symbolikę potraktowano poważnie?

- Czy Indianie używali tego wyrażenia dosłownie? „Biały człowiek ma rozdwojony język”. Jeśli założymy, że zabójca dopuścił się zbezczeszczenia zwłok po to, by coś oznajmić

światu, musi to oznaczać, że Fiona Helle kłamała. Oszukiwała. Przynajmniej według zabójcy. Który w tym sporządzonym naprędcie, a przez to całkowicie bezużytecznym profilu paskudnie zbliża się do... kompletnego szaleńca.

- Szkoda. - Sigmund ziewnął głośno i bez skrępowania.

- Szkoda, że nie potrafimy w jej życiu znaleźć żadnych poważnych konfliktów. Trochę zazdrości tu i ówdzie, ale przecież była kobietą, która odniosła sukces. Jakaś kłótnia z urzędem podatkowym parę lat temu. Sąsiedzki spór o świerk, który zacienia! gabinet Fiony. Drobnostki. Drzewo zresztą ścięto, a sprawa nie trafiła do sądu.

- To się wprost rzuca w oczy... - zaczęła Inger Johanne, ale zaraz sama znów sobie przerwała. - A teraz? - Z lękiem spojrzała na Yngvara.

- Nic nie było - powtórzył jeszcze raz. - Uspokój się, ona śpi.

Inger Johanne zgodziła się wreszcie, żeby Ragnhild spała w sypialni przynajmniej wtedy, gdy będą mieli gości.

- Rzuca się w oczy - powtórzyła z wahaniem - że w życiu Fiony Helle nie znajdujecie nic mętnego. To bardzo dziwne. Miała czterdzieści dwa lata. Musieliście coś przeoczyć.

- No to spróbuj sama poszukać. - Sigmund był wyraźnie urażony. - Od kilku tygodni pracuje nad tym piętnastu ludzi, z zerowym rezultatem. Chyba możliwe, że była chodzącym ideałem?

- Chodzące ideały nie istnieją.

- No a profil?

-Jaki profil?

- Ten, który miałaś opracować - powiedział Sigmund.

- Nie mogę opracować profilu człowieka, który zabił Fionę Helle - stwierdziła Inger Johanne i jednym łykiem wypila resztę kawy. - Nikt nie zdoła tego zrobić. Ale mogę wam coś podpowiedzieć. Szukajcie kłamstw w jej życiu. Znajdźcie kłamstwo. Może wtedy nie będzie wam potrzebny profil, bo będziecie już mieli tego faceta.

- Albo kobietę - dodał Yngvar z lekkim uśmiechem.

Inger Johanne nie chciało się nawet tego komentować. Na palcach ruszyła do sypialni.

- Czy ona zawsze jest taka nerwowa? - spytał szeptem Sigmund.

- Tak.

-Ja bym nie wytrzymał.

- Przecież ty prawie nie widzisz się z rodziną.

- Przestań! Spędzam w domu więcej czasu niż większość tych, których znam.

- Co wcale nie znaczy, że dużo.

- Pantoflarz!

- Idiota - uśmiechnął się Yngvar. - Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. Ale tamtego... - Wskazał na koniec blatu, gdzie w blasku świecy połyskiwała złotobrzowa butelka.

- Nie prowadzisz?

- Żona wzięła samochód. Jakieś zebranie rodziców czy coś.

- Sam widzisz.

Yngvar sięgnął po dwie przesadnie duże koniakówki i nalał.

- No, to zdrowie! - powiedział.

- Nie bardzo jest co opijać - stwierdził Sigmund i wypił.

Psie pazury zastukały na parkiecie. Jack zatrzymał się na środku

pokoju, przeciągnął się i ziewnął.

- Cholera, on wygląda tak, jakby się śmiał - mruknął Sigmund.

- On się naprawdę śmieje - odparł Yngvar. - Może z nas? Z naszych smartwień? Sam myśli tylko o zarcu.

Pies lekko zamerdał ogonem i podreptał do kuchni. Przy drzwiczkach, za którymi stał kosz na śmieci, pisnął cicho. Przycisnął nos do podłogi i chciwie zaczął zlizywać plamki tłuszczu i okruchy.

- Jedzenie masz w miseczce - powiedział do niego Yngvar.

- Hau, hau!

Król Ameryki odpowiedział ostrym szczeknięciem i zaczął warczeć na drzwiczki szafki.

- Nie drażnij się z nim. Cicho, Jack! - skarciła ich obu Inger Johanne. Wróciła z obudzoną Ragnhild w objęciach.

- Byłam pewna, że coś słyszałam - oznajmiła, nie kryjąc triumfu w głosie. - Ma mokro. Możesz ją przewinąć. A ty idź

na miejsce, Jack!

- Maleńka córeczka tatusia - zaszcebiotał Yngvar, delikatnie biorąc dziecko. - Mała słodyczka się zasiusiała.

- Całkiem się rozkleił - stwierdził Sigmund.

- To się nazywa dobry ojciec.

Uśmiechnięta Inger Johanne wzrokiem odprowadziła Yngvara do łazienki. Jack z podkulonym ogonem poszedł za nimi. Przy ścianie od strony salonu się zatrzymał i posłał Inger Johanne jeszcze jedno błagalne spojrzenie.

- Na miejsce! - powtórzyła i pies zniknął.

Z parteru zaczęła dochodzić przytłumiona muzyka. Dźwięki ginęły w izolacji podłogowej, na górę docierało jedynie dudnienie basów. Skrzywiona Inger Johanne zaczęła wstawiać naczynia do zmywarki.

- Strasznie tu akustycznie - zdziwił się Sigmund, wcale nie zbierając się do wyjścia. - Mogę? - spytał, wskazując butelkę koniaku.

- Tak, tak, oczywiście. Częstuj się.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza.

- Przypuszczam, że to Selma - mruknęła Inger Johanne. - Nastolatka. Pewnie jest sama w domu.

Sigmund uśmiechnął się i podsunął kieliszek pod nos. Ze zdziwieniem poczuł, że się odpręży. Było coś w atmosferze panującej w tym domu, w oświetleniu, w meblach. Było coś w Inger Johanne. W pracy koledzy szeptali, że jest zbyt surowa. Mylili się, pomyślał i zanurzył obolałą wargę w alkoholu. W miejscu oparzenia przyjemnie zapiekło. Wypił łyk.

Inger Johanne wcale nie jest surowa, pomyślał. Jest silna, chociaż wyraźnie przewrażliwiona na punkcie dziecka. Może i ma powody, zważywszy na starszą córkę. Dziwaczna mała. Yngvar parę razy przyprowadził ją do pracy. Potrafiła śmiertelnie wystraszyć każdego. W jednej chwili zachowywała się jak trzylatka, a w następnej mówiła coś, co mogłoby wyjść z ust studenta. Miała coś z mózgiem. Lekarze nie potrafili postawić diagnozy.

Sigmund zawsze lubił Yngvara. Dobrze się czuł w towarzystwie starszego kolegi, rzadko jednak kontaktowali się

w wolnym czasie.

Tuż po wypadku, kiedy córka Yngvara spadła na matkę podczas próby czyszczenia rynny na dachu i obie zginęły, Sigmund oczywiście wtedy przyjechał. Pamiętał niskie słońce przeświecające przez korony drzew, dwa ciała w ogrodzie i Yngvara, który nic nie mówił ani nie płakał, stał tylko ze szlochającym wnukiem w ramionach. Ścisnął go w objęciach tak, że o mało nie zgniół.

- Wciąż zabieracie Amunda na weekendy? - zapytał Sigmund.

- Zasada jest taka, że ma być u nas co dwa tygodnie — odparła Inger Johanne zdziwiona pytaniem. - Ale teraz, kiedy mamy maleńkie dziecko... Pierwotnie taki układ miał służyć odciążeniu zięcia Yngvara.

-Nie.

- Słucham? - zdziwiła się.

- Nie dlatego tak zostało ustalone - wyjaśnił spokojnie.

- W tamtym czasie dużo rozmawiałem z Bjarnem, to znaczy z jego zięciem.

- Wiem, jak ma na imię zięć Yngvara.

-Jasne, jasne. Ten układ z weekendami był po to, żeby pomóc Yngvarowi. Żeby miał po co żyć. Martwiliśmy się, okropnie się martwiliśmy, Bjarne i ja. Miło widzieć... - Jednym haustem wypił resztę koniaku i z pogodną miną rozejrzał się dokoła. - To dobry dom - stwierdził z nieoczekiwanym namaszczeniem w głosie. Oczy mu zwilgotniały.

Inger Johanne pokręciła głową, śmiejąc się pod nosem. Ujęła się pod boki i z przekrzywioną głową obserwowała ręce Sigmunda. Nalał sobie trzeci kieliszek, w końcu zakorkował butelkę z dramatycznym cmoknięciem.

-Wystarczy na dzisiaj. Twoje zdrowie, Inger Johanne! Muszę przyznać, że fajna z ciebie kobieta. Sam chciałbym wracać codziennie do domu do żony, która interesowałaby się tym, co robię w pracy. Która by w ogóle coś o tym wiedziała. Tak jak ty. Wspaniała z ciebie dziewczyna. Jeszcze raz twoje zdrowie!

- A z ciebie niezły dziwak, Sigmundzie.

- Skąd, tylko trochę się wstawiłem. Witaj! - uniósł kieliszek

do Yngvara, który triumfalnie klasnął nad głową.

- Jeden noworodek, jedna dziewięciolatka i jedno paskudne psisko śpią jak kamienie. Wszyscy mają sucho i ciepło. - Usiadł na stołku. - Balujesz, Sigmundzie? W poniedziałek?

- Owszem, wstawiłem się, bo rzadko mi się zdarza wypić. - Sigmund nie mógł opanować czkawki. - Posłuchaj, Inger Johanne...

-Tak?

- Gdybyś miała sobie wyobrazić najgorszego z możliwych... najtrudniejszego seryjnego zabójcę... to znaczy najtrudniejszego do złapania, gdybyś miała scharakteryzować doskonałego seryjnego zabójcę, to jak by on wyglądał?

- Czy wy dwaj nie macie dość problemów z przestępcami, którzy istnieją naprawdę? - spytała, pochylając się nad blatem.

- Powiedz - uśmiechnął się Yngvar. - Powiedz, jaki by on był.

Świeca na parapecie już się dopalała. Syczała ze złością. Na tle błysków w ciemnej szybie unosiły się płatki sadzy. Inger Johanne wyjęła nową świecę, umieściła ją w świeczniku i zapaliła. Przez kilka sekund wpatrywała się w płomień.

- To by była kobieta - stwierdziła z namysłem. - Po prostu dlatego, że zawsze wyobrażamy sobie mężczyznę. Mamy problemy z utożsamieniem wcielonego zła z kobietą. Dziwne, bo przecież historia wyraźnie nam pokazała, że i kobiety potrafią być złe.

- Kobieta - kiwnął głową Yngvar. - Coś więcej?

Inger Johanne zaczęła wylizywać palce:

- Wykształcona, inteligentna, wyrafinowana i pozbawiona skrupułów. To zazwyczaj cechy seryjnych zabójców. Ale najgorsze, absolutnie najgorsze ze wszystkiego byłoby...

Wyglądała tak, jakby nagle pomyślała o czymś innym, jakby starała się uchwycić myśl, która tylko przeleciała jej przez głowę. Mężczyźni popili koniak, z ulicy dobiegły głosy grupy wyrostków.

U sąsiadów zgasło światło. Ciemność za oknem zgęstniała, odbicia w szybie się wyostrzyły.

- Mam takie wrażenie... - zaczęła i wyprostowanym palcem poprawiła okulary. - Jakbym... Ta sprawa jest jak *deja vu*. Tylko nie potrafię...

Znów zaczęła obserwować płomień świecy tańczący w przeciągu z nieszczęlnych okien, na których wymianę nie było ich jeszcze stać. Po jej twarzy przemknął uśmiech.

- Nie, zapomnijcie o tym. To na pewno głupie.

- Wróć do rzeczy - poprosił Sigmund. - Na razie wyliczyłaś tylko to, co oczywiste. Czego jeszcze potrzeba, żeby tej kobiety nigdy nie udało się złapać? Czy seryjni zabójcy nie są zawsze w mniejszym lub większym stopniu szaleńcami?

- Szaleńcami? Nie. - Inger Johanne zdecydowanie pokręciła głową. - Oczywiście są zaburzeni. Mają przytępione uczucia. Przypuszczam, że ta osoba cierpiałaby na jakieś zaburzenia osobowości. Lecz z pewnością nie byłaby szalona. W rozumieniu przepisów prawa zabójcy rzadko bywają nieobliczalni. Ale tym, co naprawdę by wszystko utrudniło, co w zasadzie uniemożliwiłoby jej odnalezienie, jeśli nie zostałaby przyłapana na gorącym uczynku...

- Do czego oczywiście ta superkobieta nigdy nie dopuści

- wtrącił Yngvar, rozcierając kark.

- No właśnie - przyznała Inger Johanne i ucichła.

Na ulicy chłopcy przeszli gdzieś dalej. W domach przy Hauges vei gasły kolejne światła. Na dole wreszcie zapanowała cisza, tylko jeden z wiecznie płaczących się po okolicy kotów miauczał w ogrodzie, ale wkrótce i on gdzieś się wyniósł. Inger Johanne przyłapała się na tym, że chłonie ciszę i poczucie bezpieczeństwa panujące w tym domu. Po raz pierwszy, odkąd się przeprowadzili, poczuła się naprawdę u siebie. Zdziwiona pogładziła ręką blat. Wyczuła pod palcem nacięcie. To Kristiane w chwili nieuwagi bawiła się nożem. Wzrok Inger Johanne pobiegł wzdłuż ściany salonu. Listwy miały zadrapania od twardych pazurów Jacka, a parkiet ślady od biegunów kołyski Ragnhild. Na ścianie między podłogą a parapetem okiennym wyrastał namalowany jasnoczerwonym flamastrem krzywy wieżowiec.

Pociągnęła nosem. Pachniało jedzeniem, trochę duchotą, czy-

stym dzieckiem i brudnym psem. Dotarł też do niej lekki aromat koniaku, kiedy Yngvar uniósł kieliszek z ostatnim łykiem. Nachyliła się, żeby z kąta przy zmywarce podnieść kolorową zabawkę, i zauważyła, że na listwie przypodłogowej Kristiane krzywymi, dziwnymi literami wypisała swoje imię.

Nareszcie się tu zadomowiliśmy, pomyślała Inger Johanne. To teraz naprawdę nasz dom.

- Najgorszy - zaczęła znów, obracając w palcach łeb uśmiechniętego lwa, otoczony kółeczkami do gryzienia i kolorowymi wstążeczkami - najgorszy byłby morderca bez motywu.

Odetchnęła głęboko, odłożyła zabawkę i zdjęła okulary. Rąbkiem koszuli próbowała zetrzeć z nich ślady dziecięcych palców. W końcu wbiła niedowidzące oczy w Sigmunda i powtórzyła jeszcze raz:

- Najtrudniejszy do schwytania jest morderca, który zabija bez motywu. Okrutny, inteligentny zabójca, niemający nawet cienia powodu, dla którego mógłby chcieć wyrządzić ofierze krzywdę. Wszelkie prowadzone nowoczesnymi metodami śledztwa taktyczne sprowadzają się w zasadzie do znalezienia motywu przestępstwa. Nawet cierpiący na poważne zaburzenia umysłowe seryjny zabójca może zostać odkryty, ponieważ jego absurdalny i z pozoru przypadkowy dobór ofiar będzie zawierał w sobie taką czy inną formę ukrytego klucza, powiązania. A kiedy nie ma czegoś takiego, nie ma przyczyny, nie ma związku, logiki, to szach-mat. Taki morderca może sobie z nas drwić... w nieskończoność.

Świeca na parapecie zamigotała gwałtowniej i zgasła. Inger Johanne włożyła okulary, sięgnęła do haczyków i porządniej zamknęła okno.

- Ale o takich potworach nigdy nie słyszałam - powiedziała lekko. - No, czas do łóżka. Macie jeszcze jakieś pytania, zanim pójdę spać?

Nie mieli.

*

Rudolf Fjord sprzątał łazienkę.

Była trzecia w nocy z poniedziałku na wtorek. Niezgrabny

mężczyzna na czworakach szorował fugi wyłożonej kafelkami podłogi. Używał do tego szczoteczki do zębów i amoniaku. Ostry zapach kręcił w nosie. Rudolf kasłał, szorował, przeklinał i splukiwał wodą za gorącą dla gołych dłoni. Połowę miał już za sobą. Kafelki od umywalki aż po sedes zyskały jasne obramowanie, bladoszare fugi kontrastujące ze stalowoniebieską ceramiką. Pod nim i za nim brud i lepki kurz tkwił wciąż wrośnięty w przerwy między płytkami. Rudolf pomyślał, że umyje też ściany, i wytarł nos rękawem. Zamierzał opróżnić szafki, umyć szuflady. Wyszoruje nawet wnętrze spłuczki. Od pójścia do pracy wciąż dzieliło go kilka godzin.

Nie mógł spać.

Może wyciągnie też książki z półek, wyczyści je odkurzaczem po kolei, jedną po drugiej. Dzięki temu czas jakoś upłynie.

Ulga, którą poczuł w sobotnie przedpołudnie po śmierci Vibeke, fizyczna, pełna radości ulga trwała dwanaście minut. Kiedy zrozumiał, że Vibeke Heinerback paradoksalnie stanowiła lepsze zabezpieczenie żywa niż martwa, wytrąciło go to z równowagi. Dosłownie. Próbował podnieść się z sofy, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Oblał go zimny pot. Myśli wirowały w głowie. Wreszcie zdołał dotrzeć do prysznica, a potem dobrać odpowiedni strój na nadzwyczajne posiedzenie koła parlamentarnego.

Patrzyli na niego.

Z ukosa.

Rudolf Fjord podniósł szczotczkę do zębów.

Włosie splaszczyciło się i zszarzało, nie nadawało się do użytku. Wstał, bez ładu i składu zaczął grzebać w koszu na śmieci, szukając innej. Nie znalazł. Kula w gardle rosła. Wyciągnął szufladę łazienkowej komody i paskudnie się skaleczył, wyjmując nową szczotczkę ze sztywnego plastikowego opakowania. Od amoniaku wierciło go w nosie i szczypało w oczy. Plastra nie znalazł.

Oni naprawdę patrzyli na niego z ukosa.

„Jesteśmy dobrymi kolegami z partii. - Vibeke uśmiechała się z lekkim przymusem, gdy nieco zbyt ciekawscy dziennikarze usiłowali głębiej grzebać w łączących ich stosunkach. -

Rudolfowi i mnie naprawdę świetnie się razem pracuje”.

Próbował oddychać głębiej.

Wyprostował się, wypiął pierś, naprężył mięśnie brzucha jak na plaży w zeszłym roku podczas tego cudownego lata, kiedy pogoda była taka piękna, a nic jeszcze nie zostało rozstrzygnięte. Kiedy miał pewność, że to on zostanie przewodniczącym partii, gdy stary wreszcie zdecyduje, że nadszedł czas na zmianę warty.

Po prostu nie mógł oddychać.

Przed oczami zatańczyły mu czerwone gwiazdy. Czuł, że zaraz zemdleje. Chwiejąc się na nogach i przytrzymując ściany, wyszedł z łazienki. W korytarzu poczuł się trochę lepiej. Udało mu się powstrzymać torsje. Z trudem ruszył dalej do salonu. Drzwi na taras były zamknięte. Starał się zachować spokój. Coś zepsuło się w zawiasach. Musiał lekko unieść skrzydło, o tak. Krew narysowała dziwaczne kształty na framudze. Drzwi się otworzyły.

Uderzyło go życiodajne lodowate powietrze.

Otworzył usta i oddychał.

Tak dziwnie na niego patrzyli.

Na pewno uznali to za dziwne. Dziwne, że Rudolf Fjord tak bardzo się przejął śmiercią Vibeke Heinerback.

Najgorsza okazała się Kari Mundal.

Ludzie nie mieli pojęcia, jaka jest naprawdę. Wszyscy uważali ją za zabawną gospodynię domową.

W najlepszym razie nic się nie zdarzy, pomyślał Rudolf Fjord, chciwie chłonąc świeże powietrze. Czuł się już spokojniejszy i lekko drżącymi dłońmi zapiął koszulę. Krew zaczęła już krzepnąć. Lekko posażał palec. Zrozumiał, że roztwór amoniaku był za mocny.

W najlepszym razie zupełnie nic się nie zdarzy.

Dom na skraju lasu był typowy dla budownictwa lat pięćdziesiątych. Niewielkie drewniane pudełko obite pionowymi deskami, ganek na środku symetrycznej fasady. Schody murowane, środkowy stopień należało naprawić. Z tym wyjątkiem budynek był dobrze utrzymany. Yngvar Stubø stał na drodze, tuż przy furtce. Zauważył, że dach jest nowy, a czerwona farba, którą pomalowano drewno, tak lśni, że odbija się w niej światło księżyca.

Latarnia na jednym ze słupków przy furtce była zbita, ale ponieważ wszelkie ślady już dawno zabezpieczono, pochylił się nad pękniętym szkłem i podniósł żelazną pokrywę, by przyjrzeć się samej żarówce. Również była zniszczona. Z oprawki sterczał jedynie niewielki wyszczerbiony kawałek szkła. Przeciągnął palcem po dnie latarni. Do skóry przykleiły mu się drobniuteńkie matowe odłamki. Drucik żarnika pozostał cały, co stwierdził w świetle latarki. Zgasił ją, naciągnął rękawiczkę i przez kilka sekund stał, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Pod dachem ganku, tuż nad drzwiami wejściowymi również znajdowała się lampa. I ona nie działała. Wieczór był zimny i pogodny. Nad nagimi drzewami w końcu ogrodu wisiał księżyc, idealna połówka, jak gdyby ktoś starannie oddarł jedną część. W blasku księżyca wysypaną żwirem ścieżkę i nieporządną działkę wyraźnie było widać, chociaż oprócz stojącej w odległości pięćdziesięciu metrów na drodze ulicznej latarni w pobliżu nie było innych źródeł światła.

- Dość tu ciemno - odezwał się niepotrzebnie Trond Arnesen.

- Owszem - przyznał Yngvar. - A tydzień temu było jeszcze ciemniej. Wtedy nie świecił nawet księżyc.

Trond Arnesen pociągnął nosem. Yngvar położył mu rękę na ramieniu.

- Posłuchaj - rzekł cicho. Niebieskobiałe chmury jego

oddechu zawisły między nimi. - Rozumiem, że to dla ciebie bardzo trudne. Chciałbym, żebyś wiedział jedno, Trond. Mogę tak do ciebie mówić?

Miody mężczyzna kiwnął głową i zwilżył wargi językiem.

- Nie jesteś podejrzany w sprawie, okej?

Kolejne potaknięcia, tym razem Trond przygryzł wargę.

- Wiemy, że byłeś wtedy na wieczorze kawalerskim przez cały czas. Wiemy, że z Vibeke układało ci się dobrze. Słyszałem, że latem mieliście się pobrać. Mogę ci nawet powiedzieć, że... - Rozejrzał się, udając, że sprawdza, czy nikt ich nie słyszy. - Takich rzeczy nigdy nie zdradzamy - szepnął, nie puszczając ramienia chłopaka.

- Ale cała rodzina Vibeke jest poza wszelkimi podejrzeniami. Rodzice, brat. Ty. Ciebie pierwszego skreśliśmy z listy. Pierwszego. Słyszysz?

- Tak - mruknął Trond Arnesen, przecierając oczy ręką w rękawiczce. - Ale ja dziedziczę... Dostanę ten dom i w ogóle... Mieliśmy. ..

Plącz nie pozwolił mu dalej mówić. Dziwny miękki plącz. Yngvar poklepał Tronda po plecach, objął ramieniem. Chłopak, o głowę niższy, lekko się o niego oparł, zasłaniając twarz dłońmi.

- To, że zarejestrowaliście związek partnerski, oznacza jedynie, że byliście rozsądnymi młodymi ludźmi - powiedział Yngvar cicho.

- Przestań się bać, Trond. Nie musisz się niczego obawiać ze strony policji. Niczego, rozumiesz?

Narzeczony Vibeke Heinerback był tak przerażony podczas przesłuchań, że prowadzący je funkcjonariusz mimo tragicznych okoliczności z trudem zachowywał powagę. Blondyn w różowej koszuli Lacoste, przystojny i krótko ostrzyżony, wczepił się w krawędź stołu i wlewał w siebie wodę, jakby wciąż miał solidnego kaca trzy dni po tamtej popijawie. Ledwie był w stanie odpowiedzieć na pytania o datę urodzenia i adres.

- Uspokój się - powtórzył Yngvar. - Teraz spokojnie przejdziemy do sypialni. Posprzątała tam już, nie ma krwi. W

porządku? Wszystko wygląda mniej więcej tak jak przedtem. Słyszysz, co mówię?

Trond Arnesen się wyprostował. Odkasznął, zasłaniając usta dłonią zwiniętą w pięść, i pogładził się po ostrzyżonej na jeża głowie. Po kilku głębszych oddechach uśmiechnął się słabo i oświadczył:

- Jestem gotowy.

Żwir przemieszany z lodem i śniegiem trzeszczał im pod butami. Przed gankiem Trond jeszcze raz się zatrzymał, jakby musiał zebrać siły. Przez chwilę kołysał się na stopach. Znów pogładził się po głowie bezradnym gestem, poprawił szalik i obciągnął kurtkę, nim jednym skokiem pokonał schody. Umundurowany policjant zaprowadził go do sypialni. Yngvar poszedł za nimi. Bez słowa.

Łóżko było puste, leżały na nim tylko dwie poduszki. W pomieszczeniu panował porządek. Nad wezgłowiem wisiała gigantyczna reprodukcja „Historii” Muncha. Na regale pod ścianą leżały trzy starannie złożone poszwy na kołdrę, kilka ręczników i dwie kolorowe poduszki.

Materac był czysty, bez śladów krwi. Podłogę niedawno umyto, wciąż jeszcze dawał się wyczuć lekki zapach szarego mydła. Yngvar wyjął zdjęcia, które przyniósł w sztywnej kopercie. W zamyśleniu pogładził grzbiet nosa, przez parę minut w milczeniu oglądając fotografie. W końcu odwrócił się do Tronda Arnesena, bladego jak trup w ostrym świetle lampy sufitowej, i spytał przyjaźnie:

- Jesteś gotów?

Chłopak przełknął ślinę, kiwnął głową i zrobił krok do przodu.

- Co mam zrobić?

*

Bernt Helle był wdowcem od dwudziestu dwóch dni. Dobrze orientował się w czasie. Każdego ranka przekreślał na czerwono miniony dzień w kalendarzu, który Fiona zawiesiła w kuchni po to, by Fiorella lepiej rozumiała pojęcia dnia, tygodnia i miesiąca. Nad każdą datą widniało jakieś zwierzątko z Doliny Muminków. Tego ranka skreślił Ryjka z dwunastką na

srebrnym łańcuszku na szyi. Bernt Helle nie bardzo wiedział, po co to robi. Co rano nowy krzyżyk. Każda godzina była jeszcze jednym kroczkiem oddalającym go od rany, która, jak twierdzono, z czasem się zagoi.

Każdego wieczoru puste małżeńskie łóżko.

Dzisiaj jest trzynasty i piątek, pomyślał, gładząc teściową po włosach.

Fiona była taka przesądna. Bała się czarnych kotów, wielkim łukiem obchodziła drabiny. Miała swoje szczęśliwe liczby i uważała, że kolor czerwony wprowadza niepokój.

- Wciąż tu jesteś? - spytała Yvonne Knutsen, mrugając. - Powinieneś już iść.

- Nie, nie. Fiorella jest dzisiaj u mamy. Jest piątek, wiesz?

- Nie - powiedziała zmieszana.

- Owszem, jest pią...

- Nie wiedziałam. Kiedy tak leżę, jeden dzień jest podobny do drugiego. Mógłbyś mi dać trochę wody?

Chciwie pila przez słomkę.

- Czy kiedykolwiek - wyrwało się nagle Berntowi - zastanawiałaś się, że Fiona miała coś... że ona jakby...

Yvonne spała. A w każdym razie zamknęła oczy i oddychała równo przez wysuszone usta.

Bernt nigdy całkiem nie pojął zainteresowania Fiony religią. Gdyby jeszcze chodziło o powszechny Kościół Norweski, religię, w której sam został wychowany i wciąż mógł szczerze uczestniczyć w ślubach i pogrzebach, a od czasu do czasu i w świątecznym nabożeństwie. Ale Fiona nie należała do żadnego Kościoła. Na szczęście również do żadnej sekty. Nie miała parafii, żadnej wspólnoty. Kiedy byli bardzo młodzi, fascynowało go to, że ona tyle czyta. O religiach, o filozofii Wschodu, o myślicielach i wielkich ideach. Przez pewien czas, musiało to być na początku lat dziewięćdziesiątych albo jeszcze wcześniej, miała flirt z New Age. Na szczęście nie potrwał długo. Ale później, kiedy minęło to, co wydawało się ponad dziesięcioletnim poszukiwaniem jakiegoś teologicznego zakotwiczenia, stała się jeszcze bardziej daleka. Nie zawsze i nie we wszystkich dziedzinach życia. Kiedy wreszcie urodziła się Fiorella, oboje tak

czuli łączącą ich bliskość, że zorganizowali jeszcze jeden ślub, piętnaście lat po tym pierwszym.

„Nieodwracalna samotność duszy”, mówiła ironicznie, gdy z rzadka pytał. Zamykała się wtedy i uśmiechała samymi wargami.

Czasami zastanawiał się, czy nie skrywa jakiejś tajemnicy, chociaż trudno było to sobie wyobrazić. Znali się od zawsze, domy ich dzieciństwa dzieliło ledwie dwieście stawianych z trudem kroczków. Jako nastolatki prawie się nie widywali, bo za bardzo różnili się od siebie. Kiedy oboje mieli po dwadzieścia lat i przypadkiem spotkali się w knajpie w Oslo, Bernt nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Właśnie zdał egzamin czeladniczy i zaczął pracować w zakładzie hydraulicznym ojca. Przy barze podciągnął spodnie, żeby Fiona nie zauważyła, że podtył. Była długowłosą blondynką i studiowała na Blindern. Tego wieczoru zostali parą, a Bernt Helle od tamtej pory nie miał innej kobiety.

Fiona była w pewnym sensie niespokojna, kurczowo trzymała się wszystkiego, co wieczne i stałe.

- Nie powinnam była tego robić - powiedziała nagle Yvonne, otwierając oczy. - Nie powinniśmy tego robić.

- Yvonne. - Bernt nachylił się nad teściową.

- Ach - odezwała się słabym głosem. - Coś mi się śniło. Podaj mi wodę, dobrze?

Zaczyna bredzić, uznał przygnębiony.

Znów zasnęła.

Pomyślał, że z Yvonne nie da się już prowadzić prawdziwej rozmowy. Trudno. Łączył ich wielki smutek. To wystarczało.

Wstał i spojrział na zegarek. Dochodziła północ. Po cichu włożył kurtkę i starannie otulił Yvonne kołdrą. Najwyraźniej niczego już nie chciała. Każde z nich na swój sposób usiłowało radzić sobie ze stratą, ona resztką sił walczyła o zakończenie życia.

On natomiast miał nadzieję, że kiedyś jeszcze wywalczy sobie do niego powrót.

*

Wizja lokalna się zakończyła, dom opustoszał. Zostali jedynie

Yngvar Stubø i Trond Arnesen, wciąż w sypialni. Młody człowiek raz po raz wodził wzrokiem po pokoju, podchodził i dotykał różnych przedmiotów, jakby wciąż musiał się upewniać, że istnieją.

- Dziwi pana to, że chcę się tu sprowadzić z powrotem? - spytał, nie patrząc na Yngvara.

- Żadną miarą. To moim zdaniem całkiem naturalne. Przecież to był wasz dom. I wciąż pozostał twoim domem, chociaż Vibeke nie żyje. Pomagałeś jej przy remoncie, prawda?

- Tak, tego pokoju również.

- Czy taki zapamiętałeś?

- Nie.

- Musisz próbować. Sypialnia tak wygląda. - Yngvar rozłożył ręce i zawahał się chwilę, nim podjął: - Nasi ludzie nie zrobili tu nic oprócz... posprzątania. Pościeli ani kołdry nie udało się, niestety, uratować. Z tym wyjątkiem wszystko jest, jak było. I tak masz to zapamiętać, Trond. Będziesz tu mieszkał. Będziesz tu żył, może przez wiele lat. Tamten wieczór sprzed tygodnia musisz jakimś sposobem umieścić gdzieś w innym miejscu. Wiem, co czujesz. I zapewniam cię, to się da przejść. Ja też przez to przeszedłem, Trond. Da się.

Chłopak patrzył wprost na niego. Oczy miał niebieskie, z lekkim odcieniem zieleni. Dopiero teraz Yngvar zauważył, że Trond Arnesen ma włosy lekko rudawe, a u nasady nosa kilka piegów.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Znalazłem moją rodzinę martwą w ogrodzie - powiedział Yngvar powoli, nie odwracając głowy. - Zdarzył się wypadek. Byłem pewien, że nigdy więcej nie będę w stanie zbliżyć się do tego miejsca. Chciałem się wyprowadzić, ale brakowało mi sił. Któregoś dnia, to musiało być ze dwa miesiące później, otworzyłem drzwi na taras i wyszedłem. Nie miałem śmiałości otworzyć oczu. Zacząłem słuchać.

Trond usiadł sztywny i spięty, jak gdyby nie do końca wierzył, że łóżko wytrzyma jego ciężar. Obiema dłońmi oparł się o materac.

- I co pan usłyszał? - spytał.

Yngvar wsunął rękę do kieszonki na piersi i wyjął etui z cygarem. Zaczął je przesuwać w palcach, raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Bardzo dużo - odparł stłumionym głosem. - Bardzo dużo usłyszałem. Wciąż były tam ptaki. Tak jak wtedy, gdy dawno temu sprowadzaliśmy się jako nowożeńcy. Mieliliśmy wówczas zaledwie po dwadzieścia lat. Najpierw wynajmowaliśmy ten dom, potem kupiliśmy. Ptaki wciąż śpiewały. - Nagle zabrakło mu tchu. - Śpiewały - powtórzył głośniejszym głosem. - Śpiewały jak zawsze. A między ich piosenkami, między całym tym przeklętym ćwierkaniem usłyszałem... usłyszałem Trine. Moją córkę. Słyszałem, jak mnie woła, zaledwie trzyletnia, i jak głośno płacze, bo spadła z huštawki. Słyszałem podzwanianie kostek lodu, kiedy żona przyniosła sok. Dźwięczał mi w uszach śmiech Trine podczas zabaw z psem sąsiadów, miałem też wrażenie, że słyszę syk grilla w późne wieczory i. . . i nagle poczułem ich zapach. Obydwu. I żony, i córki. Otworzyłem oczy. To był nasz ogród. Ogród pełen moich najpiękniejszych wspomnień. Oczywiście nie mogłem się stamtąd wynieść.

- Wciąż pan tam mieszka? - Trond nieco się rozluźnił, lekko zgarbił, łokciem oparł o kolano.

- Nie. Ale to zupełnie inna historia. - Yngvar schował cygaro z powrotem do kieszeni. - Pojawiają się nowe historie. Zawsze pojawiają się nowe historie, Trond. Takie jest życie. Na razie jednak musisz na nowo dokonać podboju tej sypialni. Całego domu. Jest twój. I pełno w nim dobrych wspomnień. Pamiętaj o nich. Zapomnij o tym strasznym wieczorze.

Trond wstał, wyprostował się, przetoczył głową z boku na bok, skubiąc nogawki spodni. W końcu uśmiechnął się niepewnie.

- Miły z pana policjant.

- Większość policjantów to mili ludzie.

Chłopak dalej się uśmiechał. W końcu rozejrzał się po raz ostatni i ruszył do drzwi.

Wreszcie mógł wyjść.

Na środku pokoju się zawahał, stanął, zrobił jeszcze krok, ale

zaraz się odwrócił i podszedł do nocnej szafki po lewej stronie łóżka. Wyciągnął szufladkę, pełen wątpliwości, jak gdyby się spodziewał, że zobaczy tam coś przerażającego.

- Powiedział pan, że nikt tu nic nie ruszał, tylko sprzątał. Niczego stąd nie zabierano?

- Nie. Z sypialni nie. Wzięliśmy jakieś dokumenty i oczywiście komputer, tak jak cię informowaliśmy, i...

- Ale nic stąd?

-Nie.

- Mój zegarek. Leżał na nocnej szafce. I książka.

-Tak?

- Mam zegarek do nurkowania. Okropnie wielki. Nie mogę w nim spać, więc wieczorem kładę go tutaj. - Stuknął palcami w blat nocnej szafki, a potem w skupieniu dotknął palcem grzbietu nosa.

- Ależ przecież ty się nie kładłeś! Byłeś u swojego brata na...

- No właśnie - przerwał mu Trond. - Ubrałem się elegancko. Mieliśmy taki garniturowy skecz i nie pasował do tego wielki zegarek z czarnego plastiku. Położyłem go więc tutaj...

- Pewien jesteś? - spytał Yngvar ostro.

Wychwycił irytację w głosie Tronda Arnesena, który powtórzył:

- Moja książka i zegarek leżały tutaj. Na szafce. Vibeke miała... - Gdy wypowiedział jej imię, uraza w głosie zniknęła.

- Vibeke miała lekką alergię - mruknął. - Nie chciała trzymać książek w sypialni. Pozwalała mi przynosić tylko tę, którą akurat czytałem. To ostatnia książka Bencke. Byłem już w połowie. Leżała tutaj.

- No dobrze... Ale muszę cię spytać jeszcze raz. Jesteś tego pewien?

- Tak! Mój zegarek... Lubilem go. Dostałem od Vibeke. Tysiąc rozmaitych funkcji. Nigdy bym...

Urwał. Lekko się zarumienił u nasady włosów. W roztargnieniu pociągnął się za ucho.

- Oczywiście mogę się mylić - powiedział słabym głosem. - Nie bardzo wiem...

- Ale uważasz, że pamiętasz.

- Uważam, że pamiętam... Książki nie mogłem położyć w żadnym innym miejscu. Czytam tylko w łóżku...

Wpatrywał się w Yngvara wyraźnie zrozpaczony. Ta rozpacz nie może mieć związku z książką, pomyślał Yngvar. Trond Arnesen przez moment dał się zwieść i uwierzył, że wszystko może być jak dawniej, że obraz ukrzyżowanej Vibeke w łóżku kiedyś się zatrze i zniknie.

- Nie mogłem chyba położyć ich gdzieś indziej? Zwłaszcza książki. Zegarek... może, ale...

- Chodź - powiedział Yngvar. - Zapytam, co się z tym stało. Na pewno ktoś je po prostu przełożył. Wychodzimy.

Trond Arnesen jeszcze raz otworzył szufladkę. Była pusta. Przeszedł na drugą stronę łóżka, ale tam też nie znalazł tego, czego szukał. W oczach miał prawie szaleństwo, gdy biegł do łazienki. Yngvar nie ruszał się z miejsca. Dochodziły do niego odgłosy otwieranych i zamykanych drzwiczek i szufladek. Kłapanięcie pokrywy kosza od śmieci, szuranie, potrząsanie i podzwanianie.

W końcu chłopak stanął w drzwiach, wyciągając puste ręce.

- Pewnie tylko mnie się wszystko myli - powiedział grubym głosem. Spuścił wzrok, wychodząc za Yngvarem z sypialni. - Vibeke zawsze powtarzała, że okropny ze mnie bałaganiarz.

*

Zło jest iluzją, pomyślała.

Stała przy brązowym popiersiu Jeana Cocteau. Stwierdziła, że rysy są nieudolnie rozmyte, jakby komuś przyszło do głowy uwiecznić pozbawiony talentu wytwór dziecka bawiącego się roztopionym woskiem. Rzeźba umieszczona była na brzegu kei, kilka kroków od niewielkiej kapliczki, którą Cocteau osobiście ozdobił. Za wejście trzeba było zapłacić, dlatego na freski ledwie rzuciła okiem. To było w święta. W przypiływie świątecznej nostalgii zapragnęła zajrzeć do domu bożego, a kościół Świętego Michała położony niedaleko na zboczu wydawał jej się nieznośny ze swym katolickim kiczem i monotonnym mamrotaniem ojczulka. Wycofała się stamtąd.

Ale płacenie za spotkanie z Bogiem, w którego nigdy nie wierzyła, było mimo wszystko gorsze. Miała ochotę przypomnieć

tlustej babie za drzwiami do kaplicy Cocteau o gniewie Jezusa w świątyni. Chciwe babsko siedziało za stolikiem z prostackimi pamiątkami w cenach, od których włos jeżył się na głowie, i zażądało dwóch euro za wejście. Aż żal, że słaba znajomość francuskiego pozwalała jej jedynie na kilka wypowiedzianych ściszym głosem przekleństw.

Był teraz piątek, trzynasty lutego. Popołudniowy sztorm wyrządził znaczne szkody. W restauracjach wzdłuż promenady fale wytlukły szyby w panoramicznych oknach. Młodzi ludzie w białych koszulach, trzęsąc się z zimna, biegali z płytami sklejki i bez szczególnej zręczności przybijali je jako tymczasową osłonę przed wiatrem i deszczem. Krzesła leżały połamane w drzazgi. W odległości kilku metrów od brzegu kei kołysał się na wodzie stół. W zatoce przetrwały burzę łodzie przycumowane tylko do jednego pacholka. Gorzej było z czterema czy pięcioma jolkami cumującymi przy przystani. W niespokojnym szarocznym morzu dało się rozróżnić jedynie szczątki drewna i lin.

Oparła się o Jeana Cocteau i znów pomyślała: Zło to iluzja.

Zła strona człowieka zapewniała jej chleb powszedni. Nigdy niczego nie zaniedbywała. Przeciwnie, wiedziała więcej o zdradzie, nikczemności i nędżności duszy niż zdecydowana większość innych ludzi.

Kiedyś czuła z tego powodu pewną dumę.

Na początku, dziewiętnaście lat temu, gdy miała dwadzieścia kilka lat, odkryła, z jaką łatwością jej to wszystko przychodzi, z jakiego ukrytego i zaskakującego talentu może odcinać kupony, i wtedy od czasu do czasu wpadała w zachwyty. Entuzjazm. Tak to zapamiętała. Bez goryczy wspominała lata poświęcone na zdobycie wykształcenia uniwersyteckiego, które miało nigdy nie przynieść jej pożytku. To było czasochłonne tracenie energii prowadzące się do zabijania czasu, próżny trud, ale wszystko przestało mieć znaczenie, gdy wreszcie w wieku dwudziestu sześciu lat znalazła swoją półkę w życiu.

W pewien marcowy wieczór w 1985 roku siedziała nad wydrukiem z konta przy kuflu piwa. Próbowwała sobie wyobrazić własną półkę na wymyślnym regale na ścianie życia. Ta półka miała z niej zrobić kogoś wyjątkowego, cennego,

niezwykłego. Głośno się śmiała z tej wyświechtanej metafory, wyobrażając sobie mnóstwo ludzi wypatrujących swojego miejsca, pełzających w koło w poszukiwaniu wolnej półki.

Morze już się uspokoiło. Było zimno. Chłopcy w koszulach zasłonili największe dziury, na dalsze działania najwyraźniej zabrakło im sił. W jej stronę szło dwoje młodych ludzi w ciemnych ubraniach. Minęli ją, chichocząc i szepcząc do siebie niezrozumiale. Odwróciła się, śledząc ich wzrokiem; widziała, jak ślizgają się na mokrym bruku i znikają w ciemności.

Wyglądali na Norwegów. Chłopak niósł plecak.

Na szczęście ostatnie zdjęcie zrobiono jej dwanaście lat temu. Była wtedy szczuplejsza. O wiele szczuplejsza i miała długie włosy. Zdjęcie, na które od czasu do czasu zerkiała ze złego nawyku, przedstawiało kogoś innego. Tak właśnie musiała myśleć. Teraz nosiła okulary. W długich włosach już jej nie było do twarzy. W lustrze widziała, jak życie bezlitośnie wwiercило się w tę kiedyś zwyczajną twarz. Nos, również wtedy nieduży, teraz wyglądał jak guzik. Oczy, zawsze niezbyt wielkie, ale piwne, a przez to nietypowe, prawie zniknęły za okularami i zbyt długą grzywką.

Przekonanie o własnej wyjątkowości było ułudą.

Ludzie są tacy cholernie identyczni.

Nie wiedziała, kiedy uświadomiła sobie tę prawdę. Prawdopodobnie następowało to stopniowo. Powtarzalność w jej pracy zaczęła ją niecierpliwic, chociaż nie wiedziała, co by chciała zmienić. Oczywiście każdy jej plan był wyjątkowy, każde przestępstwo inne. Różniły się okoliczności, ofiary też miały swoją indywidualność. Była przy pracy uważna, staranna. A mimo to nie potrafiła postrzegać tego inaczej niż jako denerwujący szereg powtórzeń.

Nie potrafiła już sprawić, by czas zwolnił lub przyspieszył bieg.

On po prostu płynął sam z siebie.

Aż do tej pory, pomyślała, oddychając głęboko.

Wszyscy są tacy sami.

Czas, na którego wypełnieniu ludziom tak zależało, był pojęciem bez treści, stworzonym po to, by nadać zdradziecki

sens temu, co sensu nie miało: trwaniu przy życiu.

Naciągnęła czapkę na głowę i wolno ruszyła po schodach wciśniętych między prastare kamienne domy. W ciasnych zaułkach panowała niezwykła ciemność. Może sztorm zniszczył też linię energetyczną.

Dzięki studiowaniu ludzkich zachowań w pewnym momencie zrozumiała, że troska, solidarność i dobroć to jedynie puste słowa, określające pożądane zachowania, które usiłowano narzucać, opierając się naprzemiennie na kamiennych tablicach ofiarowanych przez Boga, wyroczniach nieśmiertelnych mnichów, proroctwach wojowniczego Araba, wymysłach filozofów czy przypowieściach płynących z ust udręczonego Żyda.

Prawdziwie ludzkie jest zło.

Zło nie jest ani dziełem diabła, ani uleganiem sile grzechu, ani też dialektycznym rezultatem materialnego ubóstwa i niesprawiedliwości. Nikomu nie przyjdzie do głowy nazwać złą lwicę, która opuszcza chorego potomka, nie myśląc o tym, że jej dziecko bez matczynej troski czeka bolesna śmierć. Nie znajdzie się potępienia moralnego w zoologicznych opisach zachowania samca aligatora, który pożera własne dzieci, kierowany przez instynkt, bo siedlisko nie zniosłoby większego obciążenia.

Zatrzymała się w zaułku przy niepozornych drzwiach do kościoła Świętego Michała. Wahala się przez moment. Od wspinaczki po tyłu schodach oddychała szybko. Ostrożnie położyła dłoń na klamce, ale zaraz wzruszyła ramionami i poszła dalej. Najwyższa pora iść do domu. Deszcz mżył, kleił się do skóry jak para wodna.

Piętnowanie naturalnych zachowań nie ma sensu. Dlatego zwierzętom uchodzi wszystko na sucho. Gdyby ludzie nie słuchali nakazów i zakazów kultury, może jednak celowe byłoby wyrycie kainowego piętna na czołach tych, którzy zabijają, idąc za głosem natury.

- To mimo wszystko nie jest zło - szepnęła do siebie na Place de la Paix.

Krzyż na tablicy z napisem *Pharmacieet* mrugał jadowitą

zielenią na pustą zamkniętą kafejkę po przeciwnej stronie ulicy. Zatrzymała się przy wystawie pośrednika handlu nieruchomościami.

Uda lekko, przyjemnie ją bolały, chociaż pokonała zaledwie nieco ponad dwieście stopni. Spróbowała smaku potu na górnej wardze. Zapiekl odcisk na lewej pięcie. Już dawno nie czuła przyjemności wywołanej fizycznym wysiłkiem. Słaby ból dawał poczucie istnienia. Podniosła twarz ku niebu. Krople deszczu spływały za kołnierz i niżej po skórze. Czuła, że brodawki piersi się naprężają.

Wszystko się zmieniło. Życie dało się wyczuć przez dotyk, nabrało namacalnej intensywności, jakiej nigdy wcześniej nie doznawała.

Nareszcie stała się wyjątkowa.

Zadanie było zbyt trudne.

Inger Johanne Vik skrzywiła się, czując smak herbaty, która zgorzkniała, bo stała za długo. Wypluła żółtobrazowy płyn z powrotem do filiżanki.

- Fuj! - mruknęła, ciesząc się, że jest sama. Odstawiła filiżankę i otworzyła lodówkę.

Powinna odmówić. Te dwie sprawy były dostatecznie skomplikowane dla profesjonalistów pracujących w zespole, z dostępem do nowoczesnej technologii, zaawansowanych programów komputerowych, pełnej wiedzy o dowodach rzeczowych i poszlakach, a poza tym mających do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ona nic z tego nie miała. Porwała się z motyką na słońce. Dni należały do dzieci. Chwilami odnosiła wrażenie, że krążąc między pralką a lekcjami Kristiane, gotowaniem i próbami odprężenia się na kanapie z dzieckiem przy piersi, działa na włączonym auto- pilocie. Nawet gdy starszą córkę brał do siebie ojciec, codziennych obowiązków miała aż nadto.

Ale pozostawały długie noce.

Czas spędzany nad kopiami dokumentów, które Yngvar wbrew wszelkim regulaminom przynosił do domu z pracy każdego popołudnia, płynął wolno, jak gdyby i zegar uważał, że po męczącym dniu on również zasługuje na odpoczynek.

Sięgnęła po wodę mineralną, otworzyła ją i napita się prosto z butelki.

- *Ruptura perianalis* - powiedziała do siebie półgłosem, siadając znów przy blacie i przeglądając ostateczne wyniki sekcji włók Fiony Helle.

Analiz rozumiała. *Ruptura* oznaczało coś jak pęknięcie czy szczelinę. Gorzej było z przedrostkiem *peri*.

- Peryskop - mruknęła, gryząc ołówek. - Peryferyjny. Pery...

Lekko uderzyła się w czoło. Na szczęście nikogo nie pytała. Idiotyczne, że natychmiast nie zrozumiała znaczenia tego

słowa. Chociaż obie córki urodziła za pomocą cesarskiego cięcia, miała mnóstwo koleżanek, które bardzo obrazowo opisywały problem.

Mała Fiorella zostawiła po sobie ślad.

No dobrze. Inger Johanne odłożyła dokument na bok i skupiła się na raporcie z wizji lokalnej. Nie powiedział jej nic, czego by nie wiedziała już wcześniej. Niecierpliwie dalej przerzucała kartki. Ponieważ sprawa się rozrosła do kilkuset, może nawet ponad tysiąca dokumentów, oczywiście nie miała dostępu do wszystkich.

Yngvar sortował i wybierał. Ona czytała.

Niczego nie znajdując.

Dokumenty stanowiły szereg powtórzeń, krążyły po zamkniętym kole tego, co oczywiste i jasne. Nie otwierały się żadne tajemnice. Nic nie stawiało oporu, nie wywoływało zdziwienia, nie nakazywało poświęcić czemuś więcej czasu w nadziei na spojrzenie z innej perspektywy.

Z rezygnacją głośno zamknęła teczkę.

Powinna się nauczyć częściej odmawiać.

Na przykład gdy rano zadzwoniła matka i koniecznie chciała zaprosić całą rodzinę na obiad w przyszłą niedzielę. Oczywiście razem z Isakiem.

Od rozwodu upłynęło pięć lat. Chociaż Inger Johanne irytowało swobodne wychowanie Kristiane przez Isaka, bez ustalonej pory kładzenia się spać, za to z łatwymi w przyrządzaniu posiłkami i słodyczami na co dzień, czuła szczerą radość, widząc ich razem. Byli do siebie bardzo podobni pod względem fizycznym, a także zgrani psychicznie, mimo dziwnej i niezdiagnozowanej choroby córki. Gorzej natomiast Inger Johanne radziła sobie z zaakceptowaniem bliskich kontaktów byłego męża z jej rodzicami. Szczerze mówiąc, widywał się z nimi częściej niż ona.

Urażało ją to, złościła się na niego, bo czuła wstyd.

Weź się w garść! - nakazywała sobie.

Nie bardzo wiedząc dlaczego, znów sięgnęła po protokół z sekcji zwłok.

Było tam napisane: Uduszenie. Ale przyczynę śmierci już

przecież znała.

Kliniczny opis języka. Tam też nic nowego.

Wybroczyny wokół obu nadgarstków. Brak oznak przemocy seksualnej. Grupa krwi A. W jamie ustnej, na lewym policzku, guzek wielkości grochu, niezłośliwy. Blizny w kilku miejscach. Wszystkie stare. Jedna po operacji barku, cztery po usuniętych pieprzykach i po cesarskim cięciu. Poza tym stosunkowo duża, ale prawie niewidoczna szrama o poszarpanych brzegach na prawym ramieniu

- ślad, jakiegoś bardzo dawnego urazu. Zapalenie w płątku jednego ucha. Paznokcie lewego palca wskazującego siny, w momencie śmierci schodził.

Drobiazgowo szczegóły w protokole z sekcji nic jej nie dały. W świadomości utkwiło jedynie niejasne wrażenie, że jest tu coś ważnego. Coś na moment przykuło jej uwagę, coś się tu nie zgadzało.

Zawodziła koncentracja. Inger Johanne czuła poirytowanie Isakiem, matką, ich przyjaźnią.

Zmarnowana energia, oczywiście. Isak to Isak. Matka była taka jak zawsze, mało bezpośrednia i ekstremalnie lojalna wobec tych, których kochała. Unikała konfliktów.

Przestań się przejmować, pomyślała Inger Johanne niepewnie. Ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Skup się - powiedziała do siebie półgłosem. - Musisz się sku...

Tutaj.

Palec zatrzymał się na dole strony.

To się nie zgadzało.

Kiedy uniosła rękę, żeby przerzucić kartkę, gorączkowo szukając informacji, która przelotnie wpadła jej w oko, poczuła, że dłoń jej drży. Lekkie przyspieszenie pulsu kazało jej oddychać przez usta.

Tutaj.

Miała rację. To się żadną miarą nie zgadzało. Kiedy sięgała po telefon, poczuła, że dłoń ma lepką od potu.

*

W zupełnie innym krańcu Oslo Yngvar Stubø opiekował się

swoim pięcioletnim wnukiem. Chłopiec spał u niego na kolanach. Dziadek nosem potarł ciemną główkę. Poczłł słodki, ciepły zapach mydła dla dzieci. Mały powinien już leżeć w łóżku. Zięć był miły, tolerancyjny, ale twardo się upierał, że Amund musi zasypiać sam. Yngvar nie potrafił się jednak oprzeć okrągłym czarnym oczkom. Przemycił z domu jedną z butelek Ragnhild. Wyraz twarzy Amunda, kiedy zrozumiał, że będzie mógł udawać dzidziusia karmionego butelką i tulonego na kolanach, nie miał ceny.

Malec, o dziwo, nigdy nie był zazdrosny o Kristiane. Przeciwnie, cztery lata starsza dziwna dziewczynka najwyraźniej go fascynowała. Gorzej było, gdy i jemu pół roku temu urodziła się siostra. A narodziny Ragnhild najwyraźniej postanowił wyprzeć.

Zadzwoił telefon.

Amund wciąż spał głęboko, rozluźnił tylko palce zaciśnięte na butelce, gdy Yngvar nachylił się do stolika, żeby odebrać.

- Halo - powiedział ściszonym głosem, przytrzymując telefon między brodą a barkiem i sięgając po pilota.

- Cześć, kochany. Dobrze się macie?

Uśmiechnął się. Zdradził ją pośpiech wyraźnie pobrzmiwający w głosie.

- Tak, świetnie. Bawiliśmy się. Graliśmy w jakąś idiotyczną grę w karty, budowaliśmy z klocków lego. Ale ty nie dzwonisz po to, żeby o tym słuchać, prawda?

- Nie będę wam długo zawracać głowy, jeśli ...

- Mały śpi, mam czas.

- Czy mógłbyś... Jutro albo kiedy w ogóle się da, musisz sprawdzić dla mnie dwie rzeczy.

- Aha?

Wcisnął nie ten guzik na pilocie. Zanim znalazł właściwy, prezydent wiadomości zdążył rykiem oznajmić, że w Basrze zginęło czterech Amerykanów. Amund westchnął i wtulił buzię w ramię dziadka.

- Siedzę trochę... Zaczekaj.

- Będę się streszczać. Musisz dla mnie zdobyć kartę pobytu w szpitalu związaną z narodzinami Fiorelli. To znaczy kartę

Fiony Helle z czasu, gdy rodziła córkę.

- Ach tak? - zdziwił się. - Dlaczego?

- Nie lubię rozmawiać o takich sprawach przez telefon - powiedziała Inger Johanne z wahaniem. - A ponieważ nocujesz u Bjar- nego i Randi, to albo musisz zajrzeć do domu jutro rano po bliższe szczegóły, albo...

- Rano nie zdążę. Obiecałem Amundowi, że odprowadzę go do przedszkola.

- No to mi zaufaj. To może okazać się ważne.

-Ja ci zawsze ufam.

- I słusznie. - Śmiech Inger Johanne zatrzeszczał w słuchawce.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział. — Chciałaś, żebym zrobił dla ciebie coś jeszcze.

- Musisz mi pozwolić... Z tych papierów wynika, że matka Fiony jest bardzo chora i...

- To prawda. Sam ją przesłuchiwałem. Stwardnienie rozsiane. W pełni przytomna umysłowo, ale poza tym całkiem niesprawna.

- A więc da się z nią rozmawiać?

- Z tego, co wiem, stwardnienie rozsiane nie atakuje mózgu.

- Przestań być taki.

Amund wsunął kciuk do buzi i znów wtulił się w Yngvara.

- Nie jestem taki - uśmiechnął się. - Po prostu się z tobą droczę.

- Muszę z nią porozmawiać.

-Ty?!

- Wykonuję dla was robotę, Yngvarze.

- Najzupełniej nieformalnie i bez żadnych upoważnień. I tak źle, że wynoszę dokumenty, lecz akurat na to szef patrzy przez palce. Ale nie mogę ci udzielić...

- Nikt nie powstrzyma mnie jako osoby prywatnej od odwiedzin u starszej pani w domu dla przewlekle chorych.

- No to dlaczego mnie pytasz?

- Chodzi mi o Ragnhild. Zabieranie jej tam to chyba nie najlepszy pomysł. Czy istnieje jakaś minimalna szansa, żebyś wrócił jutro do domu wcześniej?

- Wcześniej - powtórzył. - To znaczy?
 - Pierwsza? Druga?
 - Może uda mi się wyrwać koło pół do trzeciej. Wystarczy?
 - Musi. Dziękuję.
 - Jesteś pewna, że nie chcesz nic wyjaśnić? Umieram z ciekawości, o co chodzi.
 - A mnie ledwie się udaje utrzymać język za zębami - powiedziała, popijając coś. Głos prawie zanikł. - Ale to ty mnie nauczyłeś ostrożności przez telefon.
 - No dobrze, będę musiał się opanować. Do jutra.
 - Połóż Amunda do łóżka - przykazała.
 - Przecież on leży w łóżku - odparł zdumiony.
 - Nie. Śpi u ciebie na kolanach z butelką Ragnhild.
 - Bzdura!
 - Połóż go, Yngvarze, i śpij dobrze. Jesteś najlepszy na świecie.
 - A ty jesteś...
 - Chwileczkę. Gdybyś zdążył, mógłbyś sprawdzić jeszcze coś. Czy Fiona w okresie, kiedy chodziła do liceum, nie zniknęła na dłuższy czas ze szkoły?
 - Co?
 - Może wyjechała na jakąś wymianę, uczyć się języka, a może długo chorowała albo odwiedzała ciotkę w Australii. To nie powinno być trudne do sprawdzenia.
 - Spytaj jej matkę, skoro zamierzasz się z nią spotkać. To chyba najważniejsza osoba do udzielenia odpowiedzi na takie pytanie.
 - Nie jestem przekonana, czy mi odpowie. Zapytaj męża albo jakąś starą przyjaciółkę, kogoś takiego. Zrobisz to?
 - Zrobię, zrobię. Kładź się już.
 - Dobranoc, kochany.
 - Naprawdę się już kładź. Nie ślęcz dłużej nad tymi papierami. One ci nie uciekną. Dobranoc.
- Delikatnie odłożył słuchawkę i wstał z miękkiej kanapy. Z trudem znalazł równowagę, za mocno przy tym ściskając Amunda. Malec jęknął cicho, ale wciąż leżał w jego objęciach bezwładny jak lalka.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy uważają, że cię rozpieszczę

- szepnął Yngvar. - Nie mogę tego pojąć.

Zaniósł wnuka do pokoju gościnnego, położył go na łóżku pod ścianą, po cichu przebrał się w piżamę i wsunął się obok dziecka.

- Dziadek - szepnął Amund przez sen i rączką dotknął karku Yngvara.

Spali mocno przez dziewięć godzin. Yngvar prawie godzinę spóźnił się do pracy.

*

Trond Arnesen zadbał o to, by latarnia na słupie furtki i lampa na ganku działały, zanim sprowadził się z powrotem do niedużej willi, którą miał teraz przejąć w spadku. Mimo to ciemność na zewnątrz wydawała się niebezpieczna. Brat zaofiarował się, że będzie u niego nocować przez pierwsze dni. Trond podziękował. Przejście do samotnego życia nie mogło następować stopniowo. To był jego dom, chociaż sprowadził się tu zaledwie dwa miesiące temu. Vibeke miała dość staroświeckie poglądy i nie zgodziła się na wspólne zamieszkanie, dopóki nie wyznaczona została data ślubu.

Starał się unikać okien. Zanim robiło się naprawdę ciemno, zaciągał zasłony. Szpary, czarne szczeliny pustki, były groźne.

Telewizor migotał bez głosu. Vibeke kupiła czterdziestodwucalową plazmę na jego urodziny. Zbyttnia rozrzutność, przecież nie stać ich było na to po kosztownym remoncie. „Żebyś mógł oglądać piłkę nożną”, oświadczyła uśmiechnięta i otworzyła butelkę drogiego szampana. Tamtego dnia kończył trzydzieści lat. Zdecydowali, że jesienią postarają się o dziecko.

Nie miał ochoty oglądać telewizji, był zbyt podminowany, ale milczący ludzie na ekranie zapewniali wrażenie życzliwej bliskości. Przez kilka godzin chodził z pokoju do pokoju, siadał, dotykał jakiegoś przedmiotu, wstawał, przechodził dalej, bojąc się, co znajdzie za następnymi drzwiami. W łazience czuł się bezpieczny. Była bez okien i ciepła, więc koło szóstej zamknął drzwi i spędził w niej godzinę. Zły na siebie, wziął kąpiel, jak gdyby musiał usprawiedliwić swoje poszukiwanie

bezpieczeństwa w domu, w którym teraz, o pół do jedenastej wieczorem, w poniedziałek szesnastego lutego nie mógł pojąć, jak będzie mógł dalej żyć.

Usłyszał jakiś odgłos z zewnątrz.

Wydawało mu się, że dochodzi z tyłu, ze zbocza, które prowadziło do małego strumyka przepływającego w odległości pięćdziesięciu metrów od domu przez ogród, tam gdzie płot z desek zaznaczał granicę niedziałającego już szrotu.

Zdrętwiały stanął i nasłuchiwał.

Cisza była totalna. Nie słyszał nawet zwykłego tykania termostatu przy panelowym grzejniku pod oknem.

Coś mu się przywidziało.

Dorosły mężczyzna, pomyślał ze złością i na chybił trafił wyciągnął z półki jakąś książkę.

Zapatrzył się na stronę tytułową. O pisarzu nigdy nie słyszał, to musiał być ktoś nowy. Odłożył ją płasko na inne tomy. Uświadomił sobie, że Vibeke zawsze to irytowało, więc znów sięgnął po książkę i wsunął ją na miejsce między dwie inne.

Znowu ten odgłos przypominający trzask.

Brat zawsze nazywał go tchórzem. Nie miał racji. Trond Arnesen nie był tchórzem, był po prostu ostrożny. Młodszy o piętnaście miesięcy brat zawsze wyprzedzał go przy wspinaczce na drzewa, lecz po prostu Trondowi rozum podpowiadał, że wspiąć się wyżej jest niemądrze. Kiedy brat miał siedem lat, skoczył z dachu czterometrowego garażu ze spadochronem zrobionym z prześcieradła i czterech kawałków sznurka. Trond wtedy stał na ziemi i ostrzegał go przed tym przedsięwzięciem. Brat złamał nogę.

Trond nie był tchórzem. Miał po prostu świadomość konsekwencji.

Lęk, który go teraz ogarnął, nie miał nic wspólnego z przewidywaniem. Obcy smak żelaza kleił się do języka, suchego i nagle jakby za dużego. Gdy strach dotarł do bębneków w uszach, Trond musiał potrząsnąć głową, żeby usłyszeć coś ponad szum własnej krwi.

Jej drobiazgi rozrzucone tu i tam. Numer „Henne” z żółtą karteczką Post-it zaznaczającą artykuł o rodzinach z małymi

dziećmi, w których brakuje czasu na wszystko. Stalowo-plastikowa zapalniczka, którą podarował jej na Gwiazdkę, dając tym samym znak, że nie musi już przed nim ukrywać papierosów.

Spojrzeniem błyskawicznie omiół pokój.

Meble Vibeke.

Nie był tchórzem i chociaż wcześniej dźwięki dochodziły z tyłu domu, pognał teraz do drzwi wejściowych, nie wyglądając nawet przez okno w salonie, żeby się upewnić, czy ten odgłos wydało zwierzę, zbłąkany łoś, a może tylko któryś z wałęsających się po okolicy wielu chudych kotów.

Bez wahania szarpnięciem otworzył drzwi.

- Cześć - powiedział wyraźnie zmieszany Rudolf Fjord. - Cześć, Trond. - Stał przed schodami, z jedną nogą na pierwszym stopniu.

- Cześć - powtórzył niepewnie.

- Idiota! - parsknął Trond. - Czemu, u diabła, skradasz się po ogrodzie? Czego ty, do cholery...

- Chciałem tylko sprawdzić, czy ktoś jest w domu - tłumaczył Rudolf, teraz nieco już głośniejszy, ale nadal wysokim głosem, jakby bez większego powodzenia usiłował wziąć się w garść. - Moje kondolencje.

Trond Arnesen rozłożył ręce i wyszedł na próg.

- Kondolencje? Przychodzisz tu o godzinie... - Podciągnął lewy rękaw swetra, ale zegarek do nurkowania jeszcze się nie znalazł.

- ...Cholernie późno w poniedziałkowy wieczór, żeby mi złożyć kondolencje? Już składałeś! Co, u diabła... Wystraszyłeś... Idź sobie!

- Uspokój się!

Rudolf zdołał wreszcie się pozbierać. Pojedynawczo wyciągnął rękę na powitanie, ale Trond najwyraźniej nie miał ochoty jej uściśnąć.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy jesteś w domu - jeszcze raz spróbował Rudolf. - Nie zamierzałem ci przeszkadzać, gdybyś ewentualnie spał. Dlatego zrobiłem rundkę wokół domu. Człowieku, zaciemniłeś wszystkie okna! Dopiero kiedy

zobaczyłem smużkę światła z salonu, zorientowałem się, że nie śpisz. Właśnie miałem zadzwonić do drzwi...

- U diabła, czego ty chcesz, Rudolfie?

Trond nigdy nie lubił partyjnego kolegi Vibeke. Ona zresztą też. Kiedy o to pytał, najeżała się i krótko odpowiadała, że nie można mu całkiem ufać, ale nie chciała zdradzić nic więcej. Trond nie miał pojęcia, na ile Rudolf Fjord jest godny zaufania, ale nie podobał mu się sposób, w jaki ten facet traktował kobiety. Był przystojny, tak przynajmniej wydawało się Trondowi. Wysoki, dobrze zbudowany, z mocnym podbródkiem i intensywnie niebieskimi oczami. Rudolf wykorzystywał kobiety, konsumował je.

- Tak jak mówiłem, chciałem tylko...

- Daję ci jeszcze jedną szansę. Nie przyszedłeś tu z wyrazami współczucia w środku nocy. To kłamstwo możesz sobie wsadzić do kieszeni. Dlaczego tu jesteś?

- Pomyślałem sobie... - Rudolf Fjord wyglądał tak, jakby zbierał myśli. Spojrzeniem niespokojnie krążył po ogrodzie. - Pomyślałem, że cię spytam, czy nie zgodziłbyś się, żebym poszukał pewnych ważnych dokumentów, które Vibeke zabrała z biura. Miała je zwrócić w poniedziałek po zabójstwie. To znaczy...

- O rany! - Trond Arnesen wybuchnął głośnym, pozbawionym radości śmiechem. - Czy ty jesteś kompletnym głupkiem? Krańcowym idiotą? - Znów się roześmiał, niemal rozpaczliwie. - Przecież policja zabrała wszystkie papiery Czyś ty... Niczego nie rozumiesz? Nie masz pojęcia, co się dzieje, kiedy ktoś zostaje zabity?

Zrobił krok w przód i zatrzymał się na samej krawędzi ganku. Dłońmi zasłonił uszy, jakby przed chwilą był świadkiem katastrofy. W końcu opuścił ręce, odetchnął głęboko i dodał:

- Porozmawiaj z policją. Na razie.

Już był za drzwiami i miał je zamknąć, gdy Rudolf Fjord pokonał schody jednym skokiem i wsunął nogę za próg, łydką blokując otwór między drzwiami a futryną. Trond spojrzał w dół. Zdziwiony uświadomił sobie własną wściekłość i z całej siły dociągnął drzwi.

-Au! Cholera! Trond! Posłuchaj! Au!

- Zabierz tę nogę! - Trond puścił drzwi na moment.

- Mój komputer! - Rudolf wsunął stopę jeszcze głębiej. - A poza tym...

Trond Arnesen nie ustąpił. Obie ręce trzymał na kłamce.

- Noga zaraz ci się złamie - oświadczył, teraz już spokojny.

- Odsuń się!

- Potrzebuję tych dokumentów i komputera.

- Kłamiesz! To był jej prywatny komputer, dostała go ode mnie.

- Ale ten drugi, ten...

- Żadnego innego nie było.

- Ale...

Trond pociągnął z całej siły za drzwi.

-Au! Auuuu! A poza tym ona pożyczyła książkę!

Noga była już porządnie wykręcona. Trond z fascynacją wpatrywał się w czarny but. Kant drzwi wbił się w skórę buta tuż nad osłoną kostki.

-Jaką książkę? - spytał, nie podnosząc oczu.

- Ostatnią powieść Bencke - wykrztusił Rudolf.

Przynajmniej to była prawda. Trond zauważył ekslibris i trochę się zdziwił, że tych dwoje pożyczało sobie lektury.

- Tej książki nie ma - powiedział.

- Nie ma?

- Do diabła, Rudolfie! Książka zginęła i akurat w tej chwili to najmniejszy problem. Kup sobie kieszonkowe wydanie.

- Puść mnie!

Trond na próbę uchylił drzwi o parę centymetrów. Rudolf przyciągnął nogę do siebie. Z gardła wydarł mu się żaloszny jęk, gdy położył stopę na drugim kolanie i próbował delikatnym masowaniem przywrócić krążenie w łydce.

- No to cześć - powiedział słabym głosem.

Kulejąc, zszedł ze schodów. Trond obserwował go, nie ruszając się z miejsca. Na alejce do furtki Rudolf kilka razy o mało się nie przewrócił. Mimo szerokich barków i drogiego płaszcza z wielbłądziej wełny wyglądał żalosznie, kiedy kuśtykając i postępując, szedł do drogi. Samochód zostawił

daleko. Trond ledwie dostrzeża! srebrną płytę dachu błyszczącą w świetle latarni stojącej na samej górze zbocza. Na moment ogarnęło go współczucie.

- Żałosny typ - powiedział do siebie i poczuł, że już się nie boi zostać sam.

*

Rudolf Fjord siedział w samochodzie, dopóki szyby całkiem nie zaparowały. Dookoła panowała cisza. Stopa solidnie bolała. Nie miał odwagi zdjąć buta, by sprawdzić, czy coś mu się nie stało, bo bał się, że go już nie włoży. Na próbę wcisnął sprzęgło - szczęście, że ból dało się wytrzymać. Będzie mógł prowadzić.

W najlepszym razie nic się nie stanie.

Dokumenty są na policji. Oni niczego nie znajdą. Nie tego szukają.

Nie był nawet pewien, czy cokolwiek istnieje. Vibeke nigdy mu nie mówiła, co ma w ręku. Jej aluzje były mroczne, pogróżki niejasne. Ale na coś musiała wpaść.

Liczył, że wejdzie do pustego domu. Teraz nie mieściło mu się w głowie, że mógł tak myśleć, cały ten wypad wydawał mu się absurdalny. Od początku wiedział, że włamanie nie wchodzi w grę. Nie był odpowiednio ubrany, nie wziął też żadnego sprzętu. Może miał nadzieję na spokojną rozmowę. Na to, że Trond bez zbędnych pytań da mu to, o co poprosi. Że możliwe będzie postawienie kropki, ta zapalna sprawa skończy się raz na zawsze.

Zmęczenie zdawało się wysadzać oczy, suche z braku snu.

Nigdy nie przypuszczał, że strach może wywoływać fizyczny ból.

Może ona tylko blefowała?

Oczywiście, że nie, pomyślał.

Z nogą było coraz gorzej. Łydka drgała w lekkich skurczach. Ze złością stał wilgoć z przedniej szyby i wrzucił bieg.

W najlepszym razie nic się nie stanie.

*

Trzy żalosne narady wreszcie się skończyły. Yngvar Stubø usiadł na obrotowym krześle i z niechęcią patrzył na stopy poczty przychodzącej. Szybko przerzucił listy i notatki. Z

niczym się nie spieszyło. Klepsydra stała zbyt blisko brzegu biurka. Ostrożnie przesunął ją w bezpieczniejsze miejsce. Ziarnka piasku utworzyły połyskujący srebrem stożek w dolnej połówce szkla. Poruszone zaczęły się sypać szybciej.

Czas upływał.

Stawało się to wyraźniejsze z każdym dniem. Nikt wiele nie mówił. U wszystkich wciąż dawało się zauważyć udawany spokój, resztki entuzjazmu, który jeszcze kazał ludziom godzić się na pracę w nadgodzinach bez zbytnich protestów. U wielu śledczych wciąż od czasu do czasu wybuchał optymizm. Przecież mimo wszystko codziennie dokonywano nowych odkryć, chociaż później się okazywały nieważne.

To nie mogło długo trwać.

Mniej więcej trzy tygodnie, pomyślał Yngvar. Gdy niezadowolenie już raz wybuchnie, szybko się rozniesie. Znał ten proces z wcześniejszych spraw, w których twarde dowody kazały na siebie czekać. Dziś mijały dokładnie cztery tygodnie od chwili, gdy zabito Fionę Helle. Po dwudziestu ośmiu dniach intensywnego śledztwa powinni zacząć dostrzegać bodaj mgliste kontury ewentualnego podejrzanego. Jakaś wskazówka sugerująca prawdopodobnego sprawcę, jakaś podpowiedź, kierunek, w którym mogliby się poruszać...

Nic takiego nie kryło się w teczkach na biurku Yngvara Stubø. Ludziom w końcu to się sprzykrzy. Niechęć przeniesie się na tę nowszą sprawę, jak gdyby wszyscy mimo stale powtarzanych zastrzeżeń uważali, że Vibeke Heinerback została zamordowana przez zabójcę Fiony Helle i że człowiek ten całkiem po prostu się ze wszystkiego wywinął.

Sprawy nie zostaną umorzone. Oczywiście, że nie. Przebąkanie o wykorzystaniu środków, braku wyników i obciążających nadgodzinach z czasem, rzecz jasna, przejdzie w ostre protesty. Wszyscy wiedzieli to, czego nikt nie chciał powiedzieć na głos. Z każdą upływającą godziną rozwiązanie obu zagadek coraz bardziej się oddalało. Centrala Policji Kryminalnej dysponowała chyba najbardziej zmotywowanym sztabem w kraju, a bez wątpienia najbardziej w Norwegii kompetentnym. Dlatego każdy z zaangażowanych śledczych

boleśnie zdawał sobie sprawę z przykrego związku między upływem czasu a wyjaśnieniem sprawy.

Yngvarowi aż do bólu chciało się palić.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer nabazgrany na kartce przyklepionej na samym dole tablicy.

Już od dawna nie miał takiej ochoty na cygaro.

- Bernt Helle? Mówi Yngvar Stubø z Kripos.

- Witam - rozległ się głos na drugim końcu.

Zapadła cisza.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku, zważywszy na okoliczności - powiedział Yngvar.

- No tak.

Znów milczenie.

- Dzwonię, bo mam jedno pytanie, a nie chcę panu zawracać głowy przychodzeniem. - Yngvar przełączył telefon na głośne mówienie, zanim odłożył słuchawkę i sięgnął do kieszonki na piersi.

- Chodzi właściwie o drobiazg.

- Tak? - Bernt Helle odchrząknął. - Wprawdzie jestem akurat w drodze...

Szuranie, głośny kaszel.

- Proszę pytać - odezwał się wreszcie.

Na etui cygara pojawiły się wgniecenia.

- Nie jestem pewien, czy to może mieć jakieś znaczenie - zaczął Yngvar, usiłując jednocześnie sobie przypomnieć, od jak dawna nosi to samo etui. - Ale może pan wie, czy Fiona kiedykolwiek była na wymianie uczniowskiej?

- Na wymianie uczniowskiej?

- Tak. To są takie programy, w których...

- Dziękuję, wiem, co to jest wymiana uczniowska - odparł Bernt Helle z rezygnacją i znowu kaszlnął. - Fiona nie przebywała w tym czasie za granicą, jestem tego pewien, chociaż nie przyjaźniłem się z nią w tych latach. Ona chodziła do liceum, a ja do zawodówki. Wie pan...

Yngvar wiedział. Poza tym czuł się jak idiota. Gdyby wstrzymał się z tym telefonem do następnego dnia, miałby pojęcie, po co właściwie dzwoni. Ale Inger Johanne nalegała.

Delikatnie wyjął cygaro z aluminiowej rurki.

- No tak - powiedział. - A gdyby rzeczywiście uczyła się za granicą, to na pewno byście o tym później rozmawiali.

-Jasne. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

Srebrna obcinarka leżała na półce za Yngvarem. Miniaturowa gi- lotynka. Trzaśnięcie, kiedy przygotował cygaro, sprawiło, że do ust napłynęła mu ślina. Zapalił gazową zapalniczkę i wolno obracał cygaro nad płomieniem.

- A więc w ogóle nie była za granicą - podsumował. - Nie wyjeżdżała na kurs językowy do Anglii, na przykład w wakacje? Nie spędziła długich ferii u jakiejś zagranicznej przyjaciółki albo krewnej?

- Nie. Proszę posłuchać... - Gwałtowny atak kaszlu paskudnie uderzył w membranę głośnika. - Przepraszam - wysapał Bernt Helle.

Yngvarowi nawet się nie śniło, że cygaro może tak smakować. Dym był niebieski i suchy na języku. Nie za gorący. Zapach aż kręcił w nosie.

- Oczywiście nie mogę ze szczegółami zrelacjonować, co Fiona robiła w czasie nauki w liceum - ciągnął Bernt Helle. - Jak już mówiłem, wtedy nie chodziliśmy ze sobą. Spotkaliśmy się znów nieco później, po tym, jak...

Głośne kichnięcie.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Powinien pan się położyć do łóżka.

- Prowadzę interes i mam malutką córkę, która właśnie straciła matkę. Nie mam czasu na choroby.

- Wobec tego to ja przepraszam. Nie będę dłużej pana zatrzymywać. Życzę zdrowia.

Rozłączył się. Delikatna jasnoszara mgiełka zaczynała wypełniać pokój. Palii powoli. Jedno pociągnięcie na pół minuty pozwalało, by smak osiadał w ustach, a jednocześnie nie pozwalało cygaru się przegrzać.

Nigdy nie zdoła rzucić. Ale musiał robić przerwy, długie okresy bez napawania się dobrym cygarem o smaku pieprzu i skóry, z odrobiną słodkiego kakao. W głębi ducha zadawał sobie pytanie, czy dzieciom naprawdę może zaszkodzić

odrobina męskiego aromatu od czasu do czasu w piątkowy wieczór. Najlepsze były, rzecz jasna, kubańskie, ale znajdował również przyjemność w łagodnym dymie z Sumatry, po piątkowej kolacji do koniaku, a najlepiej do kieliszka odświeżającego calvadosu.

To już przeszłość.

Potarł palcem dolną wargę. Po tygodniu noszenia w kieszonce cygaro było odrobinę za suche, ale to bez znaczenia. Już czuł się lżej, odchylił się na krześle i wydmuchał trzy idealne kółka z dymu. Powoli uniosły się pod sufit i rozwiały.

- Chyba miałeś dzisiaj wyjść wcześniej do domu?

Nogi Yngvara skrzyżowane na biurku z hałasem uderzyły o podłogę.

- A która godzina? - spytał, starannie gasząc cygaro w kubku z resztką kawy.

- Pół do trzeciej.

- Cholera!

- Cuchnie na całym korytarzu. - Sigmund Berli z dezaprobatą węszył w powietrzu. - Szef się wścieknie. Nie czytałeś tego nowego okólnika o...

- Czytałem. Muszę lecieć. - Zdejmując płaszcz z haczyka, Yngvar przewrócił cały wieszak. - O tej porze miałem być w domu - powiedział, nawet nie próbując go podnieść. - Już jestem spóźniony.

- Zaczekaj! - zawołał Sigmund.

Yngvar zwolnił, zatrzymał się, starając się wcisnąć rękę w wywrócony na lewą stronę rękaw.

- Właśnie przyszło. - Sigmund podał mu kopertę.

-Jasny piorun! - syknął Yngvar przez zaciśnięte zęby, ubrany w płaszcz w połowie, potrząsając resztą. - To cholerstwo się jakoś popsuło, czy co?

Sigmund zachichotał. Cierpliwie, tak jakby pomagał zbuntowanemu przerośniętemu przedszkolakowi, wywinął rękaw, przytrzymał płaszcz za kołnierz i naprowadził Yngvarowi rękę.

- O, teraz dobrze - powiedział z uśmiechem, podsuwając koledze kopertę pod nos. - Mówiłeś, że to pilne.

- No pięknie, szybka dostawa.

Uśmiechnął się w przelocie, schował kopertę do kieszeni i puścił się biegiem. Sigmund czuł, jak podłoga się kołysze z każdym jego ciężkim jak ołów krokiem.

- Któregoś dnia będziesz miał problemy z tymi papierami, które wozisz tam i z powrotem - mruknął półgłosem. - To nie jest dobre rozwiązanie.

Zapach cygara Yngvara Stubø wciąż wisiał w powietrzu, kwaśny i nieprzyjemny.

*

Vegard Krogh leniwie popijał piwo i czuł, że jest szczęśliwy.

Coś musiało się popsuć w nalewaku w Comie, jedynej przyzwoitej restauracji serwującej lunch na Grunerløkka. Podniósł szklankę do światła. Piany było mało, szybko oklapła. Światło ledwie się przedzierało przez letnie piwo. Złocistobrunatne refleksy zatańczyły na stole.

Wyczyn ze skokiem na bungee nie wypalił.

Film był dobry mniej więcej do połowy skoku. Później Vegard Krogh zniknął z kadru. Obiektyw skierował się w niebo, uchwycił dźwig, potem pochylił się ku ziemi i nagle przez ułamek sekundy można było dostrzec Vegarda potężnie szarpniętego, sunącego pionowo w górę. Dalej film, kręcony przy wtórze syren przez próbującego uciec fotografa, pokazywał tylko ziemię, kamienie i materiały budowlane.

Teraz nie miało to już znaczenia.

Zaproszenie przyszło wczoraj.

Vegard Krogh liczył na nie i czekał. Od czasu do czasu czuł się najzupełniej pewien. Przyjdzie. Rozmyślał o tym zaproszeniu wieczorami. Jego ostatnim przed zaśnięciem świadomym wyobrażeniem była piękna karta z monogramem i jego nazwiskiem wypisanym starannym kaligraficznym pismem.

Wreszcie przyszło.

Ręce mu drżały, gdy otwierał kopertę. Grubą, sztywną, w kolorze żółtka. Wymarzona karta wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał; leżała w skrzynce pocztowej wtedy, gdy najbardziej jej potrzebował.

Vegard Krogh wreszcie dotarł do celu.

Mógł się zaliczać do tych, którzy coś znaczą. Od tej pory był

jednym z nich. Jednym z wybranych, jednym z przyjaciół ludzi, którzy zadzęczani nieustannymi telefonami plotkarskiej prasy odpowiadają „Bez komentarza”.

- Będą mnie zadzęczać - mruknął Vegard Krogh, zatapiając euforyczny uśmiech w szklance piwa.

W Szwecji królewskie dzieci otaczają się socjetą, starą szlachtą i dekadencją, pomyślał. W Norwegii jest inaczej. W Norwegii liczy się kultura. Muzyka. Literatura. Sztuka.

Sześć lat temu pierwszy raz postawił kieliszek wina wypin-dronemu dandysowi o oczach szczeniaka. Chłopak siedział w kącie i patrzył na panienki. Vegard był pijany, ale zawsze miał nosa, do kogo lgną dziewczyny. Facet uprzejmie podziękował za wino, chwilę pogadali, zanim Vegard poderwał brunetkę i wyszedł.

Od czasu do czasu na siebie wpadali. Wypijali razem po kie-liszku, opowiadali sobie anegdoty. Dopiero ze dwa lata temu, gdy chłopak z oczywistych względów musiał oczyścić krąg znajomych, Vegard z niego wypadł.

„Skok na bungee” najwyraźniej zrobił wrażenie.

Vegard wysłał egzemplarz z dedykacją. Do tej pory książka nie została uhonorowana nawet jedną recenzją, osiem dni po wydaniu. Ale do najważniejszego krytyka mimo wszystko dotarła.

„Jednemu skoczkowi drugi skoczek. Trzeba mieć odwagę! Twój przyjaciel Vegard”.

Poświęcił godzinę na ułożenie tych słów. Teraz ważne, żeby za bardzo nie naciskać.

Dopił piwo jednym ogromnie zadowolonym haustem.

Kieliszek taniego merlota nareszcie zaczął przynosić zyski.

„Strój: Casual & sharp”. Tak napisano.

Będzie musiał się ukorzyć i pożyczyć pieniądze od matki.

Tym razem matka na pewno się nie zezłości.

*

- Przecież powiedziałaś, że ten facet, ten Stubø, jest w po-rządku! - Bård Arnesen pochylił się nad stołem i pocieszająco poklepał brata po ramieniu. Potem podrapał się w głowę i uratował liść sałaty od utonięcia w dressingu na dnie szklanej

miski.

- Okłamywanie policji nie jest zbyt mądre.

Trond nie odpowiedział. Patrzył przed siebie, nie będąc w stanie na niczym zatrzymać wzroku. Przesuwał z boku na bok mięso i smażone ziemniaki na talerzu. Mimowolnie sięgnął palcami po kawałek szparaga, włożył go do ust i zaczął powoli żuć, nie przełykając.

- Halo! Ziemia wzywa! Wyglądasz jak krowa. - Bård zamachał ręką przed oczami brata. - Będzie o wiele gorzej, jeśli sami to odkryją - powiedział z naciskiem. - Właściwie to bardzo dziwne, że nie...

- Do cholery, spróbuj pojąć, że nie mogę nic o tym powiedzieć. Po pierwsze, storpeduję własne alibi. Po drugie, tkwię w gównie potąd. - Trond ze złością przeciągnął dłonią po czole. - Już przez to, że kłamałem. Od razu mnie zapuszczają, Bård, od razu.

- Przecież wiesz, że jesteś niewinny. Ten Stubø sam ci powiedział, że ciebie pierwszego skreślili z listy. Mówiłeś, że...

- Mówiłem! Cholera, jakie ma znaczenie to, co mówiłem!

Trond uderzył! pięścią w stół. Dolna warga mu drżała, skrzydełka nosa się rozszerzyły, a oczy mało nie zniknęły w głębi czaszki. Odsunął talerz od siebie, potem znów go przyciągnął, próbował balansować nożem ułożonym na widelcu i składał serwetkę, dopóki dawała się złożyć.

Bård się zamknął. Do wypełniającego kuchnię zapachu smażonego tłuszczu dołączyła słodkawa woń strachu brata. Bård nigdy nie widział Tronda w takim stanie. Odkąd sięgał pamięcią, brat zawsze był lękliwy. Wszystkiego się bał. Maminsynek. Popłakiwał, kiedy z rzadka się uderzył.

Ale teraz to nie było ani zmartwienie, ani zdenerwowanie.

Trond był śmiertelnie przerażony. Wciąż żuł kawałek szparaga, który nie dawał się połknąć.

- Halo! - powiedział Bård życzliwie, jeszcze raz szturchając brata delikatnie. - Nikt i tak nie uwierzy na poważnie, że to ty zabiłeś Vibeke. Cholera, przecież to była ładna, fajna dziewczyna z pieniędzmi, domem i w ogóle... Ty! Trond! - Z rezygnacją pstryknął palcami. - Trond, posłuchaj mnie

wreszcie!

- Słucham.

- Wypluj to!

Trond wypluł. Szarozielona bezkształtna grudka plasnęła na talerz.

- Ty mi ufasz, Trond!

Stwierdzenie nie wywołało żadnej reakcji.

-Jesteś moim bratem.

Dalej milczenie.

- Do cholery! - Bård poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Oparcie uderzyło o drzwiczki szafki, odłupując farbę. Bård oszołomiony dotknął palcem zielonej plamki odcinającej się od bieli. - Naprawię to - powiedział z rezygnacją w głosie.

- Później to pomaluję.

Biat nawet teraz nie zareagował. Tylko wierzchem dłoni potarł oczy.

- Co ty robiłeś przez te godziny? - spytał Bård. - Nie możesz tego powiedzieć przynajmniej mnie? Rodzonemu bratu, do cholery!

- To było półtorej godziny.

- *Whatever.*

- Powiedziałaś „godziny”, a to nie było kilka godzin, tylko jedna i pół. Niecałe.

Trondowi Arnesenowi udało się zapomnieć o tym małym odcinku czasu skrywanego w tajemnicy. Okazało się to łatwe. Zdumiewająco łatwe. Kiedy taksówka, która zabrała go z przystanku autobusowego za dwadzieścia siódma w sobotę rano siódmego lutego, zatrzymała się na poboczu, żeby mógł się wyrzygać, próbował przez chwilę skupić wzrok na wymiocinach na śniegu. Zgięty wpół, z rękami na kolanach, rozpoznał w mętnej cieczy koloru czerwonego wina niestrawiony orzeszek ziemny.

Widząc włókienka mięsa, zwymiotował jeszcze raz. Kierowca taksówki krzychał zniecierpliwiony, Trond dalej stał. To był ostatni raz, pomyślał zamroczony. Z fascynacją wpatrywał się we własne wymiociny, obrzydliwe resztki wszystkiego, co

spożył w ciągu ostatniej doby. Pozbył się ich. I koniec.

Nigdy więcej.

Grzebał czubkiem buta w śniegu, chciał zakryć paskudztwo, ale stracił równowagę. Kierowca pomógł mu wsiąść do taksówki, przetransportował go do domu. Wszystko poszło w zapomnienie, to był absolutnie ostatni raz.

Nikt o to nie pytał.

Wieczór kawalerski, z którego zdołał się wreszcie wyrwać, rozrósł się bowiem w ciągu wieczoru. W piątek o szóstej po południu dziewiętnastu facetów w odprasowanych smokingach wyruszyło na miasto. Natknęli się na drużynę piłkarską Barda w brudnoczerwonych koszulkach, która świętowała zwycięstwo. Imprezie zaczął wyrastać ogon, następowała kumulacja. Koło ósmej zjawiono się jakichś dziesięciu, może dwunastu kolegów Barda; wtedy pan młody już sprzedawał pocałunki z języczkiem w budce na Karl Johan po pięćdziesiąt koron sztuka. Zanim brat o pół do jedenastej wybełkotał, że Trond musi mu pomóc iść się wysikać, grono zaproszonych gości zmieniło się w pijaną w sztok gromadę przypadkowych hałasujących mężczyzn: byli tam chłopcy z drużyny piłkarskiej Skeid i ekonomiści z Telenoru, grupa kręglarzy z Hokksund, która przyczepiła się do nich koto dziewiątej, i kilku piwoszy, o których nikt nie miał zielonego pojęcia, co to za jedni.

Na pewno ponad pięćdziesiąt osób, pomyślał Trond.

I nikt niczego nie zauważył.

Nikt nie powiedział policji niczego ponad to, że Trond brał udział w wieczorze kawalerskim swego brata od przed szóstą w piątek po południu do chwili, gdy ktoś wsadził go do pierwszego autobusu odjeżdżającego do Lorenskog w sobotę rano.

Wszyscy to powtarzali. Wszystko zostało zapomniane.

-Jak na to wpadłeś? - spytał w końcu.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć, gdzie byłeś?

W głosie Barda nie było już słyhać zniecierpliwienia. Teraz Bard się przymawiał, marudnym, uporczywym tonem młodszego brata, który Trond znał z dzieciństwa i który wciąż potrafił go zirytować.

-Jak na to wpadłeś i dlaczego mi to teraz mówisz?

Mimo wszystko był z nich dwóch starszy.

Bard wzruszył ramionami.

- Przy tych dramatycznych... Miałem, jak by to powiedzieć, inne rzeczy na głowie. Ale teraz... Po prostu zwiąłeś! Szukałem cię. Pomogłeś mi dojść do kibla, pamiętasz?

Trond nie kiwnął głową, nic nie powiedział.

- Chyba ty jeden nie byłeś kompletnie pijany. Chciałem pożyczyć pieniądze. Wydałem ponad trzy tysiące. Fundowałem wszystkim. A ciebie nie było. Nigdzie cię nie znalazłem.

- Pytałeś kogoś o mnie?

- Przez cały czas każdy pytał o każdego, nie pamiętasz? Cały lokal był nasz, wesoły chaos. - Bard uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - Zobaczyłem cię znów dopiero trzy po dwunastej. Wiem to cholernie dobrze, bo zrobiłeś wielki numer z tym swoim zegarkiem, który zjąłeś...

- Z zegarkiem? Przecież nie miałem zegarka.

- Miałeś. Przestań się wygłupiać! Stałeś na barze i podczas sztafety piwnej chciałeś mierzyć czas tym swoim potworem.

Trondowi zrobiło się gorąco. Jeszcze goręcej. Czuł zapach własnego ciała, obrzydliwy i kwaśny. Pęcherz miał pełny, chciał wstać, wyjść do toalety, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Dlaczego ja się do tego przyznałem? - pomyślał. Dlaczego po prostu się nie wyparłem? Bard był w sztok pijany, może się mylić. Popłatały mu się godziny. Tyłu ludzi się bawiło. Wszyscy potwierdzili, że się tam kręciłem i piłem. Odstawiałem show. Powinienem był się wyprzeć. Wyprę się.

- Wszystko ci się pieprzy - powiedział, obiema rękami przytrzymując się stołu. - Nigdzie nie wychodziłem. Zasnąłeś w kiblu. Nie wiem, ile tam...

- Co ty mi, wmawiasz, do cholery? Wiem, kiedy zasypiam! Film mi się urwał dopiero o ósmej rano. Pewnie, byłem strasznie pijany, ale nie na tyle, by nie zauważyć...

Trond zmusił się, żeby wstać z krzesła. Oddychał głęboko. Wypiął pierś, barki ściągnął w tył. Był starszym bratem. I

wyższym. Prawie o dziesięć centymetrów wyższym od brata.

- Muszę się wysikać.

-Tak?

-Jesteś moim bratem. Jesteśmy braćmi.

- Tak? - powtórzył Bard ze zdziwioną, na pół zirytowaną miną, jakby Trond tracił energię na przekonywanie go, że Ziemia jest okrągła i krąży wokół Słońca. - I co z tego?

- Mylisz się. Byłem tam przez cały czas.

- Masz mnie za kompletnego idiotę?

Bard poderwał się, okrążył stół i stanął przed Trondem. Pięści miał zaciśnięte. Był niższy od brata, ale o wiele mocniejszej budowy. Ich twarze dzieliła od siebie zaledwie szerokość dłoni.

- Dziesięć minut temu się przyznałeś - syknął. Oczy mu się zwęziły, a Trond poczuł na skórze delikatny prysznic drobniutkich kropelek śliny.

- Do niczego się nie przyznałem.

- Powiedziałeś, że o czymś nie możesz powiedzieć temu Stubø. Powiedziałeś, że skłamałeś. Uważasz, że to nie jest przyznanie się?

- Cholernie mi się chce sikać.

- Przyznaj się! - Bard walnął brata w ramię. Mocno, zaciśniętą pięścią. - Przyznaj się!

Trond z zaskoczenia złapał go w pasie. Bard z trudem utrzymał równowagę, lewą ręką wczepił się w koszulę brata, prawą próbując się o coś podeprzeć. Odrobinę zbyt późno zauważył, że stopa Tronda stoi mu na drodze, gdy usiłował zrobić krok w bok. Przewrócili się obaj. Bard, padając, pociągnął za przewód kuchennego robota. Błysk ciężkiego jak ołów kenwooda kazał mu w ratującym życie odruchu odwrócić głowę. Stalowa obudowa kantem rozcięła mu ucho. Krzyknął, próbując podnieść ręce, żeby zbadać ranę, ale nie mógł nimi poruszyć. Tylko głowę miał wolną. Rzucił nią z boku na bok, głośno krzycząc.

Trond uderzył.

Kolanami przygniatając bratu ręce, zaczął go bić. Na oślep.

Kiedy zabrakło mu sił, szybko się poderwał. Palcami przecesał włosy, jakby nie bardzo mógł uwierzyć w to, co się

stało, i chciał udawać, że nic.

Bard jęczał. Z ucha ciekła mu krew. Jedno oko już zaczęło puchnąć. Górną wargę miał pękniętą, koszulę podartą. Przy pachwinie na płótnie spodni rozlewała się ciemna mokra plama w kształcie motyla.

- Zsikaleś się na mnie - wybełkotał, łapiąc się za ucho. - Jasna cholera, zasikaleś się!

Obolały, niepewny, czy czegoś nie złamał, usiadł. Przyjrzał się zakrwawionej dłoni i znów dotknął ucha.

- Nie mam koniuszka? - spytał ochryplym głosem i splunął na czerwono. - Straciłem koniuszek ucha, Trond?

Starszy brat przykucnął i przyjrzał się skaleczeniu.

- Nie. Paskudna rana, ale ucho jest całe.

Bard zaczął się śmiać. Trondowi w pierwszej chwili wydawało się, że płacze. Ale brat się śmiał, ze śmiechu zanosił się kaszlem, rękami obejmował kolana i zaśmiewał się, popluwając krwią.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? - wysapał. - Nigdy w życiu mnie nie spraeś. Nigdy nie udało ci się nawet powalić mnie na ziemię. Czy ty w ogóle kiedykolwiek się biłeś?

- Wstawaj! - Trond wyciągnął do niego rękę.

- Zaraz. Wszystko mnie boli. Sam się muszę podnieść.

Zajął mu to parę minut. Trond patrzył zakłopotany, stojąc z rękami spuszczoneymi wzdłuż boków. W końcu niepewnie podrapał się po udzie.

- Najgorsze te szczyzny. - Bard ostrożnie potrząsnął jedną nogą.

- Poza tym wciąż masz niezbite alibi.

-Co?

- Półtorej godziny. - Bard na próbę dotknął językiem przedniego zęba.

-Co?

- Przysięgnę na Biblię, że byłeś w centrum Oslo o pół do jedenastej i koło północy. W tym czasie nie zdążyłbyś się dostać tutaj i wrócić.

- Mogłem wziąć taksówkę.

- Kierowca dawno by się zgłosił.

- Mogłem pojechać samochodem.
- Twój samochód został u rodziców. Wszyscy chłopcy o tym wiedzą, przecież nas stamtąd zabrali.
- Mogłem ukraść jakiś wóz.
- Niech szlag trafi to ucho! - Bard zmrużył jedno oko, próbując poruszyć barkiem. - Cholernie boli. Trzeba szyć?

Trond nachylił się niżej.

- Pewnie tak. Mogę cię zawieźć na pogotowie.

- Wciąż masz alibi, Trond.

- Mam. Byłem w Smuget przez cały wieczór.

Bard delikatnie przygryzł spuchniętą wargę.

- Aha - powiedział, kiwając głową.

Popatrzyli na siebie. To tak jakbym samemu sobie patrzył w oczy, pomyślał Trond, chociaż brat był obity i pokrwawiony. Takie samo leciutko skośne lewe oko. Plamki zieleni w niebieskich tęczęwkach. Fałdka mongolska nad kącikami oczu. Matka zawsze powtarzała, że w Norwegii jest bardzo rzadka. Nawet brwi, tak jasne, że czoło wydawało się nagie, były identyczne. O mały włos nie pobił brata na śmierć. Nie mógł pojąć dlaczego. A jeszcze mniej pojmował, w jaki sposób mu się to udało. Bard był przecież silniejszy, szybszy i odważniejszy.

- Aha. - Bard wierzchem dłoni otarł nos. - Byłeś w Smuget. Przez cały wieczór. W porządku.

Kulejąc, ruszył w stronę salonu.

- Nie będę w tym grzebał - oświadczył, zatrzymując się. - Ale...

- Odwrócił się i nabrał powietrza. - Nikt nie wierzy, że zabiłeś Vibeke, Trond. Uważam, że powinieneś powiedzieć to wszystko policji. Mogę z tobą iść, jeśli chcesz.

- Przez cały wieczór byłem w Smuget, więc nie ma takiej potrzeby.

Bard wzruszył ramionami i pokuśtykał dalej.

Kierował się do sypialni, żeby zaanektować najdroższe spodnie Tronda. Therese, narzeczona, mu je skróci. Najlepsze spodnie mu się należały.

- Aleś mnie złomotał! - mruknął z podziwem.

Wizyta u Yvonne Knutsen się nie powiodła. Inger Johanne ostrzeżono już na korytarzu. Pielęgniarka szeptem poinformowała ją, że cierpiąca na stwardnienie rozsiane pacjentka odrzuca większość ludzi. Jedynie zięć i wnuczka są zawsze mile widziani.

Kobieta w białym fartuchu miała rację. Gdy Inger Johanne weszła do pokoju, Yvonne Knutsen zamknęła się w sobie. Leżała sztywno w stojącym na środku łóżku. Pokój był prawie pusty. Na ścianie krzywo wisiała bezbarwna litografia w zniszczonej ramie. Przy łóżku stał taboret. Ostre niskie słońce, które oślepiało Inger Johanne, gdy podjeżdżała pod dom opieki, zmniejszyło się do matowej tarczy nad horyzontem, widocznym przez brudne zacieki na szybach. Inger Johanne zdołała wyciągnąć z Yvonne Knutsen jedynie: „Bardzo proszę sobie iść”, zanim chora odwróciła twarz i pozornie zapadła w sen.

- Tak mi przykro - powiedziała po wyjściu Inger Johanne pielęgniarka, pocieszającym gestem kładąc jej rękę na ramieniu.

Powrotna podróż do domu też nie poszła gładko. Na E18 w stronę Oslo Inger Johanne złapała gumę. Nim w końcu znalazła zjazd, na którym mogła się zatrzymać, opona była w strzępach. Deszcz zaczął bezlitośnie. Ledwie zdążyła ustawić lewarek we właściwym miejscu, a już przemokła do suchej nitki. Do domu dotarła spóźniona godzinę.

- SM to straszna choroba - mruknęła, wygodnie układając poduszkę do karmienia. Siedziała w dresie z Ragnhild drzemiacą przy piersi.

- Tobie wszystkie choroby wydają się straszne - zauważył Yngvar.

- Nie.

- Właśnie że tak.

Posłodził jej herbatę dużą łyżką miodu i długo mieszał.

- Wypij! Dodałem imbiru. Podobno pomaga.

- Za gorąca. Pomyśl tylko, gdyby Ragnhild się poruszyła, a ja bym wylała...

- Zróbmy tak - oświadczył, biorąc od niej dziecko. - Już się

najadła. A ty wypij, to będziesz zdrowa. Chcesz może odrobinę wódki?

- Nie, dziękuję. To był naprawdę straszny widok.

- Wiem. Rozmawiałem z nią bezpośrednio po zabójstwie.

Inger Johanne podniosła kubek do ust.

- Opowiadaj! - Yngvar usadowił się na kanapie naprzeciwko niej.

Inger Johanne podciągnęła nogi, a poduszkę wsunęła sobie pod krzyż.

- Fiona ma dwoje dzieci - oznajmiła.

- Fiona ma... jedną córkę.

- Tak. Ale bezsprzecznie urodziła dwoje.

Ragnhild się ułalo, Yngvar przyłożył ją do ramienia i delikatnie gładził maleńkie plecki.

- No to rzeczywiście nic nie rozumiem.

- Ja też, jeśli chodzi o ścisłość - stwierdziła Inger Johanne.

Sięgnęła po dokumenty, które jej wręczył, kiedy wróciła do domu przemoczona i zła. Spodnia kartka wciąż była lekko wilgotna.

- W szpitalnej karcie dotyczącej ciąży i porodu konsekwentnie nazywana jest pierwiastką. A ja cię zapewniam... - Rzuciła papiery z powrotem na stół i usiadła wygodniej. - Lekarz czy położna bez trudu potrafią stwierdzić, czy kobieta już rodziła. To czysta rutyna. A mimo to w dokumentach o tym nie wspomniano. Fiorella urodziła się za pomocą cesarskiego cięcia, to było zaplanowane. Na tyle, na ile potrafię odczytać tę kartę, Fiona cierpiała na jakiś lęk przedporodowy, który najwyraźniej potraktowano poważnie. Cesarka w ustalony dzień, chociaż nie potrafię się dopatrzeć innych jej powodów niż psychiczne.

- Ale... - Yngvar ułożył Ragnhild w kołysce, która znów wróciła do salonu. Ostrożnie nacisnął nogą na biegun. - Nic z tego nie rozumiem.

- Nic dziwnego. Wszyscy, zdaje się, uważają, że Fiorella to jedyne dziecko Fiony. Lekarze też, chociaż muszą wiedzieć, że to nieprawda.

- Za to ty wiesz lepiej od wszystkich. - Yngvarowi na czole

zarysowała się zmarszczka niedowierzania.

- Nie ja. Patolog.

Wyszła do kuchni i wróciła z dzbankiem herbaty w jednej ręce i protokołem z sekcji w drugiej.

- *Ruptura perianalis* - przeczytała.

- Co to znaczy?

- Zastanów się.

- Zastanawiam. Nie rozumiem.

- Wsłuchaj się w to słowo - powiedziała zniecierpliwiona, dolewając sobie herbaty i dodając miodu. - Już mnie bierze przeziębienie. Zacznij od *analisis*.

- Przestań! - zdenerwował się Yngvar. - Przecież dzieci nie rodzą się tyłkiem. Wyjaśnij mi, o co chodzi. Jak możesz...

- *Perineum* - przerwała mu - to łacińska nazwa obszaru między pochwą a odbytem, inaczej krocza, a *Ruptura perianalis* to uraz, który może powstać w trakcie porodu. Pęknięcie od...

- Przestań! - skrzywił się. - Rozumiem. Ale dlaczego, u diabła, myśmy tego nie zauważyli? Skoro tam jest to napisane... - Wzburzony sięgnął po protokół z sekcji i zaczął go przerzucać.

- Po prostu nie zrozumieliście - stwierdziła Inger Johanne.

- Przeoczyliście. Do zaślepienia wpatrywaliście się w to, czy nie ma żadnych oznak napaści o podłożu seksualnym, no i...

- Nie zauważyliśmy! - wykrzyknął Yngvar. - Czegoś takiego?

- Jesteście w dobrym towarzystwie. W tej słynnej sprawie w Knutby wyszło na jaw, że szwedzcy policjanci umorzyli śledztwo w sprawie prawdopodobnego zabójstwa, ponieważ nie mieli pojęcia, co oznacza „ilość toksyczna”. Nie czytasz gazet?

- Raczej nie - odmruknął, gorączkowo przeglądając protokół, ale nie znajdując tego, czego szukał. - Ale te nowe... Karta ze szpitala! - Stuknął palcem w papiery. - Dlaczego lekarze mieliby kłamać? Teczka jest sfalszowana?

- Najprawdopodobniej nie. Dzwoniłam do Evena, mojego kuzyna, lekarza, poznałeś go.

- Pamiętam Evena. Co ci powiedział?

Yngvar usiadł na kanapie naprzeciwko niej.

- Może być tylko jeden powód, dla którego karta szpitalna nie zawiera informacji istotnych, a zarazem łatwo stwierdzalnych dla lekarza czy położnej - powiedziała Inger Johanne.

- A mianowicie?

- Że pacjentce w istotnej mierze by zaszkodziło, gdyby je tam umieszczono. W istotnej mierze, podkreślił Even. A do tego, jak przypuszczam, wiele trzeba.

Siedzieli w milczeniu. Yngvar podrapał się w kark. Znów odezwała się ochota na cygaro. Przełknął ślinę i nieobecny wzrokiem spojrzął w okno. Deszcz bębnił o szybę. Zatrzymał się jakiś samochód. Pewnie młodzież, pomyślał. Silnik ryczał, ktoś wołał, ktoś inny się śmiał. Trzasnęły drzwi, samochód z hałasem przetoczył się po ulicy.

Ragnhild spała głęboko. Z przedpokoju przydreptał Jack, chwilę postął z przekrzywionym łbem i postawionymi uszami, jakby nie mógł uwierzyć w ciszę. W końcu podszedł i położył Yngvarowi pysk na kolanach, łapą drapiąc go w udo.

- Na kanapę nie - mruknął Yngvar. - Połóż się na podłodze. Leżeć!

Pies jakby wzruszył ramionami. W końcu zwinnie przeszedł pod stołem i wskoczył na drugą kanapę, obok Inger Johanne.

- Czy tego rodzaju uraz może powstać w wyniku gwałtu albo czegoś podobnego? - spytał Yngvar, nie komentując braku wychowania Jacka.

- No coś ty! Wyobraź sobie poród, dziecięcą główkę. Jak myślisz, dlaczego kobiety się nacina?

Yngvar zatkał uszy palcami.

- Odpowiedź brzmi „nie” - powiedziała Inger Johanne. - To nie był gwałt.

- Ale... - spróbował Yngvar jeszcze raz i przełknął ślinę. - Czy mężczyzna... czy Bernt nie odkryłby tego, gdyby...

- Na to odpowiedź również jest przecząca. Tak przynajmniej twierdził Even. Niekoniecznie. Ani przy stosunku, ani przy... innych zabawach.

- To dziwne. - Yngvar się uśmiechnął.

Inger Johanne odpowiedziała uśmiechem.

- Ale tak jest.

Jack warknął przez sen.

- Summa summarum... - Yngvar znów wstał i dwoma palcami pogładził się po brodzie. - Możemy stwierdzić, co następuje: Fiona Helle dwa razy była w ciąży. Pierwsze dziecko urodziła w okolicznościach, które sprawiły, że paskudnie pękło jej krocze. To musiało być bardzo dawno temu, skoro Bernt Helle nie wie nic na temat tego dziecka. Ani nikt inny. Fiona publicznie wypowiadała się o szczęściu, jakim jest późne urodzenie pierwszego dziecka. Raczej nie poważyłaby się na coś takiego, gdyby ktoś wiedział...

Podszedł do okna. Czuło się, że od niego ciągnie. Powiódł palcem wzdłuż futryny.

- Cholera, wieje przez ścianę - mruknął. - Musimy wkrótce coś z tym zrobić. To na pewno nie jest dobre dla dzieci.

- Trochę przeciągu zapewnia dopływ świeżego powietrza - powiedziała Inger Johanne, machając ręką. - Mów dalej!

Namyślał się, dłubiąc w staroświeckim kicie okiennym, który całkiem się już wykruszał.

- Nie chce mi się wierzyć, że Bernt kłamał. Zachowanie tego faceta było bez zarzutu przez całe śledztwo, chociaż z pewnością ma już serdecznie dość naszego marudzenia, które w dodatku nie przynosi żadnych rezultatów. Odpowiada na wszystkie pytania. Odbiera telefon. Przyjeżdża do nas, kiedy go poprosimy. Wygląda na całkiem przytomnego, wręcz bystrego człowieka. Zrozumiałby chyba, że taka informacja byłaby dla nas istotna. Jak myślisz?

Inger Johanne zmarszczyła nos.

- Owszem, pewnie tak. Prawdopodobnie możemy założyć, że to dziecko nie urodziło się w okresie, kiedy byli razem. Po niewielkich miejscowościach plotki krążą szybko. Poza tym pobrali się wcześniej, a raczej nie potrafię sobie wyobrazić dobrze dobranych, chociaż nieprzeciętnie młodych małżonków ukrywających ciążę. Właściwie uważam, że rozwiązanie tej zagadki nasuwa się samo. Musiało chodzić o niechcianą ciążę w bardzo młodym wieku.

- Tylko nie wyjeżdżaj mi teraz z kazirodu - przestrzegł.

- Akurat tego najmniej nam w tej sprawie potrzeba.

- Na pewno nie mogło chodzić o ojca Fiony. Umarł, kiedy miała dziewięć lat. Myślę, że ten wiek należy wykluczyć. Ale dziewczyna musiała być na tyle młoda, by bez większego zamieszania dało się ją gdzieś wyprawić. Fiona była nastolatką w... - Inger Johanne liczyła w myślach. - Pod koniec lat siedemdziesiątych - dokończyła.

- Szesnaście lat miała w siedemdziesiątym szóstym.

- Późno - stwierdził rozczarowany Yngvar. - W tamtych czasach zostanie nastoletnią matką nie oznaczało katastrofy.

- Ha! - wykrzyknęła Inger Johanne, przewracając oczami.

- Typowy mężczyzna! Ja od szesnastego roku życia śmiertelnie bałam się ciąży, chociaż to było w połowie lat osiemdziesiątych.

- Od szesnastego roku życia - powtórzył Yngvar. - Miałaś szesnaście lat w...

- Nie myśl o tym teraz! - zdenerwowała się Inger Johanne.

- Czy nie możemy się skoncentrować na sprawie?

- Dobrze, dobrze, ale szesnaście lat... - Yngvar usiadł i podrapał Jacka za uchem. - Fiona nie przebywała w tym czasie za granicą. A przynajmniej nie przez dłuższy czas. Rozmawiałem z Berntem i przypuszczam, że to akurat by wiedział. Wprawdzie nie wszyscy, których znam, opowiadają na lewo i prawo o swoich zagranicznych stypendiach, to jednak wątpię, by Fiona utrzymała język za zębami, gdyby...

- Przestań! - Inger Johanne lekko go pocałowała. - Podsumowując, urodziło się dziecko. To nie musi nic znaczyć dla śledztwa. Z drugiej jednak strony budzi nieuchronne skojarzenia z tym programem, który robiła od kilku lat. Z programem o dzieciach oddanych obcym ludziom i żałujących matkach. O powtórnym połączeniu i bolesnym odrzuceniu.

Jack uniósł łeb, nastawił jedno ucho. Dom na silnym wietrze pojękiwał. Deszcz siekł okna od południowej strony. Inger Johanne jochyliła się nad Ragnhild i starannie otuliła dziecko, które dalej smacznie spało. Wieża stereo kilkakrotnie kliknęła sama z siebie, lampa nad stołem zamigotała.

Potem zrobiło się ciemno.

- Cholera! - zaklął Yngvar.

- Cicho, bo obudzisz dziecko. Właśnie dlatego poszłam co Yvonne Knutsen. Ona wie, co się stało. Jestem tego najzupełniej pewna.

- Prawdopodobnie tak - przyznał Yngvar. Na jego twarzy pojawiły się głębokie niespokojne cienie, gdy zapali! Zapałkę.

- Może dlatego nie chciała ze mną rozmawiać - stwierdziła Inger Johanne. - Może to dziecko się pojawiło...

- Strasznie dużo tych „może”. Trochę przyhamuj.

Wreszcie znalazł świecę.

Inger Johanne go obserwowała. Poruszał się sprężysto mimo swoich rozmiarów. Chodząc, ciężko tupał, jakby chciał podkreślić, że jest taki wielki. Kiedy kucał w półmroku przy kominku, darł stare gazety na paski, wyciągał się po drewno w metalowym koszu i układał małe ognisko, robił to bez wysiłku, lekko. Miękkosć masywnie zbudowanego ciała była fascynująca.

Papier zajął się ogniem.

Inger Johanne cicho klasnęła w dłonie.

- Na wszelki wypadek trochę oszukam. - Yngvar umieścił między polanami dwie podpalki. - Zejdę do piwnicy po więcej drewna. Przy tej pogodzie prądu może nie być przez jakiś czas. Gdzie latarka?

Wskazała na korytarz. Yngvar wyszedł.

Płomienie trzaskały przytulnie, spowijając salon czerwono-żółtą poświatą. Inger Johanne już czuła ciepło na twarzy. Jeszcze raz ciaśniej otuliła kołdrą córeczkę, ciesząc się, że Kristiane jest u Isaka. Na oparciu kanapy leżał koc. Okryła nim łydki, oparła się wygodnie i przymknęła oczy.

Yngvar musi porozmawiać z lekarzem położnikiem. Albo z położną. Będą się odwoływać do obowiązku dochowania tajemnicy lekarskiej, ale w końcu ustąpią. Zawsze ustępują w podobnych sprawach.

To potrwa, myślała Inger Johanne.

Jeśli naprawdę istniał dorosły potomek Fiony Helle, po raz pierwszy zbliżali się do czegoś, co przypominało ślad. Oczywiście cieniutki i zapewne prowadzący donikąd. Nie

byłoby to pierwsze w historii dziecko urodzone we wstydzie i adoptowane w miłości. Prawdopodobnie to całkiem zwyczajna dwudziestokilkuletnia osoba, może student albo stolarz z volvo i dwójką zasmarkanych dzieciaków, a nie morderca zabijający z zimną krwią, szukający zemsty za odrzucenie, którego doznał ćwierć wieku wcześniej.

Ale Fiona stanęła w obliczu śmierci z odciętym i rozdwojonym językiem.

Wielkie kłamstwo Fiony to dziecko.

Vibeke Heinerback została przybita do ściany.

Dwie kobiety. Dwie sprawy.

Jedno nieślubne dziecko.

Inger Johanne gwałtownie usiadła. Już przysypiała, gdy kolejny raz odniosła wrażenie, że coś rozpoznaje. Nieprzyjemne wrażenie, że ważna myśl jej ucieka. Przygarnęła Jacka i wtuliła twarz w jego sierść.

- Możemy teraz porozmawiać o czymś innym? - spytała, gdy Yngvar wrócił z naręczem drewna.

Odłożył smolne polano.

- Oczywiście. - Podeszedł i pocałował ją w głowę. - Możemy rozmawiać o tym, o czym chcesz. Na przykład o tym, że chciałbym mieć nowego konia.

- Nowego konia? Mówiłam już tysiąc razy: żadnego nowego konia.

- Zobaczymy - powiedział Yngvar ze śmiechem, idąc do kuchni.

- Kristiane mnie poprze. Ragnhild na pewno też. I Jack. Będzie czworo na jedną.

Inger Johanne chciała odpowiedzieć na jego śmiech, ale nieprzyjemne uczucie, jakieś przelotne poczucie zagrożenia nie chciało jej opuścić.

- O koniu zapomnij - oświadczyła.

Sztorm ucichł. Wciąż jeszcze dość mocno wiało, lecz w pokrywie chmur od południa pojawiały się jasnoniebieskie szczeliny. Brudny śnieg w ogrodach i wzdłuż dróg zapadł się i zgnił na deszczu. Inger Johanne starała się omijać najgorsze kałuże, manewrując wózkiem na wąskim chodniku wzdłuż Maridalsveien. Dudniły przejeżdżające obok ciężarówki i autobusy. Źle się tu czuła, przeszła więc na drugą stronę przy Badebakken, żeby zejść nad rzekę Aker. Jack szarpał za smycz, koniecznie chciał wszystko obwąchać.

Temperatura zaczynała spadać. Na wieczór zapowiadali śnieg. Inger Johanne zatrzymała się na moment i poprawiła szalik. Było jej zimno w nos, pociągnęła nim kilka razy. Powinna włożyć czapkę.

O Ragnhild w każdym razie zadbała, malutka leżała w śpiworze, pod spodem miała kozuch, a od góry była owinięta dodatkowym wełnianym kocem. Ledwie wystawała jej maleńka buzia, kiedy Inger Johanne lekko odchyliła brzeg śpiwora. Smoczek pulsował, a po drganiach cienkich delikatnych powiek poznała, że Ragnhild coś się śni.

Przy przedszkolu na Heftvelokka usiadła na ławce i spuściła Jacka ze smyczy. Zbiegł nad rzekę i czekał na kaczki, które prawie wcale się nim nie przejmowały. Żeby się oddalić, wystarczyło, że kilka razy machnęły nogami w otwartych szczelinach wśród lodu. Jack, Król Ameryki, piszczał i poszczekiwał, na próbę nawet zanurzył łapę w wodzie.

- Cicho - mruknęła, bojąc się, że pies zbudzi Ragnhild.

Chłód przenikał przez budrysówkę, ale przyjemnie było tak siedzieć w samotności, jedną ręką kołysząc wózek, wte i wewte, wte i wewte. Był już wtorek, siedemnasty lutego. O dwunastej będzie mogła zadzwonić. To już za osiem minut, stwierdziła, wyjąwszy telefon komórkowy. Przyjaciółka Fiony Helle powiedziała, że wtedy dotrze z powrotem do biura. Wydawała się zdumiona, ale pełna dobrej woli. Inger Johanne nie

przedstawiła się jako policjantka, lecz jej niejasne sformułowania mogły mimo wszystko wywrzeć na Sarze Brubakk wrażenie, że prośba ma charakter oficjalny.

Niedobrze.

To do niej niepodobne. Właściwie chciała wyłączyć się z tej sprawy, nie wchodzić w nią głębiej, a już na pewno nie metodami, których nigdy nie akceptowała.

Wytarła nos. Przeziębienie się rozwijało, tak jak się tego spodziewała.

Ścieżka była niemal bezлюдna. Pojawił się jakiś biegacz, parskając w chmurze wilgoci. Z uśmiechem skinął jej głową, ale drgnął przestraszony, kiedy Jack wypadł z krzaków i rzucił mu się do pięt.

- Weź kundla na smycz! - wrzasnął i pobiegł dalej.

- Chodź tu, Jack!

Pies dał się przywiązać do wózka i położył na ziemi.

Była już dwunasta. Inger Johanne wystukała numer.

- Mówi Inger Johanne Vik - zaczęła, gdy tylko uzyskała połączenie. - Rozmawialiśmy rano i...

- Tak, witam. Proszę tylko pozwolić, że usiądę. Właśnie weszłam i...

Szuranie. Trzaski. Stukot.

- Halo?

-Jestem, jestem - powiedziała Inger Johanne.

-I ja jestem na miejscu. O co właściwie chodzi?

- Mam tylko jedno pytanie dotyczące Fiony Helle, okresu liceum, wczesnej młodości. Pani chodziła z nią do klasy, prawda?

- Tak, mówiłam o tym podczas przesłuchania. Chodziłyśmy z Fioną do tej samej szkoły od pierwszej klasy podstawówki. Byłyśmy nierozłączne. Zawsze się przyjaźniłyśmy. To takie okropne... Dopiero tydzień temu mogłam wrócić do pracy. Dostałam zwolnienie lekarskie. Mój szef powiedział, że...

- Rozumiem. I zdecydowanie nie zamierzam pani długo dręczyć. Chciałam się jedynie dowiedzieć, czy Fiona kiedykolwiek... opuszczała szkołę. Mam na myśli jakiś dłuższy okres.

- Czy opuszczała szkołę...
- Nie chodzi mi o dwa dni przeziębienia, tylko o dłuższą nieobecność.
- No, była w psychiatryku, Modum Bad. W pierwszej klasie liceum. To trwało dość długo.
- Słucham? - Inger Johanne nie czuła już zimna. Przełożyła telefon do prawej ręki i jeszcze raz spytała: - Co pani powiedziała?
- Fiona przeszła coś w rodzaju załamania nerwowego, tak mi się wydaje. Niewiele się o tym mówiło. Po wakacjach miałyśmy iść do szkoły. Pamiętam, całe lato spędziłam z rodziną we Francji i tak się cieszyłam, że spotkam się z Fioną i... A ona się nie pojawiła. Po prostu poszła do szpitala.
- Do Modum Bad?
- Taaak... Ale wie pani, nie jestem pewna. Zawsze myślałam, że to Modum Bad, bo nie znałam żadnych innych miejsc, w których leczą nerwy.
- A skąd pani wie, że to były nerwy?
- Cisza. Znów szuranie, tym razem cichsze.
- Kiedy pani tak pyta - odparła Sara Brubakk z namysłem
- to doprawdy muszę przyznać, że niczego nie jestem pewna z wyjątkiem tego, że jej nie było. Długo. Wydaje mi się, że nie wróciła do świąt Bożego Narodzenia. A może... Tak, wróciła, bo zawsze przygotowywaliśmy przedstawienie szkolne i próby zaczynaliśmy już na początku grudnia.
- Przedstawienie szkolne? Tuż po załamaniu nerwowym?
- Jack zaczął warczeć na zbyt zuchwałego kaczora, który nastroszył pióra i próbował sięgnąć po kawałek chleba leżący zaledwie parę metrów od psiego pyska.
- Cicho bądź! - powiedziała Inger Johanne.
- Słucham?
- Przepraszam, mówiłam do psa. A więc Fiona brała udział w... Czy ona pani mówiła, dlaczego jej nie było?
- Taaak. Chociaż... Właściwie to nie. Nie wiem, upłynęło tyle czasu.
- W głosie pojawił się cień żalu, a jednocześnie kobieta chyba szczerze chciała pomóc.

- Mówiłam już, że byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Rozmawiałyśmy o wszystkim, jak to przyjaciółki. Ale pamiętam, że czułam się trochę urażona, bo Fiona nie chciała opowiadać, gdzie była ani co jej właściwie dolegało. Akurat tego jestem pewna. Moja matka doradzała mi, żebym tego nie drażyła, tyle pamiętam. Że niełatwo jest z takimi... chorobami.

- To jednak oznacza, że cała ta historia o nerwach i Modum Bad może równie dobrze być wnioskiem, jaki pani wyciągnęła, a niekoniecznie czymś, co pani wiedziała na pewno - podsumowała IngerJohanne.

- Niestety, na to wygląda.

- A jaka wydawała się Fiona po powrocie?

- Jaka się wydawała? Właściwie całkiem normalna, taka jak wcześniej. Nie widziałam jej przez... pięć miesięcy, od świętego Jana do końca listopada. W tym wieku człowiek szybko się zmienia. Ale wciąż byłyśmy przyjaciółkami.

Alejką przemaszerowała grupa przedszkolaków. Szły parami, kołysząc się na boki w za dużych kombinezonach. Zasmarkany chłopczyk w czapce opadającej na oczy głośno płakał. Opiekunka wzięła go na ręce i zawołała:

-Już niedaleko, dzieci, chodźcie!

- Czy ona mogła być w ciąży? - spytała Inger Johanne.

- W ciąży? W ciąży?! - Sara Brubakk wybuchnęła śmiechem.

- O tym może pani zapomnieć. Mój Boże, czas miał pokazać, że w ogóle miała wielkie problemy z urodzeniem dziecka. Fiorella jest z próbówki.

Tego Inger Johanne nie wiedziała. W ogóle trochę za dużo szczegółów historii Fiony Helle nie trafiło do grubych teczek Kripos.

- Poza tym - dodała Sara Brubakk - Fiona na sto procent by mi o czymś takim powiedziała. Byłyśmy jak papużki nierozłączki. W ciąży? Nie. To wykluczone.

- Ale nie widziała jej pani przez pięć miesięcy - zaprotestowała IngerJohanne.

- No tak. Ale ciąża? Niemożliwe!

- W porządku. Bardzo pani dziękuję.

- To już wszystko?

- Na razie tak, dziękuję.
- Rozwiążecie tę sprawę?
- Zwykle nam się udaje - odparta Inger Johanne wymijająco.
- Śledztwo wymaga czasu. Rozumiem, że to może być trudne dla rodziny i znajomych.
- Owszem, ale proszę dzwonić, jeśli tylko będę mogła pomóc. Bardzo bym chciała się do czegoś przydać.
- Rozumiem. Do widzenia.

Orszak przedszkolaków wszedł między ceglane bloki na Mor Go'hjertas vei i zniknął. Kaczki się uspokoiły.

Inger Johanne ruszyła wzdłuż brzegu rzeki. Jack posłusznie szedł przy nodze.

Tak długo to była sprawa bez tajemnic, pomyślała. Sprawa w dziwny sposób wolna od nienawiści i sekretów. I nagle pojawia się to. Tak jak zawsze coś się pojawia, we wszystkich sprawach. Po każdym zabójstwie. Kłamstwa. Półprawdy. Skrywane fakty, zapomniane wyparte historie.

Ragnhild się rozpląkała. Inger Johanne zajrzała pod budkę. Bezzębne dziąsła były odsłonięte we wściekłym grymasie. Zatkąła buzię smoczkiem. Dziecko ucichło.

Od dawna już myślała, że w obu tych sprawach, i Fiony, i Vi-beke, jest niezwykle mało sprzeczności i kryjących się gdzieś pod powierzchnią konfliktów.

Przyspieszyła. Wiatr był nieprzyjemny, mocny. Niedługo Ragnhild naprawdę się rozbudzi. Muszą wracać do domu.

Bywa, że odrzucenie przez matkę czyni z człowieka mordercę, myślała, prąc naprzód chodnikiem na Bergensgata. Ale dlaczego prawie dwadzieścia sześć lat później? Czyżby dziecko, dorosłe dziecko dopiero teraz poznało prawdę? Czy ujawnienie starej zdrady mogło być podłożem takiej nienawiści? Czy mogło być siłą napędową takiego zabójstwa? Wynaturzonej, pełnej symboli egzekucji? A może...

Zatrzymała się. Jack spojrzął na nią zdumiony, z pyska wystawał mu język. Przejechał autobus. Spaliny zaparły Inger Johanne dech w piersi.

Odrzucenie wcale nie musiało nastąpić tak dawno.

Ta myśl ledwie przeleciała jej przez głowę już poprzedniego

wieczoru, kiedy Yngvar przestrzegał przed zbyt niekonkretnymi spekulacjami. Oddane obcym ludziom dziecko Fiony Helle mogło odszukać swoją biologiczną matkę całkiem niedawno. Co by to była za ironia, gdyby Fiona sama stała się obiektem tęsknot, na których zbudowała własną karierę, wykorzystując ich wartość rozrywkową.

Nie wolno spekulować, skarciła się w myślach. Yngvar ma rację. To zbyt luźna koncepcja. A jeśli dziecko naprawdę istnieje...

Co, do diabła, ktoś taki może mieć coś wspólnego z Vibeke Heinerback?

Tu musi chodzić o dwóch zabójców.

A może nie.

Owszem. O dwóch. Albo o jednego.

Muszę się poddać, pomyślała. To nieprofesjonalne podejście. Profiler ma zaawansowane programy komputerowe, pracuje w zespole, ma dostęp do archiwów, do najbardziej kompetentnych osób. Ja nie jestem profilerem. Jestem przypadkową kobietą na spacerze z niemowlęciem i kundlem. Ale jest coś, jest coś, co...

Teraz już prawie biegła. Ragnhild głośno płakała w wózku, który podskakiwał na wybojach i o mały włos się nie przewrócił, gdy Inger Johanne poślizgnęła się na bryle lodu, skręcając w Hauges gate.

Gdy wreszcie dotarła do domu, zanim zdjęła płaszcz, zamknęła drzwi na klucz i założyła łańcuch.

*

Trond Arnesen nie mógł spać. Była druga w nocy z wtorku na środę. Kilka razy wstawał napić się wody. W ustach miał papier ścierny - nie wiedział dlaczego. W telewizji nie było nic, co przykułoby uwagę lub przynajmniej pozwoliło mu przestać się zastanawiać, dało kilka minut wolnego od tego kołowrotu myśli, który stale się obracał, odpędzając sen.

W końcu się poddał. Wstał po raz czwarty. Ubrał się.

Spacer, pomyślał. Trochę powietrza.

Śnieg spadł koło ósmej. Czystym delikatnym woalem przykrył ziemię, gnijące liście i zimowe odpadki, szaroczarne krawędzie

śniegu odrzuconego z ulicy i błotniste drogi. Żwir chrząścił pod butami. Furtka zaskrzypiała przy otwieraniu. Trond ruszył pod górę, jak gdyby stojąca na szczycie latarnia przyciągała go do siebie.

Nie było żadnego sposobu na wyjawienie prawdy.

Nie mógł o tym powiedzieć, kiedy jeszcze miał możliwość, w przesyconym zapachem potu pokoju, w obecności policjanta, który wyglądał tak, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem.

W tamten piątek to był absolutnie ostatni raz; tak łatwo przyszło o tym zapomnieć.

Potem zjawiał się Bard.

Idiota.

Trond wsunął ręce do kieszeni puchówki. Szedł szybko. Nikt inny nie spacerował o tej porze, w domach z ciemnymi oknami ludzie już dawno poszli spać. Przez drogę przebiegło chude kocisko, zatrzymało się przez moment, patrząc na niego żółtymi, jarzącymi się ślepiami, i zaraz zniknęło w krzakach po drugiej stronie.

Tęsknił za Vibeke. Coś jakby ssanie usadowiło się pod żebrami, tęsknota, jakiej chyba nigdy wcześniej nie zaznał, przypominająca trochę tęsknotę za matką, gdy jako mały chłopiec wyjechał na zieloną szkołę.

Vibeke była silna. Ona by wszystko załatwiła.

Łzy zostawiały na policzkach lodowate ślady.

Pociągnął nosem, wysmarkał się po męsku w dwa palce i stanął. Właśnie tutaj zatrzymała się taksówka, żeby zwymiotować. Mimo warstwy świeżego śniegu nie miał najmniejszych wątpliwości. Na próbę wetknął czubek buta w zaspę. Tutaj było jaśniej, latarnie stały co piętnaście metrów. Płatki śniegu przy jego bucie lśniły jak diamenty.

Zobaczył swój zegarek.

Pochylił się zdumiony.

Tak, to jego zegarek. Dmuchał na niego, otrzepał śnieg, podniósł do oczu. Za dwadzieścia trzecia. Sekundnik dzielnie tykał, a wyświetlacz daty pokazywał, że jest osiemnasty.

Lodowaty plastik zapiekł na skórze, gdy Trond zapiął zegarek na nadgarstku.

Zegarek przypominał mu Vibeke. Objął dłonią czarny pasek i uściśnął.

Powinien to zgłosić.

Przecież tak histeryzował na temat zegarka, powinien więc powiadomić Yngvara Stubø, że go znalazł. Najzwyczajniej w świecie się pomylił. Owszem, nie znalazł zegarka w domu, bo zabrał go na imprezę, ale spadł mu z ręki, kiedy zgięty wpół rzygał po pijaku.

Może ten policjant poruszył niebo i ziemię, żeby znaleźć zegarek, a Trond wcale nie chciał, by niebo i ziemię poruszano. Chciał mieć spokój i jak najmniej kontaktów z policją.

Rozwiązaniem był esemes. Dostał przecież numer Stubø z zapewnieniem, że może dzwonić w każdej chwili. Esemes jest całkowicie niegroźny. Wiadomość tekstowa nie ma w sobie dramatyzmu, jest codziennością, nowoczesnym środkiem przekazywania informacji, trywialnych, mało znaczących wiadomości.

Zegarek znaleziony. Zgubiłem go. Przepraszam za zamieszanie! Trond Arnesen

No i załatwione. Odwrócił się. Nie mógł się włóczyć po ulicach przez całą noc. Może znajdzie jakiś film na DVD. Albo łyknie jedną z tabletek nasennych Vibeke. Nigdy wcześniej tego nie próbował, więc gdyby zażył dwie, pewnie całkiem by odjechał. Wydawało mu się to nawet kuszące.

O zagubioną książkę nie dbał. Rudolf Fjord może sobie kupić nową.

*

Szturchnęła go lekko. Obrócił się na bok.

- Yngvar, boję się.

- Nie bój. Śpij.

- Nie mogę.

Westchnął demonstracyjnie i zasłonił twarz poduszką.

- Od czasu do czasu musimy spać - powiedział zduszonym głosem. - Przynajmniej od czasu do czasu. - Wyrzwał spod poduszki i ziewnął. - Czego się teraz boisz?

- Obudziłam się, bo twoja komórka pisnęła, a potem...

- Telefon dzwonił? Cholera, powinienem był... - Po omacku

zaczął szukać przełącznika nocnej lampki. Przewrócił szklanekę z wodą. - Cholera! - stęknął. - Gdzie...

Światło trafiło go prosto w twarz. Skrzywił się i usiadł na łóżku.

- Telefon nie dzwonił - wyjaśniła szybko Inger Johanne. - Tylko pisnął. A potem...

Yngvar już walczył z komórką. Mignęło zielone światełko.

- Boże! - mruknął. - Co za pora na wysyłanie esemesów. Biedny chłopak, pewnie nie może spać. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie tchórza.

-Kto?

- Trond Arnesen. Nie myśl o tym, to nic ważnego.

Podniósł się sztywno, podciągnął bokserki.

- Dobrze, że wreszcie się zgodziłaś, żeby Ragnhild spała osobno. Inaczej wszyscy chodzilibyśmy jak zombi. Właściwie już tak wyglądamy.

- Nie złość się. Dokąd idziesz?

- Po ścierkę. Rozlałem wodę.

- Zostaw, to tylko woda.

Przez chwilę się wahał. W końcu wzruszył ramionami i z powrotem wsunął się pod kołdrę. Przygasił lampę, wyciągnął rękę do żony. Wtuliła się w niego.

- Czego się boisz? - powtórzył. - Ragnhild ma się świetnie.

- Nie o to chodzi. To te sprawy...

- Wiedziałem - powiedział słabym głosem i ułożył się wygodniej.

Światło wciąż nieprzyjemnie raziło w oczy.

- Nie powinienem był cię wciągać w to bagno. Dureń ze mnie. Mogę zgasić światło?

- Mhm. Po prostu wydaje mi się, że macie niewiele czasu.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie o tym.

- Wszyscy wiemy, że czas to nasz najgorszy wróg. - Ziewnął przeciągle. - Ale z drugiej strony, skoro już się tak stało, że nie znaleźliśmy gorących śladów, lepiej być dokładnym. Kłaść kamyk na kamieniu.

- Ale co by było, gdyby...

Wyrwał się jej gwałtownie i usiadł na łóżku.

- Jest prawie trzecia! - jęknął. - Chcę spać! Nie możemy tego zostawić do jutra?

- Co by było, gdyby sprawcy chodziło tylko o jedną ofiarę? - powiedziała z namysłem. - Jeśli na przykład zależało mu na śmierci Fiony, a Vibeke zginęła dlatego, że chciał zakamuflować swoje prawdziwe motywy?

- Halo! - Yngvar nadał policzki. - Mieszkamy w Norwegii. Zabójstwo dla kamuflażu? Kiedykolwiek o czymś takim słyszałaś?

- Owszem, wiele razy.

- Ale nie tutaj! - Głucho uderzył rękami o pościel. - Nie w małym Królestwie Norwegii, gdzie ludzie na ogół zabijają się nożem po pijaku! Poza tym zabójstwo to, doprawdy, marny kamuflaż! A teraz musimy spać!

- Ciszej!

- Będę mówił tak głośno, jak zechcę.

- Zgadza się, że zabójstwo to nędzny kamuflaż. Właśnie dlatego macie mało czasu.

Wstał gwałtownie. Podłoga zatrzeszczała, protestując przeciwko takiemu ciężarowi. Woda się rozprysnęła. Yngvar zaklął. Szklanka wolno potoczyła się pod łóżko. Szarpnął kołdrę i ruszył do drzwi.

- Tobie potrzeba zdumiewająco mało snu - oświadczył. Gotowa była przysiąc, że głos mu drżał, jak gdyby powstrzymywał się od płaczu. - Ale mnie nie. Jeśli się boisz... - Ramiona mu opadły. Walczył z kołdrą. W końcu nabrał powietrza i dokończył: - ...to oczywiście możesz mnie obudzić. Lecz wtedy musisz się naprawdę bać. Porządnie. Idę się położyć u Kristiane. Dobranoc.

Trzasnęły drzwi i zaraz rozległ się płacz Ragnhild.

- O nie! - dobiegło jeszcze przytłumione z korytarza.

- Nieee!

*

Vegard Krogh nie lubił zagajnika, przez który musiał przejść, żeby dotrzeć do domu matki. Kiedy był mały, chodził tą ścieżką wyłącznie w jasny dzień, a najchętniej w czyimś towarzystwie.

Powiadano, że wśród drzew straszy. Podobno kiedyś był tu cmentarz. W osiemnastym wieku zrównano go z ziemią, bez cienia szacunku dla spoczywających tu zmarłych. Poltergeisty się mściły i niestrudzenie nawiedzały każdego, kto odważył się wtargnąć do ich lasu po zapadnięciu ciemności, tak przynajmniej uważały dzieci z osiedla.

To oczywiście bzdury, a jemu nie chciało się iść naokoło. Był już późny wieczór, czwartek, dziewiętnasty lutego. Na szczęście śnieg, który przez ostatnie dwie doby kładł się na nagich gałęziach i rozpościerał między drzewami białym dywanem, dawał trochę światła. W każdy razie Vegard widział, gdzie stawia stopy.

Niósł dwie eleganckie designerskie torby. Matka pożyczyła mu piętnaście tysięcy koron bez wahania i bez obligatoryjnych marudnych pouczeń o tym, że jest już przecież dorosłym żonatym mężczyzną, który powinien umieć zadbać o własne finanse. Przeciwnie, dała mu pieniądze z błyskiem w oku. W zamian obiecał, że spędzi u niej kilka wieczorów. Właściwie nie miał nic przeciwko dobremu jedzeniu i darmowemu winu.

Piętnaście tysięcy nie wystarczyło na długo, ale i tak był zadowolony. Pisząc w codziennym blogu, miał ochotę wspomnieć o zaproszeniu. Zrezygnował jednak. Dyskrecja, pomyślał i zadowolił się opisem wyprawy na zakupy. Wyszła mu ironiczna epistoła o butikach, w których było pięć sztuk garderoby i dwie ekspedientki, obie na tyle zmęczone życiem, żeby w każdej chwili palnąć sobie w łeb.

Najważniejsi czytelnicy zapewne zrozumieją, dlaczego on, zazwyczaj chodzący w dżinsach i bluzie z kapturem, nagle wydal majątek w Kamikaze i u Ferner Jacobsena, gdzie wreszcie znalazł coś, co jego zdaniem było zarówno *casual*, jak i *sharp*.

Trzy eseje ze „Skoku na bungee” udostępnił na swojej stronie internetowej. Nie spytał o zgodę wydawnictwa. Oni i tak nic nie robili, żeby wypromować książkę. Wszystko jedno. Jutro doda jeszcze ze dwa. Ludzie się na to rzucili. Minęły zaledwie dwie godziny, nim zaczęła się pierwsza dyskusja. Szczególną debatę wywołał ten kawałek o ustalonej pozycji kultury

popularnej. Vegard posłużył się kartonem od mleka jako metaforą w opowieści o zbędnych produktach masowych w państwie opiekuńczym. Bez smaku, nikomu niesłużących, za to do znalezienia wszędzie w łatwo rozpoznawalnych markowych opakowaniach krążących w nieskończoność w politycznie poprawnym recyklingu. Esej nosił tytuł „Kultura odłuszczona” i gdy tylko Vegard zamieścił link do niego na stronach literatury w „Dagbladet”, od razu się zaczęło.

Szedł lekkim krokiem. Buty miał nowe, dobrze dopasowane. Mocne podeszwy pozwalały mu bez trudu iść po śliskiej ścieżce.

Może powinien trochę mocniej ponaciskać w sprawie tej umowy na zlecenie dla telewizji. „Wielkie studio” niezbyt do niego pasowało. Za łatwe, oczywiście, i zbyt płytkie. Mimo to show był dość żywy, niekiedy całkiem ostry i wielkemiejski. A poza tym Anne Lindmo to niezła laska.

Postanowi! bardziej się upierać, żeby dostać tę robotę.

Wkrótce wyszedł z lasu. Za łagodnym zakrętem i niewielkim pagórkiem, na którym kiedyś zbudował sobie chatkę w gałęziach starego dębu na samym skraju lasu, stał dom jego dzieciństwa. Matka obiecała, że go nakarmi, nawet jeśli przyjdzie późno.

Ktoś za nim szedł. Lęk ścisnął go w gardle, rozpoznał dawny strach ze zdyszanych biegów przez las, kiedy duchy deptały mu po piętach.

Spokojnie się odwrócił. Zorientował się, że mocniej zacisnął dłonie na uchwytach toreb, jak gdyby najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać, było obrabowanie z nowych ciuchów.

Zrozumiał teraz, że ten ktoś wcale nie znajdował się za nim. Wyłonił się z lasu, pomiędzy drzew, gdzie nie było żadnej ścieżki, a ślady w świeżym śniegu wyglądały jak łańcuch czarnych nierównych dziur. Trudno było rozróżnić cokolwiek poza konturami sylwetki. Vegarda Krogha niemal oślepiło światło mocnej latarki.

Dziwne ubranie, pomyślał.

Zupełnie biały kombinezon.

Lęk nieco ustąpił.

- Cholera jasna! - Vegard podniósł rękę, osłaniając oczy

przed ostrym światłem. - Straszysz ludzi, tak się skradając!

Latarka została opuszczona i odwrócona. Teraz oświetlała twarz tej osoby. Od dołu, tak jak dzieci straszyły najmłodszych w półmroku letnich wieczorów, kiedy podjudzali się nawzajem do przebiegnięcia po dawnym cmentarzu.

- Ty? - powiedział Vegard Krogh zdumiony, z lekką irytacją, zmrużonymi oczami uważnie przyglądając się tej twarzy. - Ty? To...

- Teraz już był wściekły. - To ty? Co...? Cholernie...

Ważąca dwa kilogramy latarka z ogromną siłą trafiła go prosto w skroń. Nie umarł. Osunął się tylko i upadł na kolana.

Latarka uderzyła go znów, tym razem w tył głowy. Z mięsistym trzaskiem, który może nawet by go zafascynował, gdyby był w stanie go usłyszeć. Ale Vegard Krogh już nie słyszał. Nie żył, zanim ciało dotknęło śliskiej lodowatej ziemi.

Wczesnym przedpołudniem w piątek dwudziestego lutego Yngvar Stubø wszedł za Sigmundem Berlim i Berntem Hellem przez szklane drzwi domu opieki tuż pod Oslo. Uderzył go panujący tu odór. Nie mógł pojąć, dlaczego ludzi niedołączonych zmusza się do życia w smrodzie gotowanej ryby i silnych środków dezynfekcyjnych. Publiczna bieda to jedno, ale doprawdy, świeże powietrze nic nie kosztowało. Kiedy stanął w drzwiach pokoju, w którym Yvonne Knutsen już trzeci rok leżała nieruchomo na łóżku, ledwie zdołał zapanować nad pokusą otwarcia okna.

- Yvonne - powiedział Bernt Helle. - To ja. Jest dzisiaj ze mną policja. Śpisz?

- Nie.

Odwrociła twarz do zięcia, uśmiechnęła się z rezerwą. Bernt Helle dotknął dłonią jej przedramienia i przelotnie musnął ustami policzek. Potem przyciągnął do łóżka jedyne znajdujące się w pokoju krzesło i usiadł. Yngvar i Sigmund wciąż stali tuż przy drzwiach.

- Wiem, że nie chcesz z nikim rozmawiać - zaczął Bernt Helle i wielką dłonią objął szczupłą rękę chorej, na której rysowała się pod skórą siateczka niebieskawych żyłek. - Oprócz mnie i Fiorelli, oczywiście. Ale tym razem to dość ważne, żebyś zgodziła się na rozmowę, bo widzisz... - Pogłaskał się po głowie i głośno westchnął.

- O co chodzi? - spytała Yvonne.

- Widzisz, coś się wydarzyło ...

Znów się zaciął. Bawił się całówką wystającą z kieszeni ogrodniczek w kolorze khaki.

Yngvar podszedł do łóżka.

- Jestem Yngvar Stubø - przedstawił się i uniośł rękę, nie podając jej. - Byłem tu już wcześniej, zaraz po...

- Pamiętam - przerwała mu Yvonne Knutsen. - Niestety, nie dopadła mnie jeszcze skleroza. Pamięć mam na tyle dobrą, że

wiem, iż obiecał pan, że więcej nie będzie mnie już dręczył.

- Zgadza się. - Yngvar kiwnął głową. - Ale sytuacja się zmieniła.

- Nie moja.

- Doszło do kolejnego zabójstwa.

- Ach tak?

- Również tym razem chodzi o osobę znaną.

- O kogo?

- O Vegarda Krogha.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- No cóż, był znany, ale wszystko jest względne. Rzecz w tym, że my...

- Rzecz w tym, że ja tu leżę i umieram - powiedziała Yvonne Knutsen. Głos miała spokojny, bez cienia dramatyzmu czy uzalania się nad sobą. - Im szybciej to się stanie, tym lepiej. A w okresie oczekiwania nie życzę sobie, żeby mnie męczono. Nie chcę z nikim rozmawiać. Moim zdaniem to dość skromna prośba, zważywszy na mój stan.

Yngvar powiódł wzrokiem po wacianej kołdrze. Żaden ruch nie świadczył o tym, że leży pod nią żywy człowiek, nawet klatka piersiowa nie poruszała się w widoczny sposób. Na twarzy znać było ślady dawnej urody, świadczyły o niej wysokie czoło i duże oczy w kształcie migdałów. Usta były ledwie szparką między zapadniętymi policzkami, ale przez moment zdołał sobie wyobrazić Yvonne Knutsen taką, jaka musiała być kiedyś. Wysoką, pewną siebie i atrakcyjną.

- Rozumiem - powiedział. - Naprawdę rozumiem. Jednak nie mogę spełnić pani życzenia. Sytuacja stała się na tyle poważna, że musimy wyjaśnić każdy, najdrobniejszy nawet ślad.

- Mówiłam już, nie znam żadnego Vegarda Kraga i nie mogę...

- Krogha - odezwał się Sigmund. - Vegarda Krogha.

- Krogha - powtórzyła słabo, nie patrząc w kierunku Sigmunda.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku. I dlatego nie potrafię zrozumieć, jak mogłabym pomóc.

- Mam kilka pytań związanych z dzieckiem Fiony - powiedział Yngvar cicho.

- Z Fiorellą? - zdziwiła się chora. Przeniosła wzrok z Yngvara na Bernta i z powrotem na Yngvara. - Co z nią?

- Nie chodzi mi o Fiorellę - wyjaśnił Yngvar. - Tylko o pierwsze dziecko. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o dziecku, które Fiona urodziła, kiedy miała szesnaście lat.

Yvonne Knutsen się zmieniła. Grzbiet nosa jej poczerwieniał, kolor rozlał się szybko w kształt motyla na zszarzałej skórze. Oddychała teraz szybciej, głębiej i na próżno usiłowała podnieść się w łóżku. Usta jej się powiększyły, stały się czerwieniejsze, bardziej pełne. Oczy, które kilka sekund temu zdawały się już brać zaliczkę na śmierć, teraz błysnęły głęboką rozpaczą.

Zięć delikatnie położył rękę na jej piersi.

- Nie denerwuj się - powiedział.

- Bernt! - jęknęła.

-Wszystko porządku.

-Ale...

- Uspokój się.

Yngvar Stubø podszedł jeszcze bliżej. Wsparł się o wysokie łóżko i pochylił nad chorą.

- Rozumiem, że to musiało bardzo ciężko...

Bernt Helle go odsunął. Pierwszy raz w ciągu tego długiego, nieposuwającego się naprzód śledztwa w sprawie zabójstwa Fiony wydawał się agresywny. Nie ustąpił, dopóki Yngvar nie stanął w odległości metra od łóżka. Potem pogładził Yvonne po głowie.

- Mnie ta wiadomość przyniosła ulgę - powiedział cicho, jak gdyby policjanci już go nie obchodzili. - Fiona była taka... Stale czegoś szukała. Często się zastanawiałem, co nią powodowało. Nie rozumiem, co złego miałoby być w wyjawieniu tajemnicy po tylu latach, po tylu...

W jego głosie pojawił się odcień tłumionego gniewu. Sam to usłyszał i urwał. Yngvar zauważył, że mocniej ścisnął dłoń teściowej, kiedy podjął:

- Po prostu nie rozumiem. Musimy o tym porozmawiać. Ale

akurat w tej chwili bardzo cię proszę, odpowiedz na pytania komisarza Stubø. To ważne, Yvonne, proszę cię.

Pląkała cicho. Wielkie łzy na moment zatrzymywały się w kącikach oczu, a potem odrywały i spływały we włosy tuż przy skroniach.

- Ja nie chciałam... Myślałyśmy... to było...

- Ciii... - uciszył ją Bernt. - Spokojnie.

- To by jej zniszczyło życie. Miała dopiero szesnaście lat. A ojciec dziecka...

Z lewej dziurki jej nosa połał się strumyczek przezroczystej cieczy. Wierzchem dłoni wytarła twarz.

- To był drań - powiedziała głośno. - Fiona właśnie miała zacząć chodzić do liceum. Chłopak uciekł, a za późno już było na... Oczywiście, powinnam to była zauważyć, ale kto by... Nastolatki mają prawo do prywatnego życia. Trochę szczenięcego tłuszczyczku w okresie przejściowym... Ja...

- Yvonne - odezwał się Bernt Helle zdecydowanie, próbując przytrzymać jej spojrzenie. - Posłuchaj mnie. Posłuchaj!

Znów odwróciła się od zięcia i spróbowała wyrwać rękę z jego uścisku.

- Posłuchaj mnie - powtórzył, jakby mówił do upierającej się na coś córeczki. - O wszystkim dokładniej porozmawiamy później. Teraz najważniejsze, żebyś odpowiedziała policji na pytania.

Nikt nic nie mówił. Yvonne zrezygnowała z walki z nieposłusznymi mięśniami. Znów leżała bezradna, bez sił.

- On się nazywa Mats Bohus - powiedziała nagle. Głos odzyskał dawne brzmienie, odpychające i obojętne zarazem.

-Co?

-Mats Bohus. Urodził się trzynastego października 1978 roku. Więcej nie wiem.

- Skąd możesz...? - zaczął Bernt Helle, nie kończąc pytania.

Yngvar znów zbliżył się do łóżka.

- Ten Mats niedawno zwrócił się do Fiony - powiedział, jakby nie potrzebował potwierdzenia Yvonne.

Przyświadczyła jednak mruknięciem, nie patrząc na Yngvara.

- Przed czy po Nowym Roku? - spytał.

- Tuż przed świętami — szepnęła Yvonne. — On był... jest...

Z nosa nie przestawało jej lecieć. Bernt Helle wyjął chusteczkę z szuflady nocnej szafki i włożył chorej do ręki. Wystarczyło jej sił akurat na to, by unieść lewą dłoń i wsunąć chusteczkę pod nos.

- Wysłałam ją z domu. Wyprawiłam Fionę do mojej siostry w Dokka. Tam prawie nie ma ludzi. Jest dość daleko, by nikt tutaj się nie dowiedział.

Yngvar zadrżał, gdy chora się roześmiała. Przypominało to krakanie wrony. Śmiech był ochrypliwy, zgrzytliwy i całkowicie pozbawiony radości.

- Urodziła za wcześnie - podjęła Yvonne. - Nie było mnie przy tym. Nikogo nie było. Oboje o mało nie umarli. Potem...

Oddech zmienił się w szloch i nagły atak kaszlu kazał Berntowi unieść ją w łóżku. Gdy wreszcie się uspokoiła, delikatnie otarł jej usta i położył z powrotem.

- Z chłopcem było coś nie tak - powiedziała twardo. - Ale to już przestało być naszą sprawą.

- Coś nie tak? - powtórzył Yngvar. - A co?

- Był za duży. Ospały, wielki i... nieprawdopodobnie brzydki. Yngvarowi na moment stanęła przed oczami Ragnhild tuż po wyciągnięciu z brzucha matki. Czerwona, pokryta śluzem i w bezradny sposób nieładna. Zasłonił usta ręką i odchrząknął. Oczy mu się zwężyły. Yvonne Knutsen najwyraźniej jednak nie zauważyła jego dezaprobaty.

- Co się później wydarzyło? - spytał Bernt Helle ledwie słyszalnym głosem.

- Zapomniałyśmy. Musiałyśmy zapomnieć.

- Zapomniałyście...

Yngvar po cichu odsunął się o krok od łóżka.

- Chłopiec został oddany do adopcji - mówiła dalej. - Oczywiście nie wiedziałam, kto go zaadoptował. Tak było najlepiej. I dla niego, i dla Fiony. Ona miała życie przed sobą. Gdyby tylko udało nam się zapomnieć...

- I udało wam się? Tobie się udało, Yvonne?

Bernt Helle puścił teraz jej rękę i przesunął się na brzeжку krzesła, jakby szykował się do skoku. Lewa noga mu drgała.

Obcas stuknął w linoleum.

- Zapomniałam. - Yvonne wbiła palce w prześcieradło, gdzie nie było już ręki zięcia. -I Fiona też zapomniała. Tak było najlepiej. Nie rozumiesz tego?

Bernt utkwilił spojrzenie w nierówno zawieszoną wyblakłej litografii. Odchylił się na krześle z przekrzywioną głową, oczy nie chciały oderwać się od obrazu. Wpatrywał się w niego, mrugał, przyglądając się abstrakcyjnej składance odbarwionych sześcianów i cylindrów.

- Chociaż spróbuj zrozumieć - błagała Yvonne. - Fiona była za młoda. Najlepiej było wyprawić ją z domu, pozwolić, by dziecko się urodziło, a później już tylko zapomnieć. Żyć dalej, jakby nic się nie zdarzyło. To było absolutnie konieczne. Musiałam zadbać o Fionę. Tylko o nią. Byłam za nią odpowiedzialna. Byłam jej matką. Wiedziałam, że chłopcu będzie lepiej u dorosłych rodziców, ludzi, którzy będą mogli...

- Nie mówimy o czasach międzywojennych. - Bernt odrobinię odsunął się od łóżka. - To się zdarzyło pod koniec lat siedemdziesiątych! W dekadzie kobiet, Yvonne! Pani premier Gro Harlem Brundtland i ochrona środowiska, prawo do decydowania o aborcji, parytet płci, do cholery!...

Zerwał się z krzesła i uniósł ręce w geście wyrażającym gniew, a może rozpacz. Gwałtowne emocje szybko z niego opadły. Przeciągnął obiema rękami po głowie.

- Tyle lat staraliśmy się o dziecko! Byliśmy za granicą, w najprzeróżniejszych klinikach. Próbowaliśmy i próbowaliśmy...

- Wydaje mi się - przerwał mu ostro Yngvar - że musimy się trzymać pana własnych mądrych słów, Helle. To rzeczywiście są problemy, o których należy porozmawiać, ale mogą jeszcze zaczekać.

Wdowiec spojrział na niego zdziwiony, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności policji.

- No tak - przyznał słabym głosem. - Ale wobec tego chyba...

Wolno przeszedł na drugą stronę łóżka. Powietrze w pokoju zgęstniało. Yngvar czuł pot spływający spod pach i zostawiający chłodne ślady na skórze aż do paska spodni. Przeciągnął palcem pod nosem.

- Co pan teraz zamierza? - spytał czujnie.

Bernt Helle nie odpowiedział. Delikatnie wyprostował przekrzywiony obraz. Pociągnął lekko w jedną stronę, potem odrobinę w drugą.

- Rozumiem, że potrzebujecie odpowiedzi - rzekł, wciąż odwrócony do ściany. - A ja naprawdę chcę wam pomóc. Ale akurat w tej chwili naprawdę niewiele mogę zrobić. Nie powinienem tu być, więc wychodzę.

Sigmund zagroził drzwi.

- Nie jestem aresztowany - oświadczył Bernt Helle. Był o głowę wyższy od krępego policjanta. - Proszę się odsunąć.

- Puść go - nakazał Yngvar. - Oczywiście ma pan prawo robić, co chce. Bardzo dziękuję, panie Helle.

Wdowiec nie odpowiedział. Drzwi zamknęły się za nim tak wolno, że słyszeli jego kroki oddalające się korytarzem. Uderzenia twardej gumy o wypastowane linoleum. Yngvar zajął miejsce Hel- lego na krześle.

- No więc zostaliśmy jeszcze my.

Chora kobieta w łóżku wyglądała coraz gorzej. Zamknęła oczy. Rumieniec zniknął, twarz nie była już szaroblada jak wtedy, gdy przyszli, nabrała przerażającego sinobiałego odcienia. Drżenie dolnej wargi było jedynym dowodem na to, że Yvonne Knutsen

jeszcze żyje.

- Rozumiem, że to trudne - powiedział Yngvar. - Nie będę pani długo dręczył. Muszę tylko wiedzieć, co się wydarzyło, kiedy...

- Proszę wyjść.

- Dobrze, tylko...

- Proszę wyjść. - Głos jej się załamał.

- Czego on chciał? - spytał Yngvar. - Czego chciał Mats Bohus? Co się wydarzyło, kiedy przyszedł?

- Proszę wyjść.

- Czy on mieszka tu, w...

- Bardzo proszę, wyjdźcie.

Po omacku szukała ręką dzwonka alarmowego przymocowanego do łóżka. Yngvar wstał.

- Bardzo mi przykro - powiedział cicho. - Do widzenia.

- Ale... - zaprotestował Sigmund Berli, kiedy Yngvar chwycił go za ramię i wyprowadził na korytarz. - Musimy...

- Ten człowiek nazywa się Mats Bohus i wiemy, kiedy się urodził - stwierdził Yngvar, oglądając się przez ramię.

Yvonne Knutsen z trudem łąpała oddech i raz po raz naciskała dzwonek.

- Nietrudno będzie go znaleźć, mając takie informacje - szepnął Yngvar, ale nie ruszał się od drzwi. Dopiero gdy mężczyzna w białym fartuchu przybiegł wzywany nagłym dzwonieniem, znów pociągnął Sigmunda za rękaw i ruszył korytarzem.

- To nie musi być strasznie trudna robota - powtórzył, jak gdyby chciał przekonać samego siebie. Szybko zerknął na zegarek. - Już piętnaście po dwunastej, mamy mało czasu.

Powietrze na zewnątrz, zimne i ostre, ze śladem zapachu świerkowych igieł i palonego drewna dochodzącego z domu odległego o rzut kamieniem, kazało mu mimo wszystko stać przez kilka minut, zanim wreszcie wsiadł do samochodu na miejsce pasażera.

- Ty prowadź - powiedział Sigmundowi, który zdziwiony wsunął się za kierownicę i włożył kluczyk w stacyjkę. - Mamy mało czasu.

*

Samotność przestała już być trudna. Przeciwnie, starał się uniemożliwić ludziom wizyty. Stali w kolejce. Rodzice, zwłaszcza matka, dzwonili kilka razy dziennie. Brata wprawdzie nie widział od tamtej niezrozumiałej bójkii, ale przyjaciele, koledzy i dalsi znajomi najwyraźniej uważali, że Trond Arnesen nie ma predyspozycji do mieszkania w pojedynkę. Wczoraj w drzwiach stanęły dwie dawne koleżanki z liceum, przyniosły domową lasagne. Wyglądały na obrażone, kiedy ich nie wpuścił.

Czytał, że powinno być odwrotnie,

W kolorowych magazynach dla kobiet, których jeszcze nie wyrzucił, pisano, że tych, którzy przeżyli tragiczną śmierć w rodzinie, na ogół zabijano milczeniem. Czytał o tym, że zmarłe

dzieci pozostawiają po sobie pustkę, od której znajomi rodziców uciekają w milczące zażenowanie.

Z nim tak nie było. Ludzie się do niego cisnęli. Szef w pracy powiedział, że powinien mieć spokój, by przeżyć żałobę do końca. Takiego określenia użył, kiedy rano tego dnia objął go za ramię i zaproponował odwiezienie do domu. Trond się zgodził, no i musiał zaprosić go do środka. Szef miał około pięćdziesiątki, fryzurę na pożyczkę i ciekawski zadarty nos na środku okrągłutkiej twarzy. Rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony, jak gdyby zbierał wrażenia, z których po powrocie do pracy mógł wysnuć ciekawe historie. W końcu się nasycił i wyszedł.

Zabito jeszcze jedną sławną osobę.

Trond odłożył gazetę i wyszedł do kuchni. W lodówce miał wszystko, czego potrzebował na weekend. Matka się uparła, że zrobi mu zakupy. Otworzył piwo. Nie było jeszcze pierwszej po południu, a on już zamknął drzwi na klucz, wyjął baterie z telefonu stacjonarnego i wyłączył komórkę. Chciał być sam aż do poniedziałku. Ta myśl podnosiła go na duchu. Po raz pierwszy od śmierci Vibeke poczuł coś, co przypominało spokój. Tajemnicze półtorej godziny prawie odeszło w zapomnienie. Wypił pół puszki jednym łykiem, zanim usiadł w fotelu z aktualną prasą.

Nawet „Aftenposten” przekroczyła wszelkie granice. Przeważająca część pierwszej kolumny i dwie pełne w środku poświęcono sprawcy, który według ponurego komentarza był maszyną do zabijania niemającą sobie równych w historii norweskiej kryminalistyki. Mroczny kontur mordercy rozciągał się na sześć szpalt. Najwyraźniej wyobrażali sobie mężczyznę o mocno zaznaczonych rysach twarzy i sterczących włosach. Na wysokości jego piersi grafik wmontował zdjęcia Fiony Helle, Vibeke Heinerback i Vegarda Krogha. Nie pisano już o odrzuconym przez matkę mężczyźnie nienawidzącym kobiet. Tym razem skłaniano się ku zawiedzionym ambicjom. Między wierszami bardzo obszernego wywiadu z trzema znanymi psychologami i emerytowanym policjantem z Bergen dało się wyczytać, że zabójcy prawdopodobnie należy szukać wśród

wyeliminowanych uczestników, Wyprawy Robinsona”, nieudolnych śpiewaków z „Idola” lub przegrywających finalistów Eurowizji. Brutalny sprawca prawdopodobnie przeżył swoje pięć minut sławy i nie potrafił poradzić sobie z abstynencją, gdy nagle zgasły reflektory. Tak uważali eksperci.

Vegarda Krogha opisano jako jaśniejący talent, bezkompromisowego artystę.

Znaleziono go z piórem wbitym w oko.

Trond śmiał się tak, że aż prychnął piwem.

Vegard Krogh był największym dupkiem na świecie.

Gardził Vibeke i wszystkim, co reprezentowała. Nie on jeden, ale Vegard Krogh nie poprzestał na zwyczajnej rozbieżności poglądów. Podszedł do nich w Domu Artystów po jednym z występów Vibeke na temat niezdolności kultury do dopasowania się do rynku. W ten późny piątkowy wieczór byli tam wszyscy. Vegard najpierw głośno podjudzał do kłótni, a kiedy Vibeke odwróciła się do niego plecami, pokazując innym siedzącym przy ich stoliku uniesiony mały palec uformowany w żaloszny organ płciowy, wylał jej piwo na głowę. Rozpętała się awantura. Trond chciał zawiadomić policję.

„On się wtedy poczuje jeszcze ważniejszy - powiedziała Vibeke. - Chce przyciągnąć uwagę, a ja nie mam zamiaru mu w tym pomagać”.

Od tamtej pory nie mieli kontaktu z Kroghem. Znalezli ze dwa jadowne komentarze w artykułach, które Vibeke przysyłała z „Obserwatora”. Ona się tym nie przejmowała, ale Trond wściekał się za każdym razem, gdy natrafił na jego bluźnierczą pisaninę. Kiedy przez krótki czas gościł w „Absolutnej rozrywce”, Trond przestał oglądać TV 2.

Dupek do kwadratu, pomyślał.

Vegard Krogh za wszelką cenę chciał być gwiazdą i wyglądało na to, że wreszcie mu się udało.

Trond dopił piwo i poszedł po nowe. Zamierzał spędzić samotnie cały weekend i postanowił się upić. Może się wykąpie, obejrzy film, łyknie ze dwie pigułki z apteczki Vibeke i prześpi pół doby. Tajemnicze półtorej godziny prawie całkiem odeszło w zapomnienie.

*

- Pióro - powiedział Sigmund Berli bezbarwnym głosem.

- Mont Blanc - uzupełnił patolog. - Model Boheme. Odpowiednie, jeśli wierzyć temu, co czytałem w gazetach. Nie chciałem go usuwać, dopóki sami na to nie zerkniecie.

- W jaki sposób ten... - Yngvar urwał, nachylając się nad zwłokami. Zmrużonymi oczami patrzył na odkrytą twarz. Usta były półotwarte, na nosie widniały zadrapania. Nienaruszone oko wpatrywało się w jakiś punkt w suficie. Z drugiego sterczało grube pióro. Kiedy Yngvar okrążył stalowy stół, zobaczył, że jest wbite w kącik oka. Zapewne głęboko, bo z głowy wystawało zaledwie pięć-sześć centymetrów pióra umieszczonego idealnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do kości policzkowej. W ostrym świetle maleńki kamyk szlachetny wtopiony w skuwkę lśnił rubinową czerwienią.

- Gałka oczna jest nienaruszona? - spytał Yngvar, pochylając się jeszcze niżej.

Prawa źrenica zmarłego wydawała się przerażająco pełna życia, zezując wpatrywała się w obce ciało w kąciku oka. Mogło się wydawać, że Vegard Krogh widział, jak ulubione pióro wbija mu się w mózg.

- Oczywiście gałka jest najprawdopodobniej uszkodzona - powiedział patolog - ale sprawca nie wbił mu pióra w samo oko.

- Może próbował? - zasugerował Yngvar.

- Owszem, pióro mogło się ześlizgnąć. - Patolog włączył maleńką długopisową latarkę, czerwona plamka zatańczyła przy kąciku oka. - Tędy łatwiej dotrzeć.

- Interesujące - mruknął Yngvar.

Sigmund Berli nic nie mówił. Nieznacznie cofnął się o dwa kroki od metalowego stołu.

- A więc nie żył, kiedy się to stało - powiedział Yngvar.

- Tak. Najprawdopodobniej. Zginął od ciosu w kark. Jak już mówiłem, wstrzymywałem się z przeprowadzeniem szczegółowego badania, bo zrozumiałem, że chcecie go najpierw zobaczyć. Mimo wszystko dość oczywiste wydaje mi się, że

został uderzony w tym miejscu...

Czerwony punkcik zdrzał na lewej skroni Vegarda Krogha. Włosy były splątane i ciemne.

- Najprawdopodobniej ogłuszony. Następny był cios w kark...

- Patolog podrapał się w policzek i przykucnął. Jego twarz znalazła się na wysokości głowy ofiary. — Cios śmiertelny. Trochę trudno to pokazać, nie odwracając zwłok, a nie chciałem tego robić, dopóki nie wyjmę pióra i...

- W porządku - rzekł Yngvar. - Mogę zaczekać na ostateczny raport. Czyli cios w kark. Po uprzednim ogłuszeniu uderzeniem w lewą skroń. Czym?

- Czymś ciężkim. Pewnie z metalu. Na gorąco sugerowałbym solidną rurę. Przy bliższym badaniu prawdopodobnie znajdziemy w ranie cząsteczki, które dadzą nam bardziej precyzyjne informacje.

- Wobec tego wiemy, że najprawdopodobniej mamy do czynienia z praworęcznym zabójcą - stwierdził Yngvar. - Co oczywiście niezbyt nam pomaga.

- Z praworęcznym?

- Lewa skroń. Uderzenie prawą ręką.

- Tylko wtedy, jeśli stali naprzeciwko siebie - włączył się Sigmund, który ssał miętową pastylkę na kaszel i stał już przy samych drzwiach. - Jeśli sprawca zaszedł go od tyłu, to mógł...

- Stali naprzeciwko siebie - przerwał mu Yngvar. - Przynajmniej do takiego wniosku doszli technicy na miejscu. Ślady na to wskazywały. Dziękuję za pomoc.

Wyciągnął rękę do patologa, który ją uściśnął i usiadł przy biurku w rogu.

- Co ci się stało? - spytał Yngvar Sigmunda, kiedy drzwi prosektorium się za nimi zamknęły. - Zwykle wytrzymujesz gorsze rzeczy.

- Niech to cholera! Pióro w oku!

- Nie wiem, co jest gorsze. - Yngvar szukał notesu w kieszeni płaszcza. - Pióro w oku, język w ślicznej torebeczce czy Koran wepchnięty w cipkę.

- Pióro w oku - wymamrotał Sigmund. - Cholernie snobi-

styczne pióro wbite w mózg to najgorsza rzecz, jaką widziałem.

*

Przypadkowy przechodzień zatrzymał się na moment przy okazałym budynku na samym krańcu starej dzielnicy Kvadraturen. Spieszyło mu się. Jeśli nie zdąży na autobus, będzie musiał czekać całą godzinę. A jednak przystanął. W środku ktoś klaskał. Oklaski były tak głośne, że wydawało mu się, iż czuje wibracje w ziemi, jakby entuzjazm za solidnymi murami potrafił poruszyć całe Oslo. Mężczyzna podniósł wzrok. Mijał to miejsce w drodze do pracy i z pracy pięć dni w tygodni od pięciu lat. Prawie dwa i pół tysiąca przejść obok budynku, który długo stał w stanie tak oplakany, że sąsiedzi zażądali rozbiórki.

Przez cztery pory roku obserwował, jak ten dom odżywa. Ubiegłej zimy ubrano go w stalowe rusztowania i plastikowe płachty strzelające w porywach wiatru od fiordu. Wiosną budowla została zredukowana do fasady bez wnętrzości, niczym hollywoodzkie dekoracje. Zanim minęło lato, ogromną czteropiętrową pustkę znów wypełnił dom z olbrzymimi schodami i podłogami ze szlachetnego drewna, pięknymi drzwiami i troskliwie odrestaurowanymi witrażowymi oknami na parterze. Jesienią z rusztowań i niezasłoniętych jeszcze otworów w ścianach na okrągło przez całą dobę sypały się przekleństwa po polsku i po duńsku. Gazety rozpisywały się o przekroczonym budżecie, opóźnieniach i jawnej kłótni o wydatki.

Około Bożego Narodzenia wreszcie zdemontowano rusztowania. Wszystko odbyło się zgodnie z harmonogramem, nawet prapremiera gwiazdkowego przedstawienia dla dzieci w pięknej i kosztownie urządzonej Sali Bankietowej.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po fasadzie.

Mijanie tego domu sprawiało mu niewyjaśnioną radość. Starannie odtworzono kolory wybrane pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy wznoszono ten budynek z przeznaczeniem na mieszkania i biura najbogatszego w mieście przedsiębiorcy budowlanego. Po śmierci jego wnuka, bardzo już starego i

bezdzielnego, w roku 1998 partia otrzymała budynek w podarunku. Ponieważ nie miała środków nawet na uiszczenie należnych opłat komunalnych, dom stał w ruinie do czasu, gdy jeszcze jeden neoliberal, w ramach wdzięczności za jasno określoną politykę podatkową partii, ofiarował sumę, od której kręciło się w głowie i dzięki której możliwe było stworzenie najwspanialszej siedziby partii w całej Skandynawii.

Oklaski nie miały końca.

Przechodzień się uśmiechnął. Mocniej owinał się płaszczem i pobiegł do autobusu.

Gdyby wszedł po kamiennych schodach i dotarł do kolosalnych ciężkich dębowych drzwi, zobaczyłby, że są otwarte. W holu zapewne uradowałby się na widok podłogi. Dopasowywane ręcznie drewniane klepki wiły się spiralnie od znajdującej się na środku gąbłoty, w której za szybą w najszczerzym złocie wygrawerowano credo partii: „Człowiek - rynek - moralność”.

Ponieważ człowiek, który właśnie wsiadał do autobusu trzy kwartały dalej, był wiernym socjaldemokratą, prawdopodobnie rozzłościłoby go to banalne hasło. A jednak piękno tego pomieszczenia, ręcznie zdobiona kopuła i żyrandole z kryształami i srebra kazałyby mu prawdopodobnie wejść dalej na schody.

Grube dywany uginająby się pod naciskiem jego stóp jak letnia trawa. Niekończące się oklaski zwabiłyby go zapewne do Sali Bankietowej. Za podwójnymi drzwiami, w głębi szerokiego korytarza, po drugiej stronie olbrzymiego pomieszczenia zobaczyłby Rudolfa Fjorda z rękami wzniesionymi w zwycięskim geście nad mównicę.

Człowieka, który siedział w autobusie i denerwował się, jak wytłumaczy swojej partnerce, że zapomniał iść do monopolowego, prawdopodobnie zdumiałby ów gwałtowny wybuch radości, jaki ten nadzwyczajny zjazd krajowy ośmielał się okazywać w tak krótkim czasie po zabójstwie ich młodej przywódczyni.

Właśnie wybrano nowego przewodniczącego.

Gdyby ów przypadkowy przechodzień, który teraz przyciskał czoło do szyby w autobusie, zastanawiając się, który z jego

przyjaciół mógł mieć do pożyczenia trzy butelki czerwonego wina, zamiast tego przeszedł wzdłuż rzędów krzeseł w Sali Bankietowej, zobaczyłby coś, na co do tej pory zwrócił uwagę jedynie Rudolf Fjord.

Wśród pokrzykujących, klaszczących i gwizdzących delegatów jedna osoba nie uśmiechała się ani tym bardziej się nie śmiała. Jej dłonie wolno zbliżały się do siebie w demonstracyjnym bezgłośnym proteście.

Była to Kari Mundal. Ów przypadkowy przechodzień zobaczyłby, że Kari Mundal odwraca się tyłem do mównicy i cicho, spokojnie wychodzi z Sali Bankietowej, zanim Rudolf Fjord zdążył podziękować za wyjątkowe zaufanie, jakim go obdarzono.

Ale ów przechodzień chciał zdążyć na autobus do domu. Teraz drzemał z głową wtuloną w ramię obcego człowieka.

*

Była pierwsza w nocy z piątku na sobotę. Kristiane wróciła, podniecona jak zawsze, gdy nie przebywała z matką, i zasnęła dopiero około północy. Yngvar położył się w tym samym czasie.

Nawet nie starał się namówić na to Inger Johanne. W zamieszaniu i pośpiechu prawie ze sobą nie rozmawiali. Isak siedział u nich do późnego wieczora.

Inger Johanne wiedziała, że musi zapanować nad irytacją, a jednocześnie miała świadomość, że nigdy jej się to nie uda. Prowokowało ją przede wszystkim nonszalanckie założenie Isaka, że jego przyjście z największą oczywistością wypada w odpowiedniej porze, a oni nigdy nie mają nic innego do roboty, niż go karmić i zabawiać rozmową za każdym razem, gdy przyprowdza Kristiane. Nawet dziś hałaśliwie biegał po mieszkaniu, bawiąc się z córką w Supermana, ani trochę nie przejmując się śpiącą Ragnhild, która miała ledwo miesiąc.

-I tak się ciesz - powiedział Yngvar przed pójściem spać. W jego głosie brzmiał jednak cień rezygnacji. - Kristiane ma dobrego ojca. Jest wprawdzie odrobinę... Trochę za dużo sobie pozwala, ale kocha to dziecko. Nie bądź małostkowa.

Może głównie z winy Yngvara nie potrafiła przestać się denerwować Isakiem. To Yngvar powinien protestować. To Yngvar,

jej mąż, powinien zagrozić drogę intruzowi, temu jej dziwnemu pierwszemu facetowi, który zawsze z równą wesołością poklepywał po plecach swego dwa razy od siebie większego następcę i proponował ciepłe piwo z sześciopaku, z którego przynoszenia w co drugi piątek zrobił zwyczaj, razem z workiem brudnych rzeczy Kristiane. Zawsze tylko brudne rzeczy. O przyborach toaletowych córki nie pamiętał nigdy.

„Przecież ja mam zimne piwo” - nieodmiennie tłumaczył mu Yngvar.

Nie chciała tego brać za oznakę słabości.

Uległości.

Poderwała się gwałtownie z kanapy.

- Co się znów stało? - spytał Yngvar.

Zatrzymała się, wzruszyła ramionami.

- Nic. Kładź się.

Znów się ubrał. Brzydki polar i szare spodnie od dresu okropnie ją drażniły. Na Gwiazdkę kupiła mu granatowy dres Nike do noszenia po domu, ale prezent wciąż leżał nietknięty w szafie.

- Kładź się - powtórzyła ostro i poszła do kuchni.

- Musimy z tym jakoś skończyć - oświadczył. - Nie możesz się na mnie złościć w co drugi piątek. Tak nie może być.

- Wcale się nie złościę na ciebie. - Inger Johanne odkręciła kran. - Jeśli w ogóle jestem trochę zła, to na Isaka. Ale zostawmy to.

- Nie, nie możemy.

- Zostawmy to, Yngvarze.

I zostawili. Poszedł za nią do salonu. Usłyszał, że nalewa wody do szklanki. Piła wielkimi łykami. Odstawiana szklanka zabrzęczała o zlew zbyt mocno. W końcu zapadła cisza.

- Może byśmy trochę popracowali? - zaproponował.

Inger Johanne uśmiechnęła się leciutko. Yngvar ujął ją za rękę, kiedy go mijała, żeby usiąść na drugiej kanapie, ale pozwoliła mu się przytrzymać zaledwie przez moment i zaraz przyciągnęła dłoń do siebie.

- Pióro w oku - powiedziała i zapadła się w poduszki. Musiała mocno wziąć się w garść, by w ogóle o tym myśleć. -

Bardzo symboliczne.

- Bardzo. - Yngvar kiwnął głową, wciąż niepewny, o co jej chodzi. - I po raz pierwszy możemy spokojnie mówić o ofierze, która miała wrogów. Vibeke Heinerback miała przeciwników politycznych. Fionie Helle zazdrozczono i trochę ją obmawiano za plecami. Natomiast Vegard Krogh zadziera! ze wszystkimi, zarówno swoim zachowaniem, jak i sposobem pisania. Zwłaszcza chyba tym ostatnim.

- Tacy ludzie są rzeczywiście okropni! - zdenerwowała się Inger Johanne. - Twardziele, kiedy siedzą w domu przy komputerze, a słabeusze i tchórze, gdy przychodzi im stanąć twarzą w twarz z tymi, których wyśmiewają. Chyba że najpierw upiją się do nieprzytomności.

- Co za gwałtowna reakcja - mruknął Yngvar. - Zostało jeszcze trochę wina?

Kiwnęła głową i okryła się pledem.

- A ja uważam, że takie *hot heads* są potrzebne - powiedział i postawił pełny kieliszek przed sobą na stoliku. - Masz ochotę?

Pokręciła głową.

- Szczerze mówiąc - podniosła głos w niezwykle dla niej sposób - tacy ludzie psują każdą publiczną debatę. W tym kraju kompletnie niemożliwe jest... - Przestraszyła się własnego tonu i dokończyła ciszej: - Żadne dyskusje nie mają już sensu, przynajmniej w gazetach. Ludziom bardziej zależy na oryginalnych sformułowaniach i popisywaniu się eleganckimi słownymi egzekucjami przeciwnika niż na prawdziwym rozważaniu problemu, na naświetleniu go, uwolnieniu się od uprzedzeń, zdobyciu wiedzy i dzieleniu się nią.

Yngvar usiadł wygodniej i wziął kieliszek do ręki. Przyglądał się żonie. Włosy miała potargane, podkrążone oczy. Jak wszyscy o tej porze roku była blada, ale wydało mu się, że skóra jej twarzy stała się przezroczysta, dziwnie wrażliwa. A jeszcze ten gniew, który u niej zadziwił.

- Chodź! - powiedział łagodnie. - Nie możesz wszystkiego traktować tak poważnie. Pozwól ludziom trochę pokrzyczeć. Rzadko mają coś złego na myśli. Zaostrzanie dyskusji, trochę

kłótni i podniesiona temperatura są po prostu zabawne. Nie wolno traktować tego całkiem serio.

Inger Johanne podciągnęła nogi pod siebie i przeczesła palcami włosy. Dolna warga jej drżała.

- Chodź, kochana - powtórzył Yngvar. - Chodź tu do mnie.

- Tylko mnie to zirytuje - stwierdziła cicho. - Wolę siedzieć sama.

- No dobrze.

- Mats Bohus - powiedziała.

- On się tak nazywa.

- Znalezliście go?

-Nie.

- Dłaczego?

Yngvar przyglądał dłonią jasne włosy, które powoli robiły się już za długie. Wiedział, że głupio wygląda, rzadkie włosy na głowie, za to loczki na karku i nad uszami. Zwykle strzygł się krótko, wtedy włosy wydawały się gęste i młodzieńcze.

-Jest zameldowany w Oslo - oznajmił. - Na Bislett. Louises gate. Ale tam go nie zastaliśmy. Sąsiedzi mówią, że to dziwak. Staruszka z naprzeciwka twierdzi, że często go nie ma. Nigdy nie było z nim żadnych awantur, ale często znika na długo. Z nikim nie rozmawia, poza „cześć” i „dzień dobry” na schodach. Poza tym odnosimy wrażenie, że dziwnie wygląda. Ostrzyżesz mnie jutro?

- Mogę to zrobić teraz.

Roześmiał się, wypił jeszcze łyk wina.

- Teraz?

- Tak. Teraz mamy czas.

Jack gwałtownie zamerdał ogonem, kiedy Yngvar, wzruszywszy ramionami, poszedł po maszynkę.

- Nie idziemy na spacer - powiedział surowo. - Połóż się.

Pies podreptał w kąt, kilka razy obrócił się wokół własnej osi i z głuchym tąpnięciem zwałił się na parkiet.

- Tylko nie bardzo krótko - przestrzegł Yngvar, wiążąc sobie ręcznik na szyi. - Nie do gołej skóry. Chcę mieć jakieś włosy.

- Dobrze, dobrze, siadaj!

Poczuł się jak owca, kiedy maszynka zaczęła sunąć po karku.

Drżenie rezonowało w czaszce.

- W ustach mnie łaskocze. - Uśmiechnął się, strząsając włosy z klatki piersiowej.

- Siedź spokojnie!

- Sprawca ma naprawdę cholernie dużo szczęścia - powiedział z namysłem. - Jeśli rzeczywiście jeden i ten sam człowiek skreśla kolejne osoby z listy norweskich celebrytów, albo zaplanował to z niewiarygodną starannością, albo jest w czepku urodzony.

- Niekoniecznie - zaprotestowała Inger Johanne, wprawnie przesuwając maszynkę przez lewą skroń Yngvara.

- Właśnie że tak - oświadczył zdecydowanie. - Jeszcze raz dostał się i wydostał z miejsca zdarzenia przez nikogo niezauważony. Przynajmniej na razie tak to wygląda. A zaangażowaliśmy trzydziestu ludzi z komendy dla Asker i Baerum do rozległej akcji chodzenia od drzwi do drzwi i wypytywania. Na miejscu zbrodni jest dużo śladów, w dodatku na tyle dobrych, że ukazują nam prawie pełny obraz przebiegu zabójstwa minuta po minucie. Sprawca czekał w lesie. Pozwoli! Kroghowi minąć go ścieżką, dopiero wtedy za nim ruszy! i skłonił, by Krogh się obrócił. Wtedy go obezwładnił. Ale nic...

Maszynka zadrasnęła skórę.

-Au! Uważaj! Mówiłem, że nie chcę być łysy!

- Będziesz ładnie wyglądał. Co chciałeś powiedzieć?

- Na razie mimo wszystko nic nie mamy. Żadnych śladów organicznych. Po wielkości stopy trudno stwierdzić coś innego niż to, że zabójca nie należy do najłżejszych. Ma mnóstwo szczęścia.

Inger Johanne wyłączyła maszynkę. Przez chwilę stała za plecami Yngvara zamyślona, na nic nie patrząc.

- Szczęście wcale nie jest konieczne. Wystarczy zręczność i ostrożność. Wszystkie ofiary były osobami publicznymi, mniej lub bardziej. I zdumiewające jest...

Zapadła cisza. Dzieci spały mocno, sąsiedzi na dole też już się położyli. Ani z ogrodu, ani z ulicy nie dobiegał żaden dźwięk. Nie miauczał kot, nie słychać było samochodów ani pijanej

młodzieży wybierającej się na nocną imprezę. Dom zamilkł. Nowa przybudówka nareszcie osiadła i przestała jęczeć nocą. Nawet Król Ameryki spał mocno i bezgłośnie.

- Byłam dzisiaj u Line - powiedziała wreszcie. - Ten nasz komputer jest beznadziejny, a Line ma szerokopasmowe łącze. Wystarczyło mi kilka minut, by się dowiedzieć, że te ofiary, te...

- Odłożyła maszynkę i przykucnęła przed Yngvarem. -.. te osoby publiczne są naprawdę publiczne - dokończyła, kładąc mu łokcie na kolanach. - Naprawdę. Strona Vibeke Heinerback, o dziwo, jest nietknięta od zabójstwa.

- Rodzina zapewne miała inne sprawy na głowie.

- Wcale nie chcę krytykować - powiedziała prędko. - Rzecz w tym, że kawalerski wieczór szwagra...

- Przyszłego szwagra.

- Nie przerywaj. Wieczór kawalerski był opisywany na jej stronie. Przy linku do strony Tronda. Czytelnikowi przedstawiono szczegółowy program! Każdy mógł sobie sprawdzić, że Vibeke według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie tego wieczoru w domu sama. A powszechnie wiadomo, że chodziła spać w rozsądnych godzinach, ponieważ robiła z tego wielkie halo w każdym wywiadzie.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Chyba muszę jakoś bardzo dziwnie wyglądać.

- Będzie ładnie. - Znów stanęła za nim i włączyła maszynkę.

- Fiona Helle też szczerze się dzieliła swoim życiem prywatnym. Całemu światu obwieściła, że jest sama w każdy wtorek. Vegard Krogh prowadził blog, jeden z tych niewiarygodnie egoistycznych wymysłów, których autor czuje się najwyraźniej niezwykle interesujący dla świata. Wczoraj opowiedział swoim czytelnikom, że musi zjeść obiad u matki, bo jest jej winien pieniądze. Ten nieznośny facet był naprawdę wielkim...

- Co ty wyprawiasz? - Yngvar, tłumiąc okrzyk, usunął się spod jej rąk. - Przecież mówiłem, nie na lyso!

- Oj! Rzeczywiście trochę krótko. Zaczekaj! - Wykonała maszynką kilka szybkich ruchów od karku do czoła. - Już -

powiedziała niepewnie. - Teraz jest przynajmniej równo. Nie możemy tego nazwać po prostu letnią fryzurą?

- W lutym? Pokaż!

Niechętnie podała mu lusterko. Twarz Yngvara najpierw wyrażała niedowierzanie, potem rozpacz.

- Przecież ja wyglądam jak buła! - jęknął. - Głowa przypomina bochen chleba. Mówiłem, żebyś nie ścinała wszystkiego!

- Wcale nie obcięłam wszystkiego. Wyglądasz bardzo ładnie. Musimy się teraz skupić.

- Wyglądam jak Kojak!

- Myślisz, że oni dużo kłamią? - spytała, próbując zebrać włosy na szufelkę.

-Kto?

- Gwiazdy.

- Czy kłamią?

- Tak, w wywiadach.

- Hm...

- Zauważyłam, że niektórzy się do tego przyznają. Albo się tym przechwalają, zależy jak na to spojrzeć. Jeśli tak jest, to w porządku. Stwarzają przez to takie niby-życie, w którym każdy może uczestniczyć, a dzięki temu rzeczywistość zachowują dla siebie.

- Przed chwilą powiedziałaś, że całe życie zamieszczaają w sieci.

- Kawaleczki. Niegroźne urywki. Przypuszczam, że dzięki temu kłamstwa są bardziej skuteczne. Zresztą nie wiem, może wygadują bzdury.

Wepchnęła włosy do torebki plastikowej, zawiązała ją na supeł i wrzuciła do kubła na śmieci. Yngvar wciąż siedział nieruchomo na stolku z ręcznikiem wokół szyi. Odwrócone lusterko leżało na podłodze. Ze skaleczenia tuż za uchem spływała strużka krwi. Inger Johanne zwilżyła ściereczkę i przycisnęła ją do rany.

- Przepraszam. Powinam się była skupić.

- A co masz na myśli, mówiąc, że ten zabójca wcale nie musiał mieć wyjątkowego szczęścia?

- Zwykle zabójstwo nie wymaga wielkiego planowania. Chyba że jesteś kimś, kto w ewidentny sposób od razu będzie podejrzewany. Gdybym chciała pozbawić życia kogoś, o kim wszyscy wiedzą, że źle mu życzę, musiałabym się zastanowić. Na przykład zdobyć alibi. To największe wyzwanie.

- Ogromne. - Yngvar pokiwał głową. - Dlatego mało komu się udaje.

- No właśnie. Weźmy na przykład napad na bank... Tam naprawdę trzeba planować! Pieniądze są znacznie lepiej chronione niż ludzie. Dobry napad jest uzależniony od poprzedzającego go wywiadu i dokładnie przemyślanej logistyki. Wymaga najwyższych kompetencji. Nowoczesnej broni i zaawansowanego sprzętu. Natomiast my, ludzie, jesteśmy... - Położyła mu ręce na głowie. Jeź przyjemnie kłuł w dłonie. - ...Jesteśmy tacy wrażliwi. Łatwo nas skrzywdzić. Wystarczy uderzenie w głowę lub kark, odpowiednio skierowany nóż, zepchnięcie ze schodów. Właściwie aż dziwne, że to się nie zdarza częściej.

- Malujesz okropnie ponury obraz jak na kobietę o dobrym sercu, która niedawno urodziła dziecko - powiedział, wstając.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. Kiedy Sigmund tu był, mówiłam, że najgorszy scenariusz to morderca bez motywu. Jeśli nie zostanie przyłapany na gorącym uczynku lub nie okaże się wyjątkowo niezdarzy, to raczej umknie.

- A ja się z tym absolutnie nie zgadzam. - Yngvar wypluł włosy, próbując jednocześnie podrapać się po plecach. - Również zabójstwo wymaga planowania, pewnej wiedzy.

Spojrzała na butelkę, w której zostało jeszcze sporo wina. Przyniosła kieliszek i nałala.

- To prawda - kiwnęła głową. - Masz rację. Trzeba mieć pewne kompetencje. Ale to już wszystko. Nie potrzebujesz zaawansowanego sprzętu. Żadna z tych trzech ofiar nie zginęła od strzału z broni palnej, którą mimo wszystko stosunkowo trudno jest zdobyć, a poza tym zostawia ciekawe ślady. Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że możesz się wycofać. Aż do ostatniej chwili. Jeśli coś się nie powiedzie,

jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego, rezygnujesz z zabójstwa. Po to, by zabić, nie musisz zawierać żadnych aliansów, co jest doprawdy ogromną zaletą. O tym, co wie jedna osoba, nie wie nikt. O tym, co wiedzą dwie osoby, wiedzą wszyscy.

- To cytat z twojej matki. - Yngvar ciężko usiadł na kanapie.

- Mhm. Nie wszystko, co mówi, jest głupie. - Inger Johanne tym razem usiadła tuż obok męża. - Przeraza mnie myśl, że tu naprawdę może chodzić o kogoś, kto to potrafi. O... profesjonalistę.

- Czy oni naprawdę istnieją? - spytał Yngvar z powątpiewaniem.

- Istnieją profesjonalni zabójcy tu, u nas, w naszej części Europy?

Inger Johanne przekrzywiła głowę i posłała mu spojrzenie, jakby pytał, czy w Norwegii kiedykolwiek pada śnieg.

- Okej - mruknął. - Istnieją. Ale czy oni nie mają motywu? Jakiejś sprawy, o którą walczą? Jakiegoś wynaturzonego uzasadnienia? Wszystko jedno, czy chodzi o pieniądze, czy o wolę Bożą.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. W końcu Inger Johanne przytuliła się do męża. Objął ją mocno.

- Co myślisz o tym Matsie Bohusie? - zapytała cicho.

- Że musimy go znaleźć.

- Ale sądzisz, że on ma coś wspólnego z tymi zabójstwami?

Yngvar leciutko westchnął. Inger Johanne ułożyła się wygodniej, podciągnęła nogi na kanapę i wypila łyk z kieliszka. Palcami lekko gładziła przedramię męża.

- Łatwo sobie wyobrazić, że może być zamieszany w sprawę zabójstwa Fiony Helle — stwierdził Yngvar. — W każdym razie ma motyw. Możliwy motyw. Za mało wiemy o tym, co się wydarzyło, gdy do niej przyszedł. Ale u diabła, co mógł mieć przeciwko Vibeke Heinerback i Kroghowi?

- Nemo - odezwała się dziewięciolatka, która nagle stanęła w drzwiach. - Sulamitka i ja chcemy oglądać Nemo.

- Chodź do nas, Kristiane - powiedziała Inger Johanne z uśmiechem. - Jest noc, kochanie. Nie ogląda się filmów w środku nocy.

- Właśnie że tak. - Kristiane wlała na kanapę i wcisnęła się między nich. - Leonard mówi, że Sulamitka nie jest kotem.

Jeszcze mocniej przycisnęła do siebie wóz strażacki i pocałowała go w ułamaną drabinę.

- Ty decydujesz, czy Sulamitka to kot - oświadczył Yngvar.

- Tylko ja. - Kristiane pokiwała głową.

- Ale myślę, że dla Leonarda Sulamitka wygląda jak wóz strażacki. To chyba w porządku?

- Nie. To kot.

- Dla ciebie kot, dla Leonarda wóz strażacki.

- A dla ciebie też kot. - Kristiane podsunęła Yngvarowi pod nos żalony, pozbawiony kół samochodzik. Pocałował kratkę chłodnicy.

- Musisz wracać do łóżka - oświadczyła Inger Johanne.

- Razem z wami.

- Do własnego łóżka. Chodź! - Yngvar wziął na ręce dziecko z samochodzikiem i wyszedł.

Inger Johanne się nie ruszyła. Ze zmęczenia bolały ją stawy. Już od dawna nie czuła się taka słaba. Miała wrażenie, że z każdym dniem ubywa jej sił. Chciwe niemowlęce usta wysysały z niej tę resztkę, jaka została po porodzie. Co cztery godziny, na okrągło przez całą dobę. Lękała się tej maleńkiej istotki. Powinna więcej czasu poświęcać Kristiane, ale więcej czasu nie było.

Nawet nocy nie miała dla siebie.

Oczywiście Mats Bohus mógł zabić swoją biologiczną matkę.

Ale czy mógł uśmiercić dwoje pozostałych?

Powinna iść spać.

Napiła się. Przez chwilę przytrzymała wino na języku, żeby poczuć smak, i przełknęła.

Jeśli Mats Bohus chciał zakamuflować zabójstwo matki, to popełnił banalny błąd. Fionę Helle zabił pierwszą. Właściwe zabójstwo w szeregu pozostałych, dokonywanych dla kamuflażu, nigdy nie powinno być pierwsze.

To elementarna wiedza, pomyślała. Błąd początkującego. Brak znajomości rzeczy.

Zabójca jest profesjonalistą.

A może nie?

Musiała iść spać.

Istniała inna sprawa, podobna. Gdzieś na twardym dysku jej pamięci znajdowało się opowiadanie, którego nie mogła odnaleźć.

Było tak cicho. Czegoś jej brakowało. Nie wiedziała czego.

Zasnęła. Nie dręczyły jej żadne sny.

*

Sigmund Berli opróżnił czwartą filiżankę obrzydliwej kawy w ciągu trzech godzin. Ta nie dość że kwaśno-gorzka, to jeszcze była zimna. Skrzywił się. Przy monitorze leżała torebka żelków, włożył sobie trzy do ust. Żona narzekała, że zaczął tyć. Spróbowalaby sama posiedzieć do czwartej nad ranem przy przeklętym komputerze, który nie chce nic wyjawić. Powinna posmakować, jak to jest nie spać przez całą dobę, a potem próbować znaleźć jakiś sens w kolumnach nazwisk, cyfr i migających literek na prostokątnej jasnej płaszczyźnie, od której łzawią oczy.

Odnalezienie poszukiwanego człowieka mogło być trudne. Nawet w tak niewielkim kraju jak Norwegia istniały kryjówki. Umowa z Schengen umożliwiła międzynarodową współpracę policji europejskiej, bardzo pożyteczną w polowaniu na ludzi, ale jednocześnie o wiele łatwiejsze stało się pokonywanie granic, a przez to znacznie zwiększyła się liczba możliwych kryjówek. Poszukiwana osoba mogła się wymknąć, natomiast zwyczajny Norweg, ktoś taki jak Mats Bohus, niekarany, mający stały adres i numer w ewidencji ludności, powinien dać się odnaleźć w ciągu dwóch godzin.

Poszukiwali go już od blisko doby.

A on przepadł. Jak kamień w wodę.

Gdy wreszcie zdołali ustalić, że w mieszkaniu na Louises gate ostatnio widziano go dwudziestego stycznia, całą Kripos postawiono na nogi. Yngvar był przypuszczalnie jedynym, któremu pozwolono wrócić do domu. Miał przecież maleńkie dziecko i w ogóle.

Lekkie ukłucie zazdrości. Cień pożądania. Sigmund w odbiciu na ekranie zobaczył twarz Inger Johanne. Wsunął do ust trzy

czerwone żelki. Cukier zatrzeszczał w zębach, język przylepił się do podniebienia. A filizanka już pusta.

Cudzoziemcy, wszyscy ci cholerni cudzoziemcy jeżdżą tam i z powrotem, jak sobie chcą, jakby wpadli tu tylko po to, żeby się wysrać. Bawią się z policją. Szkoda, że ludzie tego nie wiedzą. Niektórzy na szczęście zaczynają rozumieć. Cudzoziemcy.

Ale Mats Bohus?

Fiona Helle została zabita dwudziestego stycznia. Od tamtej pory nikt go nie widział.

Gdzie mógł się podziać, u diabła?

- Cholera, Sigmund! - W drzwiach stał Lars Kirkeland z czerwonymi oczami, w koszuli wyciągniętej ze spodni. Uśmiechał się idiotycznie i walił pięścią w futrynę. - Znaleźliśmy faceta!

Sigmund roześmiał się głośno, dwa razy klasnął w ręce i wepchnął sobie do ust resztę żelków.

- Mhm - mruknął, pracowicie żując. - Musimy zadzwonić do Yngvara.

*

Powinna była wybrać inny hotel. Na przykład SAS, z wzornictwem Arne Jacobsena i dyskretnym, obytym w świecie personelem. Tam prawie wszystko znajdowało się pod jednym dachem i nie musiałyby wychodzić. Kopenhaga stała się norweskim miastem, zbyt norweskim. Nawiedzanym przez popijających piwo facetów w idiotycznych czapkach i kobiety w tanich okularach przeciwsłonecznych z torbami pełnymi zakupów. Niczym wiedziona instynktem ławica łososi Norwedzy sunęli po placu Ratuszowym między Tivoli a Stroget, zawsze Tivoli i Stróget, jak gdyby Kopenhaga składała się wyłącznie z jednego otwartego placu z restauracją na jednym końcu i brudną handlową ulicą na drugim.

Przesiadywała w pokoju. Nawet teraz, chociaż od oresundu ciągnęło lutowym chłodem, Kopenhaga była pełna Norwegów. Robili zakupy, pili, gromadzili się w mrocznych knajpach, jedli klopsiki i już tęsknili za następną wizytą, na wiosnę, bo wtedy piwo da się pić na dworze i wreszcie otworzą Tivoli na sezon letni.

Chciała wracać do domu.

Do domu. Zdumiona uświadomiła sobie, że dom to Villefranche. Nie lubiła Riwiery. Naprawdę nie lubiła. Dawniej.

Wszystko było takie nowe.

Odrodziłam się, pomyślała i uśmiechnęła się z tego banalnego określenia. Palcami przesunęła po brzuchu. Ostatnio bardziej się napiął, a na pewno spłaszczył. Leżała naga na łóżku, wyciągnięta na kółdrze. Aksamitne zasłony były rozsunięte. Od kogoś, kto mógł stać na zewnątrz, dzieliły ją zaledwie cieniutkie firanki. Jeśli ktoś chciałby ją zobaczyć, gdyby stanął po drugiej stronie ulicy w oknie na pierwszym piętrze albo na drugim, to była widoczna.

Od okna wiało. Przeciągnęła się. Gęsia skórka dała się wyraźnie wyczuć pod koniuszkami palców, gdy przesunęła nimi po ramieniu. Braille, pomyślała. Jej nowe życie zostało wypisane na skórze pismem dla niewidomych.

Zdawała sobie sprawę, że teraz ryzykuje. Nikt nie znał się na tym lepiej niż ona, a przecież mogła była wybrać najbezpieczniejszą drogę.

To pierwsze było idealne. Nie do uchwycenia.

Ale bezpieczeństwo szybko stało się zbyt bezpieczne. Zrozumiała to zaraz po powrocie do willi nad Baie des Anges.

Brak swobody w nudzie. Otepienie w braku ryzyka. Nigdy się nad tym nie zastanawiała i dlatego nie była w stanie nic z tym zrobić. Pojęła to dopiero, gdy się na dobre obudziła, gdy się wyrwała z życia pełnego rutyny, w którym nigdy nie robiła nic ponad to, za co jej płacono. Nigdy mniej, nigdy więcej. Dni powoli układały się jeden na drugim. Zmieniały w tygodnie i lata. Ona się starzała. Była coraz lepsza. Miała czterdzieści pięć lat i nudziła się na śmierć.

Niebezpieczeństwo dało jej nowe życie. Lęk nie pozwalał spać. Strach sprawiał, że puls zaczynał bić. Dni gnały na łeb, na szyję, kusily, by szczęśliwa ze strachu wraz z nimi pobiegła jak dziecko za słoniem, który uciekł z cyrku.

„I umierasz tak powoli, że wydaje ci się, że żyjesz”, pomyślała, usiłując przypomnieć sobie wiersz. To było o mnie. To o mnie pisał ten poeta.

The Chief twierdzi, że tamta jest najlepsza. Myli się.

To ja skacę ze spadochronem z wieży i testuję sprzęt, którego nikt inny nie chce wypróbować. Ona stoi na ziemi i patrzy, jak to się wszystko skończy. To ja nurkuję w głębinę, w której nikt jeszcze nie był. Ona siedzi w łodzi i wylicza, kiedy płuca pękną. Jest teoretykiem. Tak jak ja dawniej. Teraz ja działam. To ja jestem wykonawcą i nareszcie istnieję.

Wsunęła palce między nogi. Spojrzeniem szukała okien po drugiej stronie ulicy. Były oświetlone, w jednym z pokoiów poruszył się jakiś cień. Zaraz zniknął. Czują chłód. Odwróciła ciało ku oknu. Nogi miała rozsunięte. Ten, kto rzucił cień, już nie wrócił.

Mogła zwodzić Inger Johanne Vik przez całą wieczność.

Ale w tym nie było żadnych emocji.

Żadnego napięcia.

*

Ragnhild się ułało. Białawy płyn spłynął po brodzie w głębokie fałdki na szyi. Inger Johanne delikatnie ją wytarła i znów przyłożyła dziecko do barku.

- Śpisz? - szepnęła.

- Mhm. - Yngvar odwrócił się ciężko i nakrył głowę poduszką.

- Myślałam o czymś.

-Jutro - stęknął i jeszcze raz zmienił pozycję.

- Chociaż wszystkie ofiary są silnie powiązane z Oslo - ciągnęła Inger Johanne już nie tak ostrożnie - wszystkich zabójstw dokonano za miastem. Zastanawiałeś się nad tym?

-Jutro, tak cię proszę.

- Vegard Krogh mieszkał w Oslo. Zupełnym przypadkiem znalazł się tego wieczoru w Asker. Fiona i Vibeke pracowały w Oslo. Pracowały dużo. Większość czasu spędzały w stolicy. A mimo to wszystkich śmierć spotkała za miastem. Dziwne, prawda?

- Nie. - Podniósł się na łokciu. - Musisz z tym skończyć - rzekł z powagą.

- Nie przyszło ci do głowy, że może być jakiś tego powód?

- ciągnęła niewzruszona. - Zadałeś sobie pytanie, co się dzieje, gdy zabójstwa dokonuje się za miastem?

- Nie, nie zadałem sobie takiego pytania.
- Kripos - powiedziała, delikatnie kładąc Ragnhild w kołysce. Malutka spała.
- Kripos - powtórzył niewyraźnie Yngvar.
- W sprawach o zabójstwo nigdy nie pomagacie policji w Oslo.
- Ależ tak.
- Ale nie w śledztwie taktycznym.
- No, ja...
- Wysłuchaj mnie!
- Słucham. - Położył się z powrotem i zapatrzył w sufit. - Słucham.
- Czy to możliwe, że sprawca chciał napotkać większy opór? Zdolniejszego przeciwnika?
- Do diabła, Inger Johanne! Są granice spekulowania! Po pierwsze, wciąż nie wiemy, czy chodzi o jednego zabójcę.
- Po drugie, jesteśmy już blisko, by mieć podejrzanego w sprawie. Po trzecie, policjanci z Oslo są dobrzy. Przypuszczam, że większość zaburzonych przestępców uznałaby ich za dostateczne wyzwanie.
- Po tym, jak zniknęła Wilhelmsen, chodzą plotki, że wszystko się rozleciało i...
- Nie słuchaj plotek.
- Po prostu nie chcesz tego przyjąć do wiadomości.
- Nie dziesięć po czwartej nad ranem. - Ukrył twarz w dłoniach.
- Ty jesteś najlepszy - stwierdziła cicho.
- Nie.
- Właśnie że tak. Piszą o tobie. W gazetach. Chociaż nie zgadzasz się na wywiady od tamtej kompromitacji...
- Nie przypominaj mi o tym - odparł zduszonym głosem.
- ...przedstawiają cię jako znakomitego taktyka. Wielkiego, mądrego autsajdera, dziwaka, który nie chce piąć się w górę, tylko...
- Przestań!
- Musimy założyć alarm.
- To ty musisz przestać się bać, kochana!

Bezwładnie opuścił rękę na jej brzuch. Inger Johanne wciąż siedziała w łóżku. Splotła palce z jego palcami. Zadzwoił telefon.

- Jasna cholera! - Yngvar w półmroku zaczął macać ręką na nocnym stoliku. - Halo - warknął.

- Mówi Sigmund. Znaleźliśmy go. Przyjedziesz?

Yngvar usiadł. Stopami dotknął lodowatej podłogi. Przeciągnął rękami po twarzy i poczuł ciepłą dłoń Inger Johanne na krzyżu.

- Przyjadę - odparł, rozłączył się i potarł dziwnie gładką czaszkę.

- Znaleźli Matsa Bohusa - powiedział cicho.

Ordynator oddziału psychiatrycznego w szpitalu Lovisenberg przywitał ich życzliwie, lecz z pewną powściągliwością. Również jego wyciągnięto z łóżka o nieludzkiej porze. Za oknami gabinetu wciąż panowała nieprzenikniona czerń, gdy prosił, by Yngvar Stubó i Sigmund Berli usiedli na melanzowej szarej kanapie. Kobieta z czerwono pomalowanymi wargami w zielonym szpitalnym fartuchu przyniosła kawę. Kiedy wyszła, pozostał po niej zapach wiosny, który sprawił, że Sigmund uśmiechnął się do drzwi. Zamknęły się za nią bezszelestnie. Gabinet, w którym panował porządek, wydawał się niemal po domowemu przytulny. Na półce za biurowym krzesłem stały rzeźby, Yngvarowi kojarzące się z Afryką: maski i tłuste bezgłowe boginie. Dziecięcy rysunek oprawiony w ramkę za szkłem rozjaśniał pokój mocnymi kolorami.

- Rozumiem - powiedział lekarz, gdy Yngvar tłumaczył, dlaczego koniecznie muszą z nim pomówić. - Pytajcie! Teraz, gdy formalności są już załatwione, postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

Yngvar wypił łyk kawy. Była wrząca. Znad filiżanki obserwował doktora Bonheura. Ordynator prawdopodobnie przekroczył już czterdziestkę, ale dobrze się trzymał. Włosy miał jeszcze krótsze niż Yngvar, cerę ciemną, oczy piwne. Nazwisko mogło wskazywać, że jest cudzoziemcem, chociaż mówił bez obcego akcentu. Był szczupły i wydawał się zwinny, gdy podchodził do niedużej lodówki i nalewał mleka do dzbanuszka, który im podał. Obaj podziękowali.

- Potrzebuję pełnej mocy tego czarnego napoju. - Yngvar zaśmiał się lekko. - Zwłaszcza o tej porze.

Sigmund ziewnął, nie zasłaniając ust. Z oczu popłynęły mu łzy, szybko pokręcił głową.

- Całą noc nie spałem - wyjaśnił.

- Pojmuję. - Lekarz zmarszczył czoło. Osadzone blisko siebie oczy błysnęły, a Yngvara nagle ogarnęło nieprzyjemne

wrażenie, że jest oceniany.

- Mats Bohus - zaczął Yngvar. - Co mu dolega?

- Akurat w tej chwili?

- Hm... Podobno często tu bywa. Nie znam się na terminologii psychiatrycznej, nie jest więc dla mnie jasne, czy te choroby... czy on jest zdiagnozowany?

- Tak. Choroba dwubiegunowa. Psychoza maniakalno-depresyjna. I rzeczywiście, można powiedzieć, że Mats Bohus często tu bywa. Nigdy się nie bał prosić o pomoc. Pod tym względem jest wzorowym pacjentem. Szkoda tylko, że czasami zgłasza się trochę za późno.

- Urodzony trzynastego października 1978 roku - przeczytał Yngvar z notatnika i przewrócił kartkę. - Zgadza się?

- Tak. Pierwszy raz przyszedł do nas w wieku osiemnastu lat. Skierowany przez lekarza ogólnego, który męczył się z nim przez kilka miesięcy. Mats od tamtej pory... spędził tu sporo czasu.

- Przychodzi wtedy, kiedy wpada w manię czy w depresję? - zainteresował się Sigmund.

- W depresję. Nikt nie szuka pomocy w okresie manii. Tacy chorzy z reguły mogą wtedy zdobywać świat szturmem. Iak się im przynajmniej wydaje. Powinniście wiedzieć, że on...

Yngvar znów poczuł na sobie badawczy wzrok, jakby go wazono i mierzono.

- Mats to bardzo inteligentny chłopak - podjął doktor Bonheur.

- W dzieciństwie niezbyt dobrze się uczył, ale rodzice okazali się dostatecznie świadomi problemu i przenieśli go do mniejszej szkoły. Prywatnej. Nie chcę wprawdzie zajmować stanowiska akurat w tej kwestii...

Z uśmiechem uniósł ręce. Yngvar zauważył, że u prawej dłoni brakuje małego palca. Został tylko różowy kikut.

-.. .ale dla Matsa szkoła steinerowska była bezwzględnie lepszym rozwiązaniem. On jest... - Znów to wahanie; mogło się zdawać, że lekarz waży każde słowo. — To niezwykle młody człowiek. W szachy gra jak arcymistrz. Ma też bardzo rozwinięte zdolności manualne.

Yngvar już wcześniej zauważył szachownicę tuż przy drzwiach. Stała na nóżkach, zrobiona chyba z hebanu i kości słoniowej. Ustawienie figur mogło wskazywać na przerwana partię. Wstał i podszedł do stolika. Biały koń na c3 miał realistyczną pianę na pysku. Kopyta unosił nad stojącym obok pionkiem - zgarbionym wieśniakiem w płaszczu z laską wędrowną.

- Otwarcie w Rejkiawiku - uśmiechnął się Yngvar. - Kiedy wreszcie rozpoczęli po tym całym zamieszaniu. Spasski grał białymi.

- Pan gra w szachy - stwierdził uprzejmie doktor Bonheur i sam podszedł do stolika.

- Grałem. Teraz już nie mam czasu. Ale walka o mistrzostwo świata na Islandii była czymś wyjątkowym. Bacznie ją wtedy śledziłem. - Yngvar wziął do ręki królową. - Śliczna - mruknął, podziwiając płaszcz wysadzany niebieskimi kamieniami i koronę z wieńcem kryształów.

- Nie bardzo nadaje się do gry. Wolę klasyczną drewnianą planszę. Tę szachownicę dostałem na czterdzieste urodziny. Właściwie jej nie używam. Ale zdobi.

- Sądziłem, że jednym z symptomów choroby dwubiegunowej jest niezdolność do koncentracji. - Yngvar delikatnie odstawił królową na miejsce. - To nie bardzo pasuje do gry w szachy.

- Racja. - Lekarz kiwnął głową. - Ale powtórzę jeszcze raz: Mats Bohus to wyjątkowy młody człowiek. Nie zawsze może grać, lecz w dobrych okresach udana partia sprawia mu wielką radość. Jest lepszy niż ja. Czasami wpada zagrać, nawet jeśli nie przebywa w szpitalu. Możliwe, że szczególnie go cieszy pokonywanie właśnie mnie.

Obaj się roześmiali. Sigmund Berli nie przestawał ziewać.

- O co tu właściwie chodzi? - spytał nagle doktor Bonheur zupełnie innym tonem.

Yngvar cały się napiął.

- Na razie nie chcielibyśmy jeszcze o tym mówić.

- Sytuacja Matsa jest bardzo delikatna.

- Rozumiem to i szanuję. Ale nasza sytuacja jest również

delikatna. Oczywiście w zupełnie inny sposób.

- Czy to ma jakiś związek z zabójstwem Fiony Helle?

Sigmund nagle się ocknął.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Z pewnością wiecie, że Mats został adoptowany.

- Tak... - Yngvar nie spieszył z odpowiedzią.

- Uwielbiał jej programy - ciągnął doktor Bonheur z lekkim uśmiechem. - Nagrywał je na wideo i oglądał po kilka razy. O tym, że sam jest adoptowanym dzieckiem, dowiedział się, dopiero gdy skończył osiemnaście lat. Jego przybrany ojciec zmarł, a matka postanowiła wyjawić prawdę. Czasami bywał opętany historiami takimi jak te w „Fiona w akcji”. Jego matka też zresztą zmarła. Mniej więcej rok temu. Mats stale powtarzał, że chce się dowiedzieć, skąd pochodzi. Kim jest, jak mówił.

- Udało mu się to?

- Dowiedzieć się, kim jest?

- Tak.

Przez ciemną twarz doktora Bonheura przemknął szybki uśmiech.

- Usiłowałem mu wytłumaczyć, że klucz do zrozumienia samego siebie tkwi w jego życiu z przybranymi rodzicami, a nie w szukaniu osoby, która wydała go na świat.

- Ale czy znalazł swoją biologiczną matkę?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ktoś z pracowników socjalnych podpowiedział mu, w jaki sposób powinien szukać. Wydaje mi się, że do niczego dalej nie doszedł.

- Dlaczego więc pan spytał, czy nasza wizyta ma jakiś związek z Fioną Helle? - Sigmund palcem potarł oko.

Lekarz patrzył na Yngvara, gdy odpowiadał:

- Rozumiem, że trafiłem w sedno.

Podniósł pionek, przez chwilę się zastanawiał, po czym odstawił go z powrotem. Yngvar sięgnął po tę samą bierkę.

- Jak przebiega jego choroba? - spytał, delikatnie dotykając łaski wędrowca.

- W ostatnim roku interwały między fazami się skróciły. To oczywiście dla niego męczące. Jakiś czas przed Bożym

Narodzeniem był w okresie silnej manii. Potem nastąpił stosunkowo spokojny okres, a w dniu... - Doktor Bonheur przeszedł przez pokój, pochylił się nad biurkiem, przerzucił plik papierów. - Zgłosił się tu dwudziestego pierwszego stycznia rano.

- Wcześniej?

Lekarz odwrócił kartkę.

- Tak, około siódmej. W głębokiej depresji.

Yngvar odstawił pionek i zerknął na zegarek.

- Jak pan sądzi, czy on jeszcze śpi?

- Wiem, że już wstał. Zwykle budzi się koło piątej. Przesiaduje sam w pokoju zajęciowym, dopóki nie pojawią się inni. Woli być sam, gdy jest w depresji jak teraz.

- Możemy...? - spytał Yngvar, wskazując zamknięte drzwi.

Doktor Bonheur kiwnął głową i wyszedł pierwszy. Zamknął za nimi drzwi na klucz i poprowadził ich do windy. Nikt nic nie mówił. Wsiadli.

- Powinienem chyba...

Winda się zatrzymała. Lekarz dopiero w połowie korytarza odwrócił się i dokończył:

- Powinienem was uprzedzić, że Mats Bohus ma... osobliwą aparycję.

- Ach tak? - zdumiał się Yngvar.

- Ma problem z przemianą materii, przez co jest otyły. Ciężki. Poza tym urodził się z zajęczą wargą. Oczywiście została zoperowana, lecz w sposób niezbyt udany. Wielokrotnie proponowaliśmy mu nowy zabieg, ale Mats się nie zgadza.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej. Otworzył jakieś drzwi i wszedł do środka.

- Cześć, Mats. Masz gości.

Na środku pomieszczenia przy stoliku ze sztucznego tworzywa siedział Mats Bohus. Pośladki wylewały mu się poza taboret, a uda z trudem mieściły się pod stolikiem. Ubrany był w bezkształtny dres. Przed nim stał rząd słońc zwierząt. Yngvar zbliżył się i dostrzegł wśród nich łabędzia, żyrafę, dwa lwy z nastroszoną grzywą. Był też słoń, żółty i błyszczący, miał

podniesioną trąbę i wielkie przezroczyście uszy.

- Co robisz? - spytał Yngvar cicho.

Mats Bohus nie odpowiedział. Palcami szybko zwijał celofan. Yngvar obserwował, jak powstaje koń z anatomicznymi szczegółami aż po kopyta i uniesiony ogon.

-Yngvar Stubó - przedstawił się wreszcie. - Jestem z policji.

Mats Bohus wstał. Yngvar zdumiał się tym, jak lekko odsunął taboret, postawił konia między lwami a żyrafą, zrobił krok w bok i odwrócił się do policjanta.

- Musieliście przyjść - powiedział bez uśmiechu. — Ale to trwało.

Blizna nad wargą była szeroka i czerwona, napięta. Odślaniała przedni ząb nawet przy zamkniętych ustach. Nos malutki, okolice brody bezkształtne, pokryte fałdami zasłaniającymi szyję.

Ale oczy były oczami Fiony Helle. Lekko skośne, intensywnie niebieskie, z długimi ciemnymi rzęsami.

-Ja niczego nie żałuję - oświadczył Mats Bohus. - Nie myślcie sobie, że żałuję.

- Rozumiem - odparł Yngvar.

- Na pewno nie. Nie wierzę, żeby pan rozumiał. Idziemy? Już był w połowie pokoju.

Line Skytter, szurając nogami, weszła do własnego gabinetu. Kapcie miała za duże. Szlafrok musiał być kupiony dla kogoś innego, w rękawach podwinęto dwadzieścia centymetrów.

- Chociaż jesteś moją najlepszą przyjaciółką - powiedziała, siadając na łóżku gościnnym - to mam nadzieję, że nie zamierzasz wprowadzić zwyczaju przychodzenia o pół do ósmej rano w soboty, żeby skorzystać z mojego komputera. Czy wy nie macie teraz u siebie Kristiane? Co z nią zrobiłaś?

- Została u sąsiadów na dole - mruknęła Inger Johanne. - U Leonarda.

Przy klawiaturze położyła zniszczony notatnik. Chociaż zawsze wiedziała, gdzie trzyma ten zeszyt, od lat go nie otwierała. Od trzynastu lat, pomyślała. Od tamtej pory trzykrotnie się przeprowadzała. Trzy razy znajdowała notes w pudełku po butach, w którym leżały jej małe sekrety: mosiężna obrączka, którą nosiła w dzieciństwie, gdy jako pięciolatka zaręczyła się z najładniejszym chłopcem na ulicy. Plastikowa opaska z napisem „Inger Johanne Vik, córka”, którą Kristiane miała na rączce w szpitalu położniczym. List miłosny od Isaka. Brązowa kamea po babci.

Notatnik.

Już trzy razy postanawiała go wyrzucić, ale za każdym razem wpadała na lepszy pomysł. Żółta książeczka składająca się z kartek połączonych spiralą, z maleńkim serduszkim na przedostatniej stronie miała dalej jej towarzyszyć. W serduszkach napisała kiedyś: „B. dziecinna”. Rzeczywiście byłam wtedy dzieckiem, pomyślała. Dwudziestotrzyletnim dzieckiem.

- Czego szukasz? - spytała Line.

- Wolałabyś nie wiedzieć. Ale bardzo dziękuję, że mnie wpuściłaś. Nasz komputer jest do niczego. Zawirusowany i strasznie wolny.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Prawie się nie widzimy.

- Urodziłam dopiero miesiąc temu, Line! A wcześniej przez szesnaście tygodni poruszałam się ciężko jak krowa, miałam bóle miednicy i problemy ze spaniem.

- Kłopoty ze spaniem miałaś zawsze - przypomniała Line wesoło. - Nie mogłabyś dzisiaj u mnie zostać? Jak skończysz, wybrałybyśmy się do miasta na jakieś zakupy. Poszłybyśmy do kawiarni. Teraz już prawie nigdzie nie wolno palić, więc to nie byłby żaden problem dla Ragnhild. - Wychyliła się. Wózek stał tuż przy parapecie. - Zresztą dzieci w tym wieku cały czas śpią.

- Wcale nie - zaprotestowała Inger Johanne. - Dzięki za propozycję, ale muszę później wracać do domu.

- A gdzie jest Yngvar? Jak wam się ostatnio układa? Zwariował na punkcie Ragnhild czy nie? Założę się, że...

Inger Johanne jęknęła głośno. Popatrzyła na Line znad okularów.

- Bardzo się cieszę, że pozwoliłaś mi wejść. Ale w sobotę rano nie przeszkadzałabym mojej bezdzietnej, lubiącej się zabawić przyjaciółce, gdybym nie miała do zrobienia czegoś ważnego. Dasz mi przez chwilę spokojnie popracować, a później pogadamy?

- Dobrze, dobrze - mruknęła Line, wstając. - Boże, ty jesteś...

- Line!

- W porządku. Nastawię kawę. Jak będziesz chciała, to powiedz.

Drzwi się zamknęły odrobinę za mocno. Inger Johanne zajrzała do wózka. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Lekko opadła z powrotem na krzesło.

Wciąż jestem położnicą i mam prawo do spokoju, myślała za każdym razem, gdy dzwoniła Line, siostra marudziła albo Yngvar delikatnie napomykał, że miło by było zaprosić gości na kolację lub na niedzielną kawę. Gdy tylko jednak widział, że jej ramiona unoszą się jeszcze odrobinę, przestawał o tym mówić. Zmieniał temat. Ona o tym zapominała. Aż do następnego razu, gdy zadzwonił telefon i ktoś domagał się pokazania Ragnhild i zobaczenia z nimi wszystkimi.

Musi spróbować wrócić do normalnych nocy.

Musi spać.

Przebiegła palcami po klawiaturze.

www.fbi.gov

Kliknęła na rys historyczny, głównie dlatego, że nie wiedziała, czego szuka. Pod zdjęciem powiewającego *Star Spangled Banner* przedstawiono sylwetkę Johna Edgara Hoovera jako sprawnego, demokratycznego i pod względem politycznym wzorowo neutralnego szefa FBI, pełniącego tę funkcję przez blisko pół wieku. Nawet teraz, w nowym tysiącleciu, trzydzieści lat po tym, jak dręczony obsesjami dyrektor wreszcie zmarł, patriotycznie czczono go jako wielkiego odpowiedzialnego wizjonera i twórcę nowoczesnego FBI, najpotężniejszej organizacji policyjnej na świecie.

Uśmiechnęła się. Potem roześmiała.

Entuzjazm. Pewność siebie. Niezlomna amerykańska suwerenność, która tak prędko potrafiła zarazić. Byłam młoda, zakochana i stałam się prawie jedną z nich.

Notatnik wciąż był zamknięty.

Kliknęła w link *The Academy*. Na widok zdjęcia budynku, otoczonego pięknym parkiem pełnym jesiennie kolorowych drzew, ścisnęło ją w brzuchu. Nie chciała pamiętać Quantico w stanie Wirginia. Nie chciała wyobrazać sobie Warrena szybkim krokiem przemierzającego klasę, nie chciała pamiętać gęstych siwych włosów, które opadały mu na oczy, gdy pochylał się nad studentami, najczęściej nad nią, cytując Longfellowa i mrugając prawym okiem przy ostatniej linijce. Inger Johanne słyszała jego śmiech, głośny, gwałtowny i zaraźliwy. Nawet ten śmiech był amerykański.

Notatnik nadal pozostawał zamknięty.

Otwarcie notesu z niebezpiecznymi adresami byłoby jak cofnięcie się w czasie o trzynaście lat. Byłoby jak powrót do miesięcy spędzonych w Waszyngtonie, tygodni w Quantico, nocy z Warrenem, pikników z winem i pływaniem nago w rzece, i do tamtego katastrofalnego niewymawialnego zdarzenia, które w końcu popsulo wszystko, a ją prawie całkiem zniszczyło.

Nie chciała tego.

Wzięła do ręki żółty notatnik. Nie miał żadnego zapachu. Do-

tknęła językiem spirali. Zimny, słodkawy metal.

Zdjęcie *The Academy* zajmowało pół ekranu.

Audytorium. Kaplica. Hogans Alley. Męczące dni, piwo wieczorami. Obiady z przyjaciółmi. Warren, zawsze spóźniony, zdekoncentrowany, gdy wlewał w siebie *pint*. Wychodzili w odstępach kilku minut, jakby nikt nic nie rozumiał.

Notatnik miał pozostać zamknięty. Nie był potrzebny.

Przypomniała sobie.

Teraz już wiedziała, czego poszukiwała w pamięci, odkąd Yngvar wrócił do domu wieczorem dwudziestego pierwszego stycznia, dokładnie miesiąc temu, i opowiedział o zwłokach bez języka znalezionych w Lorenskog. Ta historia coś w niej poruszyła, ale lekko i mgliście niczym muśnięcie pajęczyny na ciemnym strychu. Nie dawało jej to spokoju, kiedy zginęła Vibeke Heinerback, i była przerażająco blisko przypomnienia sobie, gdy półtorej doby temu znaleziono Vegarda Krogha martwego, z markowym piórem wbitym w oko.

Teraz już wiedziała.

Wystarczyło na moment zajrzeć do tajemniczego zapomnianego pokoju.

Ragnhild się rozpląkała. Inger Johanne szybko wsunęła notatnik do torebki, czym prędzej wylogowała się z odwiedzanych stron, pospiesznie usunęła loginy i w biegu włożyła kurtkę.

- O rany! - jęknęła Line, już ubrana. - Wychodzisz? Tak prędko?

- Bardzo ci dziękuję za pomoc. - Inger Johanne pocałowała ją w policzek. - Muszę lecieć. Ragnhild płacze!

- Ale przecież możesz...

Drzwi już się zamknęły.

- Boże! - mruknęła Line Skytter i wróciła do salonu.

Jeszcze nigdy nie widziała przyjaciółki tak podnieconej.

Spokojna, cicha, przewidywalna Inger Johanne.

Nudna Inger Johanne Vik.

*

Mats Bohus przebywał w szpitalu już miesiąc. Dokładnie mie-

siąc. Lubił liczby. Numery się nie kłóciły. Daty szły jedna za drugą elegancko i porządnie. Nie było nad czym dyskutować. Przyszedł tu cztery tygodnie i trzy dni temu. Była za pięć siódma, kiedy dotarł do wejścia. Przez całą noc chodził po Oslo. Jakiś kot plątał się za nim na ostatnim odcinku od Bislett, gdzie przez chwilę stał, patrząc we własne okno. Nikogo tam nie było. Całkiem ciemno. Oczywiście, że nikogo nie było, przecież to jego mieszkanie, a mieszkał sam. Zupełnie sam, a kot był szary. Miauczał. On nienawidził kotów.

Nie miał wątpliwości, że przyjdą.

Nie czytał gazet.

Nie teraz, kiedy wszystko się takie stało. Śnieg jakby nie chciał przestać padać. W nocy, gdy inni spali, siadywał przy oknie, obserwując płatki śniegu tańczące w powietrzu. Właściwie nie były białe, raczej szare albo fosforyzujące niebieskie. Od czasu do czasu ktoś do niego zaglądał. Mówili, że śnieg wcale nie pada. Po prostu tego nie widzieli.

- Mats Bohus - zwrócił się do niego ten wysoki mężczyzna. - To jest twój adwokat. Kristoffer Nilsen. Doktora Bonheura znasz dobrze. Mój kolega nazwa się Sigmund Berli. Czy czegoś potrzebujesz?

- Owszem - odparł. - Wielu rzeczy.

- Mam na myśli, czy chcesz kawy, może herbaty.

- Nie, dziękuję.

- A wody?

- Tak, poproszę.

Stubø nalał wody z karafki. Szklanka była duża, ale Mats Bohus opróżnił ją jednym haustem.

- To nie jest oficjalne przesłuchanie. Na razie nie jesteś o nic podejrzanym.

- Aha.

- Jeśli później się okaże, że postawiono ci zarzuty, wzięte pod uwagę zostaną wszystkie względy wiążące się z twoją... chorobą. Ktoś się tobą zajmie. Mnie na razie chodzi o to, żeby z tobą porozmawiać. Zadać kilka pytań.

- Rozumiem.

- Dlatego obecny jest twój lekarz, a na wszelki wypadek we-

zwaliśmy też adwokata Nilsena. Jeśli ci się nie spodoba, dostaniesz innego. Później. Gdyby to się okazało konieczne.

Mats Bohus kiwnął głową. Yngvar mówił dalej:

- Jak zrozumiałem, dość późno odkryłeś, że zostałeś adoptowany.

Mats Bohus znów kiwnął głową. Mężczyzna, który przedstawił mu się jako Stubø, usiadł naprzeciwko niego, na miejscu lekarza. Za biurkiem lekarza. To było bezczelne. Przecież to prywatne biurko ze zdjęciami żony i trojga dzieci w srebrnej ramce. Alex Bonheur przysiadł na parapecie. Wyglądało na to, że jest mu niewygodnie. Za doktorem, za szybą, Mats Bohus widział, jak w szarej matowej poświacie nadpełza dzień.

- Możesz trochę o tym opowiedzieć?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo mnie to interesuje.

- Naprawdę?

Mats Bohus, wchodząc do gabinetu, zgarnął wieżę z szachownicy; ukrył ją w prawej ręce.

- Tak, bardzo.

- Zostałem adoptowany. Nic o tym nie wiedziałem, dopóki nie skończyłem osiemnastu lat. Wtedy umarł mój ojciec. Dokładnie tego dnia, w moje urodziny. Więcej nie ma o czym mówić.

- Przeżyłeś szok? Zdziwiłeś się? Było ci przykro?

- Nie wiem.

- Spróbuj.

- Co mam spróbować?

- Przypomnieć sobie, co czułeś.

Mats wstał. Oczy tych ludzi go paliły; takie spojrzenia pozostawiały ślady, bez względu na to, gdzie szedł. Teraz też wszyscy się na niego gapili, z wyjątkiem Aleksa, który lekko się uśmiechał i kiwał głową. Mats obciągnął bluzę.

- Nie wiem, ile pan wie o mojej chorobie - powiedział, przechodząc przez pokój - ale dla pańskiej wiadomości wyjaśnię, że dość mam tych uczuć, z którymi teraz się zmagam. Nie mogę powiedzieć, żeby pan mi imponował.

- Doprawdy? Rozczarowuje cię coś konkretnego?

- Nie wiem, czy chce mi się tu dłużej przebywać. - Doszedł do drzwi, jedną rękę położył na klamce, drugą powoli otworzył. Przyjrzał się czarnej wieży. - Taktyka nie jest mi całkiem obca - stwierdził. - Pańska taktyka sprawia ból.

Stubø uśmiechnął się i spytał:

- Masz propozycję, jak mogę ją poprawić?

- Niech pan przestanie mnie traktować jak idiotę.

- Nie chciałem. Jeśli tak było, to przepraszam.

- Znów to samo.

-Co?

- Znów mówi pan tym tonem: „nieszczęśliwy potwór”.

- Przestań!

Stubø wstał i podszedł do szachownicy. Dorównywał Matsowi wzrostem. Przesunął gońca.

- Błąd - stwierdził Mats.

- Błąd? To ja decyduję.

- Nie, to dana z góry partia. Otwarcie w...

- Nic nie jest dane z góry, Mats. Właśnie to jest fascynujące we wszystkich grach.

Mats Bohus puści! klamkę. Bolała go głowa. Ból zazwyczaj pojawiał się o tej porze doby, kiedy szpital budził się do życia i przychodziło za dużo ludzi. Ten pokój był przepelniony. Adwokat stał w kącie z rękami założonymi na plecy. Stawał na palcach i opadał na podłogę. W górę. W dół. Bardziej przypominał zestresowanego policjanta niż człowieka, którego wyznaczono, by mu pomagał.

- Wiem, co pan robi - zwrócił się Mats do Yngvara Stubø.

- Próbuję prowadzić rozmowę.

- *Bullshit*. Stara się pan zyskać zaufanie. Rozmawiać na niegroźne tematy. Tak na wstępie. Chce pan stworzyć miłą atmosferę, żebym się poczuł bezpieczny. Żebym uwierzył, że tak naprawdę chodzi panu o to, by mi pomóc.

- Bo chodzi mi o to, żeby ci pomóc.

- Bardzo. Oczywiście chce pan mnie złapać. Uważa pan, że taki miły ton się opłaci. Z czasem zbliży się pan do sedna sprawy. Tamten... - Tępo zakończony gruby palec zadrżał, wskazując Sigmunda Berliego, który siedząc na krześle,

usiłował tłumić kolejne ziewnięcie. - Tamten może z czasem stanie się *the bad guy*. Jeśli ta pana przyjazna taktyka nie zadziała. To bardzo przewidywalne.

Policjant miał skaleczenie tuż za uchem, strup w kształcie litery Y, jakby ktoś usiłował wyrycić jego imię w czaszce, ale szybko wpadł na lepszy pomysł.

- To przecież idiotyzm - stwierdził Mats Bohus.

Wieża miała krenelaż okuty srebrem. W jednym z otworów strzeleckich kłęczał malusieńki ludzik z kuszą. Mats delikatnie dotknął miniaturowego żołnierza.

- Nie pamięta pan, co powiedziałem, kiedy przyszliście?

- Owszem.

- I co ja powiedziałem?

Yngvar Stubø przyglądał się młodemu człowiekowi. Mats nie sprawiał już wrażenia, że zamierza wyjść. Drzwi wciąż pozostawały zamknięte, a chłopak znów stał odwrócony przodem do pozostałych mężczyzn.

- Powiedziałeś, że niczego nie żałujesz.

- No właśnie. Jak pan to sobie przetłumaczył?

-Jako przyznanie się.

- Do czego?

- Tego nie jestem całkiem pewien.

- Zabiłem ją. To miałem na myśli.

Adwokat otworzył usta i zrobił krok do przodu, jednocześnie unosząc rękę w geście ostrzeżenia. Nagle się zatrzymał i zamknął usta z wyraźnym trzaskiem szczęki. Doktor Bonheur siedział z twarzą bez wyrazu, z rękami założonymi na piersi. Sigmund Berli wyglądał tak, jakby miał zamiar wstać, ale zmienił zdanie i z westchnieniem opadł na krzesło.

Nikt nic nie powiedział.

Mats Bohus przeszedł przez pokój i zasiadł w głębokim fotelu przeznaczonym dla gości. Yngvar nie spuszczał z niego oczu. Sposób poruszania się młodego człowieka miał w sobie dziwną estetykę. Przypominał falowanie wieloryba na głębinie.

- Zabiłem moją matkę.

Chory powiedział to innym tonem. Wyglądał tak, jakby miał za sobą ogromny wysiłek. Ręce mu zwisały bezwładnie po obu

stronach fotela. Blizna na górnej wardze wydawała się czerwiejsza, bardziej naprężona. Zwilżył ją językiem.

Wciąż wszyscy milczeli.

Yngvar też usiadł. Pochylił się nad biurkiem.

Mats Bohus nie wyglądał na swoje dwadzieścia sześć lat. Na jego twarzy nie widać było śladu zarostu, skórę miał gładką, bez pryszczycy, żadnych blizn z wyjątkiem szerokiego czerwonego zagłębienia nad ustami. Z oczu mu ciekło.

- Ona mnie nie chciała. Nie chciała mnie, kiedy się urodziłem, i nie chciała mnie teraz. W swoich programach... W wywiadach powtarzała, że z połączenia rodziny nigdy nie może wyniknąć nic złego. Wszyscy inni mogli liczyć na pomoc Fiony Helle, tylko ode mnie, rodzonego syna, po prostu się odwróciła. Kłamała. Nie chciała mnie. Nikt mnie nie chce. Sam siebie nie chcę.

- Twoja matka cię chciała - stwierdził Yngvar. - Twoja prawdziwa matka i ojciec. Oni cię chcieli.

- Nie byli prawdziwi, jak się okazało.

- Jesteś za mądry, żeby naprawdę w to uwierzyć.

- Oni nie żyją.

- To prawda. - Yngvar zawahał się przez moment, ale podjął:

- A co z tymi pozostałymi?

Mats Bohus płakał już otwarcie. Duże okrągłe łzy zatrzymywały się na rzęsach, zanim spłynęły na skrzydełka nosa. Zrzucił z biurka papiery i rodzinne fotografie, ukrył twarz w dłoniach. Szklanka z wodą spadła na podłogę, ale się nie stłukła.

- Co z innymi? - powtórzył Yngvar Stubø. - Z Vibeke Heinerback i Vegardem Kroghem? Co oni zrobili?

- Sam siebie nie chcę - szlochał Mats. - Nie... chcę...

- Nie rozumiem - odezwał się nagle ostrym głosem Alex Bonheur. - Po pierwsze, muszę powiedzieć, że to... przesłuchanie należy przerwać. Stanowczo odradzam jego kontynuowanie. Poza tym... - Delikatnie położył rękę na plecach Matsa Bohusa. Młody człowiek zareagował głośniejszym szlochem. - Nie rozumiem, jaki związek miałby istnieć między...

- Na pewno pan rozumie - odparł Yngvar spokojnie. - Mats nie czyta gazet, lecz pan czyta. Jak pan wie, chodzi o kilka

zabójstw o takich samych cechach charakterystycznych i...

- To wykluczone - zaprotestował doktor Bonheur i posłał pełne wyrzutu spojrzenie młodemu adwokatowi, który wciąż stał z otwartymi ustami, ale nie wiedział, co mówić. - Mats Bohus przebywa u nas od dwudziestego pierwszego stycznia.

Sigmund Berli usiłował myśleć. Komórki mózgu spały. Był tak zmęczony, że nie miał siły wstać, ale musiał myśleć i w końcu zawołał:

- Przecież on przebywa w szpitalu dobrowolnie! Chyba wychodzi stąd od czasu do czasu?

- Nie - oświadczył doktor Bonheur. - Był tu przez cały czas.

Cisza, która teraz zapadła, była przerażająca. Adwokat wreszcie na dobre zamknął usta. Sigmund trzymał rękę uniesioną jakby w proteście i nie miał siły nic powiedzieć. Yngvar zamknął oczy. Ucichł nawet płacz Matsa. Z korytarza za zamkniętymi drzwiami wcześniej słychać było zbliżające się i oddalające kroki, ktoś rozmawiał, w pewnej chwili dobiegł krzyk. Teraz nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

W końcu Sigmund zdecydował się zadać pytanie:

-Jest pan tego pewien? Całkowicie, najzupełniej pewien?

- Tak. Mats Bohus przyszedł do Lovisenberg dwudziestego pierwszego stycznia o siódmej rano. Od tamtej chwili nie opuszczał szpitala. Mogę to zagwarantować.

Sigmund Berli chyba nigdy nie czuł się równie rozbudzony.

*

Sobota wieczór oznaczała marny program w telewizji. Inger Johanne bardzo to odpowiadało. Chwilami drzemała, ale budziły ją gwałtownie własne myśli, które w półśnie zmieniały się w absurdalne koszmary.

Kristiane nocowała u sąsiadów. Pierwszy raz spała u kolegi. Leonard przyniósł pisemne zaproszenie, czerwoną kartkę formatu A4 ze sztywnymi wielkimi literami.

Inger Johanne myślała o moczeniu nocnym. O Sulamitce, która musiała być kotem, żeby Kristiane zasnęła. Wahala się.

- Wóz strażacki może być kotem na jedną noc, jeśli to takie ważne - stwierdził Leonard.

Uśmiechnięta Gitta Jensen stała w połowie schodów.

- To prawda - powiedziała. - Leonard tak by chciał. No a przy Ragnhild i nieprzespanych nocach... Pomyśleliśmy, że i wam dobrze by to zrobiło.

-Ja chcę - zdecydowała Kristiane. - Będę spała na piętrowym łóżku. Na górze.

Kristiane poszła, a Inger Johanne żałowała.

Córka mogła się wystraszyć. Była tak wyczulona na zmiany. Minęły całe miesiące, zanim przyzwyczała się do nowego domu. Przez długi czas budziła się co noc i szła do sypialni dorosłych drogą jak w dawnym mieszkaniu. Natrafiała na ścianę i jej rozpaczliwy płacz nie milkł, dopóki nie pozwalano jej się położyć na materacyku obok łóżka Yngvara.

Na pewno zsika się w łóżko, będzie się wstydzić i będzie jej przykro. Ostatnio zaczęła bardziej zwracać uwagę na otaczający ją świat, bardziej zauważać swoją inność. Owszem, to był postęp, lecz połączony z bólem.

W każdym razie dla Inger Johanne.

Zadzwonił Yngvar. Powiedział tylko, że wróci późno.

Inger Johanne zgasła telewizor, zrobiło się jednak za cicho, więc znów go włączyła. Próbowwała wychwycić dźwięki dochodzące z dołu. Dzieci musiały się już położyć. Chciała iść po Kristiane, wziąć ją na kolana, rozmawiać o różnych dziwnych sprawach. Założyć dziewięciolatce na noc pieluchę, która stawała się niewidzialna, kiedy nikt oprócz mamy o niej nie wiedział. Mogłyby zagrać w szachy według reguł Kristiane, które pozwalały koniowi galopować, gdzie chce, byle tylko mógł pożerać pionki na obiad. Mogłyby obejrzeć film. Być razem.

Inger Johanne marzła. Nie pomagało owinięcie się w koce. Tego dnia rano, w otoczeniu nienależącym do niej, odważyła się wreszcie zajrzeć do pokoju, który przez tak długi czas pozostawał zamknięty. Kiedy wróciła do domu, zdyszana i wzburzona, rozplakała się w głos. Do czegoś ją zmuszono. Ona tego nie chciała. Czuła się żalosna, poniżona i nie mogła się rozgrzać.

Niech Yngvar już wróci!

Przyłożyła dziecko do piersi. Ranghild ważyła już prawie pięć kilogramów, na rączkach miała tłuste wałeczki. Czas mijał tak

szybko. Ciemny puch na głowce prawie zniknął, teraz zapowiadało się, że mała będzie blondynką. I będzie miała zielone oczy. Tak uważała Inger Johanne. Na brodzie zaznacza! się cień dołeczka, jaki miał Yngvar.

Kiedyż on wreszcie wróci? Już jedenasta.

Jutro są zaproszeni na rodzinny obiad, a Inger Johanne nie była pewna, czy w ogóle da radę wyjść z domu.

Jakiś odgłos od strony drzwi kazał jej instynktownie mocniej przytulić dziecko. Ragnhild wypuściła pierś z ust, zaczęła płakać.

Dzwonienie kluczy. Ciężkie kroki na schodach.

Nareszcie będzie mogła powiedzieć Yngvarowi, z czym mają do czynienia.

Z jednym zabójcą.

Z jednym sprawcą, który zabił i okaleczył Fionę Helle, Vibeke Heinerback i Vegarda Krogha. Istniał schemat, niepojęte kontury planu, które na razie nie mówiły jej nic oprócz tego, że zabójstw dokonał jeden i ten sam człowiek.

I że będą kolejne morderstwa.

Yngvar stanął w drzwiach. Nawet w płaszczu widać było, że się przygarbił.

- To był on. Mats Bohus. Przyznał się.

-Co?

Inger Johanne wstała z kanapy. Cała się trzęsła, o mały włos nie wypuściła córeczki z rąk. Powoli z powrotem usiadła.

- Ach... ale... co za ogromna ulga, Yngvarze!

- On zabił swoją matkę.

-I....?

- To znaczy Fionę Helle.

- I...?

-I nikogo więcej.

Yngvar zdarł z siebie płaszcz i cisnął go na podłogę. Wszedł do kuchni. Inger Johanne usłyszała trzaśnięcie drzwi lodówki i odgłos otwieranej puszkę z piwem.

On się mylił, wiedziała na pewno.

- Zabił również pozostałych, prawda?

-Nie.

Yngvar przeszedł przez pokój i zatrzymał się za kanapą. Jedną rękę położył żonie na ramieniu, w drugiej trzymał piwo. Wypił. Przelykał głośno, niemal demonstracyjnie.

- Nie ma żadnego seryjnego zabójcy - oświadczył i wytarł usta wierzchem dłoni. - Jest tylko jakaś cholerna seria zabójstw. Coś zaraźliwego. Idę się położyć, kochana. Padam z nóg.

-Ale...

Zatrzymał się w drzwiach i lekko odwrócił.

- Pomóc ci przy Ragnhild?

- Nie, nie trzeba. Ale...

-Tak?

- Możliwe przecież, że on kłamie. *Ze...*

- On nie kłamie. Na razie jego wyjaśnienia w pełni się potwierdzają z tym, co zastaliśmy w domu Fiony. Wyklóciliśmy się o nowe przesłuchanie wieczorem. Z pewnością niewskazane pod względem zdrowotnym. On zna szczegóły, które nie zostały podane do publicznej wiadomości. Miał silny motyw. Fiona nie chciała mieć z nim do czynienia. Tak jak mówiłaś. Odrzuciła go bez słowa. Mats Bohus twierdzi, że czuła do niego obrzydzenie. Obrzydzenie. Stale to powtarzał. On nawet... - Yngvar potarł twarz i odetchnął głęboko. - Nawet zachował nóż. Ten, którym uciął jej język. On ją zabił, Inger Johanne.

- O tamtych może kłamać. Może brać na siebie odpowiedzialność za zabójstwo matki i kłamać o...

Yngvar mocno ścisnął w rękę pustą puszkę po piwie.

- Nie. Z lepszym alibi nigdy się nie zetknąłem. Od dwudziestego pierwszego stycznia nie wychodził poza mury szpitala psychiatrycznego.

Z rezygnacją spojrzął na puszkę, jak gdyby zapomniał, że ją zgniół. W roztargnieniu podniósł wzrok i spytał:

- Chciałaś coś powiedzieć?

- Słucham?

Inger Johanne położyła sobie Ragnhild na barku i mocniej otuliła się kocami.

- Wyglądałaś tak, jakbyś chciała mi coś powiedzieć, kiedy

przyszedłem. - Yngvar ziewnął. - O co chodziło?

Przez tyle godzin czekała na niego, wyglądała go przez okno, wpatrywała się w telefon, zerknęła na zegarek; niecierpliwie, pełna lęku czekała na to, by wreszcie móc się z nim podzielić tym ciężarem, o którym sobie przypomniwała. A to wszystko był jedynie przypadek.

To nie mógł być przypadek.

- Nic - powiedziała. - Nic takiego.

- Wobec tego idę się położyć - oświadczył i poszedł do salonu.

*

Ledwie nastała niedziela, dwudziesty drugi lutego. Na ulicach panował niezwykle spokojny. Na Karl Johan nie było żadnego pieszego, chociaż nocne kluby i jeden czy drugi pub miały być otwarte jeszcze przez kilka godzin. Wiatr zawiewał gęstym śniegiem od fiordu i odstraszył większość ludzi od szukania następnej, lepszej knajpy. Nawet na postoju taksówek przy Teatrze Narodowym, na którym zwykle o tej porze dochodziło do przepychanek i głośnych kłótni, było prawie całkiem pusto. Stała tam tylko młoda dziewczyna. W za krótkiej spódnicy i nieodpowiednich butach, kuląc się przed wiatrem i przytupując, gniewnym głosem rozmawiała przez komórkę.

- Najłatwiej przejedziesz przez Dronning Mauds gate - powiedział jeden z policjantów i wsunął kartkę do kieszeni.

- Nie lepiej...?

- Dronning Mauds gate - powtórzył tamten ze złością. - Już kilka lat jeżdżę tymi ulicami, no nie?

Młodszy się poddał. To był jego pierwszy dyżur z tym wielkim chłopem na siedzeniu pasażera. Z plotek już dawno się dowiedział, że lepiej trzymać język za zębami i robić dokładnie to, co mu kazano. Pojechali dalej w milczeniu.

- To tutaj - oznajmił młodszy, wjeżdżając w zaspę na Huitfeldts gate. - Lepszego miejsca do zaparkowania nie ma.

- Cholera! - mruknął ten drugi, wygrzebując się z ciasnego samochodu. - Jak będziemy mieć problemy z wyjechaniem, wszystko spadnie na ciebie. Ja wezmę taksówkę. Żebyś miał tego świadomość. Za cholerę...

Reszta zdania zniknęła w mamrotaniu porwanym wiatrem.

Młodszy policjant ruszył za kolegą.

- No to mamy szczęście - stwierdził starszy i pod osłoną szerokich pleców w ciągu kilku sekund otworzył wytrychem drzwi.

- Były otwarte, no nie? Nie potrzeba nam błogosławieństwa od żadnego cholernego prawnika. No chodź, konstablu Kalvø.

Petter Kalvø skończył dwadzieścia dziewięć lat i wciąż zachował coś w rodzaju dziecinnej naiwności. Miał gęste, krótko obcięte włosy i był porządnie ubrany. W porównaniu z niechlujnym mężczyzną w dżinsach i rozdeptanych martensach, który szedł przed nim do windy, wyglądał tak, jakby właśnie został przyjęty do West Point. Przy schodach stanął na baczność z rękami na plecach.

- To wbrew regulaminowi - oświadczył, ale głos mu się załamał.

- Nie mogę...

- Daj spokój!

Drzwi windy się otworzyły. Kolega, szurając nogami, wszedł, a Petter Kalvø z wahaniem poszedł za nim.

- Możesz mi wierzyć - zarechotał starszy. - Nie przeżyjesz w tej robocie, jeśli od czasu do czasu nie pójdziesz na skróty. Musimy się pojawiać z zaskoczenia, bo inaczej...

Mrugnął, spojrzenie miał przerażające. Jedno oko niebieskie, drugie piwne jak u husky.

Dojechali na trzecie piętro. Łysy policjant walnął pięścią w zielone drzwi i jeszcze raz zerknął na wizytówkę z nazwiskiem wypisanym niezgrabnymi literami, przymocowaną do futryny pinezką.

- Ulrik Gjemselund - przeczytał. - A więc to tutaj.

Cofnął się o dwa kroki i z całej siły wbił ramię w drzwi. Ze środka rozległy się krzyki. Policjant jeszcze raz nabrał rozpędu i tym razem kopnął. Drzwi ustąpiły, wyrwane z futryny i zawiasów. Jak na zwolnionym filmie wpadły w przedpokój.

- Tak się to robi. - Policjant wyszczerzył zęby w uśmiechu i wszedł do środka. - Ulrik! Ulrik Gjemselund!

Petter Kalvø zatrzyma! się w korytarzu. Pod płaszczem Bur-

berry zlewał go pot. On jest szalony, pomyślał w oszołomieniu. Ten facet to kompletny wariat. Tamci mówili, że mam robić dokładnie to, co mi powie, mam go słuchać i udawać, że nic się nie dzieje. Od czasu zawieszenia nikt nie chce z nim pracować. Mówią, że to samotny wilk, że nie ma już nic do stracenia. Ale ja mam. Nie chcę...

- Konstablu Kalvø! - wrzasnął kolega gdzieś z głębi mieszkania.

- Chodź tutaj! Chodź, do jasnej cholery!

Kalvø niechętnie wszedł do środka. Dostrzegł telewizor w pomieszczeniu będącym prawdopodobnie salonem. Przysunął się bliżej.

- Spójrz na tego młodzieniaszka! - Kolega zarechotał.

W kącie, obok ławy ze sprzętem stereo, pod półką z książkami biegnącą pod sufitem wokół całego pokoju, stał dwudziestokilkuletni chłopak. Nagi, przygarbiony, z opuszczonymi ramionami i rozczochranymi półdługimi włosami, rękami zasłaniał narządy płciowe.

- Mamy go - stwierdził starszy. - Zostań tu i pilnuj chłopaka, a ja się rozejrzę. On tak pilnuje własnego fiuta, jakby się bał, że ktoś mu go ukradnie. Ale my nie mamy takich zamiarów, możesz być spokojny.

Ostatnie słowa skierował do lokatora mieszkania, który wciąż kulił się w kącie.

- Bierzcie, co chcecie - wydusił z siebie. - Weźcie... Mam w portfelu pieniądze, możecie sobie zabrać...

- Uspokój się - powiedział Kalvø.

Zrobił krok w stronę nagiego mężczyzny, który uniósł rękę, żeby chronić twarz.

- Nie powiedziałaś? - Pettera Kalvø zdumiała siłą gniewu dźwięczącego we własnym głosie. - Do jasnej cholery, nie powiedziałaś, że jesteśmy z policji?

Chłopak zaszlochał.

- Spokojnie! - prychnął kolega. - Oczywiście, że powiedziałem. Facet musi być głuchy. Nie pozwól mu się stąd ruszyć.

Sierżant policji Petter Kalvø próbował myśleć jasno.

Ostrożnie poprawił klapę marynarki i pociągnął za krawat, jak gdyby porządne ubranie było ważne podczas tego nielegalnego przeszukania. Tak nielegalnego, że aż włos jeżył się na głowie. Powinien coś zrobić. Powinien się sprzeciwić. Zadzwoić do kogoś, podnieść alarm, zaprotestować. Mógłby na przykład zejść na dół do samochodu i wezwać patrol.

- Spokojnie - szepnął zamiast tego, próbując zmusić się do uśmiechu. - On strasznie hałasuje, ale nie jest groźny.

Jego głos zabrzmiał słabo, bez przekonania. Sam to słyszał. Znów zrobił krok w stronę chłopaka, który wreszcie opuścił rękę.

- Chcemy tylko sprawdzić...

- Amator! - zawołał kolega od drzwi. - Ulrik Gjemselund to prawdziwy nowicjusz! - W rękę trzymał plastikową torebkę z białym proszkiem. - Rezerwuar - dodał, cmokając językiem.

- Tam najpierw szukamy, Ulriku. Pokaż mi mieszkanie, w którym mogą być narkotyki, a na ślepo dojdę do kibla, podniosę pokrywę rezerwuaru i zajrzę do środka. Cholernie nudne.

Pogładził rude wąsy z siwymi nitkami nad kącikami ust. Wolno kręcąc głową, otworzył torebkę, wsunął do niej brudny mały palec i dotknął białego proszku. Posmakował.

- Kokaina. - Udał zdumienie. - A ja byłem pewien, że przechowujesz w sraczu mąkę kartoflaną. Albo heroinę czy coś takiego. A to tymczasem ładniutka porcyjka tego gówna z zachodniej dzielnicy. Fu! Stój spokojnie!

Chłopak w kącie wyprostował się przerażony. Wcześniej próbował usiąść, wciąż z rękami zaciśniętymi na kroczu. Teraz już otwarcie płakał.

- Spokojnie, chłopczyku, stój tam i ani mru-mru!

Policjant wyciągał szuflady i otwierał szafki. Przesuwał dłońmi

pod półkami i za książkami. Palcami głaskał ramy obrazów i siedzenia krzesel od spodu. Pod stolikiem komputerowym w rogu od strony kuchni się zatrzymał. Na drukarce stały cztery pudełka z Ikea. Otworzył pierwsze i wysypał zawartość na podłogę.

- No proszę - powiedział zadowolony. - Mamy tu trochę różności. Pięć kondomów... - Rozerwał paczkę i podniósł do nosa. Powąchał. - Bananowe. No, no!

Przebierał palcami w stosiku na podłodze. Wybrał papierosa w kształcie trąbki.

- Kto szuka, ten znajdzie. Mały sprytny skręcik. - Znów powąchał zdobycz. - Nędzna jakość. - Skrzywił się. - Nie masz pojęcia o marihuanie. Wstyd! - Opróżnił jeszcze jedno pudełko. - Tu nie ma nic interesującego - stwierdził, przejrzawszy talię kart, zanim sięgnął po trzecie pudełko.

Zawierało jedynie kopertę.

- Trond Arnesen - odczytał głośno. - Znane nazwisko.

Chłopak w kącie się zapomniał. Zrobił cztery kroki do przodu, zatrzymał się i ukrył twarz w dłoniach.

- Bardzo proszę - zapłakał. - Nie ruszajcie tego! To nie są narkotyki. To jest... nic. Nie...

- Interesujące. - Policjant już rozrywał kopertę. - Teraz mnie zaciekawileś.

W środku leżało pięć mniejszych kopert przewiązanych zniszczoną gumką do włosów. Wszystkie były zaadresowane do Ulrika Gjemselunda, neutralnymi drukowanymi literami, lekko przechylającymi się w lewo. Brak nazwiska nadawcy. Policjant wyciągnął kartkę z koperty na wierzchu i zaczął czytać.

- Cholera - mruknął do siebie i delikatnie odłożył list z powrotem do koperty. - Trond Arnesen... Trond Arnesen... Skąd ja znam to nazwisko?

- Proszę! - Chłopak już nie płakał. - Zostaw to! To prywatne rzeczy, okej? Nie masz prawa tak po prostu wchodzić i...

Policjant poruszał się nad podziw szybko i zwinnie. Zanim Petter Kalvø zorientował się, co się dzieje, kolega zdążył zrobić cztery duże kroki, podnieść nagiego mężczyznę, obejmując go mocno w pasie, i odstawić z powrotem w kąt pokoju, a następnie wbić mu palec wskazujący w lewy policzek.

- Posłuchaj - rzekł cicho, przyciskając jeszcze mocniej. Był wyższy od tamtego co najmniej o półtorej głowy. - To ja decyduję, co tu jest interesującego. Ty masz tylko zachować całkowity spokój i robić to, o co cię proszę. Babrzę się w tym

gównie, które ty i tobie podobni robicie, od prawie trzydziestu lat. To długo. Cholernie długo. Mam kurewsko dość snobów...

Palec wskazujący jakby miał zamiar przebić się przez policzek do wnętrza ust.

- Chyba musimy iść - zaczął Petter Kalvø. - Wydaje mi się, że...

- Zamknij się! - burknął kolega. - Trond Arnesen to ten facet, który miał się żenić z Vibeke Heinerback. Jestem przekonany, że chłopaków z Romerike i Kripos zainteresują te listy.

Zrobił krok do tyłu. Ulrik Gjemselund zapadł się w siebie. Po pokoju rozniósł się smród odchodów.

-Jeszcze się posiał - westchnął policjant z rezygnacją. - Idź się umyć i znajdź jakieś ubranie. Pójdiesz z nami.

- Mam iść z nim? - spytał Petter Kalvø. - Żeby...

- Nie wyskoczy z trzeciego piętra, boby się zabił. Aż taki głupi nie jest.

Ulrik Gjemselund odszedł na szeroko rozstawionych nogach. Kapąło z niego. Petter Kalvø mimowolnie się odsunął, gdy chłopak go mijał w drodze do łazienki. Usłyszeli stamtąd stłumiony płacz i odgłos płynącej wody.

- Niech to będzie dla ciebie jasne, Petter. - Starszy policjant położył rękę na ramieniu kolegi, w na poły groźnym, na poły przyjaznym geście. - Na dole drzwi wejściowe były otwarte - powiedział cicho. - Okej? A jeśli chodzi o konieczność wtargnięcia tutaj, to usłyszeliśmy krzyki, jak gdyby komuś działa się krzywda. Może gwałt? Jasne?

- Ale on... przecież był sam!

- O tym przekonaliśmy się dopiero później. A krzyki były naprawdę okropne. Nie pamiętasz? Okazało się, że facet tak głośno walił konia, ale tego nie mogliśmy wiedzieć wcześniej.

- Nie wiem, jak...

- Nie musisz niczego wiedzieć, Petter. Przecież znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, prawda? Mamy ładną torebkę kokainy, żalostnego jointa i paczkę listów, które mogą okazać się złota warte.

Ulrik Gjemselund wyszedł z łazienki przepasany ręcznikiem.

- Ubranie mam w sypialni.

- No to tam idziemy.

- Posłuchajcie! Trond nie ma z tym nic wspólnego. Trond nie bierze. Słowo honoru. On nie wie, że...

- No chodź. Ubierz się.

Przeszli za Ulrikiem do zabałaganionej sypialni i czekali, aż chłopak znajdzie slipy, T-shirt, czerwony sweter, dżinsy i skarpetki. Ubrał się szybko. Starszy z policjantów przyniósł sprzed wejścia parę długich butów i rzucił mu na podłogę.

- Masz! Wkładaj te.

- Znów muszę do ubikacji. - Chłopak złapał się za brzuch.

- No to idź.

Przemknął obok nich.

Zapadła cisza. Policjanci oglądali zniszczenia w przedpokoju. Ponieważ zawiasy zostały wyrwane, nie daliby rady zamocować drzwi.

- Nie możemy zostawić otwartego mieszkania - oświadczył Petter Kalvø.

Drugi policjant wzruszył ramionami.

- Zabierzemy wszystkie wartościowe przedmioty, ustawimy drzwi, niech tak stoją.

-Ale...

- Żartowałem. Zadzwoń po patrol. Niech ściągną ślusarza, stolarza czy cholera wie kogo, niech zreperuje te drzwi.

Zaszumiała spuszczana woda. Usłyszeli też odgłos otwieranych i zamykanych drzwi szafki.

- Co to za listy? - szepnął Petter Kalvø, zerkając na łazienkę.

Ten drugi poklepał się po kieszonce na piersi.

- Miłosne - odszepnął ze śmiechem. - Z tych listów wynika, że Trond i Ulrik z zapalem się pieprzyli. A przecież ten Trond miał się latem żenić. Fu!

- Co zrobimy z drzwiami? - poskarżył się Ulrik, który wyszedł z łazienki już w butach. - Nie możemy przecież...

- Idziemy! - Policjant złapał go za rękaw. - Będziesz miał teraz większe zmartwienia niż zniszczone drzwi. Nie myśl sobie, że nie wiem, co przed chwilą robiłeś. W łazience. Człowiek nie otwiera żadnej szafki, kiedy sra.

-Ja...

- Zamknij się! Niech ci służą te tabletki w brzuchu. Do następnej dawki może minąć sporo czasu. - Zaśmiał się głośno i pchnął chłopaka przed sobą w stronę windy.

*

Wrócili już do domu po obiedzie u rodziców i Inger Johanne musiała niechętnie przyznać, że wizyta się udała. Matka była w swoim najlepszym humorze, ciepła, pogodna, bezustannie zajęta dziećmi. Ojciec od dawna nie wydawał się tak zdrowy, sporo zjadł i wyjątkowo nie tknął wina. Isak wprawdzie irytował swoim zadomowieniem, ale Kristiane jak zawsze była szczęśliwa, że ma ich wszystkich wokół siebie.

- Moi ludzie - powiedziała, kładąc się w środku obiadu na podłodze z rękami wyciągniętymi w górę. — Loi mudzie. Dam-di- -rum-dam. Nie zsikałam się w łóżko Leonarda.

Nawet Marie, o trzy lata młodsza i bezdzietna siostra, oszczędziła Inger Johanne komentarzy na temat jej robionego na drutach swetra i znoszonych sztruksowych spodni. Siedziała przy stole w ciemnozielonym kostiumie, kupionym raczej nie w Norwegii, i z fryzurą, która wymagała co najmniej godziny pracy przy montażu i demontażu, rano i wieczorem. Natomiast okulary Inger Johanne musiała skomentować.

- Byłoby ci bardzo do twarzy w całkiem wąskich oprawkach. Przymierzająś?

-Ja uważam, że te okulary są śliczne - stwierdził Yngvar, trzeci raz nakładając sobie pieczeni wołowej. - Poza tym idiotyzmem byłoby wyrzucanie pieniędzy na takie, o jakich mówisz, kiedy Ragnhild niedługo zacznie za nie łapać. A te są dobre i solidne.

Isak bawił się z Ragnhild i twierdził, że dziecko się śmieje. Yngvar mało się odzywał, tylko od czasu do czasu dotykał dłonią kolana Inger Johanne. Ojciec, dziękując za posiłek, odrobinę się popłakał. Wszystko było po dawnemu. Nikt nie zauważył, że Inger Johanne kilka razy podczas obiadu wyglądała za okno i drgała przestraszona, słysząc dzwonek telefonu.

Teraz zbliżała się już północ.

Mogło się wydawać, że sama myśl o tym, że nadchodzi pora pójścia spać, ją pobudzała. Przez cały dzień poziewywała i

drzemała, lecz gdy tylko zapadł wieczór, nie potrafiła naprawdę odpocząć. Przez pierwsze dwa tygodnie po porodzie lęk był bardzo konkretny. Za każdym razem, gdy widziała maleńką Ragnhild, myślała o Kristiane. Pamiętała tamto dziwne dziecko z oczami, które nigdy nie szukały niczego ani nikogo. Kiedy Ragnhild jadła, Inger Johanne spinała się na wspomnienie tamtego bezwładnego tłumoczka, który nigdy nie miał apetytu, za to nieustannie zaciśnięte piąstki i wargi siniejące w dziwnych napadach ochryplego płaczu.

Ale Ragnhild była zdrowa. Płakała, jadła i spała, wymachiwała rączkami i nóżkami, nic jej nie dolegało.

Cóż, zdrowe dzieci też mogą umrzeć. Nagle, w niewyjaśniony sposób.

Potrzebuję pomocy, pomyślała Inger Johanne, sięgając po segregator. Z braku snu można zwariować. Nie palę, prawie nie piję. Muszę wziąć się w garść. Ona nie umrze. Nie znajdę jej leżącej bez życia w łóżeczku. Przecież ssie smoczek i śpi na plecach. Tak jak każą w poradnikach.

Yngvar się poddał. Już jej nie namawiał, kiedy sam szedł spać. Czasami wstawał w nocy. Siedział z nią chwilę na kanapie, zaczynał ziewać i znów się kładł.

Coś jest źle, myślała Inger Johanne. Nie z Ragnhild. Z nią wszystko jest w porządku. Ale coś tu się nie zgadza. Ktoś nas oszukuje. Takie zbiegi okoliczności nie istnieją. To wszystko jest za bardzo identyczne, zbyt zbieżne.

Bez zainteresowania przerzucała kartki w segregatorze z notatkami dotyczącymi tych trzech zabójstw. Przegródki były czerwone. Zdecydowanym ruchem wyrwała kartki dotyczące Fiony I lelle. Zaraz tego pożałowała i usiłowała wpiąć je na nowo, ale dziurki się rozerwały. Przyniosła z szuflady w kuchni rolkę taśmy klejącej. Próbowwała reperować zniszczenia, w końcu rzuciła taśmą o podłogę i zakryła twarz dłońmi.

Nie mam już siły.

- Weź się w garść - prychnęła do siebie przygnębiona.
- Opanuj się, Inger Johanne Vik.
- Zgadzam się.

Yngvar znów wstał. Nic nie mówiąc, poszedł do kuchni. Zaraz rozniósł się zapach kawy, a Inger Johanne zamknęła oczy. Yngvar nie spał i mógł jej pilnować. Gdyby tylko wzięła Ragnhild do łóżka, na pewno by zasnęła. Ale dziecko mogło umrzeć, leżąc między nimi. Tak pisali eksperci we wszystkich periodykach, które leżały na nocnym stoliku, w czasopismach medycznych i w poradnikach dla zmartwionych rodziców. Ragnhild musiała spać osobno, a Inger Johanne musiała czuwać i pilnować, bo ktoś czał się w pobliżu. Ktoś, kto chciał wyrządzić im krzywdę.

Zasnęła.

- Spałam!

Przestraszyła się, kiedy próbował okryć ją kocem.

- Śpij dalej!

- Nie, już się obudziłam.

- Potrzebujesz pomocy.

-Nie.

- Niebezpieczeństwo śmierci łóżeczkowej nie jest...

- Nie wymawiaj tego słowa!

- Niebezpieczeństwo nie minie, dopóki Ragnhild nie skończy dwóch lat.

Ciężko usiadł przy żonie. Na stoliku stał tylko jeden kubek kawy. Wyciągnęła po niego rękę, ale Yngvar odsunął kubek.

- Nie możesz, do cholery, nie spać przez dwa lata!

- Coś znalazłam - oznajmiła.

- Chętnie posłucham o tym jutro - odparł, gładząc się po głowie, wciąż nieprzyzwyczajony do krótkich włosów. - Kiedy dzieci już pójdą spać, a nam zostanie jeszcze przyzwoita częśćka tego, co można nazwać dniem.

Przyciągnęła kubek do siebie. Yngvar z rezygnacją pokręcił głową i oparł się na kanapie. Napila się kawy, zamknęła oczy.

- Ten szereg zabójstw ma pewne absurdalne cechy podobieństwa z czymś... - zaczęła z wahaniem. - Z czymś, co...

Kanapa była pełna Yngvara. Póллеżał z ramionami rozciągniętymi na szczycie poduszek oparcia i z rozsuniętymi nogami. Głowę miał opuszczoną za kanapę, usta szeroko otwarte, jakby głęboko spał.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała. - Wcale nie śpisz. Otworzył oczy. Zmrużył je, patrząc w sufit. Wciąż milczał.
- Na wykładzie. - Inger Johanne szybko wypila jeszcze łyk kawy.
- Co?
- Słyszałam o tych zabójstwach na wykładzie. Trzynaście lat temu.
- Wygrzebał się z poduszek.
- Słyszałaś o tych zabójstwach trzynaście lat temu - powtórzył bezbarwnym głosem. - Ach tak.
- Oczywiście nie o tych samych.
- Tyle jeszcze zrozumiałem. - W jego głosie pojawiła się czujność.
- Ale o czymś podobnym.
- Możesz oddać mój kubek, kochanie? - Uśmiechnął się do niej łagodnie, jakby pomieszało jej się w głowie i wymagała zakotwiczenia w rzeczywistości za pomocą jakiegoś konkretnego codziennego gestu.
- Wstała z rękami mocno zaciśniętymi na kubku.
- Byłam wczoraj u Line. Ten nasz komputer...
- Wiem - przerwał jej. - Obiecałem, że się tym zajmę. Jeden z chłopaków w pracy... Tylko że...
- Można powiedzieć, że odbyłam coś w rodzaju *sentimental journey*. Z tą różnicą, że nie była zbyt sentymentalna.
- Na czole Yngvara pojawiły się trzy wyraźne zmarszczki.
- Co masz na myśli?
- Już od dawna czułam, że w tych sprawach, w zabójstwach Fiony Helle, Vibeke Heinerback i Vegarda Krogha, jest coś znajomego, tylko nie potrafiłam tego uchwycić. Nie umiałam złapać tej myśli, wspomnienia. Ale to musiało być coś... - Pochyliła głowę nad kubkiem. Czuła, jak para klei się do twarzy.
- Co?
- To musiało mieć związek z czymś, z czym się zetknęłam, będąc w Waszyngtonie. A raczej w Quantico. To było takie odległe, takie ... zapomniane i dalekie. I miałam rację. Nie musiałam długo szukać. Kiedy zobaczyłam... samo zdjęcie...

Ech, nieważne.

Odgarnęła włosy za uszy, ale nie chciała rozstawać się z ciepłym kawą w kubku. Znow ścisnęła go obydwiema dłońmi, odwrócona tyłem do Yngvara.

- Najdroższa - powiedział, wstając.

- Siadaj.

- Dobrze - zgodził się.

- Wystarczyło mi, że zobaczyłam zdjęcie *The Academy* - powiedziała tak cicho, że Yngvar miał kłopoty ze zrozumieniem słów.

- Wtedy sobie przypomniałam. Przypomniałam sobie zajęcia. Długie dni, męczące, nużące, zabawne... - Zbliżyła się do odbicia w okiennej szybie, jak gdyby mówiąc do samej siebie, czuła się bezpieczniej. - Teraz już nawet wiem, jaki to był cykl wykładów. *Behavioral science*. Warren zabawiał nas na wykładzie zatytułowanym *Proportional retribution*.

Yngvarowi wydało się, że przez moment dostrzegł w odbiciu cień uśmiechu.

- Zabawiał nas - powtórzyła. - Właśnie to robił. Śmialiśmy się. Wszyscy się śmialiśmy, kiedy Warren chciał, żebyśmy się śmiali. To było jakoś w czerwcu przed wakacjami, gorąco, strasznie duszno i gorąco. Klimatyzacja w audytorium wysiadła. Pociliśmy się. Ale nie Warren. On zawsze wydawał się chłodny. Zawsze... *cool*. W każdym znaczeniu tego słowa. - Powoli się odwróciła, opuściła rękę z kubkiem. Pustym, zawieszonym na palcu. - Poświęcam tyle sił, żeby zapomnieć - powiedziała, nie patrząc na Yngvara - więc nic dziwnego, że miałam ogromne problemy z przypomnieniem sobie. Chociaż...

Oczy zaszczyły jej łzami. Odchyliła głowę, by nie pozwolić im spłynąć. Yngvar znow się poruszył, jakby miał zamiar wstać.

- Nie - oświadczyła twardo. Nagle uśmiechnęła się przez łzy.

- To był wykład na temat mścicieli hołdujących zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”. O przestępcach, którzy chcą wymierzać adekwatną karę. I o symbolice. Warren to uwielbiał. Kochał wszystko, co niezwykle. Wyraźne i przesadne.

- Usiądź, Inger Johanne. - Yngvar poklepał poduszkę na ka-

napie obok siebie.

- Nie, wolę stać. Muszę ci to teraz powiedzieć, kiedy jeszcze mam siłę. A raczej kiedy nie mam siły na to, żeby się wstrzymać.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o czym mówisz.

- Warren opowiedział nam o pięciu sprawach - ciągnęła, jakby go nie usłyszała. - Pierwsza o... Dotyczyła jednego z tych ekscentryków, których można znaleźć w zasadzie wyłącznie w Ameryce. To był taki trochę szalony intelektualista z dobrą ręką do roślin. Miał fantastyczny ogród, którego bronił zębami i pazurami. Nie pamiętam, z czego żył, ale musiał mieć pieniądze, bo ogród był ozdobą całej okolicy. Sąsiad podał go do sądu, chodziło o jakiś spór graniczny. Uważał, że płot stoi kilka metrów za daleko w głębi jego działki. Po długim korowodzie w aparacie sprawiedliwości sąd uznał racje sąsiada. Niezbyt dokładnie to pamiętam. Rzecz w tym... - Nagle zeszytniała, z otwartymi ustami i przekrzywioną głową. - Słyszałeś coś?

- Nie. Nie mogłabyś...

Westchnęła ciężko, zanim podjęła:

- Rzecz w tym, że wkrótce po wydaniu ostatecznego wyroku sąsiada znaleziono martwego. Jego odcięty język leżał w starannie sklejonej kopercie, zrobionej z okładki „House & Garden”. To taki magazyn. O...

- O domu i ogrodzie - powiedział Yngvar z rezygnacją. - Chodź, usiądź. Przecież ci zimno. Chodź do mnie.

- Ty mnie nie słuchasz?

- Słucham, ale...

- Język był odcięty! I ślicznie opakowany! To nadmiernie wyrazisty, wulgarny symbol...

- Jestem pewien - przerwał jej stłumionym głosem - że wszędzie na świecie da się znaleźć przykłady podobnego zbezczeszczenia zwłok, a niekoniecznie muszą mieć związek z zabójstwem Fiony Helle. Sama mówisz, że to było już dawno temu i nie pamiętasz zbyt...

- Najgorsze jest właśnie to, że pamiętam - burknęła ze złością. - Przypomniałam sobie. Nie możesz spróbować mnie

zrozumieć, Yngvarze? Pojąć, jak... jak strasznie trudno jest zmusić się do przypomnienia sobie czegoś, o czym człowiek tak rozpaczliwie starał się zapomnieć? Jak... jak strasznie boli...

- Trudno mi zrozumieć coś, o czym nigdy się niczego nie dowiedziałem. - Yngvar natychmiast pożałował swoich słów. - Chodzi mi o to, że... Widzę, że to dla ciebie bolesne. Nietrudno...

- Nawet nie próbuj! - prawie krzyknęła. - Nigdy, przenigdy nie będę mówić o tym, co się stało. Po prostu próbuję ci wytłumaczyć, dlaczego ta historia się przede mną schowała. Była tak bliźiuteńko... że mogłam się o nią potknąć, tak...

Yngvar wstał. Złapał ją za nadgarstek i poczuł, jak bardzo schudła. Zegarek, za ciasny w ostatnich miesiącach ciąży, groził teraz zsunięciem się z ręki. Inger Johanne bezwzględnie pozwoliła mu się objąć. Poglaskał ją po plecach. Przez sweter wyczuł ostrość kręgosłupa.

- Musisz jeść - powiedział z twarzą wtuloną w jej włosy, splecione i bez połysku. - Musisz jeść i spać, Inger Johanne.

- A ty musisz mnie wysłuchać! - Rozplakała się. - Nie możesz po prostu wysłuchać mojej historii? Bez pytań... Bez mieszania wszystkiego... - Gniewnie podniosła głowę i położyła mu dłonie na piersi. - Czy możesz nie pytać, jaki to ma związek ze mną? Możesz o tym zapomnieć i po prostu mnie słuchać?

- To trudne. W jakimś momencie musisz...

- Nigdy. Okej? Nigdy! Obiecałeś...

- Następnego dnia mieliśmy się pobrać, Inger Johanne. Bałem się, że odwołasz ślub, jeśli się nie zgodzę na twoje żądania. Teraz wszystko się zmieniło.

- Nic się nie zmieniło.

- Owszem. Jesteśmy małżeństwem. Mamy dziecko. A z tobą dzieje się coś... Jesteś udręczona, Inger Johanne. Cierpisz z powodu czegoś, o czym wiedzy mi odmawiasz. Ja się na to po prostu nie godzę.

- Musisz.

Puścił ją. Stali blisko siebie, ale się nie dotykali. Był od niej

prawie o głowę wyższy. Inger Johanne podniosła twarz. W jej oczach pojawił się mrok, którego Yngvar nie rozpoznawał. Serce zaczęło mu uderzać szybciej, bo przez moment miał wrażenie, że widzi w nich coś, co przypomina... nienawiść.

- Inger Johanne - szepnęła.

- Kocham cię - powiedziała cicho. - Ale musisz to zostawić. Może kiedyś rzeczywiście będę w stanie opowiedzieć ci, co zaszło między mną a Warrenem. Ale nie teraz, jeszcze długo nie, Yngvarze. Poświęciłam ostatnie tygodnie na wydobycie się z zapomnienia. To była naprawdę trudna podróż, nie mam więcej siły. Chcę wrócić do życia, do ciebie i do dzieci. Do nas. Więc nie dręcz mnie, proszę.

- Dobrze. - Głos mu zachrypnął, serce wciąż waliło mocno.

- Przywiozłam ze sobą pewną historię i chcę ci ją opowiedzieć. Resztę na razie znów zamknę. Może na długo, może na zawsze. Ale musisz... musisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

Kiwnął głową.

- Usiądźmy - powiedział. Głos wciąż miał szorstki.

- Nie bądź taki. - Inger Johanne pogładziła go po ostrzyżonej na jeża głowie. - Nie możesz...

- Przestraszyłaś mnie.

Byli teraz zwyczajni, życzliwi sobie. Inger Johanne miała zwykle, przyjazne oczy.

- Nie chciałam.

- Usiądziemy, dobrze?

- Przestań.

-Co?

- Przykro mi, że cię wystraszyłam, ale nie musisz z tego powodu traktować mnie jak przypadkowego gościa.

Jej spojrzenie przez moment było wrogie. Nie pełne nienawiści, jak pomyślał w pierwszej chwili, lecz agresywne i wrogie.

- Bzdura! - Uśmiechnął się. - Ale już dobrze. Ciebie i... ciebie i Warrena zostawiamy, a ty opowiadaj.

Przyniósł jeszcze jeden kubek, obojgu nalał kawy i usiadł na kanapie. Dla zachęty poklepał poduszkę.

- Zaczynaj! - poprosił z udawaną wesołością
- Na pewno? - spytała, sięgając po kubek ze świeżą kawą, ale nie usiadła.

- Oczywiście.

Jego oczy wciąż się nie uśmiechały.

- No dobrze - powiedziała powoli. - Ta druga sprawa dotyczyła zabójstwa w małym miasteczku w Kalifornii. Albo... tak, w Kalifornii. Pewien lokalny polityk udławił się cytatami z Biblii. Dosłownie. Znalaziono go przybitego gwoździami do ściany, z ustami pełnymi mokrych kartek wyrwanych z jego własnej Biblii.

Inger Johanne omiotła wzrokiem salon, jak gdyby potrzebowała przytrzymać się tego, co znajome i bezpieczne, nim zacznie mówić dalej. Ciemność otulała dom izolującym płaszczem. Było tak cicho, że Yngvarowi zdawało się, że słyszy hałas własnych myśli. Krążyły mu po głowie, oderwane od siebie, przemieszane, pozbawione struktury. Co to ma znaczyć? Cóż to za absurdalna historia? W jaki sposób trzy zabójstwa popełnione w Norwegii w 2004 roku mogły mieć związek z zapomnianym wykładem w USA trzynaście lat wcześniej?

Wtedy Biblia. Teraz Koran.

Język w ślicznym opakowaniu. I wtedy, i teraz.

- Dlaczego został zabity? - Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

- Pewien pastor, który miał własny zwariowany Kościół, uważał, że ten członek rady miejskiej zasłużył na śmierć, ponieważ szerzył bezbożny rasizm. Nakłonił jednego ze swoich parafian do popełnienia zabójstwa. Wariat. Cały czas się śmiał podczas procesu. Tak nam opowiadał... Tak nam powiedziano.

Rasizm, pomyślał Yngvar.

Vibeke Heinerback nie była rasistką. Vibeke Heinerback jako polityk zajmowała się finansami. Podczas śledztwa nie poruszali tego problemu. Szukali motywów w polityce, w niepopularnych cięciach budżetowych i brutalnej walce o władzę. Nikt nie wspominał o rasizmie. Młoda przywódczyni partii unikała tego tematu. Miała wystarczająco dużo doświadczenia, by odpowiadać ogólnie i wymijająco, gdy

zdarzyło się, że jakiś dziennikarz przyciskał ją do muru i nie pozwalała się zbyć mglistym gadaniem o kosztach imigracji i problemach z uzyskaniem środków.

- Ale Vibeke Heinerback miała w partii różnych kolegów - powiedział Yngvar z wahaniem. - Którym raczej nie da się zarzucić łagodnego nastawienia do naszych nowych rodaków. - Do tej pory nie tknął kawy. Teraz pochylił się nad stołem. Dłoń mu drżała.

- To dopiero dwie sprawy - zauważył, nie ruszając kubka. - Mówiłaś, że opowiedziano wam o pięciu.

- Zabito dziennikarza - podjęła Inger Johanne. - Zajmował się finansowymi przekrętami jakiejś firmy ze Wschodniego Wybrzeża, nie bardzo pamiętam, o co chodziło. W każdym razie tę zabawę przyplacił życiem.

- Ale chyba nie został zabity... piórem?

- Nie. - Uśmiechnęła się blade. - Maszyną do pisania. Wielkim staroświeckim remingtonem.

Yngvar jej już nie słuchał.

Uderzenie maszyną do pisania w głowę, pomyślał. Pióro wbite w oko. Dwóch dziennikarzy, i wtedy, i teraz, zabici swoimi narzędziami pracy. Dwoje polityków, i wtedy, i teraz, ukrzyżowanych i zbezczeszczonych religijnymi pismami. Dwa języki. Dwie osoby, którym zarzuca się kłamstwo.

- Do diabła! - szepnęła.

Inger Johanne wzięła z półki przy telewizorze czerwoną szmancianą lalkę. Lalce brakowało jednej ręki. Rude włosy, podobnie jak sukienka, wyblakły po niezliczonych sesjach w pralce i zmieniły kolor na prawie różowy.

- Właśnie to mi opowiedziano w pewien ciepły letni dzień przed wieloma laty - podsumowała cicho, gładząc palcem nieproporcjonalnie długie nogi lalki. - Te sprawy same w sobie były niezbyt ciekawe. Kronika kryminalna Ameryki zawiera znacznie bardziej spektakularne opowieści. - Nagle wrzuciła lalkę do skrzynki z zabawkami. - Dla nas interesujące jest to, że ktoś tu, u nas w kraju, inscenizuje to wszystko od nowa. Nie możemy zakopać się w przeszłości, tylko skupiać na... na Pionie Helle, Vibeke Heinerback i Vegardzie Kroghu.

Na tym, co jest dzisiaj. Na naszych własnych zabójstwach, prawda?

Chciał kiwnąć głową, chciał się uśmiechnąć i z nią zgodzić. Opowieść była dostatecznie przydatna w takiej wersji, w jakiej zaprezentowała ją Inger Johanne. Ogólnej i nieprecyzyjnej. Mogli na tym poprzestać.

Oboje wiedzieli jednak, że to niemożliwe.

Inger Johanne opowiedziała mu ważną historię, a jednocześnie wbiła między nich klin. Przez następne doby Yngvar będzie starał się poruszyć niebo i ziemię, by dokopać się szczegółów tych spraw. Zwróci się do organów międzynarodowych. Będą potrzebowali wypisów, protokołów sądowych, przesłuchań. Niezbędne im będą nazwiska i daty.

Potrzebna im będzie pomoc Warrena.

- Wydaje mi się... - Wahał się przez chwilę, nim podjął: - Myślę, że zamkniemy to na dzisiaj. Jutro czeka nas długi dzień.

- Wiem - odparła i przykucnęła. Jack się obudził i ocierał o jej nogi. - Teraz niewiele już z siebie wykrzeszemy. Kładź się.

- Chodź ze mną.

- Nie ma sensu, Yngvarze. Idź spać.

- Bez ciebie nie pójdę.

- Ja nie chcę. Nie mogę.

- Głodna jesteś?

- Wiem, że będziesz rozmawiał z Warrenem.

- Zrobić ci omlet?

- Przypominasz mamę. Wydaje ci się, że jedzenie rozwiąże wszystkie problemy. - Inger Johanne wciągnęła nosem ciepły zapach psiej sierści i mruknęła: - Nie zachowuj się tak, jakbym była głupia, Yngvarze.

Znów musiał ugryźć się w język.

- Rozumiem, co musisz zrobić z informacjami, które ci przekazałam - ciągnęła. - Nie wymagam od ciebie wdzięczności za zanurzenie się w głębię przeszłości, o której tak chciałam zapomnieć. Ale mogę przynajmniej domagać się jakiejś formy szacunku. Udawanie, że wszystko jest w jak największym porządku i że dla zabawy opowiedziałam ci

historyjkę na dobranoc, to moim zdaniem niewłaściwe z twojej strony.

Wzięła psa na rękę i przytuliła do niego twarz.

Powinniśmy być szczęśliwi, pomyślał Yngvar. Powinniśmy cieszyć się z Ragnhild, z postępów Kristiane, z siebie nawzajem. Jest nam dobrze, jesteśmy razem. We dwoje. We czworo. Tamtego ranka, miesiąc temu, a raczej całe wieki temu, kiedy Kristiane myślała, że urodziła nam się następczyni tronu, czy nie byłem wtedy szczęśliwy? Dziecko urodziło się zdrowe. Ty byłaś trochę przestraszona i bardzo szczęśliwa. Chciałbym cofnąć kalendarz i zapomnieć o tym, co obce i tajemnicze, co tworzy dystans między nami. W twoim spojrzeniu była wrogość, a teraz mi znikasz.

- Po prostu mnie w to nie wciągaj - poprosiła Inger Johanne.

- Rób to, co musisz, ale mnie nie wciągaj. Okej?

Kiwnął głową.

Jack zaczął wierzgać, chciał zejść na ziemię.

- On nie lubi siedzieć na rękach - powiedział Yngvar.

- Czy Mats Bohus został wykluczony?

- Słucham?

- Czy jest na sto procent pewne, że Mats Bohus nie stoi za wszystkimi trzema zabójstwami?

-Tak.

Król Ameryki wierzgnął jeszcze raz i z hukiem spadł na podłogę. Pisnął cicho, z podkulonym ogonem schował się do kąta.

- Więc co to może być? - Inger Johanne zamyślona usiadła na drugiej kanapie.

- Masz chyba na myśli „kto” - stwierdził Yngvar bezbarwnym głosem.

- Hm. I co, i kto.

- Nie mogę tego znieść.

- Czego?

- Tego twojego chłodu.

- Nie jestem chłodna.

- Właśnie że tak.

-A ty jesteś beznadziejny. Chcesz, żebym była pogodna,

ciepła i we wszystkim uczestniczyła. To niemożliwe. *Grow up*. Jesteśmy dorosłymi ludźmi i mamy problemy dorosłych ludzi. To wcale nie musi być groźne.

Powiedziała „To wcale nie musi być groźne”. Yngvar wolałby usłyszeć: „nie jest groźne”. Złożył dłonie i przyglądał się bielejącym kostkom. Za czternaście miesięcy skończy pięćdziesiąt lat. Wiek coraz bardziej dawał o sobie znać. Skóra na wierzchu dłoni była luźna i sucha, nawet gdy napinał palce.

- Czy ktoś może tym sterować? - spytała z powątpiewaniem. Spojrzała na Jacka, który wciąż kręcił się w kółko po swojej poduszce, nie mogąc się ułożyć. - Czy ktoś może stać z boku i manipulować innymi, zmuszać ich do zabijania? - mówiła głównie do siebie, jak gdyby głośno myślała. - Ktoś, kto zna te stare historie i z jakiegoś powodu próbuje odtworzyć...

Pies w końcu się położył.

- Chyba zwariuję - powiedziała.

- Kładziemy się - zdecydował Yngvar.

- Dobrze.

- Mówiłaś o pięciu.

- O jakich pięciu?

- O pięciu zabójstwach. Ten wykład omawiał pięć zabójstw. Wszystkie te przykłady, które Warren nazwał... *Proportional revenge?*

- *Retribution*.

- Czego dotyczyły dwie ostatnie sprawy? - spytał, nie odrywając wzroku od dłoni.

Inger Johanne zdjęła okulary. Pokój straci! ostrość. Z półprzy- mkniętymi oczami zaczęła powoli przecierać szkła.

- Kto został zabity? - nie odpuszczał Yngvar. - I jak?

- Sportowiec.

- Co mu się przydarzyło?

- Został trafiony oszczepem w serce.

- Oszczepem? Takim do rzucania?

- Tak.

- Dlaczego?

- Sprawca z nim rywalizował. Uważał, że został pominięty przy rozdzielaniu stypendiów sportowych w jednym z

uniwersytetów należących do Ivy League. Coś w tym rodzaju. Nie pamiętam. Jestem zmęczona.

- Więc możemy teraz tak sobie siedzieć, kompletnie bezradni... i czekać, aż któraś z gwiazd sportu zostanie wyekspediowana na tamten świat w brutalny sposób.

Inger Johanne wciąż przecierała okulary rąbkiem koszuli. Bez celu i zdecydowania.

-A ostatnie morderstwo? - spytał ledwie słyszalnie.

Podniosła okulary do światła stojącej lampy i zmrużyła jedno oko. Patrzyła najpierw przez jedno szkło, potem przez drugie. Kilka razy. W końcu je włożyła, wzruszyła ramionami.

- Wiesz, chyba naprawdę spróbuję się położyć. Jest już...

- Inger Johanne - przerwał jej Yngvar i z głośnym trzaskiem odstawił kubek na stół.

Sufit omiotło mocne światło. Jasny snop przewędrował po suficie od kuchni aż do drzwi na balkon w południowej ścianie. Od warkotu silnika ciężarówka zadrżały szyby w oknach.

- Śmieciarka - zirytował się Yngvar. - O tej porze?

Gdyby nie był taki zmęczony, zauważyłby pewnie, że Inger Johanne wstrzymała oddech. Gdyby spojrział na nią, zamiast podchodzić do okna, żeby sprawdzić, kto w środku nocy zatrzymał ciężki samochód na jałowym biegu w willowej dzielnicy, zapewne by dostrzegł, że żona ma usta otwarte, a wargi białe. Zobaczyłby, że siedzi napięta, ze wzrokiem skierowanym ku drzwiom wejściowym, ku sypialniom dzieci.

Ale stał przy oknie, odwrócony do niej plecami.

- Bus maturzystów - stwierdził wreszcie z rezygnacją, gdy auto z rykiem zjechało w dół Hauges vei. - W lutym. Coraz wcześniej zaczynają.

Znów usiadł na kanapie naprzeciwko żony.

- Ostatnie morderstwo. Co się stało w tej ostatniej sprawie?

- Nie powiodło się. Warren podał ten przykład, ponieważ...

- Kogo on próbował zabić, Inger Johanne?

Wzięła oba kubki, ale Yngvar złapał ją za rękę, gdy go mijala.

- To bez znaczenia. - Wyrwała mu się z przesadną gwałtownością. - I tak mordercy się nie udało.

- Inger Johanne - powiedział Yngvar, nie idąc za nią. Słyszał,

że wstawia kubki do zmywarki. - Okropnie trudno się z tobą dogadać.

- Na pewno.

- Kogo próbował zabić? - powtórzył Yngvar.

Zdumiony usłyszał chlupot zmywarki. Podciągnął rękaw i spojrzął na zegarek. Dochodziło pół do drugiej. Inger Johanne grzebała w szafkach i szufladach.

- Co ty robisz? - mruknął i podszedł do niej.

- Sprzątam - odparła krótko.

- O tej porze? - spytał. - Widzę, że zaczynasz się przyzwyczajać do mieszkania w willi.

- To jest bliźniak - odparła. - Nie zasługuje na określenie „willa”.

Szuflada z hukiem uderzyła o podłogę. Inger Johanne padła na kolana, próbując pozbierać rozsypane sztućce.

- To był ojciec rodziny - wyszłochąła. - W jego sprawie prowadzono śledztwo dotyczące oszustwa ubezpieczeniowego po pożarze domu. On... on podpalił dom policjanta. Dom śledczego. W czasie gdy cała rodzina spała.

- Chodź tutaj. - Yngvar złapał ją za ramię zdecydowanie i przyjaźnie, próbował podciągnąć do góry. Opierała się. - Tego domu nikt nie podpali - oświadczył. - Nikt nigdy nie podpali naszego domu.

Od stuleci ludzie wydeptywali te wąskie uliczki między niskimi krzywymi domkami tulącymi się jeden do drugiego. Schody wiły się w wąskich zaułkach. Stopy uderzały o te same kamienne stopnie, w tym samym miejscu rok po roku, pozostawiając wypolerowaną na gładko ścieżkę, której wielokrotnie dotykała, przykucając. Lśniące zagłębienia wydawały się chłodne. Podnosiła palce do ust i czuła słone ukłucie na języku.

Oparła się o mur wychodzący na południe. Morze stopiło się z niebem w szaroniebieskiej mgle. Horyzont zniknął, była tylko pozbawiona perspektywy nieskończoność, od której kręciło się w głowie. Nawet tu, na szczycie góry, nie wiało, ale panowała nieprzyjemna wilgoć. Na ulicach nie było nikogo.

Latem w średniowiecznym miasteczku Eze musiało być nieznośnie. Mimo okien zasłoniętych na zimę okiennicami i zamkniętych, odpychających drzwi sklepów ślady po letnich turystach pozostawały wyraźne. Sklepiki z pamiątkami tłoczyły się obok siebie, a na maleńkich podwóreczkach otwierających się w paru miejscach w środku miasta dostrzegła blizny po szurających krzesłach i niedopałkach gaszonych na bruku. Kiedy szła sama wzdłuż muru od strony morza, wyobrażała sobie gwar czyniony przez hordy letnich gości, gęganie Japończyków i szwargotanie Niemców o czerwonych twarzach.

Stała się wędrowniczką. Na serio. Z czasem zaczęła odnajdywać ścieżki, unikać śmiertelnie niebezpiecznych głównych dróg bez chodników, ze stale dudniącym ruchem samochodów.

Nowa budrysówka była ciepła i niezbyt obcisła. Kupiła ją w Nicei, razem z trzema parami spodni, czterema swetrami, naręczem koszul i kostiumem, na którego włożenie może zabraknąć jej odwagi. Gdy przyjechała do Francji tuż przed Bożym Narodzeniem, miała ze sobą dwie pary butów. Teraz

leżały w śmietniku na końcu ulicy. Wczoraj wieczorem wepchnęła je do torby plastikowej i wrzuciła do kontenera, chociaż jedna para, brązowa i solidna, rozsądne obuwie, najbardziej odpowiednie dla kobiety w średnim wieku, miała zaledwie pół roku.

Budrysówka była beżowa, a buty firmy Camper wygodne. Sprzedawca w sklepie nawet nie mrugnął okiem ze zdziwienia, gdy postanowiła je przymierzyć. Obok niej na jaskrawożółtym pufie siedział osiemnastoletni chłopak i mierzył identyczne. Pochwyciwszy jej spojrzenie, uśmiechnął się życzliwie. Z uznaniem pokiwał głową. Oboje kupili po parze. Buty dobrze układały się na stopach.

Wędrowała.

Przy chodzeniu łatwiej się myśli. Właśnie podczas długich wędrówek wzdłuż morza, w górach i po stromych wzgórzach między Niceą a Cap d'Ail najbardziej czuła, że żyje. Zwykle wieczorem po powrocie do domu odczuwała zmęczenie w mięśniach cudownie przypominające jej o własnej sile. Czasami chodziła po domu naga, by w odbiciach w szybie uzyskiwać potwierdzenie zachodzących w niej zmian. Piła wino, ale nigdy dużo. Jedzenie jej smakowało, bez względu na to, czy przyrządzała je sama, czy zaglądała do restauracji, w której już ją znano. I zawsze poznawano. Uprzejmi kelnerzy odsuwali dla niej krzesło i pamiętali, że przed posiłkiem chętnie pije szampana.

W ostatnich dniach czuła wdzięczność.

Przyjechała tu z Kopenhagi, gdzie samochód stał na anonimowym parkingu, gdy ona popłynęła promem do Oslo i z powrotem. Przespawszy jedną noc w hotelu, miała siłę na spędzenie trzydziestu pięciu godzin za kierownicą i nawet nie była naprawdę zmęczona. Podczas krótkich przerw, pospiesznych zjazdów z głównej drogi, żeby nabrać paliwa czy zjeść coś w jakiejś niemieckiej wiosce nad Renem, czuła wprawdzie sztywność mięśni i stawów, ale snu nie potrzebowała.

Oddała samochód kelnerowi z Cafe de la Paix, Marokańczykowi. Dobrze mu zapłaciła za fatygę wynajęcia auta na jego

nazwisko. Może nie do końca uwierzył w jej tłumaczenie, że mocno się przeziębila, a potrzebuje samochodu i chce sobie oszczędzić wyjazdu do Nicei. Ponieważ jednak kelner zamierzał wracać do Maroka, do nowej restauracji otwartej przez ojca, przyjął pieniądze z uśmiechem i bez zbędnych pytań.

Wróciła do domu piechotą. Zasnęła, gdy tylko się położyła w chłodnej pościeli. Spała jedenaście godzin bez żadnych snów.

Przez tyle lat dokładnie planowała, starannie sprawdzała i przeprowadzała sumienny *research*, ale nie dostrzegала w swojej pracy żadnej innej radości oprócz właśnie tej, że to jej praca. Konieczna do wykonania roboty, za którą jej płacono. Sprawnie wypełniała obowiązki i nigdy jej na niczym nie przyłapano. Nikt nie mógł jej zarzucić, że się pomyliła, czegoś zaniedbała, że potraktowała zbyt lekko lub przeskoczyła przez płot w najniższym miejscu.

Mimo wszystko była wdzięczna za te lata bez życia.

One dały jej umiejętności i wiedzę.

Pamiętała dostatecznie dużo, chociaż kartoteka została w Norwegii. Wielka stalowa szafa zawierała informacje o ludziach, których wybrała. Znanych i nieznanym. Gwiazd i celebrytów, a także listonosza z Otta, który zapychał jej skrzynkę pocztową reklamami, mimo wyraźnego oznakowania, że sobie tego nie życzy. Rejestrowała słabości i zwyczaje ludzi. Obserwowała ich żądze i potrzeby, zamykała ich życie miłosne, tajemnice i wzory postępowania w teczkach, które chowała w wielkiej szarej metalowej szafie.

Niczego nie zaniedbywała. Tajemnicą jej profesji była wiedza. Pamięć nigdy jej nie zawiodła.

Nie zmarnowała tych martwych lat. Teraz była za nie wdzięczna. Potrafiła po omacku złożyć karabin AG-3 i w trzydzieści sekund uruchomić samochód bez kluczyka. Mniej niż tydzień zajęłoby jej zdobycie fałszywego paszportu. O skandynawskim rynku heroiny wiedziała tyle, że każdy policjant z uznaniem kiwałby głową. Znała ludzi, których nikt inny nie chciałby znać, znała ich dobrze, ale żaden z nich nie znalazł jej.

Zrobiło się chłodniej. Zdradliwy wiatr krążył po wzgórzach,

rozdmuchując mgłę nad morzem. Pospiesznie zaczęła schodzić ścieżką w dół. Było za zimno na powrót piechotą aż do domu. Gdyby autobus przyjechał według rozkładu, mógłby ją zabrać. Jeśli nie, stać ją było na taksówkę.

Ostatnio wydawała więcej pieniędzy.

Na północnej stronie nieba pojawił się kolorowy punkt. Człowiek kołysał się rytmicznie z boku na bok pod pomarańczową parolotnią. Nad wzgórzem ukazała się jeszcze jedna czasza, czerwono-żółta z zielonym, niemożliwym do odczytania napisem. Nagła turbulencja wprawiła ją w łopot. Paralotnia spadła jakieś pięćdziesiąt metrów w dół, zanim lotniarz odzyskał nad nią panowanie i wolno spłynął w dolinę.

Obserwowała go, śmiejąc się cicho.

Im się wydawało, że rzucają wyzwanie losowi.

Sporty ekstremalne ją śmieszyły, ci, którzy je uprawiali, wydawali jej się żałośni. Oczywiście nie każdemu dane jest emocjonujące życie. Przeciwnie, większość z sześciu miliardów ludzi na Ziemi, przeważająca większość mieszkańców Europy i niemal cała ludność Norwegii wie, że życie pozbawione ekscytujących wydarzeń. Skoro walka o przetrwanie polega na zdobywaniu dostatecznej ilości pożywienia, zapewnieniu zdrowia dzieciom, znajdowaniu lepszej pracy albo kupowaniu najnowszego modelu samochodu, życie staje się trywialne. To, że zblazowana młodzież uznaje za konieczne rzucać wyzwanie śmierci, skacząc w przepaść ze stromych górskich ścian, jest wyrazem zachodniej dekadencji, którą zawsze pogardzała.

Wstręt.

Oni cierpieli na wstręt do życia, ponieważ uważali, że zasłużyli na coś innego, lepszego, na coś więcej niż to, czym było życie dla zdecydowanej większości: nieznacznym kawałeczkiem czasu między narodzinami a śmiercią.

Im się zdaje, że zdołają uciec od bezsensu istnienia, pomyślała. Że uda im się to, kiedy skoczą ze Ściany Trolli z kawałkiem płótna, na którym nie można polegać. Kiedy pójdą na biegun. Wespną się na niezdobytą górę. Chcą wyżej, dalej i zuchwalej. Nie dostrzegają nudy, która stale ich prześladowuje. Nie widzą jej, dopóki nie wylądują, dopóki nie dotrą

bezpiecznie do domu. Później powtarzają swój wyczyn, robią coś innego, coraz bardziej niebezpiecznego, coraz śmielszego. Albo spotykają śmierć podczas próby udowodnienia, że będzie inaczej.

Paralotniarze dotarli już prawie na sam dół, szykowali się do lądowania na zboczu pokrytym długimi rzędami poprzycinanych krzewów winorośli. Wydawało jej się, że słyszy ich śmiech. Oczywiście to tylko przywidzenie, wiatr wiał w drugą stronę, a do dna doliny było daleko. Mimo to widziała, jak skoczkowie poklepują się po plecach i podskakują zachwyceni. Na pocięte tarasami zbocze wbiegały dwie kobiety. Uszczęśliwione wymachiwały rękami.

Ona czuła obrzydzenie na myśl o takiej zabawie ze śmiercią.

Paralotniarze ryzykowali tylko życie.

Śmierć była jedynie przyjemnym końcem nudy. Poza tym gwarantowała sławę, ponieważ językiem nekrologów składa się hołd, a nie mówi prawdy. W razie śmierci w młodym wieku życie nie zdąży zadrzeć cię starością i brzydotą, otyłością czy wychudzeniem. Ktoś, kto nie dożywa starości, pozostawia upiękzoną, ubarwioną opowieść, w której to, co żalosne, zmienia się w emocjonujące, a to, co brzydkie, w piękne.

Vegard Krogh, pomyślała i ugryzła się w język.

Nie miała ochoty więcej o nim czytać. Artykuły były kłamliwe. Dziennikarze i znajomi, przyjaciele i rodzina, wszyscy przyczyniali się do namalowania portretu wielkiego artysty. Bezkompromisowego i nieugiętego wojownika o szczerść i prawdę. Barwnej duszy, niezłomnego żołnierza w służbie ważnej i nieprzekupnej kultury.

Zakłęła głośno i pobiegła lekkim truchtem. Autobus już mrugał, chcąc zjechać z przystanku przy głównej szosie, ale zatrzymał się dla niej. Zapłaciła i ciężko usiadła na wolnym miejscu.

Wkrótce wróci do Norwegii na dobre.

W każdym razie będzie się musiała wyprowadzić z domu w Villefranche. Kontrakt został przedłużony do pierwszego marca, nie dłużej. Za niespełna tydzień stanie się bezdomna. Chyba że wróci do domu.

Wyobraziła sobie swoje mieszkanie, gustownie urządzone i za duże dla jednej osoby. Jedynie stalowa szafa w sypialni ła-mała miękki styl, który skopiowała z magazynu wnętrzarskiego. Większość mebli kupiła w Ikei, ale trafiła też na kilka bardziej ekskluzywnych przedmiotów na wyprzedaży.

Nie pasowała do swojego mieszkania.

Rzadko przyjmowała gości, więc nie potrzebowała tyle miejsca. Przesiadywała głównie w zabałaganionym gabinecie, toteż z urody mieszkania miała niewiele przyjemności. Właściwie nigdy nie czuła się tam u siebie, raczej jak w hotelu. Podczas swoich licznych podróży po Europie często przebywała w hotelowych pokojach, które wydawały się bardziej osobiste, przytulniejsze i wygodniejsze niż jej własny salon.

W ogóle nie pasowała do Norwegii. Norwegia nie była dla takich jak ona. Dusiły ją te wielkie idee egalitaryzmu. Czuła się odepchnięta przez wąską, zamkniętą elitę. Norwegia nie była dostatecznie duża dla ludzi jej formatu. Nie traktowano jej tak, jak na to zasługiwała, dlatego postanowiła się schronić pod anonimowym płaszczem niedostępności. Niewidzialności. Oni nie chcieli jej widzieć, więc ona również nie chciała się im pokazywać.

Autobus sunął na zachód. Amortyzatory były francuskie, za miękkie. Musiała zamknąć oczy, żeby nie dostać mdłości.

Podejmowanie śmiertelnego ryzyka nie było żadnym bohaterским czynem. Niebezpieczeństwa, na jakie narażali się wspinacze i akrobaci powietrzni czy wioślarze przemierzający Atlantyk jednoosobową łodzią lub motocykliści wykonujący na złamanie karku popisy przed publicznością, która w zachwycie czekała na katastrofę, ograniczały się do czasu trwania wyczynu. Trzy minuty albo osiem tygodni, minuta albo może rok.

Ona naprawdę ryzykowała życie. Napięcie związane z tym, że nigdy nie wyląduje, nigdy nie dotrze do celu, czyniło z niej osobę wyjątkową. Ryzyko narastało z dnia na dzień, i tego chciała. Towarzyszyło jej stale, intensywne i życiodajne - ryzyko wykrycia.

Oparta się czołem o szybę. Wieczór już się zbliżał. W dole

wzdłuż promenady zapłonęły latarnie. Asfalt pociemniał od lekkiego deszczu.

Nic nie wskazywało na to, by się zbliżali. Mimo śladów, które zostawiła, wyraźnego zaproszenia we wzorze, jaki wybrała, policja miotła się na oślep. To irytujące, ale gwarantuje dalszy ciąg. Pewnym minusem było to, że ta kobieta niedawno urodziła dziecko. Czas nie został optymalnie dobrany. Wiedziała o tym już wtedy, gdy wszystko się zaczęło. Ale nie nad każdym szczegółem mogła zapanować.

Wkrótce wróci do domu, znajdzie się bliżej.

Ryzyko wzrośnie.

Autobus się zatrzymał. Wysiadła. Deszcz już teraz lał. Całą drogę do domu przebyła biegiem. Był wtorkowy wieczór, dwudziesty czwarty lutego.

- Ktoś może za tym stać i manipulować - powiedział Yngvar Stubø i zaatakował kurczaka w sosie jogurtowym. - To jej ostatnia teoria. Ja nie bardzo wiem, co o tym sądzić. - Uśmiechnął się z pełnymi ustami.

-Jak to? - zdziwił się Sigmund Berli. - Ktoś miałby zmuszać innych do dokonywania zabójstw? Zwodzić ich? - Ułamał kawałek chlebka *nan* i sceptycznie mu się przyglądał. - To jakiś podpłomyk czy co?

-*Nan*. Spróbuj! Ta teoria wcale nie jest taka głupia. Moim zdaniem całkiem logiczna. W pewnym sensie. Jeśli przyjmiemy za pewnik, że Mats Bohus rzeczywiście zabił tylko Fionę Helle, to można założyć, że ktoś stoi za całością, że ktoś tym steruje. Ktoś, kto ma, można powiedzieć, nadrzędny motyw. Ale jednocześnie...

Sigmund żuł i żuł. Nie był w stanie przełknąć.

- Cholera jasna - szepnęła Yngvar, pochylając się nad stołem.

- Daj spokój. Hinduskie restauracje są w Norwegii od trzydziestu lat, a ty się zachowujesz, jakbyś jadł węża! To tylko chleb!

- Ten tam to nie jest Hindus - mruknął kolega, kiwając głową w stronę kelnera, mężczyzny w średnim wieku o wypięlegnowanych wąsach i ciepłym uśmiechu. - Ten gość to Pakistaniec.

Yngvar trzonkiem noża z hałasem uderzył w stół.

- Przestań! - syknął. - Wiele ci zawdzięczam, Sigmund, ale nie tyle, żeby wysłuchiwać takich bzdur. Tysiąc razy powtarzałem, trzymaj ten cholerny...

- Znaczący Pakistańczyk. Przepraszam. Ale to jest Pakistańczyk, nie Hindus. A mój żołądek nie trawi ostrych przypraw. - Skrzywił się z przesadą i dramatycznym gestem pomasaował brzuch.

- Zamówiłeś łagodne danie - mruknął Yngvar i dołożył sobie *raita*. -Jeśli twój żołądek tego nie toleruje, to znaczy, że nie

znosi też baraniny w kapuście. Jedz!

Sigmund na próbę nadział kawałek na widelec, zawahał się, wolno włożył do ust.

- Tylko że nie całkiem mi się to zgadza - wrócił do tematu Yngvar. - To takie jakby trochę... nienorweskie. Nieceuropejskie. Ktoś miałby wpaść na pomysł wykorzystywania nieszczęśliwych ludzi w roli pionków w wielkiej grze w zabójstwa?

- Teraz to ty przestań - powiedział Sigmund; przełknął i wziął jeszcze kawałek. - Nie ma już nic nienorweskiego. To znaczy pod względem kryminalnym. Sytuacja u nas nie jest lepsza niż gdzie indziej. I jest tak od wieków. To przez tych wszystkich...

- Zmitygował się, zastanowił i dokończył: - .. .Rosjan - dokończył.

- I tych cholernych bandytów z Bałkanów. Te chłopaki nie znają wstydu. Z oczu wychodzi im diabeł.

Mina Yngvara kazała mu podnieść ręce.

- Opisywanie rzeczywistości to nie rasizm - zaprotestował gwałtownie. - Ci ludzie są tacy sami jak my. Ta sama rasa i w ogóle, ale...

- Przestań! W tej sprawie nie ma żadnych cudzoziemców. Ofiarami są rdzenni Norwegowie, wszyscy blondyni. To samo dotyczy tego jednego nieszczęsnego sprawcy, którego znaleźliśmy. Zapomnij o Rosjanach, zapomnij przybyszach z Bałkanów, zapomnij o Hi... - Drgnął gwałtownie i złapał się za policzek. - Ugryzłem się - mruknął. - Boli.

Sigmund przysunął krzesło bliżej stołu. Położył sobie serwetkę na kolanach, sięgnął po nóż i widelec, jakby chciał zacząć posiłek od początku.

- Przyznaj, że z tym wykładem Inger Johanne to paskudna sprawa - podjął, niewzruszony połajanką Yngvara. - Trochę jak „Z Archiwum X”, pętla czasu i w ogóle. Co o tym myślisz?

- Niewiele - przyznał Yngvar.

- Ale co?

- Oczywiście w grę może wchodzić przypadek.

- Przypadek! - prychnął Sigmund. - Akurat! Trzyście lat

temu twoja żona siedzi na drugiej stronie kuli ziemskiej i słucha wykładu o naładowanych symbolami zabójstwach, a potem w Norwegii w roku 2004 pojawia się dokładnie ten sam sposób działania. Trzy razy. Niech cholera weźmie taki przypadek! Nie ma mowy o przypadku.

- No to może masz jakieś wyjaśnienie, skoro oglądasz „Z Archiwum X”?

- Już to zdjęli. Pod koniec zrobiło się dość absurdalne.

- Więc co o tym myślisz?

Yngvar nałożył sobie kolejną porcję z garnuszka. Chochelka była oblepiona ryżem. Potrząsnął - biała lepka gruda wpadła do sosu z pluskiem, na koszuli pojawiły się czerwone plamki.

- Mnie się wydaje, że gdzieś tam siedzi jakiś czort - odparł spokojnie Sigmund. - Czort, który słuchał tego samego wykładu. Wykład mu się spodobał i zaczął bawić się myślą, że może pograć z nami.

Yngvarowi ciarki przebiegły po plecach.

- Ach tak? - mruknął z namysłem, przestając jeść.

- Co jeszcze?

- Symbolika jest za mocna. W tych pierwotnych przypadkach sprawcy byli jakby prości, w każdym razie wniosując z tego, co do tej pory powiedziałeś. Idioci wybierają przesadną symbolikę. Ale nasz człowiek wcale nie jest idiotą. - Sigmund na widok uznania w zmrużonych oczach Yngvara i potakującego ruchu głowy uśmiechnął się jak dziecko. - Jeśli przyjmiemy - ciągnął - że Inger Johanne ma rację i istnieje ktoś, kto pociąga za sznurki, zmuszając innych do zabijania... - Zrosnięte brwi Sigmunda przedzieliła głęboka zmarszczka. - W dodatku do zrealizowania tego w bardzo szczególny sposób, to definitywnie nie mamy do czynienia z kimś ograniczonym. Przeciwnie.

Zapadła cisza. Byli teraz jedynymi gośćmi. Kelner zniknął na zapleczu, tylko z głośnika na przeciwległym krańcu sali dochodziła orientalna muzyka. Z wysiłkiem zgrzytała przy najwyższych tonach.

- O rany! - odezwał się wreszcie Yngvar i z uznaniem wniósł toast szklanką wody mineralnej. - Nieźle to podsumowałeś.

Ale jeśli mister X słyszał ten sam wykład, to musi chodzić o kogoś, kogo Inger Johanne zna z...

- Nie - przerwał mu Sigmund i jeszcze raz spróbował chleba.

- Wprawdzie sporo czasu minęło, odkąd się uczyłem w Wyższej Szkole Policyjnej, ale coś jeszcze pamiętam. Wykłady się powtarzały rok po roku. Wykładowcy tylko przewracają kartki. Pożyczałem notatki od kolegi, który był o rok wyżej ode mnie. Jak przez kalkę. Ten chleb jest całkiem niezły.

- Spróbuj *tandoori* - doradził Yngvar. - Zapominasz, że nie mamy tu do czynienia z byle jakim wykładowcą. Warren Scifford to legenda. On by nie...

- Pod tym względem dobrzy wykładowcy nie są ani o włos lepsi od słabych - przerwał mu Sigmund i wbił widelec w mięso.

- Powiedziałbym, że jest raczej odwrotnie. Jeżeli cykl wykładów okazuje się udany, nie ma powodów, by coś zmieniać. Studenci przychodzą i odchodzą, nauczyciele zostają. Zdołaliśmy skontaktować się z tym facetem?

- Z Warrenem? Nie. Jeśli nie masz ochoty na swoje jedzenie, to ja chętnie...

- Proszę bardzo. - Sigmund pchnął talerz przez stół.

- Po jedenastym września dwa tysiące jeden w FBI, łagodnie mówiąc, zmieniono priorytety - powiedział Yngvar. - Teraz najważniejszy jest antyterroryzm i cicho sza. Wcześniej wystarczyło wybrać numer i w ciągu trzydziestu sekund Warren był na linii. A dziś... - Wzruszył ramionami. - Obstawiam Irak - rzucił lekko.

- Irak? Przecież FBI ma ograniczony zasięg działania! Powinni się chyba trzymać własnego terytorium, Stanów.

-W zasadzie tak. W rzeczywistości... hm... Z kompetencjami Warrena... Przypuszczam, że jest im potrzebny w tym kotle czarownicy.

- A co on właściwie umie?

Yngvar roześmiał się głośno i wytarł usta nakrochmaloną płócienną serwetką.

- Spytaj raczej, czego nie umie. Przede wszystkim ma doktorat z socjologii. Poza tym jest prawnikiem. A

najważniejsze chyba, że od ponad trzydziestu lat jest związany z najlepszą organizacją policyjną na świecie. Gwiazda.

- I wyładował w Iraku.

- Nie wiem, czy w Iraku. Ale widząc, jak Amerykanom się tam wiedzie, nie zdziwiłbym się, gdyby oddelegowali tam wszystkich swoich najlepszych ludzi. Bez znaczenia, czy z FBI, czy skądinąd. Ale jeszcze nie zrezygnowałem z poszukiwań.

Wrócił kelner. Uprzejmie nie skomentował dwóch talerzy przed Yngvarem.

- Coś jeszcze do picia?

- Wody - powiedział Sigmund z kwaśną miną i oparł łokcie na stole.

- Owszem, poprosimy - uśmiechnął się Yngvar i pochwalił jedzenie. - Dla mnie mineralna, Farris, niebieski. - Językiem dotknął rany na policzku. - Boli - mruknął.

- Wierzysz w tę moją teorię? - spytał Sigmund. - W teorię Inger Johanne?

Yngvar nie odpowiedział wprost.

- Nie potrafię... sobie wyobrazić, jak miałyby być możliwe manipulowanie ludźmi w taki sposób. Ale z drugiej strony...

Kelner nalał wody do szklanek i znów zniknął.

- Może po prostu nie mam odwagi - przyznał Yngvar. - Bo gdybyście mieli rację, oznaczałoby to, że śledztwo będzie jeszcze trudniejsze, ponieważ ten, który ewentualnie za wszystkim stoi, wcale nie musiałby mieć żadnych widocznych związków z ofiarami, jedynie ze sprawcami. A do tej pory spośród nich jest dostępny tylko jeden.

- Bełkoczący szaleniec w domu wariatów - westchnął Sigmund. Uniesiony widelec Yngvara kazał mu szybko się poprawić:

- To znaczy umyślowo chory przebywający w szpitalu. Jak uważasz, co powinniśmy zrobić? Pracować nad tą teorią?

- W każdym razie warto ją wziąć pod uwagę. Ponieważ i tak musimy dalej poszukiwać związków między trzema ofiarami, dodatkowa praca nie będzie dramatyczna, jeśli włączymy do tego jeszcze Matsa Bohusa.

- Co? Teraz nie bardzo już rozumiem. Przecież on nie został

zabity, jest...

- On jest jedynym, co mamy, jeśli ty i Inger Johanne macie choć trochę racji. Będziemy dalej szukać powiązań między Fioną Helle, Vibeke Heinerback i Vegardem Kroghem, i jednocześnie sprawdzać, czy nie ma jakichś ukrytych związków między Matsem Bohusem a dwiema ostatnimi ofiarami. *Long shot*, ale spróbujmy. Problem w tym, że z Matsem Bohusem nie da się już rozmawiać, kompletnie odjechał. Ostatnie przesłuchanie w sobotę to było dla niego już za dużo. Doktor Bonheur miał rację. A teraz musimy za to płacić. Facet jest na oddziale zamkniętym. Nie będzie łatwo ustalić, z kim miał kontakt, że tak powiem. - Sięgnął po ostatni kawałek chleba i wsunął go do ust. - No, najadłem się - mruknął.

- Idziemy?

- Może kawa? - zasugerował Sigmund.

- Przed tym ostrzegam. Tutejsza kawa nie jest akurat...

Zadzwoniła komórka. Yngvar wyjął telefon, dając jednocześnie znak kelnerowi, że prosi o rachunek.

- Stubø - powiedział krótko.

Póltorej minuty później się rozłączył, nie powiedziawszy nic oprócz „tak” i „aha”. Wyglądał na naprawdę zmartwionego. Powieki miał cięższe niż zazwyczaj, a usta wykrzywione w grymasie zmęczenia.

- Co się stało? - spytał Sigmund.

Yngvar zapłacił i wstał.

- Co jest, do cholery? - powtórzył głośno zniecierpliwiony Sigmund, gdy wyszli na Arendalsgata, którą hałaśliwie przejeżdżał autobus.

- Trond Arnesen kłamał - powiedział Yngvar, kierując się ku Zakładom Mechanicznym Myrens, bo tam przed starymi budynkami fabrycznymi zaparkowali samochód.

- Co?! - krzyknął Sigmund, podbiegając obok niego.

Na czerwonym świetle stała ciężarówka, hałas ogłuszał.

- Trond Arnesen nie jest tak niewinny, jak sądziłem! - wrzasnął Yngvar. - Miał romans na boku.

Światło zmieniło się na zielone, tir ruszył i pojechał gdzieś w

stronę Torshov.

-Co?

- Z mężczyzną. - Yngvar przebiegł na drugą stronę ulicy.

- Z młodym chłopakiem.

- Zawsze to powtarzałem. - Sigmund wyciągał nogi, żeby dotrzymać kroku koledze. - Pedalom nigdy nie można ufać.

Yngvar nie miał siły zareagować.

Do tej pory niezłomnie wierzył w niewinność Tronda Arnesena.

*

Inger Johanne obudziły kroki na schodach. Była sparaliżowana lękiem. Ragnhild spała przy jej lewej piersi. Na zewnątrz wciąż było jasno, musiał być dzień, popołudnie. Kroki się zbliżyły.

- Spałaś? To dobrze.

Do kanapy podeszła uśmiechnięta matka.

- Mamo! - jęknęła Inger Johanne. - Przestraszyłaś mnie. Nie możesz tak po prostu...

- Owszem, mogę - odparła matka zdecydowanie. - Pozwoliłam sobie skorzystać z zapasowego klucza, który nam zostawiliście. Szczerze mówiąc, trochę się bałam, że nie otworzysz, gdybym zadzwoniła, a ty byś wyjrzała przez okno w kuchni i zobaczyła, że to ja.

- Oczywiście, że bym...

Inger Johanne dźwignęła się z kanapy, starając się nie obudzić Ragnhild.

- Nie, nie, kochana. Na pewno byś nie otworzyła. Długo spałaś?

Inger Johanne zerknęła na zegarek.

- Dwanaście minut. - Ziewnęła. - Dlaczego tu jesteś?

- Spokojnie - powiedziała matka i wyszła do kuchni.

Zaczęła myszkować po szafkach i szufladach, drzwiczki lodówki

otworzyły się i zamknęły. Inger Johanne usłyszała pbrzękiwanie butelek i głuchy ssący odgłos otwieranej zamrażarki. Z trudem wstała.

- Co robisz? - spytała ze złością.

- Pakuję - odparła matka.

- Pakujesz...?

- Dobrze, że masz tyle własnego mleka w zapasie. O tak...

Zręcznymi palcami owijała w gazety kolejne zamrożone butelki.

- Co ty wyprawiasz, mammo?

- Bądź grzeczną córeczką i przygotuj trochę ubranek. Śpiochy, pieluchy. Pieluchy zresztą nie, twój ojciec już kupił. Libero, prawda? Spakuj to wszystko w jakąś niedużą torbę. I nie zapomnij dołożyć ze dwa smoczki.

Inger Johanne spróbowała inaczej przytrzymać córkę. Dziecko otworzyło oczy i zapłakało.

- Nie zabierzesz stąd Ragnhild, mammo.

- Ależ oczywiście, że zabiorę.

Matka już upychała dobrze zabezpieczone butelki w miękkiej torbie termoizolacyjnej z logo Coca-Coli.

- Nie ma mowy.

Matka gniewnie zaciągnęła zamek błyskawiczny i odstawiła torbę na kuchenny stół. Potem przyglądała palcami siwe włosy, nim pochwyciła wzrok córki i oświadczyła:

- O tym w tej chwili decyduję ja.

- Nie możesz...

- Milcz.

Głos był ostry, ale cichy. Ragnhild nie zareagowała.

-Wiem, że uważasz mnie za beznadziejną, Inger Johanne. Nigdy nie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami na świecie. Ale jestem twoją matką i wcale nie jestem taka głupia, za jaką mnie masz. Podczas obiadu w niedzielę widziałam, że jesteś śmiertelnie zmęczona. I zauważyłam coś, co odczytałam wyłącznie jako... strach.

Inger Johanne nabrała powietrza, żeby zaprotestować.

- Cicho bądź - warknęła matka. - Wcale nie mam zamiaru pytać, czego tak się boisz. I tak nigdy byś mi nie powiedziała. Ale mogę ci przynajmniej pomóc w taki sposób, żebyś się wyspała. Zabiorę teraz moją wnuczkę do siebie, a ty pójdziesz się położyć. Godzina jest...

- Spojrzała na zegar na ścianie. - Pół do trzeciej. Poprosiłam

Isaka, żeby odebrał Kristiane ze szkoły. Yngvar mówi, że będzie pracował do późnego wieczoru. Przenocuje u nas, żeby ci nie przeszkadzać. A ty ... - Wyciągnięty w stronę Inger Johanne palec zadrżał. - Ty pójdziesz spać. Nie jesteś na tyle głupia, by nie zrozumieć, że Ragnhild u mnie, u nas, będzie w najlepszych rękach. Możesz spać do woli. Możesz nawet przez całą noc czytać książkę, jeśli tego ci potrzeba, żebyś się lepiej poczuła. Ale wydaje mi się... Moja kochana.

Inger Johanne ukryła twarz w zawiniątku z dzieckiem. Poczowała miękki zapach czystości i zaszlochała. Matka pogładziła ją po włosach i delikatnie wyjęła Ragnhild z jej objęć.

- No widzisz. Jesteś przemęczona. Połóż się. Sama znajdę wszystko, czego potrzebuję.

- Mogę... Ty nie możesz...

- Wychowałam dwoje dzieci. Ukończyłam szkołę dla gospodyń domowych. Całe życie zajmowałam się domem. Potrafię się zaopiekować niemowlęciem przez jedną czy dwie noce.

Obcasy zastukały po parkiecie, kiedy matka zdecydowanym krokiem ruszyła do pokoju dzieciennego. Inger Johanne chciała za nią pobiec, ale nie miała siły.

Sen. Wiele, wiele godzin snu.

Mało brakowało, a osunęłyby się na podłogę. Sięgnęła po otwartą butelkę z wodą stojącą na blacie, napiła się. Podreptała do sypialni. Ledwie wystarczyło jej sił, żeby zrzucić ubranie. Pościel wydawała się chłodna i przyjemna. W pokoju było trochę zimno. Pod kołdrą ciepło. Przez kilka minut wsłuchiwała się w ściszone szczebiotanie matki do wnuczki. Kroki raz w jedną, raz w drugą stronę. Do łazienki, z powrotem do kuchni, do pokoju Ragnhild.

- Maść - mruknęła Inger Johanne. - Nie zapomnij o maści na pupę.

I już spała. Obudziła się dopiero po szesnastu godzinach.

*

-Ja nie jestem taki - powtarzał z rozpaczą Trond Arnesen.

- Naprawdę wcale nie jestem taki.

Na stole między nim a komisarzem Yngvarem Stubø leżało pięć ładnych kopert obwiązanych starą gumką do włosów. Wszystkie zaadresowano do Ulrika Gjemselunda, prostymi drukowanymi literami, takimi samymi jak te, które widniały na pierwszej stronie terminarza leżącego obok pliku listów.

- Trond Arnesen - przeczytał Yngvar Stubø i palcem wskazującym postukał w kartkę. - Masz charakterystyczne pismo. Chyba możemy ustalić, że niepotrzebna nam żadna analiza grafologiczna, prawda? Leworęczny?

- Ja naprawdę nie jestem taki! Musi pan uwierzyć w to, co mówię!

Yngvar zakolysał się na krześle. Złożył ręce na karku. Kciukami pogładzi! tworzące się tam wałeczki. Króciutko obcięte włosy zaszorowały o palce. Rytmicznie uderzał oparciem krzesła o ścianę. Przyglądał się chłopakowi, nic nie mówiąc. Minę miał zwyczajną, neutralną, jakby na kogoś albo na coś czekał i się nudził.

- Musi mi pan uwierzyć - upierał się Trond. - Nigdy nie byłem z... z żadnym innym chłopakiem. Słowo honoru. A tamtego wieczoru to był absolutnie ostatni raz. Przecież miałem się żenić i...

Wielkie łzy spłynęły mu po twarzy. Z jednej dziurki nosa też pociekło. Wymarł go rękawem, ale nie był w stanie opanować płaczu. Szlochał jak dziecko. Yngvar dalej się kołysał, krzesło stukalo. Tam-tam-tam.

- Niech pan przestanie - powiedział Trond. - Proszę.

Yngvar dalej się kołysał. Wciąż milczał.

- Okropnie się upiłem - wyznał Trond. - Już o dziewiątej byłem kompletnie pijany. Od dawna nie widziałem Ulrika, więc... tak około pół do jedenastej postanowiłem trochę się przewietrzyć. Wszedłem z pubu, żeby przejaśniło mi się w głowie. A Huitfeldts gate nie było daleko. I...

Krzesło Yngvara z hukiem uderzyło o podłogę. Przestraszony młody człowiek drgnął. Przewrócił się plastikowy kubek z wodą, z którego przed chwilą pił. Policjant przyciągnął do siebie listy. Zdjął z nich gumkę, jeszcze raz przerzucił koperty, żadnej nie otwierając. Potem znów założył gumkę i całą

paczuszkę wsunął do szarej teczki na dokumenty. Trond nie poznawał tamtego życzliwego policjanta z wizji lokalnej. Trudno było wyczytać coś w jego oczach i prawie się nie odzywał.

- To było dość trudne - podjął Trond słabym głosem i zaszlochtał. - Ulrik jest... Mówi, że on... Właściwie zamierzałem o tym powiedzieć, chciałem mówić prawdę, ale kiedy dotarło do mnie, że uważacie, że cały wieczór spędziłem w pubie, nie bardzo rozumiałem dlaczego... Myślałem... - Nagle uniósł głowę. - Nie może pan czegoś powiedzieć?! - Gwałtownie pochylił się do przodu, opierając dłonie o blat. - Niechże pan coś powie!

- To ty masz mówić.

- Ale ja nie mam nic więcej do dodania! Naprawdę przepraszam, że nie powiedziałem o tym od razu, ale... Ja kochałem Vibeke. Strasznie za nią tęsknię. Mieliśmy się pobrać, a ja byłem taki... Pan mi nie wierzy!

- Akurat w tej chwili nieważne jest to, w co ja wierzę. - Yngvar pociągnął się za koniec ucha. - Ale bardzo mnie interesuje, jak długo cię nie było na tym wieczorze kawalerskim.

- Półtorej godziny, już mówiłem. Od pół do jedenastej do dwunastej. Do północy. Słowo honoru. Niech pan spyta innych. Niech pan spyta mojego brata.

- Kiedy pytaliśmy ich ostatnio, najwyraźniej się pomylili. Albo wszyscy kłamali. Przysięgali, że spędziłeś tam cały wieczór.

- Bo myśleli, że tam byłem. Boże, tam panował totalny chaos! A ja ich zostawiłem tylko na chwilę. Powiniennem być powiedzieć o tym od razu, ale było mi... głupio. Przecież miałem się żenić.

- O tym wiemy - stwierdził Yngvar twardo. - Wspominałeś już kilka razy.

- Zamierzałem o wszystkim powiedzieć - jęknął młody człowiek. - Tylko że to było takie... Pomyślałem...

- Pomyślałeś, że ci to ujdzie płazem. - rzekł Yngvar Stubbø dziwnie obcym głosem. - Prawda?

Wstał, założył ręce na plecy i wolnym krokiem zaczął krążyć

po pokoju. Trond się przygarbił, zgiął kark i opuścił ramiona, jakby bał się uderzenia.

- Interesujące. - Yngvar przybrał pozornie ojcowski ton, na poły życzliwy, na poły surowy. - Interesujące jest to, że właśnie powiedziałeś nam o czymś, czego nie wiedzieliśmy.

Chłopak przestał płakać. Wytarł nos i łyż końcem koszuli i przez moment wydawał się bardziej zdziwiony niż zrozpaczony.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział, patrząc policjantowi prosto w oczy. - Najwyraźniej rozmawialiście z Ulrikiem tamtego wieczoru...

- Mylisz się - zaprotestował Yngvar. - Ulrik nie chce z nami rozmawiać. Siedzi w celi na Gronland i trzyma gębę na kłódkę. W pewnym sensie ma prawo milczeć. Więc o tym, że nas okłamałeś co do swojego alibi, nie mieliśmy pojęcia. Dopiero teraz się dowiadujemy.

- W celi? Co on zrobił?

Yngvar zatrzymał się w odległości metra od młodego mężczyzny. Oparł prawy łokieć na lewej dłoni i w zamyśleniu gładził się po nosie.

- Aż taki głupi nie jesteś, Trond.

-Ja...

- Co: ty?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

- Tak? Chcesz więc, bym uwierzył, że byłeś z Ulrikiem w... w związku innym niż powierzchowna, że tak się wyrażę, znajomość? - Yngvar skinieniem głowy wskazał teczkę z dokumentami. Listy odrobinę z niej wystawały. Frond poczerwieniał. -I nie miałeś pojęcia o styczności Ulrika z zakazanymi substancjami? Z całym szacunkiem, ale trudno mi w to uwierzyć.

Trond przez moment wyglądał tak, jakby zobaczył samego diabła. Z rogami na głowie i płonącym ogonem. Oczy miał szeroko otwarte, z nosa znów zaczęło mu lecieć i nie próbował nawet go wycierać. Z ust wydobywały mu się niezrozumiałe jednosylabowe słowa. Yngvar zamyślony przygryzł kostkę dłoni; w żaden sposób nie próbował pomóc chłopakowi.

- Narkotyki - wydusił wreszcie z siebie Trond. - Nie miałem o

tym pojęcia. Słowo honoru!

- W mojej rodzinie jest dziewięcioletnia dziewczynka - powiedział Yngvar i znów zaczął krążyć po ciasnym pokoju przesłuchań, szurając długimi, posuwistymi krokami. - Ma godną pozazdroszczenia wyobraźnię. - Zatrzymał się i uśmiechnął. - Zmyśla przez cały czas. A ty dajesz słowo honoru częściej niż ona. To nie umacnia twojej wiarygodności.

- Poddaję się - mruknął Trond i wyglądało na to, że rzeczywiście tak myśli, bo osunął się na krzesło i powtórzył: - No to ja się, do cholery, poddaję. - Zwiesił ręce, rozsunął nogi, siedział jak niezgrabny nastolatek.

- Pewnie nie wiedziałeś też, że Ulrik się prostytuował - rzekł Yngvar spokojnie, nie spuszczać z oka ze zrezygnowanego chłopaka, by zarejestrować każde jego poruszenie.

Trond Arnesen dalej siedział z rozchyłonymi ustami i rozsuniętymi kolanami, rytmicznie poruszając zwieszonymi rękami.

- Był męską prostytutką z rodzaju tych bardziej ekskluzywnych

- dodał Yngvar. - Ale ty oczywiście o tym nie wiedziałeś. Bo ty zapewne nigdy mu nie płaciłeś.

Młody człowiek nawet teraz nie zareagował. Długo siedział nieruchomo. Rękami też przestał kołysać. Jedyne drganie powiek świadczyło o tym, że słowa do niego docierają. W pokoju słychać było tylko równy oddech Yngvara i cichutki szum wentylacji.

- Nie powinieneś był pisać tych listów - stwierdził Yngvar cicho i dobitnie. - Gdybyś ich nie napisał, wszystko byłoby teraz w porządku. Siedziałbyś u siebie, w swoim domu. Mógłbyś liczyć na współczucie wszystkich. Życie wcześniej czy później mogłoby się zacząć od nowa. Jesteś jeszcze młody. Za pół roku najgorsze by minęło i mógłbyś iść naprzód. Ale napisałeś te listy. Niezbyt mądrze, Trond.

Jestem teraz zły, pomyślał, sięgając do kieszonki na piersi po aluminiowe etui z cygarem. Karzę go za własne rozczarowanie. Czym jestem rozczarowany? Tym, że kłamał, że miał tajemnicę? Wszyscy kłamią. Wszyscy mają tajemnice. Nie ma

prostolinijnego życia bez wstydu, bez skaz i wad. Nie karzę go za niemoralność, bo na to zbyt wiele już widziałem i dostatecznie dużo rozumiem.

Jestem rozczarowany, bo zostałem oszukany. Wyjątkowo postanowiłem komuś uwierzyć. Pracuję wśród cudzych kłamstw, oszustw, malwersacji i zrad. A jednak w tym młodym chłopaku, w tym niedojrzałym mężczyźnie zobaczyłem jakąś naiwność, szczerłość. Ale się pomyliłem i za to go teraz chcę ukarać.

Powąchał cygaro. Rozkręcił etui i zaciągnął się zapachem.

Trond powoli podniósł się z krzesła. Oczy miał pełne łez. Z kącika ust sphywała delikatna strużka śliny. Ze szlochem wciągnął powietrze.

- Ja nigdy nie płaciłem. - Zakrył twarz dłońmi. - Nie wiedziałem, że brał pieniądze od innych. Nie wiedziałem, że miał innych... oprócz mnie.

Nie zdołał dłużej panować nad płaczem. Nie dawał się pocieszyć ani Yngvarowi, który z wahaniem położył mu dłoń na ramieniu, ani wzburzonej i śmiertelnie wystraszonej matce, którą wezwano pół godziny później, ani niezdarnym chłopięcym uściskom brata, który pomógł mu wyjść do samochodu.

- On jest od dawna pełnoletni - odparł Yngvar na pytania, którymi zasypała go matka. - To jego musi pani spytać, o co chodzi.

-Ale... Niech mi pan powie... Czy to on...

- Trond nie zabił Vibeke. O to może pani być spokojna. Ale nie jest mu teraz dobrze. Proszę się nim zaopiekować.

Stał na parkingu jeszcze długo po tym, jak zniknęły czerwone tylne światła samochodu Barda Arnesena. W czasie gdy stał tam bez kurtki, temperatura spadła o stopień albo dwa. Zaczął padać śnieg. Yngvar nie ruszał się z miejsca, nie odpowiadał na pozdrowienia ludzi wychodzących z budynku, tylko kiwał im głową, gdy trzęsąc się z zimna, wsiadali do samochodów, żeby pojechać do swoich rodzin, do własnego nieszczerzego życia.

W chwilach takich jak ta przypominał sobie, dlaczego namiętność, którą kiedyś odczuwał do tej pracy, została zredukowana

do stłumionego i pojawiającego się tylko od czasu do czasu poczucia zadowolenia. Wciąż uważał to, co robi, za ważne. Wciąż znajdował w pracy codzienne wyzwania. Odcinał kupony od wielkiego doświadczenia i wiedział, że jest ono cenne. Również jego intuicja z upływem lat się wzmacniała. Był staroświeckim wojownikiem o słuszną sprawę i wiedział, że nigdy nie mógłby być nikim innym niż policjantem. A jednak po rozwiązaniu sprawy nie czuł już triumfu czy oszałamiającej radości, jak działo się kiedyś, gdy był młodszy.

Z wiekiem coraz trudniej przychodziło mu znosić świadomość zniszczeń dokonujących się podczas każdego śledztwa. Grzebał w ludzkim życiu, stawiał ludzkie losy na głowie. Odkrywał tajemnice, wyciągał z szuflad i zapomnianych szaf mroczne strony ich istnienia.

Latem przyszedł roku miał skończyć pięćdziesiąt lat. Dwadzieścia osiem z nich przepracował jako policjant. Wiedział, że Trond Arnesen jest niewinny w sprawie zabójstwa narzeczonej. W ciągu tych lat spotkał wielu takich Trondów Arnesenów, słabych, zakłamanych zwykłych ludzi, na których nieszczęśliwy przypadek nakierował reflektory i rozświetlił mroczne kąty ich życia.

Trond Arnesen kłamał, gdy się poczuł zagrożony, i unikał odpowiedzi, kiedy sądził, że to mu się opłaci. Zachowywał się jak większość ludzi.

Śnieg padał coraz gęściej, temperatura stale się obniżała.

Yngvar dalej stał, czując, jak przyjemnie być bez czapki, w cienkim ubraniu na otwartym placu w niepogodę. Jak dobrze jest marznąć.

*

Kari Mundal, była pierwsza dama partii, jak zwykle przez chwilę przyglądała się fasadzie, zanim weszła na górę po kamiennych schodach. Była dumna z siedziby partii. W przeciwieństwie do męża, który uważał, że stanie się znienawidzonym przez wszystkich dziadkiem, jeśli nie będzie trzymać się z daleka, pani Mundal zaglądała tu kilka razy w tygodniu. Z reguły przychodziła bez konkretnej sprawy, czasami wręcz wyłącznie po to, by odstawić torby podczas

częstych i bardzo długich wypadów na zakupy do centrum Oslo. I zawsze stawała na kilka sekund, by napawać się widokiem świeżo odnowionego budynku. Radowały ją wszystkie szczegóły, gzymsy biegnące wzdłuż każdego piętra, figury świętych umieszczone w niszach nad oknami. Wyjątkową sympatią darzyła Jana Chrzciciela, który stał najbliżej drzwi i zerkał na nią, trzymając w objęciach jagnię, do złudzenia przypominające żywe zwierzę. Schody były ciemne i szerokie. Głęboko nabrała powietrza, kładąc rękę na klamce, w końcu otworzyła drzwi i weszła do środka.

- To ja - zaszcebiotała. - Wróciłam!

Recepcjonistka się uśmiechnęła. Uniosła się z za wysokiego kontuaru i z uznaniem pokiwała głową.

- Prześliczne - powiedziała. - Ale czy powinnaś je nosić w taką pogodę?

Kari Mundal obejrzała swoje nowe kozaczki, zalotnie wysunęła jedną stopę, poruszyła kostką i lekko cmoknęła językiem.

- Na pewno nie. Ale są naprawdę ładne. Tak późno, a ty jeszcze tu siedzisz, moja droga? Powinnaś wracać do domu.

- Tyle dzisiaj spotkań - odparła kobieta, wysoka i ciężka, w nie-twarzowych okularach. - Pomyślałam, że lepiej zostać tu jeszcze przez jakiś czas. Ludzie wpadają i wypadają, nie uważają na zamykanie drzwi. Kiedy ja tu jestem, to nie takie groźne.

- Jesteś pracowita jak mrówka - stwierdziła Kari Mundal. - Ale na mnie nie czekaj, dobrze? Mogę się zasiedzieć. Gdyby ktoś mnie szukał, to jestem w żółtym pokoju. - Nachyliła się nad kontuarem i dodała konspiracyjnym szeptem: - Lecz wolałabym, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Z rękami pełnymi toreb z zakupami podreptała po spiralnym wzorze podłogi. Jak zawsze zerknęła na złotą tabliczkę z hasłem partii i uśmiechnęła się ciepło, zanim skierowała się do windy.

- Znalazłaś wszystko, o co prosiłam? - spytała nagle, odwracając się jeszcze raz w stronę recepcji.

- Tak. Wszystko powinno tam być. Załączone rachunki i cała reszta. Hege z księgowości będzie dzisiaj siedzieć do późna,

możesz więc do niej zajrzeć. Nikomu innemu nic nie mówiłam.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Kari Mundal. - Prawdziwy z ciebie skarb.

Na szerokim podeście piętra z widokiem na foyer, gdzie żyrandol zalewał salę łagodnym żółtym światłem, od kilku minut stał Rudolf Fjord. Teraz po cichu cofnął się pod ścianę przy imponującej palmie koło drzwi do swojego gabinetu. Strach, nad którym zdołał zapanować i który został pogrzebany w dniu, gdy otrzymał jednogłośnie wyraz zaufania partii, znów się rozpałił, chociaż Rudolf Fjord modlił się codziennie, by nigdy więcej już go nie nachodził.

- Ogromnie sobie cenię twoją dyskrecję - usłyszał jeszcze wołanie Kari Mundal, zanim kliknięcie i ledwie słyszalny szum powiedziały mu, że winda jedzie na górę.

*

Wdowa po Vegardzie Kroghu otworzyła drzwi i uśmiechnęła się z przymusem. Yngvar Stubø telefonicznie uprzedził ją o swojej wizycie i zwrócił uwagę na jej wyjątkowo przyjemny głos. Wyobrażał sobie ciemnowłosą kobietę, wysoką, może z dużymi ustami i powolnymi ruchami. Okazała się drobną blondynką. Sztywne włosy miała związane w dwa smutne mysie ogonki. Sweterek wygląda! na wyjęty z kapsuły czasu z lat siedemdziesiątych, brązowy w pomarańczowe paski, ze sznurowaniem przy dekolcie.

- Miło, że zgodziła się pani mnie przyjąć - powiedział Yngvar i podał jej płaszcz.

Przeszła przodem do salonu i wskazała mu miejsce na jasnej poplamionej kanapie. Yngvar przesunął poduszkę, podniósł jakąś książkę i usiadł. Jego spojrzenie obiegło pokój. Półki były chaotycznie wypełnione. Z gazetnika się wysypywało. Zauważył dwa egzemplarze „Information” i podarty numer „Le Monde Diplomatique”. Szklany stolik między kanapą i dwoma różnymi fotelami był brudny a kieliszek z zaschniętą resztką czerwonego wina stał niepewnie na szczycie stosu magazynów, których tytułu nie rozpoznał.

- Przepraszam za bałagan - powiedziała Elsbeth Davidsen.

- Ostatnio nie miałam energii do sprzątanía.

Głos naprawdę do niej nie pasował. Był głęboki i melodyjny, mysie ogonki wyglądały przy nim jak żart. Twarz miała nieumalowaną, a oczy najbardziej niebieskie, jakie Yngvar widział w życiu. Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Uważam, że tu przyjemnie - mówił naprawdę szczerze.

- Czyje to? - Wskazał litografię nad kanapą.

- Inger Sitter - mruknęła. - Czy mogę coś panu zaproponować? Niewiele mam w domu, ale... może kawy? Herbaty?

- Chętnie napiłbym się kawy. Jeśli to nie za duży kłopot.

- Nie, nie, pół godziny temu zaparzyłam, mam pełny termos. Wyszła z pokoju.

- Używa pan mleka albo cukru? - usłyszał wołanie z kuchni.

- I jednego, i drugiego. - Roześmiał się. - Ale żona mi nie pozwala, więc piję czarną.

Kiedy wróciła, zauważył, że pod niechlujnym ubraniem ma wspaniałą figurę. Dżinsom przydałoby się pranie, a kaptcie musiały kiedyś należeć do Vegarda, ale talię miała wąską, szyję długą i szczupłą. Stawiając kubki i nalewając kawę, poruszała się z wdziękiem.

- Sądziłam, że już z wami skończyłam - odezwała się bez wrogości. - Ciekawa więc jestem, czego pan ode mnie chce. Mój kolega, prawnik, powiedział, że to bardzo niezwykle, abyście nachodzili ludzi w domu. Mówił...

Trudny do odczytania uśmiech. Szczupłym palcem powoli pogładziła lewą brew. Jej oczy prawie się śmiały.

- ...że policja zwija ludzi, by wzbudzić w nich niepewność. Na komendzie to pan jest u siebie, nie ja. A tutaj to ja czuję się bezpiecznie, nie pan.

- Nie czuję się szczególnie zagrożony - stwierdził Yngvar i wypił łyk kawy - Ale w tym, co powiedział pani kolega, coś jest. Może więc pani wysnuć wniosek, że nie przyszedłem tu, by wzbudzić w pani niepewność. Bardziej chodzi mi o...

- ..o rozmowę - dokończyła. - Utknęliście w martwym punkcie, a pan zalicza się do tych policjantów, którzy nie przestają krążyć po okolicy, żeby wyrobić sobie wrażenie o

całości i szerszy pogląd na sprawę, a dzięki temu, być może, odkryć coś nowego, ścieżki i ślady, które wcześniej nie wpadły wam w oko.

- Hm - mruknął zdziwiony. — To istotnie niezbyt dalekie od prawdy.

- Mój kolega słyszał o panu. Jest pan, zdaje się, sławny.

Roześmiała się. Yngvar Stubó powstrzymał się od pytania, kim jest ten kolega.

- Nie bardzo potrafię uchwycić pani męża.

- Proszę go nie nazywać moim mężem. Pobraliśmy się z jednego powodu. Wyglądało na to, że będziemy musieli rozważyć adopcję, gdybyśmy chcieli mieć dziecko. Proszę raczej mówić „Vegard”.

- Dobrze. Nie bardzo potrafię uchwycić Vegarda.

Znów ten śmiech, niski i krótki.

- Nikt tego nie potrafił.

- Nawet pani?

- Na pewno nie ja. Vegard był różnymi osobami. To dotyczy nas wszystkich, ale on... był pod tym względem gorszy niż większość ludzi. Albo lepszy, zależnie od punktu widzenia.

Nie skrywała ironii. Yngvara znów zdziwił jej głos. Elsbeth Davidsen posługiwała się mnóstwem środków wyrazu: subtelną mimiką, drobnymi gestami i delikatnymi, lecz mimo to w pełni czytelnymi niuansami w głosie.

- Proszę opowiadać.

- Opowiadać? Opowiadać o Vegardzie... - W roztargnieniu zaczęła skubać rozdzarcie na kolanie. - Vegard tyle chciał jednocześnie.

Chciał być niszowy, literacki i alternatywny. Twórczy i prowokujący. Wyjątkowy. Zarazem pragnął uznania, o które trudno, gdy się pisze eseje i nieprzystępną prozę poetycką.

Teraz Yngvar się śmiał. Kiedy odstawiał kubek i jeszcze raz rozglądał się po pokoju, poczuł, że lubi tę kobietę.

- Vegard miał wielki talent - mówiła zamyślona. - Kiedyś. Nie powiem, że go zmarnował, ale... zbyt długo był młodym gniewnym. Dawniej miał mnóstwo uroku. I siły! Zafascynowała mnie jego bezkompromisowość i energia we

wszystkim, co robił. Ale nigdy z tego nie wyrósł. Wydawało mu się, że walczy ze wszystkimi, i nie chciał zrozumieć, że z upływem lat zaczął po prostu walczyć przeciwko sobie. Wymierzał kopniaki na lewo i prawo, nie widząc, że ci, których kopał, już dawno poszli dalej. To się stało...

Yngvar nie zareagował na to, że Elsbeth Davidsen sprawia wrażenie kompletnie nieporuszonej brutalną śmiercią męża przed niespełna dwoma tygodniami. Pomyślał, że to celowa strategia, zważywszy na okoliczności: rozmowę z obcym policjantem. Teraz jednak zauważył, że dolna warga jej drży.

- Właściwie to się stało żałosne - podjęła. - I bardzo mało przyjemne dla obserwatora.

- Na kogo był najbardziej zawzięty?

Lekko klepnęła ręką w brudnoczerwoną poduszkę.

- Na wszystkich odnoszących sukcesy, na jakie on w swoim mniemaniu zasłużył, a z których czuł się w pewnym sensie... okradziony. Pod tym względem był klasycznym przykładem artysty, niezrozumianego, pominiętego, a jednocześnie... jednocześnie usiłował być jednym z nich. Najbardziej ze wszystkiego pragnął być jednym z nich.

Nachyliła się i podniosła z podłogi jakąś kartkę. Podała ją Yngvarowi.

- To przyszło dzień albo dwa przed jego śmiercią. Nigdy nie widziałam, żeby się bardziej z czegoś cieszył.

Karta była kremowożółta, zdobiona pięknym królewskim monogramem. Yngvar, powstrzymując uśmiech, ostrożnie odłożył zaproszenie na szklaną płytę.

- Może się pan śmiać - powiedziała ze smutkiem. - Strasznie się pokłóciliśmy o to zaproszenie. Nie mogłam pojąć, dlaczego takie ważne jest dla niego wejście do tej bandy. Szczerze mówiąc, zmartwiłam się. On sprawiał wrażenie niemal opętanego myślą o tym, że wreszcie, jak się wyraził, „będzie kimś”. - Palcami zaznaczyła w powietrzu cudzysłowy.

- Często się kłóciliście?

- Tak. Zwłaszcza w ostatnich latach. Odkąd Vegardowi przestało się wieść i zdecydowanie nie mógł już dłużej uchodzić za młodego i obiecującego. Tyle brakowało - zbliżyła kciuk do

palca wskazującego na odległość milimetra - żeby się rozstać. Kilka razy.

- A jednak chcieliście mieć dziecko?

- A czy nie wszyscy tego chcą?

Yngvar nie odpowiedział. Z klatki schodowej nagle dobiegł jakiś hałas. Coś ciężkiego upadło na podłogę i echo dwóch gniewnych głosów odbiło się od betonowych ścian. Yngvar odniósł wrażenie, że słyszy słowa w urdu.

- Świetnie tu, na Gronland - skomentowała cierpko. - Ale czasami za dużo tej wielokulturowości. W każdym razie dla nas, których nie stać na kupno mieszkania w nowych kamienicach.

Głosy na zewnątrz zaczęły się oddalać i wreszcie przycichły. Przez zniszczone okna wpadał tylko monotony szum miasta.

- Gdyby pani miała wybrać jednego - odezwał się wreszcie Yngvar - jednego wroga Vegarda... kogoś, kto naprawdę miałby powód, by mu źle życzyć. Kto by to był?

- To niemożliwe - odparła bez wahania. - Vegard zranił tyłu ludzi i rzucał gównem wokół siebie tak szeroko, że nie da się wybrać tylko jednej osoby. Poza tym... - Znów zaczęła dłubać w dziurze na kolanie. Spod niebieskiego materiału prześwitywała zimowo blada skóra. - Jak już mówiłam, nie mam pewności, czy on wciąż posiadał siłę ranienia. Kiedyś potrafił bardzo celnie trafiać, teraz na ogół po prostu rzucał gównem.

- Czy mimo wszystko nie dałoby się wskazać jakiejś grupy ludzi mających większe powody od innych, by poczuć, że nadepnął im na odcisk? Dziennikarze z tabloidów? Gwiazdy telewizyjne? Politycy?

- Autorzy powieści kryminalnych!

Nareszcie uśmiechnęła się szeroko i szczerze. Miała drobne, perłowobiałe zęby z niewielką przerwą między górnymi jedynekami. Na jednym policzku pojawił się dołeczek, owalny cień śmiechu.

- Słucham?

- Kilka lat temu, kiedy jeszcze przyciągał uwagę swoimi pomysłami, napisał komiczną parafrazę trzech bestsellerów z

tamtego roku. Idiotyczne historie, ale naprawdę całkiem zabawne. Poczul werwę. Wyśmiewanie autorów powieści kryminalnych stało się na kilka lat jego znakiem firmowym. Również w kontekstach, gdzie było to całkiem nie na miejscu. Coś w rodzaju osobistej wersji „Poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć”.

I znów palcami narysowała w powietrzu cudzysłów. Za oknem strzeżono z gaźnika, na tylnym podwórzu szczekał pies. Yngvara bolał kręgosłup, barki mu zeszytywniały. Oczy miał suche, potarł je jak zaspane dziecko.

Co my wyprawiamy? - pomyślał. Co ja robię? Ścigam duchy i upiory. Nic nie znajduję. Nawet niewidzialnej i zarośniętej ścieżki. Rąbiemy na oślep, nie dochodząc donikąd, i wciąż mamy przed sobą nieprzebyte zarośla. Fiona Helle była popularna. Vibeke Heinerback miała politycznych przeciwników, ale żadnych wrogów. Vegard Krogh był śmiesznym Don Kichotem, który w epoce despotów, fanatyzmu i groźących katastrof prowadził wojnę przeciwko autorom powieści rozrywkowych. Co za człowiek...

- Muszę już iść - oświadczył. - Późno się zrobiło.

- Tak szybko? - Sprawiała wrażenie rozczarowanej. - To znaczy... Oczywiście.

Przyniosła mu płaszcz, zanim zdążył się wygrzebać z głębokich poduszek.

- Bardzo mi przykro - powiedział, biorąc od niej okrycie. - Zarówno z powodu tego, co się stało, jak i tego, że tak muszę pani dokuczać.

Elsbeth Davidsen nie odpowiedziała. W milczeniu poszła przodem do przedpokoju.

- Dziękuję, że pozwoliła mi pani przyjść - dodał Yngvar.

- To ja dziękuję - odparła Elsbeth Davidsen poważnie, wyciągając do niego rękę. - Miło mi było pana poznać.

Yngvar poczuł ciepło jej suchej miękkiej dłoni i wypuścił ją moment za późno. Odwrócił się i wyszedł. Pies na tylnym podwórzu miał teraz towarzystwo. Oba zwierzaki narobiły zamieszania, ich szczekanie towarzyszyło mu aż do samochodu zaparkowanego o kwartał dalej. Oba lusterka były wyłamane, a

na drzwiczkach z prawej strony ktoś wydrapał pożegnanie
rzucone przez wschodnie dzielnice Oslo.

Fuck you, you fucker.

W każdym razie napisano je bez błędów ortograficznych.

- Jeśli wolno mi tak powiedzieć, Inger Johanne, cholernie ładnie dziś wyglądasz. Naprawdę. Zdrowie!

Sigmund Berli podniósł kieliszek z koniakiem. Najwyraźniej nie krępowało go to, że pije sam. Wokół oczu wystąpiły mu czerwone plamy przypominające wysypkę, ale uśmiechał się szeroko.

- Niewiarygodne, ile potrafi zdziałać przespana noc - powiedział Yngvar.

- Raczej trzy czwarte doby - mruknęła Inger Johanne. - Chyba od matury tak długo nie spałam.

Stała teraz odwrócona plecami do Sigmunda i niemo, wyłącznie za pomocą grymasów i gestów dłoni, pytała Yngvara, jaki sens miało ściąganie kolegi do domu.

- Sigmund jest chwilowo słomianym wdowcem - oświadczył zadwolony Yngvar. - A facet nie ma pojęcia, jak coś zjeść, jeśli się przed nim nie postawi napełnionego talerza.

- Gdybym jeszcze dostawał codziennie takie pyszności - westchnął Sigmund i stłumił beknęcie. - W życiu nie jadłem takiej pizzy. Zwykle kupujemy grandiosę. Trudno zrobić pizzę? Dałabyś mi przepis dla żony? - Sięgnął po ostatni kawałek w chwili, gdy Yngvar chciał już zabrać blachę.

- Nie wolałbyś piwa? - spytała Inger Johanne z rezygnacją, zerkając na stojącą na parapecie butelkę alkoholu. - To znaczy, jeśli jeszcze chcesz coś zjeść, piwo... chyba bardziej pasuje?

- Koniak idzie właściwie do wszystkiego - oświadczył Sigmund wesoło i pochłonął resztę pizzy. - Cholernie miło u was. Dziękuję.

- Na zdrowie - powiedziała Inger Johanne płaskim głosem.

- Wciąż jesteś głodny?

- Jeśli w ogóle, to na życie - zaśmiał się gość i popił pizzę resztką koniaku.

- O Boże! - westchnęła Inger Johanne i wyszła do toalety.

Sigmund miał rację. Sen naprawdę dobrze jej zrobił. Worki pod oczami nie były już takie sine, chociaż w ostrym świetle przy lustrze i tak wyraźnie je było widać. Rano przygotowała sobie nawet kąpiel w wannie, nałożyła maseczkę na włosy, obcięła i po- lakierowała paznokcie, umalowała się. Kiedy wreszcie była gotowa do odebrania Ragnhild, położyła się i przespala jeszcze półtorej godziny. Matka zażądała przywiezienia wnuczki na weekend. Inger Johanne pokręciła głową, ale wyraźnie widziała, że matka nie zamierza się poddawać.

Co takiego jest w matkach? - zastanawiała się Inger Johanne. Czy ja też się taka stanę? Równie beznadziejna, z ciągłymi projekcjami, prowokująca, ale tak samo fantastycznie zdolna do odczytywania moich dzieci? To jedyna osoba, której mogę powierzyć córki bez strachu i bez wstydu. Ona znów robi ze mnie dziecko. A ja tego potrzebuję. Muszę na trochę pozbyć się poczucia odpowiedzialności. Chociaż od czasu do czasu. Co takiego jest w matkach?

Długo trzymała dłonie pod zimną wodą.

Największą ochotę miała się położyć. Czowała się trochę tak, jakby sen ostatniej nocy przypomniał ciału, że w ogóle można spać, i teraz dopominało się o więcej. Ale była dopiero dziewiąta, no i mieli gości. Starannie wytarła ręce, włożyła okulary i niechętnie wróciła do kuchni.

- A co ty o tym powiesz, Inger Johanne? - Sigmund zwrócił do niej okrągłą jak księżyc w pełni twarz.

- O czym? - spróbowała odpowiedzieć uśmiechem.

- Twierdzę, że teraz sporządzenie profilu tego sprawcy musi być łatwiejsze. Jeśli oczywiście traktujemy wszystkie twoje teorie poważnie.

- Wszystkie moje teorie? Nie mam ich zbyt wiele.

- Nie łap go za słowa - poprosił Yngvar. - Sigmund ma rację, prawda?

Inger Johanne sięgnęła po butelkę wody mineralnej, napiła się, a zakręcając ją, zastanowiła się, uśmiechnęła przelotnie i powiedziała:

-W każdym razie mamy o wiele więcej niż wcześniej

elementów, na których możemy się oprzeć. Z tym się zgodzę.

- No to do roboty!

Sigmund podsunął jej długopis i papier. Oczy mu błyszczały. Był podekscytowany jak dziecko. Inger Johanne z irytacją popatrzyła na puste kartki.

- Problemem jest Fiona Helle - stwierdziła z namysłem.

- Dlaczego? - zdziwił się Yngvar. - Przecież ona jedyna nie jest problemem dla nas. W jej wypadku mamy sprawcę, który przyznał się do winy, i znakomity motyw, który potwierdza to, co on mówi.

- No właśnie. - Inger Johanne usiadła na wolnym barowym stołku. - Pod tym względem nie pasuje.

Wzięła trzy kartki. Napisała „FH” na pierwszej i odsunęła ją na bok. Na drugiej kartce umieściła inicjały „VH”. Chwilę się zastanawiała, gryząc długopis, nim w końcu na trzeciej napisała „VK” i położyła ją w rzędzie z pozostałymi.

- Trzy zabójstwa. Dwa niewyjaśnione.

Mówiła do siebie. Przygryzała długopis. Myślała. Mężczyźni milczeli. Nagle pod inicjałami wpisała daty. Dwudziesty styczeń, wtorek. Szósty lutego, piątek, i dziewiętnasty lutego, czwartek.

- Różne dni tygodnia - mruknęła. - Brak jakiegokolwiek rytmu w interwałach.

Yngvar poruszał ustami, licząc bezgłośnie.

- Siedemnaście dni między pierwszym zabójstwem a drugim

- powiedział. -I trzynaście między dwoma ostatnimi. Trzydzieści między pierwszym i ostatnim.

- Przynajmniej tutaj mamy okrągłą liczbę - zasugerował Sigmund.

Inger Johanne odepchnęła na bok kartkę z napisem „FH”, ale zaraz przyciągnęła ją z powrotem.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdziła. - Coś tu się ani trochę nie zgadza.

- Czy nie moglibyśmy za punkt wyjścia przyjąć, że ktoś za tym wszystkim stoi? - zapytał zniecierpliwiony Yngvar, odsuwając kartkę.

- Wyobraźmy sobie, że Mats Bohus pozostaje pod czyimś

wpływem. Pod wpływem tej samej osoby, która podziałała na innych, każąc im zabić Vibeke Heinerback i Vegarda Krogha. Założmy...

- To brzmi idiotycznie. - Inger Johanne się skrzywiła. - Nie rozumiem...

- Po prostu spróbujmy - uparł się Yngvar. - Kogo sobie wyobrażasz? Jaki człowiek może...

- W każdym razie musi to być ktoś, kto posiada niezwykle wiedzę o ludzkiej psychice - zaczęła Inger Johanne, ale sprawiała wrażenie, że mówi przede wszystkim do siebie. - Psychiatra albo psycholog. A może doświadczony policjant? Jakiś opętany ksiądz? Nie... - Palcami postukała w kartkę z inicjałami Fiony Helle. Przygryzła wargę. Zamrużyła i poprawiła okulary. - Całkiem po prostu nie jestem w stanie dostrzec tu prawdziwego związku. Chyba że... A jeśli...

Poderwała się. Na półce przy telewizorze leżał segregator. Zaczęła z ożywieniem przerzucać kartki, aż znalazła zdjęcie Fiony Helle. Gdy znów usiadła, położyła fotografię na kartce z inicjałami ofiary.

- Ta sprawa to właściwie *clean cut*. Fiona Helle zdradziła swego syna. Raczej nie można jej obwiniać o to, co się wydarzyło 1978 roku, kiedy Mats się urodził, a matka Fiony podjęła decyzję brzemienną w skutki dla trzech pokoleń. Ale chyba nie tylko ja podchodzę z pewnym zrozumieniem do tak silnej reakcji Matsa Bohusa na to, co się potem stało. Różnie można myśleć o tej dziwnej skłonności niektórych ludzi do szukania swoich biologicznych rodziców, ale ...

- Nie odrywała spojrzenia od zdjęcia. Zdjęła okulary, podniosła fotografię i bacznie się jej przyglądała. - W tym chodzi o marzenia i wielkie nadzieje. Kiedy coś się nie układa i życie za dużo od nas wymaga, może kusić myśl o tym, że gdzieś tam może istnieć ktoś, kto jest drugim tobą, właściwym, prawdziwym. Staje się to wtedy pociechą, marzeniem, a czasami opętaniem. Mats Bohus miał trudne życie. Ostateczne i absolutne odrzucenie go przez matkę musiało być dla niego druzgocące. Tym razem miała mu do zaoferowania wszystko, ale nie dała nic. Mats miał motyw, by

ją zabić. I zabił.

Zamyślona położyła zdjęcie na kartce. Potem spięła je razem spinaczem. Jakby była zupełnie sama, siedziała w milczeniu wpatrzona w śliczną twarz gwiazdy telewizyjnej, w jej fascynujące oczy, prosty nos i prowokująco zmysłowe usta.

Sigmund ukradkiem zerknął na butelkę w oknie. Yngvar kiwnął głową.

-A jeśli... - zaczęła znów Inger Johanne. Tym razem w jej głosie dało się wychwycić wyraźne ożywienie. - Jeśli wyobrazimy sobie, że tu nie chodzi o trzy sprawy w serii?

-Jak to? - zdziwił się Yngvar.

- Ha! - mruknął Sigmund i nalał sobie koniaku.

- Powinniśmy chyba... - zaczął Yngvar.

- Zaczekajcie! - ostro skarciła ich Inger Johanne.

Ułożyła z kartek piramidę. Dłonią zakryła twarz Fiony Helle.

- Ta sprawa jest rozwiązana - stwierdziła. - Zabójstwo. Śledztwo. Podejrzany. Podejrzany ma motyw. Przyznanie się do winy. Jego winę potwierdzają pozostałe fakty w sprawie. *Case closed.*

- Naprawdę nie rozumiem, do czego teraz zmierzasz - stwierdził Yngvar. - Wracamy do początku? Chcesz nam wmówić, że to tylko zbieg okoliczności i że chodzi o trzy niezależne...

- A co z symboliką? - przerwał Sigmund. - Co z tym wykładem, którego słuchałaś trzynaście lat temu i który...

- Zaczekajcie, zaczekajcie! - Inger Johanne wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Momentami zatrzymywała się przy oknie. Pustym wzrokiem patrzyła na ulicę, jakby bez nadziei na kogoś czekała.

- Rzecz jest w języku - powiedziała w końcu. - Odcięty język stanowi punkt wyjścia. Klucz.

Odrzuciła się. Na jej policzkach tuż pod okularami pojawiły się okrągłe plamy. Yngvar i Sigmund siedzieli nieruchomo, głęboko skoncentrowani, jakby byli świadkami mającego zaraz nastąpić niebezpiecznego wyczynu.

- Zahaczyliśmy o to już pierwszego dnia - mówiła Inger Johanne w napięciu. - Tego dnia, gdy znaleziono Fionę,

której język obcięto i pięknie zapakowano. Mówiliśmy, że to takie proste. Że to prostacka, łatwa do rozszyfrowania symbolika rodem z taniej książki o Indianach. Sam to powiedziałeś, Yngvarze. Mówiłeś, że na przestrzeni dziejów z pewnością znalazłoby się mnóstwo przykładów denata z obcym językiem. Masz rację. Masz absolutną rację. Zabójstwo Fiony Helle nie miało nic wspólnego z tym wykładem, którego wysłuchałam wiosną w audytorium w Quantico. To takie... - Zasłoniła twarz dłońmi, lekko kołysząc się z boku na bok. - ..takie banalne —powiedziała zduszonym głosem. - Takie oczywiste. O Boże!

Yngvar patrzył na nią kompletnie pogubiony.

- Tylko nie przerywaj! - mruknęła Inger Johanne. - Pozwól mi dokończyć.

Sigmund już nie pił. Siedział z lekko otwartymi ustami, wargi miał wilgotne i czerwone. Przenosił wzrok z Inger Johanne na Yngvara i z powrotem. Do salonu wszedł Jack, Król Ameryki, ale nawet pies stał sztywny i nieruchomy z zamkniętym pyskiem. Tylko nozdrza mu drgały.

- Te trzy sprawy - odezwała się wreszcie Inger Johanne, opuszczając ręce - mają wiele cech wspólnych, ale zamiast doszukiwać się kolejnych, powinniśmy zadać sobie pytanie: Co je od siebie różni? Z jakiego powodu sprawa Fiony Helle od samego początku wydawała się inna od dwóch pozostałych?

Yngvar nie odrywał od żony oczu, odkąd zaczęła krążyć po salonie. Dopiero teraz pozwolił sobie sięgnąć po butelkę z winem. Dłonie drżały mu lekko, gdy wyjmował korek.

- Ta sprawa została rozwiązana - rzucił krótko.

- No właśnie. Ona się dała rozwiązać.

Jack zamerdał ogonem i otarł się o jej nogi. Przez nieuwagę nadepnęła mu na łapę, gdy biegła z powrotem do stołu. Pies zaszkowyczał.

- W sprawie Fiony Helle znaleźliście odpowiedź - kontynuowała, nie przejmując się psem, i znów sięgnęła po fotografię.

- Trochę się męczyliście, potykaliście, błędziliście po bezdrożach, ale odpowiedź się znalazła. W protokole sekcji

zwłok znajdowały się informacje, które pomogły wam odkryć tę starą smutną historię, a ona z kolei doprowadziła was do Matsa Bohusa. Do zabójcy. Motyw i sposobność. Tam wszystko było, Yngvarze! Wszystko! I tak jak na ogół się dzieje. W naszym kraju zwykle wszystkie sprawy zabójstw są rozwiązywane, Yngvarze.

Sigmund sięgnął po kieliszek i wypił.

- Halo! - powiedział. - Ja też tu jestem.

- Ale przyjrzyjcie się tym pozostałym sprawom. - Inger Johanne wyjęła zdjęcia z segregatora, rzuciła na stół, a potem sięgnęła po kartki z literami VH i VK. - Czy kiedykolwiek w swojej karierze miałaś do czynienia ze sprawą, w której tak kompletnie nie byłoby podejrzanych? W której panowałby taki chaos błędnych tropów i ścieżek prowadzących donikąd? Trond Arnesen... - niemal wypłuła to imię. - Młody chłopak. Skrywa swoje potajemne świństwo, jak my wszyscy. Ale on oczywiście jej nie zabił. Ma alibi. Chociaż trochę dziurawe, na godzinę czy dwie, kiedy wyskoczył do miłosnego gniazdko.

- Rudolf Fjord wciąż pozostaje interesujący - zauważył Sigmund.

- Rudolf Fjord! - westchnęła. - Mój Boże, z pewnością on też nie jest aniołem. Anioły nie istnieją. W ogóle...

Yngvar dotknął jej dłoni. Delikatnie pogładził napiętą skórę.

- W tych dwóch sprawach - podjęła, wyrывая mu się - nigdy nie osiągniecie nic, poza wchodzeniem buciorami w cudze życie. Ponieważ policja nigdy się nie poddaje, będziecie grzebać w ludzkich losach, coraz bardziej oddalając się od ofiar. Zanim się poddacie, zanim wreszcie uświadomicie sobie, że nigdy nie znajdziecie zabójcy, zniszczycie tylu ludzi, wstrząśniecie tyloma istnieniami, tyloma...

- Przestań, Inger Johanne, usiądź! Zakładam, że chcesz, byśmy cię zrozumieli, ale w takim razie musisz spokojniej brać zakrety.

Usiadła niechętnie. Na próżno zakładała włosy za uszy, i tak stale opadały jej na twarz. Grzywkę miała za długą.

- Napij się wina - zasugerował Sigmund. - To ci dobrze zrobi.

- Nie, dziękuję.

- Wino to dobra rzecz - stwierdził Yngvar. - Ja w każdym razie zamierzam nalać sobie kieliszek.

Na zewnątrz zazgrzyta! przejeżdżający samochód. Jack uniósł głowę i warknął. Yngvar wyjął butelkę z narożnej szafki, przytrzymał ją na odległość wyciągniętej ręki i z zadowoleniem kiwnął głową. Spokojnie, nic nie mówiąc, ustawił na stole trzy kieliszki i otworzył butelkę. Nalał sobie i Inger Johanne.

- Zgadzam się z tym twoim podziałem - przyznał - Sprawa Fiony Helle jest bardziej... normalna, można powiedzieć. Normalniejsza od tych dwu pozostałych.

- Normalna?! - Sigmund napełnił swój kieliszek koniakiem.

- Odcinanie ludziom języków nie jest za bardzo normalne.

Yngvar nie zwrócił uwagi na słowa kolegi. Wypił łyk, odstawił kieliszek i założył ręce na piersi.

- Nie rozumiem tylko, w jakim kontekście ty widzisz...

- uśmiechnął się do żony przyjaźnie, jakby się bał, że ją sprowokuje. Sprowokował.

- Słuchajcie! — powiedziała głosem wciąż nieco zbyt wysokim. Słysząc w nim było lęk, zapal, gniew. - Pierwsza sprawa wywołała te dwie następne. Tylko wtedy to wszystko trzyma się kupy.

- Wywołała - powtórzył Yngvar.

- Wywołała? - Sigmund sprawiał teraz wrażenie bardziej czujnego. Odrobinię odsunął kieliszek.

- Nic innego mi nie pasuje - stwierdziła Inger Johanne.

- Uważam, że do pierwszego zabójstwa doszło tak, jak je opisywaliśmy. Fiona Helle zniszczyła marzenia Matsa Bohusa. On ją zabił i obciął jej język w symbolicznym geście. Kłamała w najważniejszych w życiu sprawach. Na zewnątrz prezentowała się jako pomocnica tęskniących, zbawczym tych, którzy znaleźli się w dramatycznej sytuacji. A kiedy rodzony syn naprawdę jej potrzebował, okazało się, że to wszystko wyłącznie fasada. Wierutne kłamstwo. Właśnie tak musiał to postrzegać.

Jack szczerknął, a jednocześnie, jakby jedno było przyczyną, a drugie skutkiem, otworzyło się kuchenne okno. Zimny przeciąg zgasił świece. Yngvar zaklął i wstał.

- Musimy wreszcie wymienić te okna - fuknął, pięścią wbijając ramę w futrynę, po czym sięgnął po zapalki i znów zapalił świece.

- Musi więc być ktoś... - ciągnęła Inger Johanne, jakby nic się nie zdarzyło. Wzrok miała wbity w nieokreślony punkt na ścianie.

- Ktoś, kto słuchał wykładu Warrena na temat *Proportional retribution* i kto następnie postanowi! go odtworzyć. Wciąż to robi.

Nastała długa cisza.

Świece wciąż lekko migotały w przeciągu. Jack wreszcie się położył. Sigmund oddychał z otwartymi ustami. Między trojgiem ludzi zgromadzonych wokół kuchennego stołu zawisł przyjemny aromat koniaku.

Tak właśnie musi być, pomyślała Inger Johanne. Ktoś pozwolił się... zainspirować. Ktoś skorzystał z okazji, że popełniono zabójstwo, odcięto i zapakowano język. Pierwszy klocek został położony. Mats Bohus był niczego nieświadomym przypadkowym wyzwalaczem.

Wciąż wszyscy milczeli.

Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem, myślał Yngvar. Przez tyle lat pracy, przy całym swoim doświadczeniu nigdy nie słyszałem o podobnej sprawie. To nie może być prawda. To po prostu nie może być prawda.

Cisza się przeciągała.

Fantastyczna kobieta, myślał Sigmund. Ale teraz już kompletnie pomieszało jej się w głowie.

- No tak - odezwał się w końcu Yngvar. - A jaki miałby być motyw takiego postępowania?

- Tego nie wiem - przyznała Inger Johanne.

- Próbuj! - zachęcił ją Sigmund.

- Motywu nie znam.

-Ale jaki typ...

- Musi być inteligentny znacznie powyżej przeciętnej, posiadać wyjątkową wiedzę. Musi... - Nieznacznie przysunęła się do stołu, bliżej męża. - Tu chodzi o człowieka posiadającego wprost niezwykłą wiedzę o pracy policyjnej. O

śledztwie, zarówno technicznym, jak i taktycznym. O procedurach i rutynach. Na razie nie znaleźliście ani jednego istotnego śladu biologicznego. Podejrzewam, że nie znajdziecie. Pod względem taktycznym kompletnie utknęliście w martwym punkcie. To najwyraźniej człowiek bez... - Z nieobecną miną zdjęła okulary. - Ktoś niezdolny do empatii. Zraniony. Z zaburzeniami osobowości. Ale prawdopodobnie dostosowany do życia w społeczeństwie. Wcale nie musi mieć kartoteki karnej. Poza tym nie mogę się uwolnić od przekonania... - W spojrzeniu, które posłała Yngvarowi, niewyraźnym i niepewnym, pojawiła się desperacja. - ...że to musi być policjant.

Albo ktoś, kto... Skąd on tyle wie? Musiał słuchać tego wykładu Warrena. Wybór tej samej symboliki nie może być przypadkiem.

- Wstrzymała oddech. Potem powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. - Szukamy człowieka, który zawodowo zajmuje się przestępstwami - oznajmiła bezbarwnym tonem. - Zdegenerowanego, ale mającego dostęp do dobrego banku informacji.

- To znaczy, że nie wpłynął na innych, zmuszając ich do zabójstwa? - zdziwił się Sigmund. - Porzuciliśmy już tę teorię?

- On to zrobił sam. Definitywnie. - Inger Johanne nie odrywała wzroku od oczu Yngvara. - On nikomu nie ufa. Gardzi innymi ludźmi. Prawdopodobnie wie życie, które inni nazwaliby samotnym, chociaż nie stoi całkiem poza nawiasem. Ludzie go w zasadzie nie interesują. Jego czyny są same w sobie tak wynaturzone, a kopiowanie symboliki tak chore, że... - Urwała, spuściła głowę.

- On nie musiał nawet mieć szczególnych pretensji ani do Vibeke Heinerback, ani do Vegarda Krogha.

-Jeśli chodzi o tego ostatniego - mruknął Yngvar - to zabójca byłby jedyną osobą, jaka nie ma do niego żadnych pretensji. Ale gdyby tak rzeczywiście było, jaki miałyby być motyw? Jaki, u diabła, motyw mógłby zmusić kogoś...

- Zaczekaj! - Inger Johanne złapała męża za rękę i mocno ją uściśniła. - Motywem wcale nie musiała być chęć

skrzywdzenia Vibeke czy Vegarda - powiedziała, znów ogarnięta zapalem, jakby chciała wyrzucić z siebie myśl, która gdzieś się schowała. - Mogli zostać wybrani z tego prostego powodu, że byli sławni. Morderca chciał, by te zabójstwa budziły zainteresowanie. Tak jak pierwsze zabójstwo Fiony Helle.

- Vegard Krogh nie był gwiazdą - przerwał jej Sigmund. - Ja na przykład nie miałem pojęcia, kto to jest, dopóki nie zginął.

Inger Johanne puściła dłoń Yngvara. Wsunęła okulary na nos, sięgnęła po kieliszek i napiła się wina.

- Masz rację - przyznała. - Rzeczywiście masz rację. Nie bardzo rozumiem, jak...

- Był bardzo znany w pewnych kręgach - zaprotestował Yngvar.

- Występował w telewizji i...

- Sigmund zdobył punkt - stwierdziła Inger Johanne. - To, że Vegard Krogh nie był bardziej znany, jest słabością mojej teorii. Ale z drugiej strony... - Urwała zamyślona, jak gdyby próbowała uchwycić coś, co było zbyt niejasne i mgliste, by móc podzielić się tym z innymi.

- No, ale motyw - powtarzał Yngvar. - Jeśli w pierwotnym zamiarze nie chodziło o skrzywdzenie Vibeke czy Vegarda, to o co?

O zabawę z nami?

- Cicho, cicho! - Inger Johanne była czujna i niespokojna.

- Słyszeliście? Co się...

- To tylko Kristiane - stwierdził Yngvar, wstając. - Pójdę do niej.

- Nie, ja pójdę.

Starła się jak najciszej przejść korytarzem. Ragnhild wciąż jeszcze mogła pospać godzinę, zanim przyjdzie pora karmienia. Z pokoju Kristiane dobiegały niepokojące odgłosy

- Co robisz, córeczko? - spytała Inger Johanne szeptem, otwierając drzwi.

Kristiane miała na sobie rajstopy, sweter narciarski i zielony filcowy kapelusz tyrolski z piórkiem, który Isak kiedyś przywiózł z Monachium. Siedziała na łóżku, a wokół leżały

cztery lalki Barbie. Kristiane trzymała w ręku nóż i uśmiechała się do matki.

- Co... Kristiane! Co ty...

Inger Johanne usiadła na łóżku i delikatnie wyjęła nóż z ręki córki.

- Nie wolno... to niebezpieczne.

Dopiero teraz dostrzegła, że na wszystkich lalkach dokonano egzekucji przez ścięcie. Włosy leżały rozsypane na kołdrze jak złotawe kłęбки waty.

- Co ty... - Inger Johanne zaczęła się jąkać. - Dlaczego zniszczyłaś swoje lalki?

W jej głosie zabrzmiała złość. Kristiane wybuchnęła płaczem.

- Dla niczego, mamó! Nudziłam się!

Inger Johanne odłożyła nóż na podłogę. Przyciągnęła córkę, posadziła ją sobie na kolanach, zdjęła jej z głowy idiotyczny kapelusik i przytuliła. Zaczęła ją kołysać, całując zmierzwiłone włosy.

- Tak nie wolno robić, skarbie. Nie wolno.

- Okropnie się nudziłam, mamó.

Okno było otwarte, w pokoju lodowato. Inger Johanne już czuła na całym ciele gęsią skórę. W końcu rzuciła szczątki lalek w ką, nóż wepchnęła głębiej pod łóżko i podniosła kołdrę. Położyła się z Kristiane u boku, brzuchem dotykając pleców córki. Długo leżała, szepcząc jej do ucha czułe słowa, dopóki spłakane dziecko wreszcie nie zasnęło.

*

Kari Mundal nie знаła się na księgowości. Była jednak bystra i miała dużo zdrowego rozsądku, a poza tym wiedziała mniej więcej, czego szuka. Nikt wprawdzie jej o tym nie mówił, ale w ciągu tygodni po śmierci Vibeke Heinerback wykorzystywała na myślenie swoje długie poranne spacerowanie trwające punktualnie od dziesięć po szóstej do chwili, gdy dokładnie pięćdziesiąt minut później wracała do męża i świeżo zaparzonej kawy.

Vibeke Heinerback była jej protegowaną. Kari Mundal odkryła talent dziewczyny, kiedy Vibeke miała zaledwie siedemnaście lat. Przez ostatnich piętnaście lat przez partię

przewijało się sporo kandydatów na następcę tronu. Żaden nie dotrzymał danych obietnic. Paru jawnie szkodziło staremu królowi, Kjellowi Mundalowi. Won z nimi! Inni skłaniali się ku eksperymentalnemu liberalizmowi, czego nie dało się połączyć z podejmowanymi przez partię żarliwymi staraniami, żeby stać się na nowo partią ludu, która wprowadzi surowe państwowe regulacje w istotnych dziedzinach życia społecznego. Na przykład takich jak imigracja.

Liberałów też należało wyrzucić. Została tylko Vibeke Heinerback.

Odkryła ją Kari Mundal. Siedemnastolatka z przedmieścia Grorud żuła gumę, a tlenione włosy wiązała w idiotyczny koński ogon. Ale miała niebieskie, żywo patrzące oczy i szybko się uczyła. Poza tym okazała się ładna, gdy Kari Mundal namówiła ją do zmiany fryzury i porzucenia garderoby w odcieniu pastelowego różu.

No i była lojalna wobec Kjella. Niezłomnie lojalna. Zawsze.

Do Vibeke niełatwo było się zbliżyć. Chociaż przez całe lata widywały się prawie codziennie, właściwie nigdy nie stały się sobie bliskie, a już na pewno nie na płaszczyźnie osobistej. Może utrudniała to różnica wieku. Z drugiej jednak strony Vibeke Heinerback nie otwierała serca przed nikim. Przynajmniej Kari nikogo takiego nie zauważyła. Nawet przed tym przystojniakiem, z którym się zaręczyła. Zdaniem pani Mundal chłopak był słaby, lecz postanowiła trzymać język za zębami. W każdym razie dobrze się razem prezentowali. To już przynajmniej coś.

Pod względem politycznym sprawa wyglądała inaczej. Jeśli Vibeke Heinerback w ogóle mówiła o tym, jak widzi polityczną przyszłość swoją i partii, to tylko z Kjellem i Kari. We troje dawno wyznaczyli długoterminową strategię dla partii, poza programem, poza aparatem mężów zaufania. Częstkowy cel już został osiągnięty, kiedy Vibeke wybrana przez aklamację zastąpiła Kjella Mundala na stanowisku przewodniczącego. Po wyborach parlamentarnych w 2005 roku partia miała po raz pierwszy w historii zająć stosowną pozycję, a stary Kjell wykonać polityczny *comeback* jako minister. W 2009 roku

kraj powinien być gotowy na wciąż jeszcze młodą panią premier z tej partii.

Problem mógł stanowić Rudolf Fjord.

Zauważyli to już latem ubiegłego roku, gdy na tego człowieka z prezydium skierowała się niepokojąca fala przychylności. Zyskał popularność na prowincji. Dużo podróżował, a jego domeną była polityka na szczeblu gminnym. Łatwo obiecywać miliardy, dopóki się jest w opozycji, a Rudolf okazał się prawdziwym artystą w swoim fachu. Przez chwilę wyglądało na to, że może dojść do bardziej zażartego wyścigu między tym dwojgiem kandydatów do przywództwa, co państwu Mundal niezbyt się podobało. Kari znalazła jednak na to radę. Szepnęła tu i tam kilka odpowiednich słówek o stosunku Rudolfa do kobiet i sprawa została załatwiona. Facet wyglądał na takiego, który w ogóle nie jest w stanie z nikim się związać. Było coś mglistego w sposobie, w jaki pojawiał się na premierach i imprezach dla gwiazd, zawsze prowadząc pod rękę jakąś nową dziewczynę. Doprawdy, mężczyźni w jego wieku to nie uchodziło.

Vibeke uważała, że Rudolf jest partii niezbędny, i mimo wszystko sprawiała wrażenie zadowolonej, że ma go u swego boku jako wiceprzewodniczącego. Kari Mundal, ze swoim instynktem, wyćwiczonym i wyostrzonym po dwudziestu pięciu latach spędzonych u boku Kjella w roli najbliższej doradczynie, rozumiała jednak, że Vibeke coś zataja. Pojawiała się w niej jakaś czujność, gdy Rudolf przebywał w pobliżu, jakiś błysk w oku, staranność, której Kari nie potrafiła określić, a której Vibeke nie chciała tłumaczyć, chociaż Kari dwukrotnie usiłowała ją wypytywać. „Niech się cieszy, że wszystkim tak się podoba ten nowy budynek i nikt go nie chce sprawdzać dokładniej - powiedziała Vibeke, kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiała. - Rudolf wykonał dobrą robotę jako przewodniczący komisji do spraw budowy, ale, do diabła, musi być ostrożny!”.

Mówiła to z wściekłością. Rudolf Fjord uczestniczył w debacie telewizyjnej, podczas której jawnie złamał zawartą między nimi umowę. Uzgodnili, że tymczasowo przyjmą życzliwą linię

wobec rządu, ponieważ wkrótce miała nastąpić korekta budżetu państwa. Mieli pewien plan. Umowę. On ją złamał. Vibeke mówiła z pociemniałymi oczami: „Ten facet musi uważać. Mogę go zniszczyć. Zgnieść jak wesz, jeśli zechcę. Ziemia mu się pali pod stopami, a raczej tuż nad jego głową, mówiąc konkretnie”.

Vibeke musiała biec na jakieś spotkanie, dlatego Kari nie dowiedziała się, co miała na myśli. Dwa tygodnie później młoda kobieta już nie żyła. Gdy skonfrontowała Rudolfa z wybuchem Vibeke podczas uroczystości żałobnej w domu na Snaroya, zapewniał, że nie rozumie, o co chodzi. Ale na policzkach wykwitły mu ceglaste plamy i sprawiał wrażenie bardzo wzburzonego, gdy w holu natknęli się na zbłąkanego policjanta.

Dopiero trzy dni później, kiedy zajrzała do Rudolfa Fjorda na Frogner z jakimiś dokumentami od Kjella, wreszcie odkryła możliwy sens wybuchu Vibeke tuż przed śmiercią. Zirytowała go tą wizytą. Z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy sobie pójdzie. Spytała, czy może skorzystać z toalety. Ze złością spojrzął na zegarek, ale nie mógł odmówić. I właśnie tam, gdy wsunęła namydlone dłonie pod strumień gorącej wody, zrozumiała, gdzie powinna szukać.

Tuż nad gabinetem Rudolfa Fjorda mieścił się Dział Księgowości. Nazwa kłamała. Nie było żadnego działu, tylko nieduży przyjemny pokój z kremowożółtymi tapetami i szafką-archiwum z czereśniowego drewna. Światło wpadało przez duże okno wychodzące na tylne podwórze, a za biurkiem siedziała Hege Hansen i w niepełnym wymiarze godzin prowadziła księgowość zarówno partii, jak i spółki z o.o. „Budynek w Kvadraturen”.

„Pali mu się pod stopami - powiedziała Vibeke - a raczej tuż nad głową”.

Było późno i budynek prawie już opustoszał. Kari Mundal wypita cały termos herbaty. Nie nawykła do kolumn liczb. Nie wypełniała nawet zeznania podatkowego, zajmował się tym Kjell. Ciekawość jednak kazała jej przeorywać rachunki za kolosalną renowację, przeglądać kolejne segregatory, od

głównej księgi po najmniejszy załącznik. Od czasu do czasu się zatrzymywała. Poprawiała okulary zsuwające się z ostrego nosa, przez kilka sekund wpatrywała się w jakąś fakturę, a potem, kręcąc głową, dalej przerzucała papiery.

Nagle się zatrzymała.

Różne roboty hydrauliczne

Porcelana PStark

Arm. i. in.

Rob. s p 03

| | |
|--------|------------|
| Og. | 342 293- |
| VAT | 82150,32 |
| Brutto | 424 443,32 |

Ze wszystkich beznadziejnie niejasnych i, łagodnie ujmując, nic niemówiących jej rachunków, które przeglądała przez ostatnie pięć godzin, ten był najgorszy. Słowa „porcelana” i „roboty hydrauliczne” były w miarę zrozumiałe, ale minęło kilka chwil, nim pojęła, że „arm.” musi oznaczać armaturę i że między „s” a „p” oraz „03” rzeczywiście są spacje. Czyżby ktoś sprawdzał robotę w 2003? Co oznacza PStark? Postscriptum Tark? Jeśli tak, to dlaczego PS umieszczono prawie na samej górze faktury?

VAT obliczono i zapłacono.

Rachunek zaakceptowano.

S p 03? Kari Mundal długo się zastanawiała.

Może sierpień-październik 2003? Jeśli tak, to dziwny sposób na skrót. Wróciła myślą do ubiegłorocznej jesieni, kiedy w budynku wszystko nagle się zastopowało. Największym problemem okazała się piwnica, dach i fasada. Wybrali niewłaściwą farbę. Mur nie oddychał i wszystko trzeba było robić od nowa. Poza tym coś zrobiono nie tak z drenażem. Po oberwaniu chmury w piwnicy stała woda. Uszkodzoną przez wilgoć podłogę na parterze trzeba było zrywać i kłaść na nowo, co okazało się kosztowne i czasochłonne. Zachodziła obawa, że nie będzie można zgodnie z planem uroczyście otworzyć budynku przed świętami.

Toalety były gotowe już w czerwcu.

PStark.

Philippe Starek.

Kiedy sami remontowali wielki dom na Snaroya, córka zasy-
pała ich magazynami wnętrzarskimi. „Myśl po nowemu,
mamo”, marudziła, pokazując jej balie kąpielowe, których Kari
Mundal nie znosiła, i toalety, które wyglądały jak jajko.
Oświadczyła córce, że nie ma zamiaru czuć się jak kura za
każdym razem, gdy będzie musiała skorzystać z ubikacji.

Wielki budynek w Kvadraturen został odrestaurowany tro-
skliwie i z szacunkiem. Toalety były staromodne, ze spłuczkami
pod sufitem i porcelanowymi uchwytami na złotych łańcusz-
kach.

U Rudolfa natomiast, w jego świeżo wyremontowanej
łazience, wszystko zrobiono zgodnie z duchem czasu. Philippe
Starek. Była tam, widziała to na własne oczy, a gdy
uświadomiła sobie, co właśnie znalazła, spocily jej się dłonie. W
końcu zdecydowanie dopiła resztkę wystygłej herbaty.

Wyjęła rachunek z segregatora i poszła szukać klucza do po-
mieszczenia z kopiarką. Gdy otworzyła drzwi, cisza na
korytarzu aż dzwoniła w uszach. Zawahała się przez moment,
nasłuchiwała. Wydawało się, że jest sama.

Czy Rudolf mógł zabić Vibeke?

Chyba nie z powodu machlojki z rachunkiem na 424 443,32
korony? Nie mógł tego zrobić. A może mógł?

Czy wiedział, że ona wie? Czy mu groziła? Czy właśnie dlatego
wszystko w końcu poszło tak gładko przed wyborami, bo
Rudolf nieoczekiwanie wycofał swoją kandydaturę i poprosił
swoich zwolenników, by poparli Vibeke?

Rudolf Fjord nie mógł zabić Vibeke. A może mógł?

Kari Mundal wsunęła kopię rachunku do niedużej brązowej
torebki, potem odłożyła wszystkie dokumenty na miejsce i
wyszła ze wspianiałego budynku w Kvadraturen.

*

Kobieta, która spędziła zimę na Riwierze, wracała do Nor-
wegii.

Początkowo nie rozpoznała uczucia, które ją ogarnęło.

Przypominało jej nieczęste wrażenia z dzieciństwa, coś nieokreślonego, niejasnego. Nie była nawet pewna, czy jest przyjemne. Czuła niepokój, jakby niewygodę, ponieważ czas płynął za wolno. Dopiero gdy samolot gwałtownie wzniósł się ku niebu i zobaczyła, jak rozciągnięta Baie des Anges znika pod stalowoszarą pokrywą chmur, uśmiechnęła się. Zrozumiała, że to uczucie jest pełną ekscytacji nadzieją.

Dwudziestego siódmego lutego, w piątek, samolot był w polowie pełny. Miała dla siebie cały rząd siedzeń i zgodziła się na proponowane przez stewardesę wino. Okazało się za mocno schłodzone, wsunęła więc butelkę między uda i odchyliła fotel. Zamknęła oczy.

Nie miała już drogi odwrotu.

Wszystko się teraz zagęści i zintensyfikuje.

Będzie jeszcze lepsze, jeszcze bardziej niebezpieczne.

*

Ulrik Gjemselund był śmiertelnie wystraszony. Szalony olbrzym, który aresztował go prawie tydzień temu, osobiście przyszedł po niego do więzienia. Ulrik usiłował protestować, wolał raczej tkwić w celi, aż zgnije, niż wyjść z przerośniętym, łysym jak kolano facetem, który najwyraźniej nie dbał o nic i o nikogo, a szczególnie o Ulrika Gjemselunda i o prawa, które mimo wszystko mu przysługiwały w demokratycznym państwie.

Niech to cholera, pomyślał, gdy wepchnięto go do pustego pokoju przesłuchań na komendzie policji w Oslo. Miałem trochę kokainy i jednego cholernego jointa. Tydzień! Cały tydzień! Kiedy mają zamiar mnie puścić? Dlaczego moja adwokatka nic nie robi?

Obiecała, że na weekend wyjdę z aresztu. Muszę się postarać o kogoś nowego. Zażądam któregoś z najwyższej półki. Prawdziwej armaty! Chcę wyjść. Już.

- Na pewno się dziwisz, że trzymamy cię tak długo - powiedział policjant z nieoczekiwanie pogodną miną i wskazał krzesło. -Ja to rozumiem. Ale wiesz... potrafimy do wszystkiego przekonać sędziów, jeśli nie jesteśmy całkiem zadowoleni z drania, którego sobie upatrzymy. - Zarechotał

głośno, zamknął drzwi, a potem usiadł na krześle, które groziło, że nie wytrzyma jego wagi.

- Miałem kiedyś takiego małego gówniarza. Trochę był podobny do ciebie. Zwinąłem go za trzy gramy haszyszu w kieszeni. Trzy gramy, zapamiętaj to sobie! Siedział tu przez dwa tygodnie. Na dole, w oficynie. Nie znalazło się dla niego nawet miejsce w porządnym więzieniu. Dwa tygodnie! Za trzy gramy! Tylko dlatego, że nie rozumiał. .. - Nagle pochylił się w przód i uśmiechnął. Zęby miał równe i zdumiewająco białe. - ...że ja właściwie jestem fajny.

Ulrik przełknął ślinę.

- Fajny - powtórzył policjant. - Akurat w tej chwili jestem twoim najlepszym przyjacielem na świecie. Będę bardzo rozczarowany, wiesz... jeśli... - Z urażoną miną potarł łusą głowę. - .. jeśli mnie odrzucisz. Na przykład nie będziesz chciał odpowiadać na moje pytania.

Ulrik skubał rękaw swetra. Jedna nitka puściła. Zwinął ją w palcach, próbował wepchnąć między dwa luźne oczka.

- Twoja adwokatka na pewno ci mnóstwo naobiecywała

- ciągnął policjant. - Papugi już takie są, wiesz. Ale dla niej jesteś jednym z wielu. Małym gówienkiem. Ona ma na głowie ważniejsze...

- Chcę nowego adwokata - oświadczył Ulrik głośno, odsuwając się pod ścianę. - Chcę Tora Edvina Staffa.

Policjant znów się roześmiał.

- Tora Erlinga Staffa - poprawił go. - Myślę, że on ma dość bardziej emocjonujących zajęć. Ale posłuchaj...

Rozciągnął się teraz na stole tak, że Ulrik czuł jego oddech. Czosnek i stary tytoń. Aresztant przylgnął głową do ściany, zaciskając dłonie na blacie biurka.

- Na pewno się zastanawiasz, dlaczego cię tu trzymam - podjął policjant. Znów miał w sobie jakąś ugodowość, wręcz życzliwość.

- Świetnie to rozumiem. Przecież nikogo nie zabiłeś. Ale coś ci powiem. Tu chodzi o to, co nazywam... delikatną ekologią przestępczości.

Wreszcie się wyprostował. Sprawiał wrażenie zdziwionego,

jak gdyby sam nie bardzo rozumiał, co powiedział. Ulrik odważył się odetchnąć.

- Fajne wyrażenie. - Policjant uśmiechnął się zadowolony

- Delikatna ekologia przestępczości. Nigdy wcześniej go nie używałem. Ale wiesz, wszystko się ze sobą łączy. Tam, na wolności.

- Olbrzymią pięścią zrobił nieokreślony ruch w kierunku ściany, jak gdyby dzika natura kryła się tuż za płytami gipsowymi. - Jak jest dużo komarów, ptaki mają jedzenie. Jak ptaki mają jedzenie, to znoszą jajka. Jajka zjadane są przez węże i kuny. Jak jest dużo kun, to dobrze idzie w branży kuśnierskiej. A jak dobrze idzie w branży kuśnierskiej... Wiesz zresztą, że są takie oswojone kuny? Chyba się nazywają norki.

Na moment zamyślony zmrużył oczy, patrząc na Ulrika. Niebieskie oko prawie całkiem zamknął, drugie, piwne, spoglądało ponuro. W końcu wzruszył ramionami i szybko pokręcił głową.

- Rozumiesz, wszystko się ze sobą wiąże. Tak samo w przestępczości. Najdrobniejszy ćpun jest powiązany z najgorszym rabusiem napadającym na banki, z najbardziej brutalnym zabójcą... chociaż raczej powinienem chyba powiedzieć, że te czyny się ze sobą wiążą. To taka siatka, rozumiesz? Siatka o niesamowicie małych oczkach... - Zgarbił się, uniósł ręce i zagiął palce jak szpony, jakby próbował przestraszyć dziecko. - Diabelska siatka

- syknął. - Ty kupujesz narkotyki, ktoś musi je sprowadzać. Ci ludzie zarabiają na tym kokosy, stają się chciwi, kradną, zabijają, jeśli muszą. Sprzedają towar, wciągają młodych, a ci napadają na staruszki.

Wciąż udawał ogromnego kraba. Przebierał palcami w powietrzu tuż przed oczami Ulrika. Paznokcie miał obgryzione do krwi.

To szalenciec, pomyślał Ulrik. Czy ktoś wie, że ja tu jestem? Zamknął drzwi na klucz.

- No to... - Policjant nagle znów stał się normalny. - Dochodzimy do przyczyny, dla której nie pozwoliłem takiemu gnojkwowi jak ty wskoczyć z powrotem do normalnego świata zaraz po spisaniu personaliów w ubiegłą sobotę. Rozumiesz

już teraz?

Ulrik milczał. Jego odpowiedzi i tak najwyraźniej nie miały żadnego znaczenia.

- Bo kiedy pojawiło się nazwisko Tronda Arnesena, sprawa zrobiła się poważniejsza niż mała porcja imprezowego narkotyku i skręciak - ciągnął policjant. - Bo wszystko... - urwał i prawą dłonią zrobił gest ponaglenia.

- .. się ze sobą wiąże - mruknął Ulrik.

- Świetnie. No właśnie. Nareszcie do czegoś dochodzimy, chłopcze! I zaraz zobaczysz, co znalazłem u ciebie w domu, bo musiałem sobie zrobić dodatkową wycieczkę do tego twojego pięknego drogiego mieszkanca. - Poklepał się po tyłku, ale zaraz się rozjaśnił i z kieszeni na piersi wyciągnął notatnik.

- Oto co mam - obwieścił zadowolony. - Rozumiem, że to twoja księgowość.

Ulrik otworzył usta, żeby zaprotestować.

- Zamknij gębę! - syknął policjant. - Pakowałem za kratki takich jak ty, zanim twojemu ojcu wyrosły włosy przy fiucie. To jest twoja księga rachunkowa, a to są twoi klienci. - Palcem wskazującym postukał w inicjały wpisane na marginesie otwartej na chybił trafił strony. - Są tu numery telefonów i różne inne szczegóły, więc wielu udało mi się zidentyfikować. Aż dziw bierze, z jakimi tajemnicami chodzą ludzie. Cóż, mnie już mało co dziwi. - Cmoknął językiem i pokręcił głową. Sprawiał wrażenie kompletnie pochłoniętego zawartością notesu. - Ale nie rozgryzłem wszystkich - powiedział nagle. - Brakuje mi trzech nazwisk. Chcę wiedzieć, kim są AC, APL i RF. I, Ulriku...

Wstał powoli, podrapał się w wąsy, przeciągnął. Skubnął się w płatek ucha, uśmiechnął i nagle spowaźniał. Mocno uderzył wyprostowanymi dłońmi o blat stołu. Ulrik dosłownie podskoczył na krześle.

- Z niczym się nie wygłupiaj - oświadczył policjant. - Nawet nie próbuj. To są twoi klienci, a ja chcę wiedzieć, co to za jedni, okej? Możemy tu siedzieć, aż księżyc spadnie z nieba, ale to nie będzie przyjemne dla żadnego z nas, głównie dla ciebie. Więc gadaj. No, mów! - Delikatnie położył dłoń na

karku Ulrika, ścisnął niezbyt mocno i puścił. Ale dłoni nie cofnął, ogromnej i gorącej. - Nie marnuj naszego czasu.

- Arne Christiansen i Arne-Petter Larsen - wyznał Ulrik bez tchu.

-A RF?

- Rudolf Fjorcl - szepnął Ulrik. - Ale od dawna się z nim nie spotykałem. Co najmniej od dwóch lat.

Dłoń delikatnie pogładziła go po głowie i cofnęła się powoli.

- Grzeczny chłopiec! Co ci powiedziałem?

Ulrik nie mógł wydusić ani słowa. Krew mu dudniła w uszach, zaczął się pocić.

- No, co takiego ci powiedziałem? - powtórzył policjant życzliwie. - Ogłuchłeś?

- Że wszystko się ze sobą wiąże - szepnął Ulrik prędko.

- Że wszystko się ze sobą wiąże. - Policjant kiwnął głową.

- Zapamiętaj to sobie. Na następny raz.

*

- Ten człowiek byłby w stanie nakłonić Matkę Teresę do przyznania się do potrójnego zabójstwa - stwierdził Sigmund Berli z niedowierzaniem, stukając palcem w raport spisany przez policjanta po przesłuchaniu Ulrika Gjemselunda. - Albo Nelsona Mandelę do przyznania się do ludobójstwa. Albo Jezusa do...

- Zrozumiałem, o co ci chodzi. Prawdę mówiąc, od razu.

Szli wolnym krokiem. Yngvar się uparł, żeby najpierw zajrzeć do parku Frogner. Jego kolega przez całą drogę protestował. Żona nie przestawała narzekać na ciągłe nadgodziny, padała marznąca mżawka i było przenikliwie zimno, a on miał cienkie buty. Nie mógł pojąć, dlaczego mieliby tracić dwadzieścia minut w parku pełnym paskudnych rzeźb i biegających luzem złych psów.

- Potrzebuję świeżego powietrza - wyjaśnił Yngvar. - Muszę pomyśleć, okej? A to cholernie trudne, kiedy ty paplesz jak pięciolatek. Zamknij się i ciesz spacerem. Obydwu nam się przyda.

Inger Johanne się myli, pomyślał i przyspieszył kroku. Poczul dziwny ból w mostku. Nigdy nie wątpił w jej zdolności. Ale

teraz zawiodła ją intuicja, intelekt osłabł pod wpływem nieprzespanych nocy i żarłocznego niemowłęcia. Ta teoria się nie zgadza, myślał dalej. Gdyby zabójca chciał rozgłosu, uwagi i szumu wokół siebie, nie wybrałby Vegarda Krogha. Vibeke Heinerback, owszem, ją znali wszyscy, ale Vegard Krogh? Niespełniony artysta, quasi-intelektualista, błazen, o którym mało kto wiedział. Inger Johanne się myli, a my znów zostaliśmy z niczym. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy.

- Dlaczego po prostu nie wezwiemy tego faceta na przesłuchanie? - znów zaczął marudzić Sigmund. Miał krótkie nogi i musiał podbiegać, żeby koledze dotrzymać kroku. - Dlaczego cały czas musimy chodzić po ludziach? Cholera, Yngvar, marnujemy pieniądze podatników i tracimy czas.

- Pieniądze podatników idą na gorsze rzeczy niż nasze próby znalezienia wyjścia z tej matni - odparł Yngvar. - Przestań! Już niedługo będziemy na miejscu.

- Nie wierzę temu chłopakowi, temu Gjemselundowi. Rudolf Fjord nie jest pedałem. Nie wygląda na takiego. Dlaczego, u diabła, ktoś taki miałby płacić za seks z facetem? Przystojniak, kobiety na niego lecą. Moja żona czyta różne gazety ze zdjęciami z imprez, no wiesz... i on na pewno nie jest pedałem.

Yngvar się zatrzymał. Głęboko wciągnął powietrze, zapiekło go w gardle.

- Sigmund - powiedział spokojnie. - Czasami mam wrażenie, że jesteś potwornie głupi. Ponieważ wiem, że tak nie jest, to muszę cię prosić... - Roztarł uszy dłońmi, jeszcze raz nabrał powietrza i wrzasnął nagle: - Żebyś się zamknął!

Znów ruszył przed siebie.

W milczeniu mijali bogato zdobione bramy od strony Kirkeveien. Tuż pod płotem stały krzywo zaparkowane dwa autokary turystyczne. Yngvar ciasniej owinął szyję szalikiem. Do jednego autokaru wsiadała gromada Afrykańczyków ubranych w tradycyjne obszerne szaty.

Trudno zrozumieć, dlaczego turyści w ogóle przyjeżdżają do Norwegii, pomyślał Sigmund. W lutym, gdy wszędzie leży śnieg i bioto do pół łydki, było to tym bardziej niepojęte.

- Musisz przyznać, że te suknie są śmieszne - mruknął.

- Sam wcale nie wyglądasz lepiej, odstawiony na święta w spodnie ze skórzanymi łatami na tyłku, jaskrawoczerwone bo-lerko i buty ze srebrnymi spinkami - odparował Yngvar. - Ale to ci nie przeszkadza w noszeniu stroju ludowego, o ile sobie przypominam. To na pewno jakiś ich oficjalny ubiór. Która godzina?

- Szósta dochodzi - jęknął Sigmund. - Zmarzłem jak cholera. Poza tym to nie jest żadne bo-lerko, tylko wełniany kubrak.

Jedenaście minut później Yngvar przesunął palcem po szeregu nazwisk na metalowej płytce umieszczonej przy pomalowanych na zielono drzwiach.

- Rudolf Fjord - mruknął i wcisnął guzik.

Nikt nie odpowiedział. Sigmund przytupywał z zimna, mrużąc coś pod nosem. Nadeszła kobieta z torbą przerzuconą przez ramię. Wyjęła pęk kluczy i uśmiechnęła się do Yngvara promiennie.

- Dzień dobry - powiedziała, jakby go znała.

- Dzień dobry.

- Chcecie wejść?

Przytrzymała drzwi, a on czym prędzej je chwycił. Kobieta miała rude włosy, został po niej powiew świeżego powietrza i lekki aromat perfum, kiedy wbiegała po schodach, pogwizdując jak dziewczynka.

- Miłego weekendu! - zaćwierkała. Usłyszeli odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

- No to jesteśmy. - Sigmund popatrzył w górę na piętra.

- Musimy iść na trzecie. - Yngvar podszedł do prastarej windy z kratą z kutego żelaza. - Ale nie jestem pewien, czy udźwignie nas obu.

- Maksymalnie dwieście pięćdziesiąt kilo - przeczytał Sigmund na emaliowanej plakietce. - Ryzykujemy, co?

Ledwie się zmieścili. Winda, pojękując i posapując, ruszyła i zatrzymała się o pół stopnia poniżej trzeciego piętra. Yngvar zaczął się szarpać z drzwiami, ale kratka zakleszczyła się w podłodze.

- Z powrotem idę schodami - oświadczył, kiedy wreszcie

udało im się wysiąść.

Kamienica była piękna, chociaż winda rzeczywiście prastara. Szerokie schody wyłożono chodnikiem. Okno wychodzące na wewnętrzne podwórze miało kwadratowe czerwone i niebieskie szybki, które rzucały na ściany kolorowe plamy. Na trzecim piętrze było dwoje drzwi. Między nimi wisiał oprawiony w ramy obrazek za szkłem, żółto-brunatny pejzaż z południa Europy.

Yngvar nie zdążył nawet zadzwonić do drzwi Rudolfa Fjorda, gdy te naprzeciwko się otworzyły.

- Dzień dobry - powiedziała mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta.

Wygląda typowo dla zachodnich dzielnic, pomyślał Yngvar. Szczupła i niewysoka, zadbane włosy, spódnica i sweter. Eleganckie skórzane kaptcie. Z załamanymi rękami sprawiała wrażenie dość zakłopotanej, gdy się do nich odezwała:

- W żaden sposób nie chciałabym się wtrącać...

Yngvar dopiero teraz zauważył, że mimo swojej staroświeckiej aparycji kobieta ma bardzo bystre spojrzenie. Obaj zostali błyskawicznie ocenieni wzrokiem.

- Jesteście panowie znajomymi pana Fjorda? Może kolegami z pracy?

Uśmiech wydawał się szczery, podobnie jak zmarszczka zatroskania nad oczami.

- Muszę przyznać, że nasłuchiwałam, czy ktoś nie przyjdzie

- podjęła, nim zdążyli odpowiedzieć. - Wyjątkowo ucieszyłam się z hałasu, który robi winda. Widzicie, Rudolf to prawdziwy skarb dla tej kamienicy, wszystkiego dopilnuje, wszystkim zarządzi. Kiedy przed świętami złamałam nogę... - Lekko uniosła lewą łydkę, zgrabną i szczupłą. - ...codziennie przychodził do mnie z zakupami. Jesteśmy dobrymi sąsiadami. Ale teraz... Och, przepraszam.

- Wprawnym ruchem unieruchomiła zamek zatraskowy i wyszła przed drzwi. - Haldis Helleland - przedstawiła się.

Obaj wymruczeli swoje nazwiska.

- Bardzo się niepokoję - ciągnęła pani Helleland. - Wczoraj wieczorem Rudolf wrócił do domu koło dziewiątej. Ja

przyszłam mniej więcej w tym samym czasie. Byłam w teatrze z przyjaciółką. Zawsze zamieniamy z Rudolfem kilka słów, kiedy się spotkamy na schodach. Czasami wpada do mnie na kawę albo na kieliszek. Zawsze jest taki... - poprawiła włosy - .. taki miły - dokończyła.

Ona z niespokojnymi dłońmi i spojrzeniem, którym strzelała to tu, to tam, przypomina łasicę, pomyślał Yngvar. Zwinną ciekawską łasiczkę. Zauważyła wszystko.

- Ale wczoraj nie? - spytał domyślnie.

- No właśnie. Ledwie mi odpowiadał. Wydawał się błądy. Spytałam, czy jest chory, ale zaprzeczył. No i jest tak, że...

Uśmiech ujął Haldis Helleland dziesięć lat. Mignęło złoto z zadbanych zębów, a na policzkach ukazały się głębokie dołeczki.

- To mężczyzna w sile wieku, a ja jestem wiekową wdową i zdaję sobie sprawę, że nie zawsze tak samo go bawi poświęcanie mi tyle czasu, ale... - zawahała się.

- To było niezwykle zachowanie - pomógł jej Yngvar. - On po prostu był zupełnie inny niż zawsze.

- No właśnie — potwierdziła z wdzięcznością pani Helleland.

- Więc później, co przyznaję z pewnym wstydem, trochę nasłuchiwałam. - Popatrzyła Yngvarowi prosto w oczy. - Wiem, że to nieładnie, ale tu naprawdę jest bardzo akustycznie, a ja czuję, że wszyscy powinniśmy... o siebie nawzajem dbać.

- Całkowicie się z tym zgadzam. — Yngvar kiwnął głową.

- I co takiego pani usłyszała?

- Nic - odparła wzburzona. - Właśnie w tym rzecz. Przecież zwykle słyszę u niego kroki. Muzykę. Czasami telewizor. Jedynie...

- Zmarszczyła czoło. - Dzwonił telefon - oświadczyła zdecydowanie. - Cztery razy. Dzwonił i dzwonił.

- Może pan Fjord po prostu jeszcze raz wyszedł? - podsunął Sigmund.

Haldis Helleland popatrzyła na niego z wyrzutem, jak gdyby insynuował, że zasnęła na posterunku. Wskazała dwie gazety leżące przy wycieracze.

- Wydanie poranne i wieczorne - powiedziała znaczącym tonem.

- A ten człowiek jest uzależniony od gazet. Chyba że wymknął się w nocy, kiedy spałam, ale żeby nawet nie zabrać gazety!

-Jednak mógł wyjść w nocy - powiedział Yngvar.

- Dzwonię na policję - oświadczyła kobieta zdecydowanie.

- Jeśli nie jesteście w stanie zrozumieć, że znam Rudolfa Fjorda na tyle dobrze, by mieć pewność, że stało się coś złego, to dzwonię do władz porządkowych.

- Chwileczkę - zatrzymał ją Yngvar. - My jesteśmy z policji, pani Helleland.

Znów gwałtownie się odwróciła.

-Co?!

Ruchliwymi dłońmi przyglądała włosy skonsternowana, ale zaraz uśmiechnęła się z ulgą.

- No tak, oczywiście, to przez tę okropną historię z Vibeke Heinerback. Straszne! Rudolf bardzo to sobie wziął do serca. Oczywiście, przyszliście po informacje... ale wobec tego...

Przechyliła głowę raz w lewo, raz w prawo, krótko i szybko. Teraz naprawdę przypominała łasicę, z ostrym nosem i małymi bystrymi oczkami.

- No to wchodzimy - zdecydowała. - Muszę panów prosić o okazanie identyfikatorów. Momencik, zaraz przyniosę klucz.

Zanim zdążyli coś odpowiedzieć, zniknęła.

- Bardzo mi się to nie podoba - powiedział Yngvar.

- Co? - spytał Sigmund. - Przecież ona ma klucz! Mów sobie, co chcesz, ta kobieta gada rozsądnie.

- Nie podoba mi się myśl o tym, co możemy zastać w środku.

Haldis Helleland wróciła, zerknęła na okazane karty identyfikacyjne i wsunęła klucz w zamek.

- Rudolf jesienią remontował łazienkę. Wyszła naprawdę pięknie. Ale robotnicy stale wchodzili i wychodzili, więc najlepiej było, żebym to ja miała klucz. Nigdy nie wiadomo, komu można zaufać. A potem już u mnie został. No, proszę!

Drzwi były otwarte.

Yngvar wszedł do środka. W przedpokoju panowała ciem-

ność. Wszystkie drzwi do pozostałych pomieszczeń pozamykano. Po omacku odszukał kontakt.

- Salon jest tam - powiedziała pani Helleland już słabszym głosem.

Przemknęła pod ramieniem Yngvara, kierując się w koniec korytarza. Zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami.

- Chyba najlepiej będzie... - zaczęła, kiwając głową w stronę Yngvara.

Otworzył.

Na dużym stole leżał żyrandol. Sznureczki z kryształkami się spletały. Pojedyncze szkiełko zwieszało się za krawędź stołu. U sufitu z haka wbitego w środek olbrzymiej gipsowej rozety wisiał Rudolf Fjord. Język miał wielki i siny, oczy otwarte.

- Proszę wrócić do swojego mieszkania i tam poczekać - powiedział Yngvar do Haldis Helleland, która jeszcze nie odważyła się wejść do salonu.

Usłuchała, nie próbując nawet zajrzeć do pokoju. Zostawiła za sobą otwarte drzwi. Usłyszeli jej kroki na klatce i trzaśnięcie drzwi do mieszkania.

- Cholera! - westchnął Sigmund Berli. Podszedł do ciała, podciągnął nogawkę spodni Rudolfa Fjorda i dotknął białej skóry.

- Zupełnie zimny.

- Widzisz gdzieś jakiś list? - zapytał Yngvar, ale się nie ruszył. Stał w miejscu, obserwując wywołany przez Sigmunda lekki ruch włók, które straszliwie wolno obróciły się wokół własnej osi.

Na podłodze leżało przewrócone krzesło.

Inger Johanne przynajmniej w jednym ma rację, pomyślał. Ma rację, że ta sprawa kosztuje. Kosztuje zbyt wiele. Potykamy się, krążąc po omacku. Zaglądamy pod brzeżek ludzkiego życia, gdzie indziej pociągamy za jakiś sznurek, który pęka. Nie znajdujemy tego, czego szukamy. Ale możemy iść dalej. Rudolf Fjord nie wytrzymał. Kto przekazał mu informację? Ulrik? Czy to Ulrik zadzwonił do starego klienta z wiadomością, że go wydał? Że nie ma już dłużej sensu popisywać się dziewczynami i udawać świa- towca?

- Żadnego listu tutaj nie ma.
- Szukaj dalej.
- Ale już...
- Szukaj dalej. I zadzwoń na dyżur kryminalny. Natychmiast. Rudolf Fjord nie zabił Vibeke Heinerback, myślał Yngvar.

Kiedy

popelniono zabójstwo, jadł obiad z kolegami z partii w Baerum.

Miał dobre alibi. Nigdy nie był podejrzany. A mimo to nie mogliśmy zostawić go w spokoju.

- Tu nie ma żadnego listu - powtórzył zirytowany Sigmund.
- Powiesił się, bo się bał, że zostanie przyłapany bez gaci.

Może nie bardzo było o czym pisać.

Zwłoki przestały już się kręcić.

- Akurat o tym, że Rudolf Fjord kupował seks od kochanka Tronda Arnesena, nie puścimy pary z ust - zdecydował Yngvar.

- Są granice tego, do jakiego stopnia można zniszczyć człowiekowi życie i...

Popatrzy! na twarz Rudolfa Fjorda, który przypominał wyrzucaną na ląd rybę głębinową. Szeroka męska broda wydawała się teraz większa, oczy nabiegły krwią.

- ...pamięć o nim - dokończył Yngvar. - Zachowamy to dla siebie, dobrze?

- Dobrze - przystał Sigmund. - W porządku. Policja z Oslo już jedzie. Powiedzieli, że będą za dziesięć minut.

Przyjechali po ośmiu.

*

Cztery godziny później Kari Mundal odebrała telefon, poirytowana, że ktoś ośmiela się dzwonić o pół do jedenastej w piątkowy wieczór. Minęła zaledwie minuta, nim osunęła się na krzesło przy mahoniowej półce w holu. Słuchała informacji sekretarza partii, mało przytomnie odpowiadając na zadawane pytania. Po skończonej rozmowie nie ruszała się z miejsca. Krzesło było niewygodnie i marzła. Mimo to nie była w stanie się podnieść.

Zadzwoiła wczoraj do Rudolfa. Nie mogła się powstrzymać. Po bezsennej nocy ze środy na czwartek, podczas której

rozważała za i przeciw, wreszcie podjęła decyzję.

Teraz zrozumiała, że fatalną.

Zanim postanowiła, czy ujawni tę sprawę, zadzwoniła do niego. Nie zastanowiwszy się uprzednio, czy partia, a tym samym jej mąż, wytrzyma taki skandal, opowiedziała mu, co wie.

Byłam taka zła, pomyślała, słysząc swój oddech, szybki i płytki. Taka rozczarowana i wściekła. Nie myślałam jasno. Chciałam tylko, by nie sądził, że niebezpieczeństwo minęło. Musiał wiedzieć, że jego tajemnica nie poszła do grobu razem z Vibeke. Byłam taka wściekła, tak strasznie rozczarowana.

- Co się dzieje, kochanie?

Z salonu przyszedł Kjell. Światło wpadające przez podwójne drzwi prawie ją oślepiło. Mąż był tylko czarnym konturem z fajką w jednej ręce i gazetą w drugiej.

- Rudolf nie żyje - powiedziała.

- Rudolf?!

Mąż podszedł bliżej. Wciąż słyszała własny oddech, własny puls. Kjell zapalił światło, które zakłuło ją w oczy. Rozplakała się.

- Co ty mówisz? - spytał, ujmując ją za rękę.

- Rudolf odebrał sobie życie - szepnęła. - Nie bardzo wiedzą kiedy. Może wczoraj. Nie wiedzą. I ja nie wiem.

- Odebrał sobie życie? Odebrał sobie życie?! - ryknął Kjell Mundal. - Dlaczego, na miłość boską, ten idiota miałby odbierać sobie życie?

Sekretarz partii powiedział, że nie znaleziono żadnego listu w mieszkaniu ani w komputerze. Oczywiście policja będzie dalej szukać.

- Nikt nic nie wie - powiedziała Kari Mundal, puszcżając rękę męża. - Na razie nikt nic o tym nie wie.

Mam nadzieję, że nie napisałeś żadnego listu, Rudolfie, pomyślała. Mam nadzieję, że twoja matka, ta nieszczęsna kobieta, nigdy się nie dowie, czego tak się bałeś, że nie chciałeś dłużej żyć.

- Muszę się czegoś napić - oświadczył Kjell, klnąc pod nosem.

- Tobie też to dobrze zrobi.

Poszła za nim bez słowa.

To był trudny wieczór, pełen rozmów telefonicznych i wizyt. Nikt nie zauważył, że Kari Mundal pierwszy raz w swoim długim życiu popadła w całkowite milczenie. Wszyscy coś mówili, niektórzy rozpaczali. Kilka osób płakało. Ludzie przychodzili i wychodzili do późnej nocy. Ona szykowała kawę i herbatę, mieszała mocne drinki, a o północy przygotowała kanapki. Ale nic nie mówiła.

Nad ranem, kiedy Kjell wreszcie zasnął, wstała i zeszła na parter. W torebce, w jednej z przegródek obszernego portfela, leżała kopia nieszczęsnej faktury. Wyjęła ją, podeszła do kominka, zapaliła zapalniczkę. Dopiero gdy płomień zaczął lizać jej palce, wypuściła papier z ręki.

Dwa dni później, wymyśliwszy jakieś kłamstwo, znów przeglądała stare rachunki. Szybko znalazła to, czego szukała. Oryginalna faktura podarta na malusieńkie kawałeczki spłynęła w toalecie na drugim piętrze. W staromodnej ubikacji ze spłuczką pod sufitem i porcelanowym uchwytem na złotym łańcuszku.

Pożegnalnego listu samobójcy nigdy nie odnaleziono. Przez pewien czas dwóch policjantów z Oslo żyło w przekonaniu, że wiedzą, dlaczego Rudolf Fjord powiesił się we własnym salonie krótko po tym, jak podczas radosnej imprezy został wybrany na przywódcę jednej z największych partii politycznych w Norwegii. Nigdy nikomu nic nie powiedzieli. Po kilku latach ten drobny epizod odszedł w niepamięć.

Starsza dama ze Snaroya na zachód od Oslo była jedyną osobą, która знаła prawdziwą przyczynę samobójstwa.

Ona nigdy o tym nie zapomniała.

- Rok przestępny! - zawołała Kristiane, mierząc z lizaka jak z pistoletu. - Pif-paf!

- W tym domu nie używa się żadnej broni palnej - oświadczyła Inger Johanne, odbierając córce lizaka.

- Doprawdy, nie możesz tego nazywać bronią palną - zirytował się Yngvar.

- Pif-paf! Co to jest rok przestępny?

- To rok, który ma jeden dzień taki jak dzisiejszy - odparł Yngvar i przykucnął. - Dwudziesty dziewiąty lutego. Takie dni wyglądają zza węgła jedynie co cztery lata. Może się wstydzą?

- Wstydzą się - powtórzyła Kristiane. - Rok przestępny. Rok przestępczy. Pif-paf! - Wsunęła włosy za uszy dokładnie takim samym gestem jak matka. - Ale jakie jest naukowe wyjaśnienie? - spytała z powagą. - Chodzi mi o zrozumienie, a nie o strojenie sobie ze mnie żartów.

Dorośli wymienili spojrzenia. Inger Johanne zaleknione, Yngvar pełne podziwu.

- To znaczy, że... Ziemia potrzebuje trochę więcej czasu niż trzysta sześćdziesiąt pięć dni na... - Potarł głowę i zerknął na żonę, szukając pomocy. - Na obrót wokół własnej osi.

- To trwa jedną dobę, Yngvarze.

- Na okążenie Słońca?

Inger Johanne uśmiechnęła się tylko i wyżeła ścierkę.

- Na pełne okążenie Słońca - oświadczył zdecydowanie, zwracając się do Kristiane. - To się nazywa rok i trwa nieco dłużej niż... W końcu trzeba pozbierać godziny, których jest trochę za dużo, i od czasu do czasu zrobić z nich dodatkowy dzień. Co cztery lata. Było też coś jeszcze z Grzegorzem i Juliuszem, ale tego nie pamiętam.

- Ty jesteś mądry - orzekła Kristiane. - Juliusz to szympans, Yngvarze. Będę się bawić w rok przestępny u Leonarda. Dzisiaj przychodzi po mnie tatuś. Ty nie jesteś moim tatusiem.

- Nie, ale bardzo cię kocham.

Pobiegła z Jackiem depczącym jej po piętach. Słysząc było, jak jej drobne stopy mkną po schodach, w końcu drzwi zamknęły się z trzaskiem. Yngvar stęknął i ciężko się podniósł.

- Ciekaw jestem, ile jeszcze razy będziemy musieli sobie powtarzać, że nie jestem jej tatusiem. Trzeba jakoś uporządkować ten system przebywania z obydwójkiem rodziców. Zapanował totalny chaos. Czy ona nie miała iść do Isaka w piątek?

- Co się z tobą dzieje, Yngvarze? - Inger Johanne pogłaskała go po głowie. - To tylko ta sprawa z Rudolfem Fjordem czy...

- Tylko? Tylko? — Odsunął głowę trochę zbyt gwałtownie.

- Żadne tylko, kiedy twoja praca doprowadza ludzi do śmierci.

- Nikogo nie doprowadziłeś do śmierci, Yngvarze, i dobrze o tym wiesz.

Usiadł na barowym stolku. Na brudnym talerzyku leżał nadgryziony kawałek selera naciowego. Sięgnął po niego i wsunął do ust.

- Wcale tego nie wiem - zaprotestował.

- Kochany - powiedziała, a on musiał się uśmiechnąć. Pocałowała go w ucho, w szyję. - Przecież ty nikogo nie zabijasz - szepnęła. - Nawet pająki wynosisz z mieszkania do ogrodu. Rudolf Fjord sam odebrał sobie życie. Wybrał śmierć. Całkiem na własną rękę. - Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy. - To nie jest twoja wina. Dobrze o tym wiesz.

- Tęsknię za tobą - powiedział, żując seler.

- Tęsknisz za mną, ty wariacie? Przecież tu jestem.

- Nie całkiem. Żadne z nas nie jest tu w pełni. Inaczej niż kiedyś.

Wszystko będzie lepiej, pomyślała. Już niedługo. Nareszcie zaczęłam spać. Niedużo, ale znacznie więcej. Wiosna jest blisko, Ragnhild rośnie i nabiera sil. Wszystko będzie lepiej. Jak tylko ta sprawa się skończy, a ty...

- A może byś wzięła wolne? - spytała lekko i zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

- Wolne?

- Urlop tacierzyński, taki prawdziwy.

- Mówisz, jakby nas było na to stać...

Żuł i żuł, przyglądając się zielonej nadgryzionej lodydze.

- Mogłabym wrócić do pracy. Cudownie byłoby pozbyć się tej sprawy. Zapomnieć o niej. Niechby ją przejął ktoś inny, ktoś inny wziął...

- Nie wygłupiaj się! - Yngvar zmrużył oczy. - Czy to nie dziwne? Wybierać śmierć zamiast...

- Nie zagaduj mnie. Zastanawiałeś się nad tym?

- Tobie się należy przeważająca część urlopu, Inger Johanne, co jest w pełni słuszne. Przecież niedawno urodziłaś i karmisz małą. Tak jest dobrze dla Ragnhild. Dobrze dla nas obojga. - Jakby na podkreślenie, że to koniec tej dyskusji, rzucił resztkę selera do wiadra ze śmieciami w otwartej szafce pod zlewem. Nie wcelował. - Czy to nie jest cholernie dziwne, że człowiek decyduje się na odebranie sobie życia, ponieważ się boi, że ujawniony zostanie jego homoseksualizm? W 2004 roku? Do diabła, przecież oni są wszędzie! W pracy mamy mnóstwo lesbijek i nie wydaje się, żeby się czuły szykanowane czy dręczone, a my...

- Nic ci o tym nie wiadomo - zaprotestowała Inger Johanne i schyliła się, żeby podnieść seler. - Przecież nie znasz ich za dobrze.

- Ale gej jest w tym kraju ministrem finansów, do diabła!

I nikt się tego nie czepia.

Inger Johanne się uśmiechnęła, co tylko zirytowało Yngvara.

- Minister finansów to... wypiełgnowany mężczyzna z zachodniej dzielnicy-stwierdziła. - Dyskretny profesjonalista. Z niewielkiej garści informacji, które o nim mamy, wiadomo, że dobrze gotuje. Żyje z tym samym partnerem od stu lat, to chyba co innego niż ktoś, kto kupuje sobie chłopców, jednocześnie paradując pod rękę z blondynkami za każdym razem, gdy w pobliżu jest fotograf lub kamera.

Yngvar nic nie powiedział. Oparł głowę na dłoniach.

- Zdrzemnij się trochę - powiedziała cicho, gładząc go po plecach. - Całą noc nie spałeś.

- Nie jestem śpiący - mruknął.

- A jaki jesteś?
- Przygnębiony.
- Mogę coś dla ciebie zrobić?
- Nie.
- Yngvarze...

- Najgorsze, że Rudolf tak wcześnie został wyłączony ze sprawy

- powiedział gniewnie, prostując się. - Alibi miał w porządku. Nic nie wskazywało na to, by on za tym stał. Przeciwnie, według kolegów z parlamentu wydawał się kompletnie przybity. Dlaczego nie mogliśmy po prostu zostawić go w spokoju? Co nam do tego, z kim on się pieprzy?

- Yngvarze... - spróbowała jeszcze raz, obiema rękami dotykając mu mięśni na karku.

- Posłuchaj! - Odsunął ją od siebie.

- Słucham, tylko trudno mi odpowiadać, gdy to, co mówisz, nie jest zbyt rozsądne. Mielicie wszelkie powody, by sprawdzić Rudolfa Fjorda. Przede wszystkim z uwagi na tę jego kłótnię z Kari Mundal podczas uroczystości żałobnej w...

- Dobrze to pamiętam - przerwał jej gniewnie. - Ale przecież nie minęło jeszcze... pięć dni, odkąd tu siedziałaś, szkicując profil zabójcy ani trochę niepasujący do Rudolfa Fjorda! Więc dlaczego musiałem prześladować...

- Ty nie uwierzyłeś w ten profil - rzuciła krótko, sięgając po proszek do zmywarki. - Ani wtedy, ani teraz. A w tej chwili, szczerze mówiąc, uważam, że powinieneś przestać się mazać.

- Mazać? Mazać?!

- Owszem. Ty się mažesz. Rozczulasz się nad sobą. Musisz z tym skończyć.

Włączyła zmywarę, odstawiła pudełko z proszkiem na półkę w górnej szafce. Ujęła się pod boki i uśmiechnęła szeroko.

- Głupia - mruknął i niechętnie odpowiedział uśmiechem.

- Poza tym sama stwierdziłaś, że ten twój profil ma słabe strony. Vegard Krogh do niego nie pasuje. Nie był dostatecznie sławny.

Inger Johanne podniosła rzuconą na ziemię Sulamitkę. Oczy w kratce chłodnicy straciły źrenice i wpatrywały się w nią

ośleple. Obróciła w palcach połamaną drabinę.

- Trochę się jeszcze nad tym zastanawiałam.

-No i...?

- Pamiętasz, jak siedzieliśmy tu z Sigmundem? Nie w ten ostatni wtorek, tylko kilka tygodni wcześniej.

-Jasne, pamiętam.

- Sugerowałam sprawcę, który nie kieruje się żadnym motywem.

- Mhm...

- Takich ludzi nie ma.

- Ach tak? Co wobec tego miałaś na myśli?

- Moje rozumowanie wciąż się trzyma kupy. O tyle, o ile. Ktoś, kto wybiera ofiary całkowicie przypadkowo, w wypadku żadnego z zabójstw nie kierując się żadnym motywem, będzie bardzo trudny do wykrycia. Oczywiście przy założeniu, że spełnionych zostanie wiele innych warunków. Na przykład ten, że sprawca dobrze wykonał robotę.

- No... ale wiesz co? Zjadłbym coś.

Inger Johanne z hałasem odstawiła Sulamitkę.

- Nie jesteś teraz głodny. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd jadłeś. Posłuchaj mnie.

- Słucham.

- Problem w tym, że trudno sobie wyobrazić całkowicie przypadkowo dobrany Szereg ofiar. - Inger Johanne usiadła obok męża na stolku. - Przecież ludzie nigdy nie funkcjonują w próżni! Zawsze jesteśmy stronniczy, mamy swoje *likes and dislikes*. .. - Złączyła dłonie koniuszkami palców, utworzyły namiot, do którego wsunęła nos. - Wyobraźmy sobie mordercę - ciągnęła skoncentrowana

- który postanawia zabić. Z jakiegoś powodu. Do tego możemy jeszcze wrócić. Ale postanawia zabić. Nie dlatego, że zależy mu na czyjejś śmierci, tylko dlatego...

- Trudno sobie wyobrazić, aby ktoś został zamordowany z zimną krwią, a zabójca jednocześnie nie pragnął jego śmierci.

- Mimo wszystko spróbujmy - powiedziała zniecierpliwiona. Złożyła dłonie i zacisnęła tak, że aż pobieleły jej kostki. - Możliwe, że morderca pierwszą ofiarę wybierze najzupełniej

przypadkowo. Tak jak my, będąc dziećmi, na oślep kręciliśmy globusem. Tam gdzie trafił palec...

- ...mieliśmy pojechać za dwadzieścia pięć lat - dokończył.

- Czytałem nawet o tym książkę dla dzieci.

- Pamiętasz, co się zwykle działo przy drugiej próbie?

-Ja oszukiwałem - odparł z uśmiechem. - Uchyliłem powieki, żeby trafić w ciekawsze miejsce niż kumpel.

- A ja w końcu celowałam z otwartymi oczami - przyznała Inger Johanne. - Koniecznie chciałam pojechać na Hawaje.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Gazety nazywają te zabójstwa zbrodniami doskonałymi. Nic dziwnego, skoro widzą całkowitą bezsilność policji. Uważam, że powinniśmy zmienić punkt widzenia i mówić o doskonałym zabójcy. Ale... - Przygryzła dolną wargę, sięgnęła po kapara w miseczce. - Rzecz w tym, że ktoś taki nie istnieje - podjęła. - Zabójca doskonały jest kompletnie wyrwany z jakiegokolwiek kontekstu. Zabójca doskonały nic nie czuje, nie zna strachu, lęku, nienawiści, a już z całą pewnością nie jest zdolny do miłości. Ludzie wyobrażają sobie zbrodniarzy jako kompletnie pozbawionych uczuć, niebędących w stanie w żaden sposób związać się z innymi żywymi istotami. Zapominają, że nawet symbol potwora pedofila, Marc Dutroux, był żonaty. Hitler skazał sześć milionów Żydów na straszliwe cierpienia i śmierć, ale podobno bardzo kochał swojego psa. Przepuszczalnie można nawet założyć, że był dla niego dobry.

- Hitler miał psa?

Inger Johanne wzruszyła ramionami.

- Tak mi się wydaje. W każdym razie rozumiesz, o co mi chodzi.

-Nie.

Wstała powoli. Wciąż gryzła opornego kapara. Rozejrzała się po pokoju, podeszła do skrzynki z zabawkami Kristiane.

-Jestem osobą, która postanowiła zabić. - Gestem powstrzymała jego zastrzeżenia. - Na moment zapomnij, co mną powoduje.

Sięgnęła po czerwoną piłkę i ułożyła ją na prawej dłoni, przyjmując dramatyczną pozę, niczym Hamlet z czaszką. Yngvar za-

czał się śmiać.

- Nie śmieć się - powiedziała płaskim głosem. - To jest moja kula ziemską. Dużo wiem o przestępstwach, to moja specjalność. Rozumiem zależność między motywem a rozwiązaniem sprawy. Wiem, że morderstwo łatwiej ujdzie mi na sucho, jeśli nikt nie zdoła wykazać żadnego związku między mną a ofiarą. Dlatego kręcę globusem... - Zamknęła oczy i na oślepie uderzyła palcem w czerwoną gumę. - Wybrałam przypadkową ofiarę. Zabijam ją. Wszystko idzie gładko. Nikt nie wpada na mój ślad. - Otworzyła oczy. - Ale w pewnym sensie się zmieniam. Wszystkie czyny, wszystkie wydarzenia wywierają na nas wpływ. Czuję, że mi się powiodło. Łapię przynętę. Chcę to zrobić jeszcze raz. Czuję dzięki temu... że żyję.

Nagle zeszytywniała. Yngvar już otworzył usta.

- Cicho - syknęła. - Cicho!

Z piętra niżej słyhać było dzieci biegające z pokoju do pokoju. Jack głośno szczekał. Gniewny głos dorosłego dochodził przytłumiony spod podłogi.

- Może po nią pójde? - zaproponował Yngvar. - Wydaje mi się, że...

- Cicho! - Wzrok miała daleki, zamarła w komicznej teatralnej pozie. Piłkę wciąż trzymała w dłoni. - Że żyję - powtórzyła, jakby smakowała słowo.

Szybkim ruchem ujęła piłkę w dwie ręce i rzuciła ją na podłogę. Piłka skoczyła w stronę kominka, przewróciła stojącą na podłodze roślinę, ale Inger Johanne najwyraźniej ani trochę się tym nie przejęła.

- Żyję - powtórzyła trzeci raz. - Te zabójstwa to osobliwa forma... sportów ekstremalnych.

- Co ty mówisz? - Yngvar zdziwiony patrzył na żonę. Miała obce, przerażające spojrzenie, zachowywała się jak w transie.

- Sporty ekstremalne - powtórzyła. - Sposób, by poczuć, że się żyje. Tak opisują to ci, którzy te sporty uprawiają. Przyływ adrenaliny, oszołomienie. Poczucie, że rzucają wyzwanie śmierci i ją zwyciężają. Otarcie się o śmierć staje się sposobem na to, by mocniej poczuć życie. My, inni, pytamy po

co. Po co człowiek zmusza się do wejścia na Mount Everest, skoro droga na szczyt jest wybrukowana zwłokami? Jaki jest powód, dla którego ktoś w Meksyku dobrowolnie rzuca się w dół z wysokiej skały, skoro małe błędy w obliczeniu ruchu fal może prowadzić do rozbicia się o głazy?

- Inger Johanne... - Yngvar uniósł rękę.

- Oni twierdzą, iż dzięki temu czują, że żyją - odpowiedziała na własne pytanie. Wciąż nie patrzyła na męża. Teraz wzięła z parapetu szmacianą lalkę Kristiane. Pociągnęła ją za nogi, a potem przytuliła do siebie.

- Inger Johanne - powtórzył kolejny raz.

-Ja ani trochę tego nie rozumiem - szepnęła. - Ale właśnie tak to tłumaczy. Tak mówią, kiedy jest już po wszystkim, gdy uśmiechają się do kamer i do kolegów. Grają życiu na nosie i śmieją się. A potem robią to jeszcze raz, i jeszcze.

Teraz Yngvar już wstał i mocno objął żonę. Nie wiedział, czy płacze, dlatego nic nie mówił.

-Jak gdyby życie samo w sobie nie było wystarczającą wartością - mruknęła, wtulona w jego pierś. - Jak gdyby to, co trywialnie ludzkie, nie było wystarczająco straszne. Jak gdyby miłość, wychowywanie dzieci i starzenie się niedostatecznie przerażało.

Odepchnęła Yngvara od siebie. Nie chciał jej puścić, uparcie jednak go odsuwała. Ale przynajmniej patrzyła mu w oczy, gdy ciągnęła:

- Takie nastawienie widać wszędzie, Yngvarze, w coraz większym stopniu. Przybiera stale nowe formy. Weź choćby program „Jackass”. Ta młodzież się podpala, skacze na rowerze z dachu. Ludzie się nudzą! Śmiertelnie się nudzą! - Prawie krzyknęła, uderzając dłonią w jego pierś. Drżącym głosem ciągnęła: - Słyszałeś, że niektórzy grają w coś w rodzaju rosyjskiej ruletki z nosicielami HIV? Inni wywołują orgazm przez podduszanie. Zdarza się, że umierają, zanim go osiągną. Umierają!

Zaśmiała się histerycznie. Wróciła do kuchennej wyspy, zasłoniła twarz dłońmi.

- „Ludziom dzisiejszego pokroju znana jest wyłącznie jedna

- i zawsze ta sama - radykalna nowina: jest nią śmierć” - zacytowała. - Nie pamiętam, kto to powiedział, ale to prawda. Śmierć to ekskluzywna podnieta, jedyne, czego nigdy nie zdołamy zrozumieć. Tylko o niej nic nie wiemy.

- Czyli ty uważasz... - Yngvar próbował naprowadzić Inger Johanne na konkrety. - Uważasz, że mamy do czynienia z zabójcą, który... się nudzi?

-Jego motyw łączy się nie z osobą, która zostaje zabita, tylko z samym faktem zabicia.

- Inger Johanne...

- Właśnie tak musi być - powtórzyła z uporem. - Zabić kogoś to najbardziej ekstremalny z możliwych wyczynów. Ten morderca jest... To się składa, Yngvarze. Zgadza z teorią, że zabójstwo Fiony Helle nie było jego zabójstwem. On po prostu się nudził. Mats Bohus zamordował swoją matkę i całą Norwegię zatrzęsło. To zabójstwo miało w sobie wszystko, co trzeba. Ofiarę, która była gwiazdą, cechy mordu rytualnego, silną symbolikę. Podniosła się ogłuszająca wrzawa. Nie potrafię wyobrazić sobie czegoś bardziej podniecającego, jakiegoś lepszego zapalnika niż takie zabójstwo. Zwłaszcza że wykazywało tyle podobieństw z pierwszym zabójstwem w innej serii, w innej opowieści o...

- Posłuchaj teraz, co sama twierdzisz - odezwał się Yngvar napastliwie, podniesionym głosem. - Jeśli podsumujemy twój profil, to: A... - Zaczął odliczać na palcach. - Zabójca wie prawie wszystko, co warto wiedzieć o przestępstwach. B: W jakimś momencie słuchał wykładu Warrena na temat *Proportional retribution*.

- Albo o nim słyszał - poprawiła go Inger Johanne.

- Co odbiera nam pewność, że w ogóle jest Norwegiem - dodał Yngvar, krzywiąc się. - Po trzecie: dla tego sprawcy zabójstwa są czymś w rodzaju spędzania wolnego czasu, zabawy. Pomagają mu oderwać się od nudnego, pozbawionego treści życia. Próbuje wybierać...

- ...swoje ofiary przypadkowo - dokończyła; policzki miała czerwone, oczy błyszczące. - Przynajmniej tę pierwszą. Miał tylko jedno kryterium. Ta osoba musiała być znana. Pragnie

maksymalnego rozgłosu. Chodzi mu o napięcie. On się bawi, Yngvarze.

- Znów wracamy do punktu wyjścia. - Z rezygnacją pogładził się po brodzie. - Vegard Krogh nie był sławny.

- Był wystarczająco sławny - poprawiła go z zapalem. - Przecież i jego śmierć wywołała dostatecznie dużo hałasu. No i był trzeci w serii zabójstw sławnych ludzi. Zabójca o tym wiedział. Wiedział, że Vegard Krogh jest wystarczająco sławny, i dlatego zrezygnował z przypadkowości.

- Jak to?

- Jedynie komputer gwarantuje całkowicie przypadkowy dobór, Yngvarze. My, ludzie, pozwalamy sobą kierować, świadomie lub podświadomie. Vegard Krogh został wybrany, ponieważ...

Znów była jak nieobecna. Ujęła w palce kosmyk włosów, zaczęła go przygryzać. Hałasy na dole już dawno ucichły. Dzieci wyprawiono na deszcz do ogrodu. Yngvar słyszał dochodzące stamtąd krzyki.

- Zabójca pragnął jego śmierci - stwierdziła Inger Johanne z namysłem. - Jego motywem była przede wszystkim zabawa, gra. Wyzwanie, jakim jest odbieranie komuś życia i unikanie kary. Ale tym razem dał się skusić. Wybrał kogoś, komu źle życzył.

- Vegardowi Kroghowi źle życzyli wszyscy - jęknął Yngvar. - A twój profil nie pasuje do żadnego człowieka, z którym się zetknęliśmy, rozmawialiśmy lub wobec którego mieliśmy choćby cień podejrzeń. Wiesz, ilu to w sumie ludzi? Wiesz, ilu przesłuchaliśmy świadków?

- Na pewno bardzo wielu.

- Kilkuset. Prawie tysiąc przesłuchań. I żadna z tych osób nie pasuje do twojego opisu. Co mamy zrobić? Gdzie on teraz jest? Co trzeba, żeby...

- On nie ustąpi. Przynajmniej na razie. Prawdopodobnie musimy po prostu czekać.

- Na co?

-Na...

- Najlepsza mama na świecie! - krzyknęła Kristiane.

Była w kurtce przeciwdeszczowej. Buty miała przemoczone. Chlupało w nich, gdy pędziła przez pokój, żeby rzucić się matce w objęcia. Jack biegł za nią. Na samym środku podłogi między salonem a otwartą kuchnią stanął i zaczął się otrząsać, opryskując wszystko dookoła prysznicem brudnej wody z kałuż. Na parkiet posypał się piasek i drobniutki żwir.

- Najlepszy pies na świecie! - zawołała Kristiane. - Najlepsza Kristiane na świecie! I tatuś. I Yngvar. I dom. I...

- Dzień dobry wszystkim. Po prostu wszedłem. Jej plecak już gotowy? - Isak ze śmiechem głąskał popiskującego i merdającego ogonem psa. - Żeglowałem. Przemokłem tak samo jak Kristiane. Trudna pogoda na żagle, zimno jak diabli. Wspaniały wiatr. Ale potem zaczęło padać, cholera! Chodź, kochaneczko, pojeździmy dzisiaj na gokartach. To fajna zabawa!

Sunął po podłodze w brudnych skarpetkach. Sięgnął po wóz strażacki, schował go do kieszeni.

- Pa, mamó! Pa, Yngvar! - Dziewczynka tanecznym krokiem poszła za ojcem.

Yngvar i Inger Johanne w milczeniu słuchali myszkowania po pokoju Kristiane. Kiedy Inger Johanne chciała iść pomóc, Yngvar ją zatrzymał. Pięć minut później usłyszeli ryk silnika audi TT należącego do Isaka, jadącego w górę Hauges vei.

- Założę się, że nie wziął jej piżamy ani szczoteczki do zębów
- stwierdziła Inger Johanne.

Udała, że nie słyszy pełnego rezygnacji westchnienia Yngvara, który zaraz dodał:

- Szczoteczkę do zębów można kupić na każdej stacji benzynowej. A spać mała może w T-shircie. Isak pamięta! o Sulamitce i to jest najważniejsze. Nie rób tyle...

Poderwała się gwałtownie, poszła do łazienki.

Jestem nudna, pomyślała, wkładając brudne ubrania do pralki. Jestem mało interesująca i niewyrafinowana. Wiem. Jestem odpowiedzialna i rzadko impulsywna. Jestem nudna.

Ale przynajmniej nigdy się nie nudzę.

*

Mężczyzna, który siedział na krześle, z tarczą strzelecką

przymocowaną agrafką do kieszonki na piersi, był gwiazdą niepopularną. Nasada związanych w koński ogon długich włosów układała się na czole w diaboliczny szpic. Jego twarz miała w sobie coś praludzkiego, może przez ciężką fałdę nad oczami; zrosnięte brwi przypominały lizskę wijącą się w poprzek twarzy. Nos wyrafinowany, prosty i wąski, wargi pełne. Kozia bródka sterczała nietwarzowo tuż spod ust, język ledwie można było dojrzeć między kłami, które miały starte czubki. Kąciki ust zwisały w brzydkim grymasie. Nad jego głową wisiało cynkowe wiadro umocowane do ściany gwoździem wbitym w dno.

Havard Stefansen uprawiał biathlon. Do tej pory jego największym osiągnięciem jako seniora było zdobycie dwóch indywidualnych srebrnych medali na mistrzostwach świata. W ubiegłym sezonie trzykrotnie zwyciężył w Pucharze Świata. Ponieważ miał dopiero dwadzieścia cztery lata, stał się największą nadzieją Norwegii na następną olimpiadę w Turynie w 2006 roku.

Jeśli tylko będzie w stanie się opanować, jak oficjalnie ostrzegł go szef kadry zaledwie przed sześcioma tygodniami.

W ciągu dwóch sezonów w kadrze narodowej seniorów Havarda Stefansena odsyłano do domu ze zgrupowań i zawodów już czterokrotnie. Był arogancki, nie umiał przegrywać. Gdy jakiś bieg mu nie wyszedł, nie owijając w bawełnę, zwał winę na rywali. Twierdził, że inni biorą koks. Oszukują. I cudzoziemców, i własnych kolegów z reprezentacji traktował z pogardą. Był nieokrzesanym egocentrykiem i nikt nie chciał mieszkać z nim w pokoju. Sprawiał wrażenie, że jest mu to obojętne.

Publiczność też go nie lubiła i nigdy nie miał osobistych sponsorów. Samochwalstwo i groźne tatuaże nie pasowały do tej dziedziny sportu. Na trasach witano go buczeniem albo ciszą. Ale wydawało się, że jemu w pewnym sensie to się podoba. Z każdym miesiącem biegał szybciej, strzelał celniej i nie robił nic, by poprawić swój wizerunek.

Teraz było już za późno.

Drugiego marca, we wtorek, cel umieszczony na sercu spor-

towca został trafiony w samo centrum. Havard Stefansen miał szklane spojrzenie. Kiedy Yngvar Stubø pochylił się nad ciałem, wydało mu się, że dostrzega lekkie siniaki nad powiekami, jak gdyby ktoś zmusił tego mężczyznę do otwarcia oczu.

- On nie został zabity tutaj - stwierdził Erik Henriksen, policjant z Komendy Miejskiej w Oslo, któremu spod papierowego czepka sterczały rude włosy. - To raczej oczywiste. Został dźgnięty nożem w plecy. Prawdopodobnie podczas snu. Nie ma oznak walki, za to w łóżku jest pełno krwi. Wyraźne ślady prowadzą tutaj. Ubranie narzucono na niego później. Przypuszczamy, że został zabity we śnie, przyciągnięty tutaj, ubrany i umieszczony na tym krześle.

- Dziura po kuli - mruknął Yngvar. W głowie mu się zakręciło.

- To śrut - powiedział Henriksen. - Strzelono do niego z wiatrówki. Zorganizował sobie tutaj coś w rodzaju halowej strzelnicy.

- Wskazał wiadro, na którego otworze umieszczono papierową tarczę. - Ale oczywiście tylko do strzelania z wiatrówki. Wiadro wyłapuje naboje. Broń wydaje z siebie tylko ciche puknięcie. To wyjaśnia, dlaczego nikt nic nie słyszał. Gdyby facet żył w momencie, gdy padł strzał, prawdopodobnie odczułby silny ból, ale nic poza tym. To natomiast... - wskazał prawą ręką Havarda Stefansena. Półotwarta i rozluźniona spoczywała na kroczu. Brakowało palca wskazującego. Został po nim nierówny kikut. - Palec naciskający spust. Spójrz tutaj.

Przeszedł na drugi koniec korytarza. Papierowy kombinezon szeleścił przy każdym jego ruchu. Do drewnianego kozła sznurem i taśmą klejącą przymocowana była wiatrówka. Lufę podtrzymywał ukośnie ustawiony kij od szczotki. Na spuście broni skierowanej w serce Havarda Stefansena leżał jego palec. Sinawy, z odrobinę za długim paznokciem.

- Muszę wyjść - oświadczył Yngvar. - Przepraszam. Tylko...

- Wprowadźcie to nasza sprawa - powiedział Erik Henriksen

- ale uznałem, że najlepiej będzie, jeśli wy z Kripos tu

zajrzycie. To przecież podejrzenie przypomina...

Sportowiec, pomyślał zdesperowany Yngvar. Właśnie na to czekaliśmy. Nic nie mogłem zrobić. Nie mogliśmy czuwać nad wszystkimi gwiazdami sportu w całym kraju. Nie mogliśmy podnieść alarmu. Wywołalibyśmy panikę. I przecież nic nie wiedziałem na pewno. Inger Johanne domyślała się, przypuszczała i czuła. Ale nie wiedzieliśmy nic na pewno. Co powinienem był zrobić? Co mam zrobić teraz?

- W jaki sposób sprawca się tu dostał? - wydusił z siebie. - Włamanie? Okno?

- Jesteśmy na piątym piętrze - przypomniał Henriksen nie bez irytacji; ten facet z Kripos nie pasował do legend, które o nim krążyły. - Ale spójrz tutaj!

Chociaż mieszkanie znajdowało się w starej kamienicy, drzwi wejściowe wyglądały na nowe. Miały solidny nowoczesny zamek. Henriksen wskazał długopisem.

- Stara sztuczka. Cienkie drewnienko wetknięte i w dziurkę od klucza, i tutaj. - Długopisem dotknął samej zapadki. - Zaklinowana. Prawdopodobnie zapalkami.

- O rany - mruknął Yngvar. - Trywialny chuligański wybryk.

- Wstępnie zakładamy, że drzwi pozostawały otwarte, w czasie kiedy Havard Stefansen przebywał w domu, ale nie spał. Ktoś zepsuł zamek. Mieszkanie jest dostatecznie duże, by dało się to zrobić, kiedy on na przykład jadł. A ponieważ to ostatnie piętro, ryzyko przyłapania na gorącym uczynku jest minimalne.

- Schował długopis do kieszonki na piersi białego kombinezonu. - Nie wiadomo, czy Havard Stefansen w ogóle próbował zamykać drzwi przed pójściem spać. Twardziel, z taką ilością broni w domu nie musiał cierpieć na paranoję. Ale gdyby spróbował się zamknąć, byłoby to trudne.

Morderca staje się coraz bezczelniejszy, pomyślał Yngvar, przymykając oczy. Pulsująco bolała go głowa. Waży się na coraz więcej. Musi mieć coraz więcej emocji. Jak alpinista, który stale musi się wspinać coraz wyżej po coraz bardziej stromych ścianach. Życie coraz niebezpieczniej. Ta ofiara byta silniejsza od niego pod względem fizycznym. Wiedział o tym, dlatego się zabezpieczył. Zabił ofiarę we śnie. Prostacki atak od tyłu. Bez

żadnej symboliki, bez finezji. To nie ma dla niego żadnego znaczenia. To my, świat zewnętrzny, mamy zrozumieć przesłanie. To nas ma szokować ten żywy obraz. Sportowiec celujący prosto we własne zatwardziałe serce. Morderca nas chce sprowokować. Nas. Mnie?

- Facet spał z włosami związanymi w koński ogon? - spytał, żeby powiedzieć cokolwiek.

- To przecież fajnie wygląda. - Henriksen wzruszył ramionami i dodał: - Możliwe, że sprawca związał mu włosy gumką, żeby... był bardziej sobą. Żeby ta iluzja stała się mocniejsza. I to mu się udało, jeśli można tak powiedzieć. Jasna cho... - urwał, może z szacunku dla zmarłego.

Któryś z kolegów wetknął głowę przez drzwi na klatkę schodową.

- Cześć - szepnął. - Erik, jest tutaj kobieta, która nas powiadomiła. Ta, która znalazła zwłoki.

Erik Henriksen kiwnął głową i uniósł rękę na znak, że zaraz przyjdzie.

- Dość już widziałeś?

- Więcej niż dość - odparł Yngvar i wyszedł za nim z mieszkania.

Na klatce stała kobieta, wysoka, miała ciemne włosy opadające w nieporządnym lokach. Odcień jej cery wskazywał, że dużo czasu spędza na powietrzu. Wiek trudno było określić. Miała na sobie dzinsy i obszerny zielony sweter. Światło lampy sufitowej odbijało się w jej wąskich okularach, co utrudniało zobaczenie oczu. Yngvarowi wydała się znajoma.

- To jest Wencke Bencke - powiedział policjant, który przed chwilą ich wezwał. - Mieszka piętro niżej. Szła na strych odstawić walizki. Drzwi były otwarte, więc...

- Zadzwoiłam - przerwała mu. - A ponieważ nikt mi nie otworzył, pozwoliłam sobie zajrzeć do środka. Zakładam, że wiecie już, co zobaczyłam. Natychmiast zatelefonowałam na policję.

- Wencke Bencke - powtórzył Erik Henriksen i ściągnął z głowy komiczny czepek. - Autorka powieści kryminalnych?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się tajemniczo.

Nie do Henriksena, który zadał pytanie. Uśmiech nie był też skierowany do policjanta w mundurze, który sprawiał wrażenie, że zaraz wyciągnie z kieszeni kawałek kartki i poprosi o autograf.

Patrzyła na Yngvara. To do niego się zwróciła, gdy wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Yngvar Stubø, prawda? Miło wreszcie pana poznać.

Uścisk jej ręki był mocny, niemal twardy. Dłoń duża i szeroka, niezwykle ciepła. Yngvar puścił ją szybko, jakby się sparzył.

Morderca Gwiazd stał się potworem.

Prasa wprowadzie nieco się uspokoiła, kiedy zabójcą Fiony Helle okazał się pacjent szpitala psychiatrycznego powodowany motywem, który większość ludzi mogła jakoś zrozumieć. Przez krótki czas dziennikarze sugerowali, że w grę wchodzi coś zaraźliwego. Możliwe, że nie ma mowy o seryjnym zabójcy, przyznawali komentatorzy, tylko raczej o przerażającym zbiegu pojedynczych bestialskich zabójstw. Gdy Rudolf Fjord zdecydował się targnąć na własne życie, media zaskakująco przycichły, niemal bez emocji informując o tym tragicznym zgonie.

Ale gdy znaleziono Havarda Stefansena zabitego na swojej domowej strzelnicy, z tarczą strzelecką przypiętą do piersi, Norwegia znów eksplodowała.

Na arenę wrócili psychologowie. Towarzyszyli im prywatni detektywi i zagraniczni eksperci policyjni. Naukowcy i analitycy kryminalistyczni. Eksperci rysowali i wyjaśniali na całych kolumnach gazet i we wszystkich kanałach telewizji. W ciągu jednej doby seryjny zabójca znów wrócił do powszechnej świadomości. Był potworem. Zdegenerowanym psychopatą. W parę dni zdążył zmienić się w postać mityczną, jakie można znaleźć jedynie w mrocznych opowieściach gotyckich.

Rodzina królewska wyjechała za granicę, przy czym Zamek nie udzielał informacji o ewentualnej dacie powrotu. Wieść niosła, że w parlamencie podwojono strażę, chociaż szef do spraw bezpieczeństwa, surowy i poważny, odmówił komentarza. Odwoływano premiery teatralne. Nie odbywały się zaplanowane koncerty. Od dawna omawiany ślub jednego z czołowych polityków z ważną postacią z gospodarki odwołano na trzy dni przed uroczystością. Został przełożony na jesień, jak powiedział oszczędny w słowach narzeczony, chociaż zapewnił, że miłość wciąż kwitnie.

Również zwykli ludzie, których nazwiska nigdy nie pojawiły

się w gazetach ani twarze w kolorowych tygodnikach, wyrzucali na śmietnik bilety do kina, postanawiając, że mimo wszystko w ten weekend nie wyjdą na miasto. Atmosfera ciekawości, radości z cudzego nieszczęścia i lęku kazała ludziom trzymać się wśród bliskich.

Tak było najbezpieczniej.

Inger Johanne Vik i Yngvar Stubø również siedzieli w domu. Nadszedł już czwartek, czwarty marca, zbliżała się dziewiąta wieczorem. Ragnhild spała. Telewizor był włączony, ale z przyciszonym dźwiękiem, bo nikt nie oglądał programu.

Od dwóch dni prawie ze sobą nie rozmawiali. Oboje dźwigali lęk zbyt wielki, by móc się nim podzielić. Zabójca tym razem wybrał sportowca. Pozostawała jeszcze tylko jedna sprawa z wykładu Warrena Scifforda na temat *Proportional retribution*, więc Inger Johanne i Yngvar krążyli wokół siebie sztywni i pełni udawanej życzliwości. W domu nie brakowało zajęć. Lęk dawało się zamaskować powszedniością.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Yngvar montował półki w łazience. Od pół roku leżały w schowku. Inger Johanne tylko czekała na płacz Ragnhild, bo walenie młotkiem poderwałoby umarłego. Nie miała jednak siły zwracać mężowi uwagi. Siedziała na kanapie i przerzucała strony w książce. Czytanie okazało się niemożliwe.

Program „Redakcja Numer 1” został dzisiaj rozszerzony do godziny - poinformował ledwie słyszalny spiker.

Inger Johanne sięgnęła po pilota i nastawiła dźwięk głośniejsze. Jeszcze leciała czołówka.

Prowadzący ubrany był na czarno, jakby wybierał się na pogrzeb. Nie uśmiechał się, w przeciwieństwie do zwykłych początków programu. Inger Johanne nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej widziała tego doświadczonego dziennikarza w krawacie.

Pani komendant główna policji była również ubrana stosownie na tę okazję. Mundur miała luźny, już wcześniej chuda jak patyk, w ostatnich tygodniach jeszcze schudła. Siedziała sztywno wyprostowana jak na warcie. Wyjątkowo miała problemy z udzielaniem jasnych odpowiedzi na

zadawane pytania.

- Yngvar! - zawołała Inger Johanne. - Powinieneś tu przyjść.
Gniewne walenie z łazienki.

- Yngvar!

Poszła po niego. Na czworakach usiłował rozłączyć dwie półki.

- Cholerny szajs! - syknął przez zęby. - Ta instrukcja jest zupełnie do niczego.

- Nadają program nadzwyczajny o twojej sprawie.

- To nie jest moja sprawa. Nie jestem jej właścicielem.

- Nie wygłupiaj się! Chodź! Półki nigdzie nie uciekną.

Odłożył młotek.

- Spójrz - powiedział niepewnie, wskazując podłogę. - Zbiłem kafelek. Przepraszam. Nie pomyślałem, że...

- Chodź - powtórzyła krótko i wróciła do salonu.

... mamy też oczywiście szereg śladów w sprawie - mówiła w telewizji pani komendant. - A raczej w sprawach, tak powinnam powiedzieć. Ale nie są jednoznaczne. Uporządkowanie ich może potrwać. Ta sprawa jest bardzo złożona.

- Ślady! - prychnął Yngvar, który przyszedł za Inger Johanne i opadł na drugą kanapę. - Pokażcie mi je! Pokażcie mi te ślady!

Otarł twarz połą koszuli i sięgnął po puszkę z ciepłym piwem stojącą na stoliku.

Czy pani rozumie, że ludzie się boją? - spytał prowadzący, który pochylił się do przodu i z rezygnacją rozłożył ręce. - Po czterech bestialskich zabójstwach, kiedy śledztwo wydaje się tkwić w martwym punkcie, boją się śmiertelnie.

Muszę to skorygować - stwierdziła pani komendant i chrząknęła w zaciśniętą dłoń. - Mówimy o trzech sprawach. Trzech. Zabójstwo Fiony Helle w opinii policji i prokuratury zostało rozwiązane. Śledztwo wciąż jeszcze nie jest zamknięte, lecz akt oskarżenia będzie gotowy w ciągu...

Trzy sprawy - przerwał jej prowadzący. - No dobrze. Co w związku z nimi macie?

Proszę o wyrozumiałość, ale nie mogę zdradzać bliższych szczegółów na temat ocen dokonywanych na bieżąco w trakcie

śledztwa. Dziś mogę jedynie powiedzieć, że poświęcamy dużo sił i środków...

Wyrozumiałość - wtrącił prowadzący. - *Pani prosi o wyrozumiałość, ponieważ nic nie macie? A ludzie muszą się barykadować w domach i...*

- On się boi - stwierdził Yngvar i wypił ostatni łyk zwietrzałego piwa. - Nigdy nie bywa aż tak napastliwy. Podchwytliwe pytania są bardziej w jego stylu, prawda? Zawsze się uśmiecha i pozwala, żeby ludzie sami się wygłupili.

Inger Johanne nastawiła jeszcze głośniej.

- On jest śmiertelnie przerażony - powtórzył Yngvar. - On i jeszcze parę tysięcy ludzi, którzy żyją w tym pudełku. - Pustą puszką po piwie wskazał telewizor.

- Cicho!

- Chodź tutaj - poprosił.

-Co?

- Możesz tutaj przyjść? Usiąść koło mnie?

-Ja...

- Tak cię proszę.

Pani komendant wreszcie odpuszczono. Podczas wymiany gości w studiu usiłowano nadać reportaż z kamienicy, w której przed dwoma dniami znaleziono zamordowanego Havarda Stefansena. Taśma wideo się zawiesiła, panorama od bramy do okna na piątym piętrze zastygła w pół ruchu i zmieniła się w niewyraźny, zatrzymany obraz wstrząśniętej kobiety wyglądającej zza zasłony na drugim. Dźwięk warczał, coś piszczalo. Nagle na ekranie znów pojawił się prowadzący.

Przepraszamy za kłopoty techniczne. Myślę, że wobec tego możemy...

- Zawsze będziemy się kochać - mruknął Yngvar, wachając włosy Inger Johanne, która położyła się przy nim i oboje nakryła pledem.

- Być może. - Inger Johanne wolno powiodła palcem po jego przedramieniu. - Pod warunkiem że obiecasz, że już nigdy nie będziesz się zajmować majsterkowaniem.

Witamy w studio Wencke Bencke.

- Kogo?! - zdumiał się Yngvar.

- Cicho!

Dziękuję - powiedziała Wencke Bencke bez uśmiechu.

Jest pani autorką aż siedemnastu powieści kryminalnych - zaczął prowadzący. - Wszystkie opisują seryjne zabójstwa. Uważa się panią za eksperta w tej dziedzinie i zbiera pani wyrazy uznania za staranne opracowanie i wnikliwy research, również gdy chodzi

o pracę policji, jak dzisiaj skonstatowaliśmy. Z wykształcenia jest pani prawniczką, prawda?

Owszem, zgadza się - odparła wciąż z powagą. - *Ale z prawniczki niewiele już we mnie zostało. Od 1987 roku piszę powieści.*

A my bardzo się cieszymy, że możemy panią tu dzisiaj gościć, ponieważ minęło aż dwanaście lat, odkąd udzieliła pani wywiadu w kraju. Oczywiście sprowadziły panią do nas tragiczne okoliczności. Ale wolno mi chyba zadać na wstępie kilka pytań niezbyt serio. Ile osób pani zgładziła przez te wszystkie lata?

Nachylił się do niej z wyczekiwaniem, jak gdyby spodziewał się, że dostąpi udziału w wielkiej tajemnicy

Sama już nie wiem - odpowiedziała z uśmiechem. Zęby miała niezwykle białe i równe jak na osobę, która ładne parę lat temu przekroczyła czterdziestkę. - *Straciłam rachubę. Ale jakość jest mimo wszystko ważniejsza od ilości. Również w moim fachu. Koncentruję się na finezji. Można powiedzieć, że z oryginalności czerpię... przyjemność.*

Odgarnęła grzywkę z czoła, ale włosy natychmiast jej opadły.

Inger Johanne uwolniła się z objęć Yngvara, bo o mało jej nie udusił. Przed chwilą sięgnął po „Dagbladet” leżącą na stole. Sprawdził w niej coś i zaraz upuścił gazetę na podłogę. Inger Johanne do połowy obróciła się w jego stronę, pytając:

- Co się stało?

... więc to pani znalazła ostatnią ofiarę - dobiegło z telewizora. - *Swojego najbliższego sąsiada. Co zdaniem pani, niezaprzeczanego eksperta w tej dziedzinie, może się kryć za...*

- Co się dzieje, skarbie?

.. .pragnienie, by to wyglądało na coś innego niż...

- Yngvar!

Skórę miał wilgotną, poszarzałą.

- Yngvar! - krzyknęła i stoczyła się z kanapy. - Co ci jest?

.. *..przypomina sprawy z innych miejsc poza naszym kontynentem. Nie tylko ze Stanów Zjednoczonych, lecz również z Anglii, a przede wszystkim z Niemiec, znamy...*

Inger Johanne uniosła rękę. Uderzyła Yngvara w twarz. Trzaśnięcie płaskiej dłoni o policzek nareszcie zmusiło go do podniesienia wzroku.

- To ona - powiedział.

... *być ostrożni z wyciąganiem wniosków kierujących się...*

- Co się z tobą dzieje?! - krzyczała Inger Johanne. - Myślałam, że masz zawał! Tysiąc razy ci mówiłam, że powinieneś schudnąć, że nie wolno ci tykać cukru i...

- To ona - powtórzył. - Ona, tam!

.. *z tym zastrzeżeniem, że przez ostatnie miesiące byłam za granicą i śledziłam tę sprawę wyłącznie za pośrednictwem Internetu, a od czasu do czasu jakiejś gazety, twierdziłabym, że...*

- Czyś ty oszalał?! - wrzasnęła Inger Johanne. - Czyś ty kompletnie oszalał?! Dlaczego miałyby...

Yngvar wciąż wskazywał ekran telewizora. Kolory powoli mu wracały, oddychał spokojniej. Inger Johanne wolnym ruchem odwróciła się do odbiornika.

Wencke Bencke nosiła okulary bez oprawki. Odbijało się w nich ostre światło studyjnych reflektorów, utrudniając zobaczenie jej oczu. Kostium miała odrobinę za mały, pewnie kupiła go w nadziei, że schudnie. W klapę marynarki wpięła maleńki znaczek. Na szyi błyszczał złoty łańcuszek. Była opalona.

Dość czarno to widzę - odpowiedziała na pytanie, którego Inger Johanne nie uchwyciła. - *Skoro policja wciąż zdaje się nie mieć pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, trudno mi sobie wyobrazić, by szansa na wykrycie sprawcy była inna niż minimalna.*

Naprawdę tak pani sądzi? — Prowadzący gestem zachęcił ją do pełniejszej odpowiedzi.

- Nie rozumiem... - zaczęła Inger Johanne, odwracając się do Yngvara.

- Bądź cicho, proszę. Daj mi posłuchać, co ona mówi.

Musimy już kończyć tę część programu - oświadczył prowadzący. - Pozwoli pani tylko, że na koniec spytam, czy pani, patrząc na te ostatnie straszne rzeczywiste wydarzenia, nie ma dość wymyślania i opisywania zbrodni w książkach, które służą w zasadzie wyłącznie rozrywce?

Wencke Bencke poprawiła okulary. Nos miała trochę za mały w stosunku do szerokiej twarzy i okulary cały czas się z niego zsuwały.

Owszem - przyznała. - Czasami mam dość. Ale oprócz pisania powieści kryminalnych nic więcej nie umiem. Zaczynam już wchodzić w lata, no i... - Uniosła krótki gruby palec i zerknęła w kamerę. Oczy nagle stały się wyraźne. Okazały się piwne i błyszczące w uśmiechu, od którego w policzkach zrobiły się podłużne dołeczki. - ... od stawki za godzinę może zakręcić się w głowie. To bardzo pomaga.

Dziękujemy pani za udział...

Trzask.

Inger Johanne odłożyła pilota.

- Co masz na myśli? - spytała szeptem. - Tak okropnie mnie wystraszyłeś, Yngvarze. Myślałam, że umierasz.

- Wencke Bencke zabiła Vibeke Heinerback - oświadczył, ścisnąc w rękach puszkę po piwie. - To ona zabiła Vegarda Krogha. I swojego sąsiada, Havarda Stefansena. To ona jest Mordercą Gwiazd. Tak to musi wyglądać.

Inger Johanne powoli usiadła. W domu panowała cisza, z zewnątrz też nie dochodził żaden dźwięk. Sąsiedzi wyjechali. W willi po drugiej stronie drogi zgasło światło, a z sypialni dobiegi nagle płacz, przenikliwy płacz siedmiotygodniowego niemowlęcia.

*

Wencke Bencke wolno przeszła przez obrotowe drzwi recepcji telewizji NRK. Marcowy wieczór był chłodny. Wiało. Kiedy spojrzała w niebo, w ciemnoniebieskiej szczelinie między przesuwającymi się chmurami zobaczyła mrugającą Wenus.

Uśmiechnęła się do dziennikarzy, a fotografom pozwoliła zrobić kolejne zdjęcia, zanim wsiadła do taksówki i podała kierowcy adres.

Wszystko wyglądało teraz inaczej. Całkiem inaczej, niż kiedykolwiek mogła mieć na to nadzieję. Zauważyła to już na lotnisku Gardermoen w ostatni piątek, gdy z szerokim uśmiechem dziękowała stewardesie za lot. Wcześniej chodziła niekończącymi się korytarzami lotniska zgarbiona i ociężała, teraz z wyprostowanymi plecami maszerowała, wymachując torbą ze sklepu bezcłowego. Podniosła wzrok. Zwróciła uwagę na szczegóły pięknego budynku, olbrzymie belki stropowe z klejonego drewna i grę kolorów w dekoracji przed halą przylotów. Cierpliwie czekała na bagaż, gawędząc z rudowłosym dzieckiem. Uśmiechała się do ojca dziecka, poprawiając połę nowego płaszcza od Armaniego kupionego w Galerie Lafayette w Nicei, w którym wyglądała tak inaczej, jak się czuła.

Była silna.

I tak cudownie pewna siebie.

Wiele lat temu, gdy oddała swój pierwszy rękopis, podjęła decyzję. Zostanie ekspertem od zbrodni. Specjalistką od zabójstw. Na krytykach nie można polegać. Dialektyka mediów była przewidywalna i okropna; najpierw cię budują, a potem burzą. Redaktor naczelny w wydawnictwie przestrzegł ją wtedy. Patrzył na nią z niewypowiedzianym smutkiem w oczach, jak gdyby Wencke Bencke, debiutująca autorka powieści kryminalnych, dobrowolnie wchodziła w płonący wiecznie czyszcowy ogień.

Wtedy podjęła decyzję.

Nigdy nie przeczyta żadnej recenzji.

Nigdy, przenigdy nie popełni błędu.

Stworzy doskonałą intrygę i nigdy źle nie oceni skutku działania broni. Dowie się wszystkiego o ludzkiej anatomii, o użyciu noża, uderzeniach, ranach postrzałowych i zatruciach. O śledztwie i taktyce. O chemii, biologii i psychologii. Zdobędzie wiedzę o całym zbrodniczym łańcuchu pokarmowym, od potężnych organizacji poczynając aż po żalonych ćpunów

kulących się na samym dnie drabiny z wyciągniętą ręką i pytaniem: „Masz jakieś drobne?”.

Pierwszej obietnicy nie zdołała dotrzymać.

Czytała recenzje, gdy tylko się ukazały.

Ale nikt nigdy miał nie powiedzieć: Wencke Bencke nie ma pojęcia, o czym pisze.

I nikt też tak nie mówił.

Od 1987 roku studiowała i czytała. Przeprowadzała badania terenowe. Podróżowała. Obserwowała i sprawdzała. Z czasem rozumiała, że teoria nigdy nie zastąpi praktyki. Fikcyjny wszechświat okazał się za mało konkretny. Prawdziwe życie było pełne szczegółów i nieprzewidzianych zdarzeń. Przy biurku trudno sobie wyobrazić całe roje pozornie nic nieznaczących epizodów, trywialnych zdarzeń, które mimo wszystko mogły mieć decydujące znaczenie w sprawie o zabójstwo.

Zacząła prowadzić kartoteki prawdziwych osób.

Archiwum powstało w roku 1995. Do książki, którą zamierzała napisać, potrzebowała kierownika domu dziecka i policjanta o zszarganej opinii. Wstrząśnięta zorientowała się, jak łatwo ich odnaleźć. Owszem, śledzenie ludzi było nudne, polegało na długich godzinach wyczekiwania i robieniu mało istotnych obserwacji, powstawały notatki suche i beznamiętne.

Ale pisanie stało się łatwiejsze.

Krytycy byli nastawieni pozytywnie. Książka numer osiem została przyjęta z pewnym podziwem, podobnie jak debiut. Paru recenzentów podkreślało, że Wencke Bencke od dawna nie sprawiała wrażenia tak świeżej i energicznej.

Mylili się.

Nudziła się bardziej niż kiedykolwiek. Żyła na uboczu świata. Archiwizowała życie innych, nie biorąc w nim udziału. Na rosnącą kartotekę kupiła stalową szafę ognioodporną, którą umieściła w sypialni.

Od czasu do czasu, siedząc w łóżku nocą, czytała zawartość jakiejś teczki. Często wprawiało ją to w irytację. Ludzie żyli tak jednostajnie. Praca i dzieci, zdrada i pijaństwo. Remonty

domów i rozwody, kłopoty finansowe i udział w kiermaszu rzeczy używanych, z którego dochód przeznaczano na lokalną drużynę piłkarską.

Nieważne, czy chodziło o polityków czy dentystów, o bogatych czy o klientelę opieki społecznej, mężczyzn czy kobiety, wszystko jedno, i tak byli cholernie identyczni.

Ja jestem wyjątkowa, pomyślała, rozsiadając się na wygodnym siedzeniu taksówki. Teraz mnie widzą. Nareszcie widzą mnie taką, jaka jestem. Nadzwyczajnego eksperta. Nie kogoś, kto każdej literackiej jesieni zdaje kolejny egzamin przed cierpiącymi na nad- kwasotę krytykami. Ja to potrafię. Ja wiem. I wykonuję.

On mnie widział. Wystraszył się. Czulaam to; przyciągnął rękę do siebie i odwrócił wzrok. Teraz mnie widzą. Ale nie tak, jak ja widzę ich. Nie tak, jak widzę ją. Jej teczka jest gruba. Najgrubsza ze wszystkich. Od dawna ją obserwuję i już ją znam.

Widzą mnie i nic nie mogą zrobić.

*

- Spójrz na to!

Yngvar pokazał Inger Johanne „Dagbladet” rozłożoną na stronie piątej. Wciąż był blady, ale nie wyglądał już na chorego.

- Wencke Bencke - stwierdziła Inger Johanne, która chodziła po pokoju z Ragnhild w objęciach. - No i co?

- Spójrz na jej znaczek. Ten w klapie marynarki.

Delikatnie oddała Yngvarowi dziecko, sięgnęła po gazetę i przeszła parę kroków bliżej stojącej lampy.

- Wszystko się zgadza - oświadczył! Yngvar, kołysząc Ragnhild.

- Aż za dużo z tego twojego profilu się zgadza. Wencke Bencke rzeczywiście zawodowo zajmuje się zbrodnią. To przecież autorka powieści kryminalnych ciesząca się międzynarodową sławą! Na zabójstwach seryjnych zna się lepiej niż ktokolwiek inny. Dość nieprzyjemna dziwaczka, sądząc po jej portretach kleconych przez dziennikarzy, chociaż z norwesкими mediami w ogóle nie rozmawiała do tej pory. Coś musiało się zmienić. Od dawna jest samot- niczką,

dokładnie tak jak opisywałaś. Tak jak pokazałaś w profilu. Przyjrzyj się jej odznace.

Na zdjęciu w „Dagbladet” Wencke Bencke nie wyszła zbyt korzystnie, akurat coś mówiła, usta miała otwarte, a oczy skryte za okularami, które ledwie trzymały się na samym koniuszku małego zadartego nosa, zbyt okrągłe. Ale zdjęcie było ostre, a odznaka w lewej klapie marynarki pisarki wyraźna.

- Wiedziała, kim jestem - rzucił Yngvar. - To mną się interesowała.

- Jest jeszcze gorzej, niż ci się wydaje - orzekła Inger Johanne.

- Gorzej?

- Tak.

- Co masz na myśli?

Inger Johanne bez słowa wyszła z sypialni. Usłyszał, że szuka czegoś w szufladach dużej komody. Trzasnęły drzwiczki jakiejś szafki. Potem poszła dalej. Do schowka, jak się domyślał.

- Przyjrzyj się temu.

Znalazła to, czego szukała. Wzięła od niego Ragnhild i położyła ją na pleckach na podłodze pod stojakiem do gimnastyki dla niemowląt. Dziecko zagruchało i próbowało rączką dosięgnąć kolorowych figurek. Inger Johanne podała Yngvarowi odnaleziony segregator, biały z dużym okrągłym logo na okładce.

- To logo FBI. - Yngvar zmarszczył czoło. - Znam je. Mam w biurze plakat. Właśnie w tym rzecz, właśnie dlatego...

Inger Johanne wskazała zdjęcie w „Dagbladet”.

- Wiem. Ale to jest gorsze, niż ci się wydaje. - Usiadła obok niego na samym brzeżku kanapy. - Amerykanie kochają swoje symbole. Flagę. *Pledge of Allegiance*. Pomniki. Nic nie jest przypadkowe. To niebieskie... - wskazała ciemne tło emblematu i wagę na samej górze znajdującej się na środku tarczy - .. oznacza sprawiedliwość. W kole jest trzynaście gwiazdek, symbolizujących trzynaście pierwszych stanów Ameryki. Białe i czerwone pasy są z flagi. Czerwony to odwaga i siła. Biały - czystość, światło, prawda i pokój.

- Najwyraźniej uważają, że odwaga i siła są ważniejsze od prawdy i pokoju - stwierdził Yngvar. - No bo więcej jest czerwonych pasów niż białych.

Inger Johanne nie miała siły się uśmiechać.

- Tak samo jest w *Star Spangled Banner* - wyjaśniła. - O jeden czerwony pas więcej niż białych. Ten nierówny brzeg wokół emblematu symbolizuje ogromne wyzwania, wobec których stoi FBI, no i siłę organizacji.

Ragnhild wymachiwała rączkami i nóżkami. Drewniane figurki obijały się o siebie. Yngvar podrapał się w szyję i mruknął:

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Widzisz te dwie gałązki? - Powiodła paznokciem wzdłuż listków po obu stronach środkowej biało-czerwonej tarczy. - To liście laurowe. Mając szkło powiększające, naliczyłybyś ich dokładnie czterdzieści sześć. Tyle było stanów w USA w 1908 roku, kiedy założono FBI.

- Imponujesz mi, ale...

- A teraz spójrz na to. - Podniosła do światła stronę gazety ze zdjęciem Wencke Bencke. - Spójrz na jej odznakę. Na liście laurowe. Widzisz?

Zmrużył oczy.

- To wcale nie są liście.

- Nie są - przyświadczyła Inger Johanne.

- To... pióra?

- Tak.

- Pióra zamiast liści laurowych? Dlaczego?

- To orle pióra.

- Orle pióra...

- Kto nosi orle pióra?

- Indianie.

- Wodzowie.

- Wodzowie - powtórzył słabym głosem, wciąż niczego nie rozumiejąc.

Inger Johanne wstała. Delikatnie wzięła Ragnhild na ręce i przyłożyła ją do ramienia. Czuła zapach mydła i kupy. Na śpioszkaach pojawiła się brązowa plama. Przytuliła dziecko do

siebie.

- *The Chief* - powiedziała. - Warren Scifford. Pewna grupa studentów zrobiła kiedyś taki znaczek. Sto sztuk. Wybuchło prawdziwe piekło, kiedy to odkryto, bo z heraldyką FBI nie wolno igrać. Z czasem te znaczki nabrały wielkiej wartości. Ludzie nosili je pod klapami marynarek, wpięte od spodu. Coś w rodzaju znaczka członkowskiego, odznaki klubowej. Klubu uczniów Warrena. On... niby nie chciał o tym słyszeć, ale był zachwycony.

- A więc to oznacza...

- To oznacza, że Wencke Bencke w jakiś sposób wie o Warrenie. Albo poznała go osobiście, albo go słuchała, albo rozmawiała z kimś, kto go zna.

- Co z kolei znaczy...

- ...że chce, abyśmy ją dostrzegli - stwierdziła Inger Johanne.

-Co?

- Ona nas zaprasza. Rzuca nam wyzwanie. Po dwunastu latach milczenia pokazuje się w telewizji. Pozwala się sfotografować. Zabija sąsiada i dzwoni na policję. Nie chce się ukrywać. Ukrywała się przez wiele lat i uznała to za niezdolność. Chce się znaleźć w świetle reflektorów. I nosi tę odznakę w nadziei, że zostanie zauważona. Przez nas. W nadziei, że zrozumiemy. Ona się z nami bawi.

- Z nami? Z nami dwojgiem?

Inger Johanne nie odpowiedziała. Skrzywiła się, czując coraz ostrzejszy smrodek, i skierowała się do łazienki. Yngvar poszedł za nią.

- O czym ty mówisz? - spytał cicho.

Wciąż nie chciała odpowiedzieć. Odkręciła wodę i schyliła się po ściereczkę, jedną ręką przytrzymując Ragnhild leżącą na stoliku do przewijania. Kupa była zielona i płynna. Yngvar zatkał nos.

- Czy nie zginęła jakaś książka? - spytała Inger Johanne.

- Książka?

- Nie trzymaj się za nos, Yngvarze. To twoje dziecko. - Opłukała pupę Ragnhild, ciągnąc: - U Tronda Arnesena. Jemu zginęła jakaś książka i zegarek. Zegarek się znalazł, ale czy

książka wróciła? Podaj mi maść.

Zaczął grzebać w koszyku przy umywalce.

- Rzeczywiście było coś z jakąś książką - powiedział z namysłem. Znieruchomiał. W jednej ręce trzymał tubkę maści cynkowej, w drugiej czystą pieluchę. - Zgadza się. Przez pewien czas interesowałem się tym zegarkiem, o książce całkiem zapomniałem, zwłaszcza gdy Trond odnalazł ten przeklęty zegarek. Książka wydawała się kompletnie bez znaczenia. To był chyba jakiś kryminał. Trond twierdził, że leżał u niego na nocnej szafce, ale...

- Książka Wencke Bencke. Jej najnowsza powieść. - Inger Johanne szybko, wręcz gwałtownie zakładała dziecku pieluchę.

- To było jej pierwsze zabójstwo - powiedziała równie prędko.

- Zachowywała ostrożność. Vibeke Heinerback mieszkała na odludziu i tamtego wieczoru była sama. Wiedziałby o tym każdy, kto zajrzyłby na jej stronę internetową. Bezpieczne zabójstwo. Prawie bez ryzyka, jeśli morderca wie, co robić. A Wencke Bencke wie, co robi. Zabrała więc książkę. To był jej podpis, Yngvarze, ale nikt go nie zauważył. Nikt nie zrozumiał, co znaczy. Następnym razem...

Śpioszki były wyjątkowo odporne. Inger Johanne nie mogła sobie poradzić z rękawem, w końcu Ragnhild zaczęła płakać.

- Daj, ja ją ubiorę - powiedział Yngvar.

Inger Johanne usiadła na klapie od sedesu, łokcie oparła na kolanach, a twarz na dłoniach.

- Następnym razem posunęła się dalej. Podeszła bliżej. Sprawiała wrażenie, że boi się własnego rozumowania. Mówiła cicho i powoli. Podniosła głowę, przygryzła kciuk. Yngvar ubrał Ragnhild w czyste śpiochy, dziecko gruchało radośnie, gdy ułożył je na brzuszku na własnym przedramieniu i przytulił.

- Za drugim razem... - Inger Johanne najwyraźniej nie miała zamiaru wstać. - Za drugim razem wybrała Vegarda Krogha, którym pogardzała, na którego prawdopodobnie była wściekła. On się z niej wyśmiewał przez całe lata. Wencke

Bencke wiedziała, że... — uderzyła się dłonią w czoło - że błazeńska kruczata Vegarda Krogha będzie poniekąd wskazaniem palcem na nią. Bez przesady, niezbyt wyraźnie, bo on przecież miał wielu wrogów, ale mimo wszystko. - Wreszcie wstała. Uśmiechnęła się przelotnie, całując główkę dziecka. - W końcu Wencke Bencke poważyla się na odważny krok. Zabiła sąsiada i zatelefonowała na policję. Została wciągnięta w śledztwo. Stała w świetle reflektorów. Wciąż stoi teraz w pełnym blasku, w snopie światła, napawa się tym. Gra nam na nosie i wie, że wygrała.

- Wygrała? Przecież ona wcale nie wygrała. Przecież wiemy teraz, co...

Inger Johanne, kładąc palec na ustach, uciszyła męża. Potem lekko pogładziła kark Ragnhild.

- Mała śpi - szepnęła. - Idź ją połóż, dobrze?

Sama wróciła do salonu. Z narożnej szafki wyciągnęła butelkę wina. Otworzyła. Wyjęła najładniejszy kieliszek, jaki miała. Kryształowy, z letniego domu dziadków. Przed laty było ich cztery. Duże kieliszki ozdobione delikatnym wzorem i cieniutkim paskiem złota wokół rantu. Trzy się stłukły. Tego ostatniego nigdy nie używała. Ale mniej więcej raz w miesiącu wyjmowała go, odkurzała i podnosząc pod lampę, oglądała wzór. Przypominał jej długie letnie miesiące, kąpiele w morzu, dziadka na tarasie ze słodkim białym winem w kieliszku, z nosem zaczerwienionym od słońca i szczęścia. Z okruszkami makaronika w brodzie.

Zwykle dawał jej spróbować wina. Moczyła język, krzywiła się i spluwała. Dziadek się śmiał i nalewał jej oranżady, chociaż wcale nie była sobota.

Napełniła winem kieliszek i kilka razy nim obróciła.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ona wygrała? - spytał Yngvar.

-Śpi?

Kiwnął głową i zadrżał, widząc, który kieliszek wybrała. Poszedł do kuchni po jakiś inny i sam sobie nalał.

- Co masz na myśli? - powtórzył pytanie. - Teraz już wiemy, że to ona. Wiemy, co mamy robić. W jakiś sposób...

- Nie dasz rady - oświadczyła i wypięła.

- O czym ty mówisz?

Jego kieliszek stał nietknięty na stole. Inger Johanne odwróciła się do okna. Ogród wyglądał smutno, pojedyncze plamy śniegu jaśniały na żółtym rozmokłym trawniku. W latarniach na Hauges vei nareszcie zamontowano nowe żarówki. Jakiś mężczyzna w żółtej kurtce przeciwdeszczowej wyprowadzał psa. Pies biegał luzem z jednego brzegu drogi na drugi, z nosem wciśniętym w ziemię. Przy starym golfie Inger Johanne zatrzymał się i podniósł nogę. Długo tak stał, a potem, merdając ogonem, pobiegł za panem.

- Ona była we Francji - powiedziała. - Kiedy Vibeke Heinerback została zabita. I gdy Vegard Krogh został zamordowany w tym zagajniku w Asker. Mam wrażenie, że o tym zapomniałaś.

- Wcale nie - odparł, lekko poirytowany. - Ale i ty, i ja wiemy, że nie mogła tam być. Chyba że miała jakiegoś pomocnika...

-Wencke Bencke nie ma pomocników. Jest samotnikiem. Zabija po to, by poczuć, że żyje. By pokazać swoją siłę. Żeby rozkwitnąć. Pokazywać, jaka jest świetna. I jaka jest... nadzwyczajna.

- Musisz się zdecydować. Jeśli była we Francji, to nie mogła tych dwojga zabić. Co właściwie masz na myśli?

- Oczywiście, że nie siedziała tam przez cały czas. W jakiś sposób jeździła tam i z powrotem. Możemy spekulować, jak jej się to udawało. Możemy teoretyzować i rekonstruować. Ale jedyne pewne jest to, że nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

- Nie rozumiem, jak w ogóle możesz mówić coś takiego - powiedział, obejmując ją. - Skąd takie przekonanie? Jak możesz...

- Yngvarze - przerwała i popatrzyła mu w twarz.

Oczy miał takie przejrzyste. Brwi już zaczęły mu się robić krzaczaste jak u starszego pana. Skórę miał gładką i czystą. Szerokie usta uchylone; czuła jego oddech, pachnący winem i odrobinę czosnkiem. Dotknęła palcem głębokiego dołeczka w jego brodzie.

- Nigdy wcześniej tak nie mówiłam - szepnęła. - I mam na-

dzieję, że już nigdy nie będę miała okazji, by to powtórzyć. Jestem profilerem. Warren zwykle powtarzał, że jestem profilerem z natury. Że to coś, od czego nigdy nie zdołam uciec. - Roześmiała się cicho i musnęła dłonią jego wargi. - Przez wszystkie te lata starałam się o tym zapomnieć. Pamiętasz, jak się opierałam tamtej wiosny cztery lata temu? Kiedy ginęły dzieci, a ty chciałeś...

Nie szeptała już. Yngvar lekko złapał zębami za koniec jej palca.

- Zajmowałam się swoją pracą naukową. Miałam dość zajęć z Kristiane i... Ale zjawiłeś się ty, potem Ragnhild. Niczego innego nie chcę. Jak myślisz, dlaczego mimo wszystko całymi nocami ślęczałam nad sprawą, z którą właściwie nic mnie nie łączy?

- Ponieważ musisz - odparł, cały czas patrząc jej w oczy.

- Ponieważ muszę. - Kiwnęła głową. - I mówię ci to, ponieważ muszę. Wencke Bencke wygrała. Przez tyle tygodni nie znaleźliście nic. Ani jednego zostawionego przez nią śladu. Ona nie chce zostać odkryta. Chce, by na nią patrzono, a nie żeby ją złapano.

- Mimo wszystko muszę próbować - powiedział Yngvar. Zabrzmiało to jak pytanie, jakby potrzebował jej błogosławieństwa.

- Mimo wszystko musisz próbować - przyświadczyła. - A jedyna nadzieja to powiązać ją z miejscami zbrodni. Udowodnić, że nie była we Francji.

Nigdy nie zdołasz tego zrobić, powtórzyła w myślach jeszcze raz, ale tego nie powiedziała. Dopiła wino i zdecydowanie oświadczyła:

- Dzieci nie mogą tu zostać. Wencke Bencke wciąż została jedna sprawa. Musimy zabrać stąd dzieci.

Poszła zadzwonić do matki, chociaż była już prawie północ.

*

Szef Kripos podrapał się małym palcem w uchu.

- Chcesz powiedzieć, że mamy zmienić kierunek całego śledztwa na podstawie jednego zaginionego kryminału i jakiegoś guzika?

- Odznaki - poprawił go Yngvar.

Główny szef Kripos miał znaczną nadwagę. Brzuch nad napiętym paskiem zwisał mu jak worek z mąką. Koszula otwierała się na pępku. Słuchając raportów Larsa Kirkelanda i Yngvara Stubø, milczał. Nawet gdy pozostali zebrani przez ponad pół godziny roztrząsali sprawę, on się nie odezwał. Zdradzały go jedynie krótkie tłuste palce, które zaczynały niecierpliwie bębnić w stół za każdym razem, gdy ktoś zabierał głos dłużej niż dwadzieścia sekund.

Teraz podbródki trzęsły mu się w gniewie. Podniósł się z trudem. Podeszedł do tablicy, na której pod linią czasu z trzema datami wypisano czerwonymi literami nazwisko Wencke Bencke. Zatrzymał się i parę razy prychnął. Przyglądał ręką pożyczkę na głowie, po czym zerwał arkusz ze statywu i starannie go zgniół.

- Pozwólcie, że powiem tak... - Wbił małe świdrujące oczka w Yngvara. - Jesteś jednym z moich najbardziej cenionych pracowników i tylko z tego powodu spędziłem tu ponad godzinę, wysłuchując tych... - Pociągnął się za wąsy, które zabawnie wiły się w kącikach ust i zazwyczaj nadawały mu wygląd grubego miłego wujka. - Tych bzdur! - dokończył. - Z całym szacunkiem.

Nikt się nie odezwał. Yngvar powiódł wzrokiem po kolegach. Sześciu najbardziej doświadczonych śledczych w Norwegii siedziało wokół stołu ze spuszczoneymi oczami. Ktoś przesunął filiżankę, ktoś obracał w palcach okulary. Lars Kirkeland rysował, sprawiał wrażenie głęboko skoncentrowanego. Jedynie Sigmund Berli podniósł głowę. Miał czerwoną rozgorączkowaną twarz i zrobił ruch, jakby chciał wstać. Zamiast tego uniósł rękę, jak gdyby formalnie prosił o głos.

- Czy nie warto spróbować? Przecież i tak utknęliśmy we wszystkich innych punktach. Moim zdaniem to jest...

- Nikt cię nie pyta o zdanie - uciął szef. - To, co należało powiedzieć w tej sprawie, zostało już powiedziane. Lars bardzo gruntownie podsumował dotychczasowe śledztwo. Wszyscy tu obecni wiedzą, że w pracy policyjnej nie ma miejsca na żadne... czary. Staranność, moi drodzy, cierpliwość. Nikt

lepiej od nas nie wie, że jedyną metodą jest ciężka praca i systematyczne opracowywanie wszystkich śladów. Jesteśmy nowoczesną organizacją, ale nie na tyle nowoczesną, żeby wyrzucać do śmieci siedem tygodni intensywnej dobrej pracy policyjnej tylko dlatego, że jakaś przypadkowa kobieta czuje, przpuszcza i uważa, że jej się wydaje.

- Mówisz o mojej żonie - powiedział Yngvar spokojnie. - Nie zgadzam się na określenie „przypadkowa kobieta”.

- Inger Johanne jest przypadkową kobietą - odparł równie spokojnie szef. - W tym kontekście nią jest. Przepraszam, jeśli cię uraziłem doborem słów. Mam ogromny szacunek dla twojej żony i w pełni zdaję sobie sprawę, jak bardzo była przydatna w sprawie porwań dzieci przed kilkoma laty. Również to jest powód mojej pobłażliwości. - Znów pogładził się po głowie. Cieniutkie pasemka włosów wyglądały jak narysowane na łysinie. - Pobłażliwości wobec twojego niezbyt przepisowego obchodzenia się z aktami sprawy. Teraz jednak sytuacja przedstawia się inaczej.

- Inaczej! - zdenerwował się Sigmund. - Nie wiemy nic! Kompletnie nic, do cholery! Lars przedstawił jedynie niekończącą się listę śladów technicznych, które donikąd nie prowadzą, i taktycznych rozważań, które w zasadzie mówią jedno: mamy puste ręce. Do pioruna... - urwał. - Przepraszam - powiedział słabym głosem.

- Ale posłuchajcie...

- Nie. - Szef uniósł rękę. - Ostatnie, czego nam teraz potrzeba, to jeszcze więcej krytyki w mediach. Jeśli rzucimy się na tę Wencke Bencke... - Spojrzał na kosz od śmieci, jakby pisarka leżała w nim razem ze swoim nazwiskiem wypisanym czerwonym flamastrem. - Jeśli bodaj spojrzymy w jej stronę, wybuchnie piekielna afera. Ona staje się bardzo popularna. Wczoraj widziałem ją w telewizji dwa razy, a według zapowiedzi w NRK będzie dziś wieczorem głównym gościem w „Od początku do końca”. - Zaczął ssać zęby, wydając drażniące odgłosy. Potem lekko cmoknął i dwoma palcami podkreślił wąsa. - A gdyby wbrew wszelkim przewidywaniom okazało się, że w tej twojej hipotezie - powiedział, patrząc na Yngvara - w

tej absurdalnej ulotnej teorii o jakimś starym wykładzie i nudzie coś jest, to ta kobieta będzie twardym orzechem do zgryzienia.

- Ergo lepiej nie próbować. - Yngvar popatrzył szefowi w oczy.

- Oszczędź sobie tego sarkazmu.

- Wolisz mieć trzy nierozwiązane zabójstwa niż wrzawę w mediach. - Yngvar wzruszył ramionami. - Jak sobie chcesz.

Szef Kripos pogładził wydatny brzuch, wsunął kciuki pod obcisły pasek. Znów zaczął ssać zęby. Podciągnął spodnie, które natychmiast zsunęły się z powrotem w zagłębienie pod brzuchem.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Daję ci dwa tygodnie. Trzy. Przez trzy tygodnie będziesz zwolniony z innych zadań. Masz prześledzić ruchy Wencke Bencke w czasie, gdy miały miejsce te zabójstwa. I tylko tyle, słyszysz?

Yngvar kiwnął głową.

- Żadnych skoków w bok. Żadnego innego grzebania w jej życiu. Nie chcę hałasu, rozumiesz? Sprawdź, czy w jej alibi nie ma żadnych dziur. Podpowiem ci jedno. Zacznij od tego ostatniego zabójstwa. Od Havarda Stefansena. Kiedy został zabity, była przynajmniej w pobliżu.

Yngvar znów kiwnął głową.

- Jeśli usłyszę bodaj słowo, że ta kobieta jest objęta śledztwem... - Szef miał twarz czerwoną, na czoło wystąpił mu pot.

- ...Od innych, oprócz tych, którzy siedzą tu teraz. - Tłustą ręką walnął w stół. - I którzy mają trzymać język za zębami w stosunku do absolutnie wszystkich innych... - Głęboko nabrał powietrza i powoli wypuścił je przez zaciśnięte zęby. - To się wścieknę - dokończył wreszcie. - A wy wiecie, co to oznacza.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami jak pilni uczniowie podstawówki.

- Ty! - Szef wskazał Sigmunda. - Skoro tak za wszelką cenę ci zależy, żeby być giermkim Yngvara, to się zgadzam. Trzy tygodnie. Ani dnia więcej. A poza tym śledztwo będzie się toczyło jak do tej pory, Lars. Koniec odprawy.

Krzesła zaszurały na podłodze, ktoś otworzył okno. Ktoś inny

się śmiał. Sigmund uśmiechał się uszczęśliwiony. Dał znak, że idzie do biura zadzwonić.

Szef zatrzymał Yngvara, gdy sala zaczynała się opróżniać.

- Nie podoba mi się ta ostatnia sprawa - powiedział cicho.

- Havard Stefansen?

- Nie. Ostatnia sprawa z tego starego wykładu. Ta, która jeszcze się nie wydarzyła. Pożar w domu policjanta.

Yngvar nie odpowiedział, mrugnął tylko i przeniósł roztargnione spojrzenie za okno.

- Poprosiłem chłopaków z komendy w Oslo, żeby w nocy robili kilka dodatkowych rundek. Na Hauges vei.

- Dziękuję. - Yngvar wyciągnął rękę. - Bardzo dziękuję. Dzieci już stamtąd zabraliśmy.

- To dobrze - mruknął szef i już chciał odejść. Przez moment wahał się jednak, nie wypuszczając ręki Yngvara. - Ale nie dlatego, żebym wierzył w ten wasz profil. Tylko tak na wszelki wypadek, okej?

- Okej - odparł Yngvar z całą powagą.

- A poza wszystkim zabieram to. - Sięgnął po etui do cygar, które Yngvar miał w kieszonce na piersi. - Skończ z tych cholernym paleniem w biurze! Dostałem straszny ochrzan od męża zaufania.

- Skończę - powiedział Yngvar i tym razem szeroko się uśmiechnął.

*

Wyobrażał sobie większy blichtr. Może nie całkiem jak w Hollywood, z nazwiskami gwiazd na drzwiach garderoby, lecz mimo wszystko aurę niezwykłości. Tymczasem wymalowane na szarawy kolor pomieszczenie na końcu długich schodów, z wystygłą kawą w dzbanku i saszetkami herbaty w tekturowych kubkach, nie miało w sobie żadnej wspaniałości. Pod dwiema ścianami stały przypominające ławy kanapy, na których pięć osób czekało nie wiadomo na co. Yngvar Stubø nie rozumiał, jaką pełnią funkcję. Nie byli sławni i nic nie robili. Niedbale ubrani popijali kawę, nieustannie patrząc na zegar. Monitor w rogu ustawiony ukośnie tuż pod sufitem pokazywał studio. Ludzie w słuchawkach na głowach przechadzali się tam i z

powrotem; wyglądali tak, jakby mieli do dyspozycji mnóstwo czasu.

- Cześć - mruknął do dwóch umundurowanych policjantów, którzy stali przy schodach i zdecydowanie odcinali się od otoczenia. Jeden na widok Yngvara schował herbatnika za plecami i przestał żuć.

Ponieważ w NRK zaostrzono środki bezpieczeństwa, uzyskanie dostępu do studia 6 było łatwe. Wystarczyło, że pokazał swój identyfikator chłopakowi w recepcji, i zaraz został skierowany we właściwą stronę. Kiwał głową i uśmiechał się, ale nikogo najwyraźniej to nie obchodziło. Tu i ówdzie ktoś rozmawiał, podczas gdy inni wbiegali i wybiegali z przepelnionego pomieszczenia. Krzesło z widokiem na monitor był wolne, Yngvar usiadł więc i sięgnął po gazetę, żeby nie wyglądać na kompletnie bezradnego.

- Yngvar Stubø - usłyszał nagle jakiś głos i ktoś dotknął jego ramienia.

Wstał, odwrócił się.

- Wencke Bencke – powiedział.

- Mam wrażenie, że pan mnie prześladuje - rzuciła z uśmiechem.

- W żaden sposób. To po prostu te zaostrzone procedury bezpieczeństwa.

- Rzeczywiście, solidna robota - stwierdziła, poprawiając okulary. - Wykorzystanie doświadczonego i zasłużonego eksperta od zabójstw w roli ochroniarza podczas nagrywania programu rozrywkowego? Czy to rozsądne wydawanie pieniędzy?

Wciąż się uśmiechała. Głos miała życzliwy, niemal wesoły. Za okularami dostrzegł jednak przeblysłk, który kazał mu się wyprostować.

- Musimy wykorzystywać to, co mamy. - Pocił się, więc zdjął płaszcz. - W tych czasach - dodał. Rzucił płaszcz na krzesło, z którego przed chwilą wstał.

- W tych czasach - powtórzyła. - A cóż to za czasy?

- Zabójca krąży wolny.

-Jeden albo kilku. Jak zrozumiałam, nie jesteście nawet

pewni, czy chodzi o jednego i tego samego człowieka.

- Ja jestem pewien - oświadczył. - Jest jeden sprawca. Albo sprawczyni, żeby zachować neutralność pici. W tych czasach.

Gdy się uśmiechnęła, dołeczki podzieliły jej policzki od oczu aż po brodę.

- No tak, tak jest najbezpieczniej - przyznała.

Nie zamierzała odchodzić. Prowadzący wszedł po schodach, witając się na wszystkie strony, jakaś kobieta po raz kolejny przypudrowała mu nos i zniknął w studiu. Wencke Bencke nawet nie drgnęła. Nie spuszczała oczu z Yngvara.

- Zabawny ma pani znaczek - powiedział wolno.

- Ten? - Poklepała się w pierś, wciąż patrząc na niego. - Znalazłam go w jakimś sklepiku z używanymi rzeczami w Nowym Jorku.

- Ma dość wyjątkową historię.

-Wiem. Dlatego go kupiłam.

- A więc wie pani, dlaczego liście laurowe zastąpiono...

- Orlimi piórami? *The Chief*, oczywiście.

Szum głosów w pomieszczeniu trochę przycichł, jak gdyby ta rozmowa fascynowała nie tylko ich dwoje.

- *The Chief* - powtórzył Yngvar. - Pani go zna?

- Warrena Scifforda? Nie. Przesadziłabym, gdybym tak powiedziała. Oczywiście wiele o nim słyszałam, prawdopodobnie przeczytałam wszystko, co napisał. Raz miałam przyjemność go spotkać. W St. Olaf College w Minnesocie. Uczestniczyłam tam w cyklu wykładów. On mnie z pewnością nie pamięta. Ale Warrena Scifforda nie można zapomnieć. - Wreszcie zerknęła na połę marynarki. Palcem pogładziła znaczek. - Niech pan spyta żonę - rzuciła lekko, nie podnosząc oczu. - Warren to człowiek, którego nigdy się nie zapomina.

Yngvarowi zamigotało w oczach.

- Ale czy go... znam? - Spojrzała w sufit, jakby delektowała się tym słowem. - Nie. - Nachyliła się, ich twarze dzieliła teraz zaledwie szerokość dłoni. - Co pan tu robi, Stubø? Tak naprawdę?

Zapadła nieprzyjemna cisza. Słysząc było jedynie stłumione głosy charakterysterek rozmawiających w przyległym pokoju.

Oczy Wencke Bencke pociemniały, za przejrzystymi szklami okularów wydawały się wręcz czarne. Yngvar dostrzegł w jej lewym oku plamkę, niewielkie białe pole wżerające się w tęczówkę. Zapatrzył się na ten defekt.

- Musimy już wchodzić - szepnęła kobieta w wielkich słuchawkach z planem programu pod pachą. - Zaraz zaczynamy!

Wencke Bencke wyprostowała się. Odgarnęła włosy z czoła, ale grzywka zaraz znów jej opadła.

- Proszę iść! - Inspicjentka skubnęła ją za rękaw.

- W St. Olaf's jest wielu Norwegów - powiedziała Wencke Bencke, nie ruszając się z miejsca. - I potomków norweskich emigrantów. Może dlatego...

- Przepraszam, ale naprawdę musimy już... - Inspicjentka położyła jej dłoń na ramieniu. Wencke Bencke spokojnie cofnęła się o trzy kroki.

- Może dlatego Warren zawsze kończy swoje wykłady, mówiąc...

- Wchodzimy! - Kobieta w słuchawkach wyraźnie się zirytowała.

- ...że Inger Johanne Vik jest najlepszym profilerem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkał. A może to po prostu prawda?

Zniknęła w studiu. Ciężkie stalowe drzwi wolno się za nią zamknęły.

- Wszystko w porządku? - spytał młodszy z policjantów i z zatroskaną miną podał Yngvarowi szklankę wody. - Komisarzu, wszystko...

Ale komisarz wpatrywał się w monitor. Poszła czołówka; zając i żółw tańczyły w psychodelicznym labiryncie, zmuszając Yngvara, by oparł się o krzesło. Prowadzący wyszedł na środek przy wtórze ogłuszających oklasków poinstruowanej publiczności.

Wencke Bencke usiadła. Miała na sobie ciemnoczerwony kostium.

Prowadzący roześmiał się z czegoś, co powiedziała pisarka. Yngvar nie słuchał. Wpatrywał się w maleńki znaczek, prawie niewidoczny na ekranie. Jedynie momentami metal błyskał w

świetle reflektorów studyjnych, kiedy Wencke Bencke się poruszała, kiedy wychylała się w przód tak jak prowadzący. Rozmawiali poufale na oczach milionów widzów. Ale Yngvar nie słyszał nic, dopóki jasnowłosa mężczyzna nie spytał:

- Co pani robiła na Riwierze w środku zimy?

- Pisałam. Piszę teraz książkę o autorce powieści kryminalnych, która zaczyna zabijać, ponieważ się nudzi.

Wszyscy się śmiali. Śmiali się w studiu, tak że podłoga zadrżała jak od grzmotu. Śmiali się w małym pomieszczeniu, w którym stał Yngvar. Śmiali się głośno i długo, a prowadzący śmiał się najdłużej i najgłośniej ze wszystkich.

- Bo może pan mówić sobie, co chce - odezwała się Wencke Bencke, gdy wreszcie zapadła cisza. Matczynym gestem dotknęła uda prowadzącego. - Jeśli jest ktoś, kto wie wszystko o zabijaniu, to właśnie my. - Uśmiechnęła się szeroko i dodała: — A przede wszystkim my wiemy, jak się z tego wykręcić.

*

-Jasny gwint, Yngvarze! To dopiero historia!

W domu na Sagveien zaraz za starymi przędzalniami nad rzeką Aker żywo płonął ogień na kominku. Była późna noc. Yngvar siedział w fotelu. Kiedy zamykał oczy, słyszał szum wodospadu przy Molla, gdzie wiosennie wezbrana rzeka hałasowała, płynąc na południe do fiordu odległego o kilka kilometrów. Ciemność za oknami zgęstniała od deszczu. W środku było ciepło i Yngvar prawie przysypiał.

Wcześniej opowiedział tę historię tak, jak należało ja opowiedzieć.

- Owszem - przyświadczył teraz. - To rzeczywiście niezła opowieść.

Drugi mężczyzna wstał, przyniósł z kuchni dwie szklanki. Yngvar usłyszał podzwanie kostek lodu.

- Proszę. - Bjørn Busk podał mu solidną porcję whisky, potem dołożył polano do ognia i usiadł w miękkim fotelu. - Inger Johanne jest sama w domu?

- Nie. Ma przenocować u rodziców. Ale tylko dzisiaj. Nie chce spać w tym samym miejscu co dzieci, bo uważa, że

Wencke Bencke wie, gdzie się w każdej chwili znajdujemy. Jej ewentualnie chodzi o nas, nie o dzieci. Zostaniemy w domu. Kristiane przez jakiś czas będzie u Isaka, a matka Inger Johanne zajmie się Ragnhild nocami. Bogowie jedni wiedzą, jak długo to może potrwać.

Bjørn Busk ułożył stopy na podnóżku i wypił łyk.

- Ty jesteś naprawdę przekonany - stwierdził w zamyśleniu.

- O tym, że ona na nas poluje? Nie. Ale jestem na sto procent pewien, że zabiła Vibeke Heinerback, Vegarda Krogha i Havarda Stefansena. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie mówiłem, że jestem całkowicie przekonany o czyjejś winie, a przynajmniej w sprawie tak kompletnie pozbawionej dowodów.

- Dobrze, że sam to przyznajesz. Bo nie ma nawet cienia śladu uzasadniającego jakiegokolwiek podejrzenia.

- I to jest właśnie powód, dla którego przychodzę do ciebie niezapowiedziany w środku nocy.

- Wszystko w porządku. Odkąd Sara się wyprowadziła...

- Przepraszam, Bjørn. Powinienem być się z tobą skontaktować, kiedy się o tym dowiedziałem. Powinienem...

- Nie myśl o tym. Takie jest życie. Cały czas gdzieś biegniemy, spieszymy się. Mamy dość własnych problemów i nie możemy angażować się w cudze. U mnie wszystko w porządku, Yngvarze. W pewnym sensie... uporałem się z tym. I bardzo sobie cenię to, że przyszedłeś.

Bjørn Busk uśmiechnął się i odstawił szklanekę na stolik. Był rówieśnikiem Yngvara. Przyjaźnili się, odkąd ostrzyżeni na jeża, z granatowymi tornistrami dyndającymi na opalonych ramionach, weszli pierwszy raz w życiu do szkolnej klasy w 1962 roku.

- Można powiedzieć - rzekł w zamyśleniu - że nasze prawo karne nie radzi sobie ze zbrodnią bez motywu. Jeśli śladów jest niewiele lub są mgliste, opieramy się na motywie. Nigdy wcześniej tak na to nie patrzyłem... - Wypił, na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. - Ale ponieważ obywatele są w zasadniczym stopniu chronieni przed przypadkową ingerencją władz wymogiem określenia stopnia podejrzeń,

zanim skuteczne śledztwo może się oprzeć...

- To zbyt prawniczy ton. Rzecz w tym, że jeśli nie znajdziemy motywu, nie możemy nic zrobić, chyba że sprawcę przyłapie się z nożem ociekającym krwią, z opuszczonymi spodniami albo znajdzie się trzech świadków z aparatami fotograficznymi.

- Jest w tym trochę przesady, ale mniej więcej to samo zamierzałem powiedzieć.

Roześmiali się, lecz zaraz ucichli.

- Właściwie prosisz mnie o działanie nielegalne - stwierdził Bjørn.

Yngvar otworzył usta, żeby zaprotestować.

Wcale nie, pomyślał. Proszę cię jedynie o odrobinę elastyczności. O to, żebyś spojrział przez palce. Żebyś zaryzykował. W imię sprawiedliwości.

- Tak - powiedział jednak. - Chyba właśnie o to cię proszę.

- Warunki do niejawnego nakazu wydania dokumentów nie są spełnione. Pod żadnym względem. Ani w ogóle żadnego wydania dokumentów, jeśli chodzi o ścisłość.

- Bez nakazu nie mam możliwości sprawdzenia jej konta

- oświadczył Yngvar. Od alkoholu paliły go policzki. - A bez sprawdzenia konta nie mam najmniejszych szans na to, by stwierdzić, gdzie się znajdowała w chwili, gdy doszło do tych zabójstw.

Bjørn spojrział na Yngvara sponad okularów.

- Nie możesz po prostu jej spytać?

- Spytać ją... Ha!

- O pozwolenie zajrzenia w jej konto, nie o to, gdzie była. Opisałeś ją tak, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby się zgodziła. Twoja opowieść mówi o kobiecie, która chce być widziana. Która chce ci się pokazać w krótkich przebłykach, poza zasięgiem, lecz mimo wszystko... obecna. Istniejąca. Jak leśny elf. Gdy się jednego zobaczy, można przysięgać, że istnieją. Ale nigdy nie da się tego udowodnić.

Ogień w kominku trzeszczał. Momentami płomienie buchały niebieskożółtymi jęzorami. Lekki zapach palonego drewna mieszał się z aromatem whisky, smoły i palonej kory. Bjørn

sięgnął na półkę po drewnianą skrzynkę i uniósł wieczko.

- Poczęstuj się - zaproponował.

Yngvar poczuł, że oczy mu wilgotnieją.

- Dziękuję - powiedział - Bardzo dziękuję.

W milczeniu przygotowali cygara. Yngvar zapalił swoje długą zapalką i na moment bez reszty oddał się przyjemności.

- O Wencke Bencke musisz wiedzieć to - podjął, wydmuchując kółko dymu pod sufit - że pomyślała o wszystkim. Nie wiem w ogóle, czy jest czego szukać na jej koncie. Prawdopodobnie nie. Przypuszczalnie to przewidziała. Jest inteligentna i zna swój fach. Niepojęte byłoby, gdyby nie zatarła śladów, również tych elektronicznych. Lecz jeśli nie...

Wsunął cygaro do ust. Suchy dobry tytoń kleił się do warg. Dym był łagodny, wręcz chłodził podniebienie.

-Jeśli wbrew wszelkim przewidywaniom przeoczyła tak istotny punkt, to dlatego, że tego nie przeoczyła. - Roześmiał się, uważnie przyglądając się grubemu cygaru. - To również byłoby częścią gry. Ona jest święcie przekonana, że nigdy nie znajdziemy nic, do czego moglibyśmy się przyczepić. Czuje się bezpieczna. Wie, że bez jej zgody nie uzyskamy zezwolenia na wgląd w konto. Nie dostaniemy postanowienia na podstawie tak nieprawdopodobnych podejrzeń. Nie mamy nic, a ona o tym wie.

Bjørn podsunął mu popielniczkę.

- Muszę mieć to postanowienie. - Yngvar strząsnął popiół, stukając cygarem o brzeg popielniczki. - Wiem, że proszę cię o bardzo dużo. Zrozum jednak...

Wiatr się odwrócił. Teraz wiał od zachodu. Deszcz przeszedł w gwałtowne fale zmrożonej mżawki. Błyskawica rozświetliła ogród. Przez moment widoczne stały się nagie drzewa. Ostre, z płaskimi cieniami jak na nieudanej fotografii. Grzmot rozległ się kilka sekund później.

- Burza o tej porze roku? - mruknął Bjørn. - Trochę za wcześnie, prawda? W dodatku przy takim zimnie?

- Ty jesteś sędzią - powiedział Yngvar, ssąc cygaro. - Tkwisz w sądownictwie od... Od jak dawna?

- Od osiemnastu lat. I jeszcze dwa jako asesor adwokacki. W

sumie dwadzieścia.

- Od dwudziestu lat. Czy kiedykolwiek w ciągu tych lat spotkałeś się ze... złem? Nie mam na myśli zdeterminowanego przez sytuację okrucieństwa czy określonego przez materializm oportunistów. Nie chodzi mi o słaby charakter czy egoizm. Mam na myśli prawdziwe zło. Zetknąłeś się z nim kiedyś?

- A czy ono w ogóle istnieje?

-Tak.

Wypili w milczeniu. Dym zasnuł sufit aromatyczną mgłą.

- Masz kogoś, kto może złożyć wniosek? - spytał Bjørn.

- A od czego są młodzi, łatwo ulegający wpływom prokuratorzy?

Uśmiechnęli się, nie patrząc na siebie.

- Zadbaj, żeby wpłynął do sądu w środę — powiedział Bjørn.

- Nie wcześniej i nie później. Wtedy jest szansa, że trafi do mnie na biurko. Ale niczego nie mogę ci obiecać.

- Dziękuję - powiedział Yngvar i poruszył się, jakby chciał wstać.

- Posiedź jeszcze - poprosił Bjørn. - Nie dopiliśmy whisky, a ta skrzynka jest prawie pełna. - Postukał palcem w drewniane wieczko.

Yngvar usiadł wygodniej. Położył nogi na pufie.

- Skoro nalegasz - powiedział, zamykając oczy. - Jeśli nie boisz się mnie tu trzymać.

- Leje deszcz - stwierdził Bjørn Busk. - Dziś w nocy ten dom nie spłonie.

Ich strach dawał pewną satysfakcję.

Widziała ich lęk, chociaż już nie tak często zawracała sobie głowę, by go kontrolować. Co wieczór około siódmej znosili młodsze dziecko do samochodu i wieźli je parę kilometrów do rodzinnego domu Inger Johanne. Dziwna dziewczynka, wszędzie taszcząca ze sobą wóz strażacki, z którego już dawno powinna wyrosnąć, zamieszkała u ojca. Często przychodziła w odwiedziny na Hauges vei, lecz nigdy tam nie nocowała.

To nie miało większego znaczenia.

Sytuacja się zmieniła.

Już.

Była niedziela, dwudziesty pierwszy marca. Wencke Bencke krążyła po mieszkaniu. Sprzątała. Ostatnio była bardzo zajęta. Nie dość, że ciężko pracowała nad maszynopisem, to jeszcze mnóstwo czasu poświęcała na wywiady i występy w telewizji. W ostatnich dniach zaglądała do domu jedynie po to, by się przebrać, więc ubrania leżały teraz na krzesłach w salonie i rozrzucone po podłodze w sypialni.

Starzy przyjaciele znów się pojawili. Z upływem czasu wcale się nie stali bardziej interesujący, ale przynajmniej zabiegali o jej sympatię.

W zasadzie miało to niewielkie znaczenie. Lekceważyła wszystkich, którzy znów zaczęli pukać do drzwi, podnieceni jej popularnością.

Istotne było to, że wreszcie brano ją na serio. Stała się ekspertką, i to nie od fikcji, tylko od rzeczywistości. Przestała już być symbolem komercjalizmu i powierzchowności, znakiem firmowym upadku kultury. Teraz stanęła po drugiej stronie barykady, zajęła pozycję sceptyka, krytycznego wobec autorytetów uczestnika debat.

Stała się trudna do rozpoznania, nawet dla samej siebie.

W łazience przystanąła. Przejrzała się w lustrze. Wydawała się starsza. Pewnie dlatego, że schudła. Zmarszczki nie ograniczały

się do uśmiechniętych strzałek odchodzących od kącików oczu, lecz biegly również przez policzki, jak gdyby twarz zrobiła się odrobinę za ciężka.

To nieistotne. Wiek przydawał wagi jej analizom, licznym komentarzom, o których wygłoszenie była proszona i które wygłaszała. Nie chodziło już wyłącznie o seryjne zabójstwa. Zaginięcie w Vestlandet, brutalny gwałt w Trondheim i sensacyjny napad na bank w Stavanger - Wencke Bencke była ekspertem, którego pragnęła słuchać cała Norwegia.

A wszystko zaczęło się od zabójstwa Fiony Helle.

Otworzyła szufladę z nowymi kosmetykami. Nie miała wprawy w nakładaniu makijażu. Na próbę dotknęła krótkich rzęs szczoteczką z maskarą.

Nie trafiła.

Na myśl o Fionie Helle zawsze zaczynały jej drżeć dłonie. Próbowowała oddychać głęboko, odkręciła kran, wsunęła nadgarstki pod zimną wodę. To ją uspokoiło.

Właściwie nie czuła radości, gdy przeczytała o zabójstwie - w poprzednim życiu, jak się teraz wydawało. Uczuciem, które ogarnęło ją wtedy, była raczej przynosząca ulgę wściekłość, złość na ofiarę. Pamiętała tamten styczniowy wieczór bardzo wyraźnie. Pachniało asfaltem, robotnicy naprawiali drogę naprzeciwko domu. Myła niespokojna, ale nie potrafiła niczym się zająć, chodziła tylko od krzesła do krzesła przed wielkim panoramicznym oknem z widokiem na zatokę i Cap Ferrat.

Myśl o marnym łączu internetowym niemal powstrzymała ją od przeglądania wiadomości o najważniejszych w tym dniu wydarzeniach w Norwegii. Gdy w końcu się połączyła, przesiadła przed komputerem całą noc.

Coś się stało.

Zamiast irytacji, a z rzadka poczucia, że została sprowokowana, teraz pojawił się przesłaniający wszystko gniew.

Fiona Helle sprzedawała cudze losy dla własnej korzyści. Ten program dotyczył jej, Wencke Bencke, bo bawił się biologią i ciągnącymi się przez całe życie kłamstwami. To ją Fiona Helle

opluwała, gdy w ciągu trwającego godzinę lekkiego programu rozrywkowego bawiła widzów marzeniami nieszczęśliwych ludzi, dawnymi marzeniami Wencke Bencke, chociaż sama Wencke nigdy nie miała śmiałości się do tego przyznać.

Muszę się tego nauczyć, pomyślała, przeciągając szczoteczką przez tłustą czarną zawartość srebrzystego pojemniczka z maskarą. Nie jestem jeszcze stara. Zostało mi dużo do zrobienia. Nie jestem już obserwatorem, jestem obserwowana. Muszę się nauczyć, jak dbać o wygląd.

Dziesięć lat temu, gdy jej prawdziwa historia pojawiła się w poźółkłym dokumencie, była jak sparaliżowana. Już wtedy stawała się niewidzialna. Nikt nie chciał jej znać. Pisała książki czytane przez wszystkich, ale nikt jej nie podziwiał. Ojciec był pasożytem, chciał pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. Fałszywa matka prawie się do niej nie odzywała i nie rozumiała nic z tego, co nazywała „okropną pisaniną Wencke”.

Jej prawdziwa matka, ta, która urodziła ją w bólach i umarła, byłaby z niej dumna. Kochałaby ją, nie bacząc na ciężkie ciało, nieładną twarz i coraz szczelniejsze zamykanie się w sobie.

Matka ustawiałaby jej powieści na półce w salonie, a może nawet zbierałaby w teczce wycinki prasowe.

Wtedy zabrakło jej sił na dalsze szukanie. Wencke Bencke nie wiedziała nic o kobiecie, która umarła dwadzieścia minut po urodzeniu córki. Zamiast tego zaczęła zbierać informacje na temat innych ludzi. Stawała się coraz lepszą pisarką.

I coraz bardziej niewidzialną.

Świat jej nie obchodził, tak jak i ona najwyraźniej nie obchodziła świata.

Ale tak było wtedy. Nie teraz.

Makijaż jej nie wyszedł. Dłonie wydawały się za wielkie, nienawykłe do maleńkiego pędzelka w pudełeczku z cieniami do oczu. A poza tym szminka okazała się zbyt ognście czerwona.

Pamiętała ostry zapach asfaltu tamtego wieczoru w Ville-IRanche. Mokrej i lepkiej smoły zmieszanej ze słonym zapachem morza i nocnego deszczu. Nad ranem się położyła, ale nie mogła zasnąć. Gdzieś krążyła myśl, która nie pozwalała

się uchwycić. Minęło osiem dni, nim wreszcie ją zrozumiała. Tyle lat, myślała, tyle lat harówki, a zyskała jedynie pieniądze, natomiast żadnej *przyjemności*. Teraz pojawiła się przed nią zachwycająca nowa możliwość. Wszystkie przygotowania zostały poczynione. Wystarczyło jedynie zacząć. Fionie Helle obcięto język i starannie go zapakowano. Wencke Bencke uśmiechała się zimno, gdy o tym czytała. Śmiała się z wściekłością, przypominając sobie inną sprawę, z innego świata, sprzed sześciu lat. Przypomniała sobie mężczyznę o intensywnym spojrzeniu i niesamowitej energii, opowiadającego fascynujące historie. Pamiętała, jak z wykładu na wykład przesiadała się coraz bliżej, zadawała pytania i wygła- N/.ala mądre refleksje. On tylko przelotnie się uśmiechał i nachylał nad przystojną brunetką, cytując Longfellowa i mrugając znacząco. Wencke Bencke podarowała mu książkę z dedykacją wyrażającą ogromny szacunek. Zapomniał ją zabrać z katedry. Wie c/.orami chodziła za nim. Szedł do pubu, gdzie snuł hała- (IIwe opowieści otoczony kobietami, które na zmianę zabierały |(O do domu.

Już wtedy była za stara. Niewidzialna. A on wychwalał Inger Johunne Vik.

Przypomniała sobie to wszystko i wreszcie zrozumiała, co ma zrobić. Nie chciała dłużej czekać na to, co się nigdy nie zdarza. Chciała być tą, za której sprawą wydarzy się wszystko.

Udało się.

A teraz musi nauczyć się malować, pokazać nową twarz. Nie wolno jej cofać się myślą w przeszłość, wykazywać zbyt duże wzburzenie.

Musi zapomnieć o Fionie Helle!

Zamknęła szufladę w łazience i weszła do sypialni. Po drodze zbierała ubrania. W jej garderobie stale przybywało rzeczy. Często coś kupowała, prawie co tydzień, i przestała się bać prosić ekspedientki o radę.

W jej archiwum pod ścianą w głębi mieszkania zgromadziło się ponad sto ludzkich losów. Poglądziła dłonią lodowaty uchwyt drzwiczek. Położyła palce na zamku. Oparła się całym ciałem o solidną stal.

Złe i dobre nawyki, rutynowe czynności, żądze i potrzeby zostały zaobserwowane, przeanalizowane i skatalogowane. Znała tych ludzi lepiej, niż oni sami się znali. Była klinicystą, zimnym obserwatorem. O ponad setce osób wiedziała dostatecznie dużo, by przy lekkim kamuflażu uśmiercić ich za pomocą pióra i papieru. Znała ich życie na pamięć. Gdy obudziła się w słoneczny styczniowy poranek w Yillefranche, postanawiając urzeczywistnić fikcję, mogła wybierać do woli.

I wtedy, i teraz wiedziała, że powinna zdać się na przypadek. Przypadkowe ofiary są najbezpieczniejsze. Ale pokusa stała się zbyt duża. Vibeke Heinerback zawsze ją irytowała, chociaż sama nie do końca rozumiała dlaczego. Najważniejsze, że dało się ją uznać za rasistkę. Wszystko musiało się zgadzać. Inger Johanne powinna móc to zrozumieć. Jeśli nie po pierwszym zabójstwie, to po następnym.

A poza tym Rudolf Fjord by nie wytrzymał.

Był żaloszny.

Wencke Bencke otworzyła stalową szafę. Znalazła w niej teczkę. Przeczytała. Uśmiechnęła się, gdy stwierdziła, że świetnie wszystko zapamiętała, że z łatwością przywołała w pamięci swoje zanotowane obserwacje.

Rudolf Fjord był wstrętny. Nigdy nie wytrzymałby skierowanych na siebie policyjnych reflektorów. Gdyby nie potknął się na jednym, dość było innych spraw, które by go załamały. Miał teczkę prawie równie grubą jak Inger Johanne. Przez krótką chwilę rozważała, czy nie wybrać go na pierwszą ofiarę, ale zrezygnowała. To było zbyt proste. Rudolf Fjord mógł sobie sam pożeglować tam, gdzie chciał.

Miała rację. Nie przetrwał burzy.

Zamknęła teczkę.

Wyjęła inną, znacznie cieńszą. Wpatrywała się w nazwisko, ale jej nie otwierała. Chwilę później odłożyła ją na miejsce i zamknęła szafę.

Vegard Krogh zasłużył na śmierć. Nie miała siły nawet o nim myśleć. Teraz już nie istniał.

Wyszła do salonu. Panował tam większy porządek. Intensywnie pachniał bukiet, który stał o kilka dni za długo. Dostała

go od zarządu stowarzyszenia studentów po debacie o kastracji chemicznej.

Otworzyła drzwi na balkon. Chłodne powietrze pieściło twarz, zdawało się wygładzać wszystkie zmarszczki, które przed chwilą oglądała w ostrym świetle przed lustrem.

Z jakiegoś powodu nie mogła się pogodzić z tym, że musiała poświęcić w ofierze dziwkę ze Sztokholmu. Oczywiście jedna prostytutka mniej czy więcej na Brunkebergs Torg nie miała kompletnie żadnego znaczenia, a jednak pojawiło się między nimi coś, co przypominało poczucie wspólnoty. Może chodziło o podobieństwo zewnętrzne? Znalezienie jej nie sprawiło najmniejszego kłopotu. Dziwek było do wyboru, do koloru. Wybrała wysoką i potężną, mimo marnego odżywiania, z kręconymi włosami. Nawet okulary tak ekskluzywne, że musiały zostać skradzione, przypominały jej własne.

I ta dziwka pozwoliła się oszukać.

Nie uciekła z kartą kredytową. Mogła wydać tyle, ile chciała, dopóki karta nie zostałaby zablokowana, a później zniknąć. Ale ona uwierzyła w obietnicę dużych pieniędzy w zamian za to, o co ją poproszono. Pójście do restauracji. Przejazd taksówką. Zrobienie zakupów w jednym czy drugim kiosku i powrót do hotelu tuż przed północą. Tak by ją zauważono, ale bez słowa.

Kiedy spotkały się rano, dziwka wyglądała wręcz na szczęśliwą. Była czysta. Najedzona. Przespała całą noc, bez klientów i w ciepłym łóżku.

Oczywiście pieniędzy nie dostała.

Tak jak można się było spodziewać, zagroziła, że pójdzie na policję. Miała dość rozumu, by się domyślić podejrzanego celu tej propozycji. Tak jak można się było spodziewać, nie zrobiła nic, dopóki nie wpuściła sobie w żyłę heroiny przyniesionej przez Wencke Bencke w ramach wspaniałomyślnej rekompensaty za dobrze wykonaną pracę.

Tak jak można się było spodziewać, narkotyk ją zabił.

Teraz, martwa i skremowana, prawdopodobnie spoczywała w nieoznaczonym grobie.

Wencke Bencke stała na swoim balkonie i marszcząc czoło, myślała o zmarłej prostytutce. W końcu uniosła twarz do nieba

i postanowiła, że nigdy nie poświęci jej już ani jednej myśli.

Zaczął mżyć drobny deszczyk. Oslo pachniało wiosną, spalinami i gnijącymi śmieciami.

Śmierć Havarda Stefansena była całkiem po prostu koniecznością. Inger Johanne Vik ją zawiodła, nie zrozumiała wzoru. Należało go uwypuklić, więc Wencke Bencke wreszcie stanęła w świetle.

I tam już została.

Ludzie rozpoznawali ją teraz na ulicach. Uśmiechali się do niej, niektórzy prosili o autograf. Sobotnie wydanie „yG” wydrukowało trzystronicowy portret ekspertki kryminalistyki i odnoszącej międzynarodowe sukcesy pisarki Wencke Bencke, sfotografowanej przy komputerze w zabałaganionym gabinecie, przy olbrzymim, pięknie nakrytym stole z kieliszkiem w rękę, i na balkonie z widokiem na miasto, gdzie świeżo umalowana uśmiechała się do obiektywu. Pomogła jej stylistka.

Do sypialni ich nie wpuściła.

Wróciła do salonu. Zapach kwiatów dusił, wyniosła więc wazon do kuchni, wylała z niego wodę, a bukiet wepchnęła do foliowej torby.

Książka była prawie skończona.

A na samym dole szafy, tam gdzie nikt nie znajdzie tego przed jej śmiercią, leżała najważniejsza teczka. Na okładce dużymi drukowanymi literami napisała: ALIBI.

Analizowała ten problem przez siedemnaście lat. Niezbite alibi było warunkiem udanego przestępstwa, fundamentem dobrej powieści kryminalnej. Tworzyła i konstruowała, przemyśliwała i odrzucała. W teczce stopniowo przybierało papierów. Przed wyjazdem do Francji dokonała obliczenia. Trzydzieści cztery dokumenty. Trzydzieści cztery możliwe alibi. Niektóre już wykorzystała, inne czekały na nową książkę. Na bardziej odpowiednią opowieść. Żadne nie było idealne, bo idealne alibi nie istnieje.

Ale jej konstrukcje były bardzo dobre.

Trzech nie będzie już mogła wykorzystać w żadnej powieści.

Znalazły lepsze zastosowanie.

Ponieważ nie były idealne, kazały jej utrzymywać czujność i

zapewniały radość życia. Co rano czuła przyjemny strach. Gdy rozlegał się dzwonek do drzwi, gdy dzwonił telefon, gdy jakiś nieznajomy zatrzymywał się po drugiej stronie ulicy, przez chwilę się wahał, a potem ruszał jej na spotkanie, wtedy czuła lęk. Przypominał jej, jak cenne stało się życie.

Wychodząc na klatkę schodową, żeby wyrzucić zwiędłe kwiaty do zsypu, zatrzymała się z wahaniem. Książka, którą zabrała z sypialni Vibeke Heinerback, leżała w przedpokoju na szafce z butami. Przeglądała ją poprzedniej nocy. Gładziła kartki, czuła napięcie, dotykając tego samego papieru, którą młoda przewodnicząca wielkiej partii zabierała ze sobą do łóżka, do autobusu, a może ukradkiem czytała podczas nudnych obrad plenarnych i niekończącym się czekaniu w parlamencie.

To był egzemplarz Rudolfa Fjorda.

Postanowiła wyrzucić książkę. Gwałtownym ruchem sięgnęła po nią, a po chwili cisnęła do zsypu razem z kwiatami. Nasłuchiwała stukotu ciężkiego tomu uderzającego o metal. Stawał się coraz słabszy, aż wreszcie ustał zakończony głuchym, ledwie słyszalnym plaśnięciem.

Ktoś mógł ją znaleźć. Ktoś mógł zacząć się zastanawiać, co książka z ekslibrisem Rudolfa Fjorda robi w śmietniku kamienicy, w której mieszka i pisze książki Wencke Bencke. Nie zniszczyła jej. Nie wyrwała strony z nazwiskiem właściciela. A przecież mogła ją spalić albo wyrzucić gdzie indziej.

Ale wtedy nie byłoby napięcia.

Wencke Bencke cały czas lekko unosiła się nad ziemią. Skoczyła z najwyższej skały.

*

- Trzy tygodnie - odezwał się Sigmund Berli. - Nasze trzy tygodnie się skończyły.

- Wiem - powiedział Yngvar Stubø. - I nic nie mamy. Kompletnie nic.

Na biurku przed nim leżały dwa pliki wydruków. W jednym było zestawienie operacji na trzech kontach Wencke Bencke w okresie od pierwszego stycznia do drugiego marca, czyli dnia, w którym zginął Havard Stefansen. Drugi był billingiem z Telenoru.

- Kiedy umarła Vibeke Heinerback - zaczął Yngvar - Wencke Bencke była w Sztokholmie, tak jak mówiła w wielu wywiadach.

- Kopnął stos gazet i tygodników leżący na podłodze. - Powtarzała, jak nią wstrząsnęła informacja o tym zabójstwie. Ona jest przebiegła jak sam diabeł.

Przez trzy tygodnie Sigmund i Yngvar pracowali sami. Dostali swój nakaz niejawnego wydania dokumentów na podstawie fantazyjnie ułożonego i częściowo kłamliwego wniosku. Od tamtej pory dniami i nocami badali życie Wencke Bencke. Ledwie zaglądali do domów, żeby się przebrać w coś czystego i złapać kilka godzin marnego snu, a potem znów wracali do mozolnej pracy, jaką było rekonstruowanie życia człowieka na podstawie wydawanych pieniędzy, odbywanych rozmów telefonicznych i stron odwiedzanych w sieci.

Wencke Bencke miała sporo pieniędzy, ale wydawała zdumiewająco mało. Wprawdzie przed powrotem do kraju odnowiła garderobę, lecz nawet około Bożego Narodzenia jej wydatki były szokująco niewielkie. Rzadko do kogoś dzwoniła. Do niej też mało kto się odzywał, z wyjątkiem wydawców z Europy. Z ojcem ostatni raz rozmawiała przed świętami.

W gazetach opowiadała, że w Sztokholmie spotkała się ze swoim wydawcą, że był to krótki wypad w celu omówienia jesiennego tournée promocyjnego. Sigmund zadzwonił tam i przedstawił się jako dziennikarz. Uzyskał potwierdzenie tej wizyty. Sprawiał wrażenie kompletnie niewzruszonego kłamstwami, do których musiał się uciekać. Yngvar natomiast był udręczony. Nie dość, że naciągali prawo, to jeszcze niszczyli wszystko, czego się nauczył i o co walczył, pracując w policji ćwierć wieku.

Wencke Bencke ich opętała.

Aż osiem dni zeszło im na sprawdzaniu, jakimi drogami mogła podróżować między Sztokholmem a Oslo szóstego lutego. Dzień i noc zonglowali godzinami. Wpatrywali się w mapy i czytali listy pasażerów, które Sigmund, przymilając się, grożąc lub kłamiąc, wydobył od linii lotniczych. Nocą krążyli po korytarzach i przylepiali na ścianach żółte karteczki z

wypisanymi godzinami. Usiłowali odnaleźć dziury i niedociągnięcia. Chociażby jedną małą lukę w zestawieniu sporządzonym przez bank Wencke Bencke. Choćby jedną godzinę.

- To się nie zgadza - stwierdził Sigmund. - To się całkiem po prostu nie zgadza.

Pisarka zameldowała się w hotelu o trzeciej po południu. Siedemnaście minut po piątej zrobiła zakupy w kiosku. Tuż przed siódmą jechała taksówką. Dwadzieścia pięć minut przed północą, a więc mniej więcej o tej porze, gdy według protokołu z sekcji zwłok Vibeke Heinerback została zamordowana w swoim domu w Lórenskog, Wencke Bencke zapłaciła słony rachunek za kolację w restauracji tuż koło Teatru Dramatycznego, w samym środku Sztokholmu.

Któregoś dnia rano, po szesnastu godzinach nieprzerwanej pracy na próżno, rozwścieczony Sigmund poleciał samolotem do Sztokholmu. Wrócił tego samego dnia po południu z podkulonym ogonem. Nocny portier zdecydowanie twierdzi!, że widział Wencke Bencke wracającą do hotelu około północy w tamtą noc. Pokiwał głową, patrząc na zdjęcie, które pokazał mu Sigmund. Nie, nie rozmawiali, ale przypominał sobie, że kobieta z pokoju 237 brała kostki lodu z kostkarki stojącej w foyer. Po jej odejściu musiał ścierać wodę z podłogi, bo maszyna była zepsuta. Poza tym po południu zostawiono do prania jakieś ubranie. Gdy je dostarczał o świcie następnego dnia, z pokoju dochodziła głośnie muzyka.

Ta kobieta wymeldowała się około dziesiątej.

Jedno było dziwne w pobycie Wencke Bencke w Sztokholmie - wydawała się niezwykle rozrzutna.

Z tym wyjątkiem nic nie wydawało się podejrzane. Yngvar i Sigmund dali z siebie wszystko i zostali z niczym. Wyznaczony im termin minął.

- Co teraz zrobimy? - spytał cicho Sigmund.

- No właśnie, co robimy?

Yngvar ciągle przeglądał wydruki. Kiedy zabity został Vegard Krogh, Wencke Bencke była we Francji. Dwa dni wcześniej wypłaciła większą kwotę, potem przez cztery dni nie odnotowano

żadnych operacji na koncie. Następną transakcja miała miejsce w sklepie rybnym na Starym Mieście w Nicei.

Sigmunda i Yngvara podnieciła ta luka w czasie i kilka dni poświęcili na jej zbadanie. Teoretycznie z taką ilością gotówki możliwa była podróż do Norwegii tam i z powrotem. Ale jej nazwisko nie figurowało na żadnej liście pasażerów. Ani w żadnym biurze wynajmu samochodów w Nicei.

Zdobycie list w Sztokholmie było trudniejsze. Zresztą mogła ukraść samochód. Po trzech tygodniach wyczerzonego śledztwa wciąż nie mieli pojęcia, w jaki sposób Wencke Bencke dotarła do Oslo, by dokonać zbrodni.

Mogli szukać dalej, jeszcze gruntowniej.

Powinni to zrobić. Obaj pragnęli tego gorąco.

Ale musiało się to odbywać oficjalnie.

Wyznaczony im termin minął. Koledzy zaczęli już sobie żartować. Śmiali się, gdy Yngvar z Sigmundem przychodzili na lunch wymęczeni i bladzi, siadali osobno i jedli w milczeniu.

Gdy zginął Havard Stefansen, Wencke Bencke pracowała przy komputerze piętro niżej. Złożyła bardzo dokładne zeznania jako świadek. Pochłonięta pracą niczego nie widziała ani nie słyszała. Przez kilka godzin krążyła po sieci, poszukując bliższych informacji o pająkach żyjących w Ameryce Południowej. Dopiero gdy postanowiła zanieść na strych walizki używane podczas długiego pobytu za granicą, spostrzegła otwarte drzwi, zajrzała do mieszkania i zobaczyła zwłoki. Wtedy zadzwoniła na policję. Zeznanie potwierdzał billing z Telenoru. Nie dało się go nazwać żadnym alibi, ale też i oni nie mieli na czym się oprzeć.

A Wencke Bencke kwitła. Była wszędzie. Z planowaną na jesień książką wiązano wielkie nadzieje.

Yngvar nagle wstał. Pozbierał papiery i złożył je w jeden wielki plik.

- Przegraliśmy - oświadczył i wrzucił dokumenty do skrzynki na papiery przeznaczone do zniszczenia. - Wencke Bencke wygrała.

Przez te tygodnie harówki zdobyliśmy jedynie dowody na to, że...

- Zaśmiał się niechętnie. Nie miał ochoty kończyć zdania.

- ...Że ona jest niewinna - powiedział Sigmund. - Pracowa-
liśmy dzień i noc przez trzy tygodnie, a nie zdołaliśmy
udowodnić niczego ponad to, że ona jest niewinna.
Dowiedliśmy niewinności Wencke Bencke.

- Właśnie tak się stało. - Yngvar ziewnął przeciągle. - Tak
sobie to wszystko zaplanowała. Wiedziała, że tak się stanie i...

Okrążył biurko, przez chwilę stał, przyglądając się Sigmun-
dowi, który wyraźnie schudł, chociaż twarz wciąż miał okrągłą,
a brodę pełną, ale ubranie na nim wisiało. Bruzdy u nasady
nosa rysowały się głębiej, oczy były przekrwione, nieprzyjemnie
czuć było od niego potem. Yngvar podał mu rękę i zmusił do
wstania z krzesła.

-Jesteś moim najlepszym przyjacielem - rzekł, obejmując go.

- Moim Sancho Pansą.

4 CZERWCA 2004, CZWARTEK

Lato było tuż za progiem.

Kwiecień i maj, niezwykle ciepłe, słoneczne, stały się prawdziwym piekłem dla alergików. W Danii i Hiszpanii świętowano królewskie zaślubiny. W Portugalii szykowano się do mistrzostw Europy w piłce nożnej, a mieszkańcy Aten walczyli z kalendarzem, przygotowując się do sierpniowej olimpiady Świat zaszokowało torturowanie więźniów w Abu Ghraib, ale zdjęcia stamtąd rzadko gościły na pierwszych stronach norweskich gazet. Również historyczne rozszerzenie Europy na wschód nie wzbudziło wielkiego zainteresowania w małym bogatym kraju na obrzeżach kontynentu. Więcej pisano o przeciągającym się strajku pracowników transportu drogowego, przez który półki w sklepach świeciły pustkami, a nad papierem toaletowym i pieluchami dochodziło do rękoczynów. Drużyna Rosenborg w kolejnych meczach pięła się w górę. Skorygowany budżet zatwierdzono bez cienia politycznego dramatyzmu. Od czasu do czasu ktoś, kto dobrze szukał, mógł natrafić na jeden czy drugi artykuł dotyczący niewyjaśnionych zabójstw Vibeke Heinerback, Vegarda Krogha i biathlonisty Havarda Stefansena. Ale nieczęsto. Już od dwóch tygodni nic o tym nie pisano.

Na ławce nad rzeką Aker siedziała kobieta, przeglądając gazety.

Inger Johanne Vik starała się zapomnieć. Miała w tym niezłą wprawę. W miarę jak mijały tygodnie i miesiące, a nic się nie działo, trzymanie dzieci w ukryciu stało się nieznośne. Przez pewien czas dom na Hauges vei miał policyjną ochronę, lecz również to przestało wydawać się konieczne osobom odpowiedzialnym za napięty budżet policji w Oslo. Po Hauges vei nie jeździły już nocą oznakowane radiowozy.

I nikt nie próbował podpalić przypominającego pudełko dwurodzinnego domu, w którym Inger Johanne Vik i Yngvar Stubø mieszkali z dziećmi, psem i miłymi sąsiadami.

Inger Johanne miała coraz mniejsze kłopoty ze snem. Prowadziła regularny tryb życia, chodziła na spacer. Obok niej stał wózek, dziecko nakryte bawełnianym kocykiem spało. Od czasu do czasu patrzyła w niebo, bo wyglądało na to, że piękna pogoda wkrótce może się skończyć.

Lubiła tak siedzieć. Przychodziła tu codziennie, kupowała gazety na stacji benzynowej na Maridalsveien, a zanim doszła do ławki pod wierzbą akurat w tym miejscu, gdzie rzeka zakręcała między Sandaker a Bjolsen, mała zasypiała. Matka miała godzinę dla siebie.

Ścieżką nadeszła inna kobieta. Niespełna pięćdziesięcioletnia, z kręconymi włosami, w ciemnych okularach.

Inger Johanne jest tak cholernie przewidywalna, myślała. Czy ona niczego się nie nauczyła? Przesiaduje tu codziennie, chyba że pada. Wygląda na to, że przestała się bać. Dzieci wróciły do domu. Irytuje mnie to, że ją przeceniałam.

- Halo - powiedziała, zatrzymując się. - Czy to nie Inger Johanne Vik?

Matka spojrzała na nią. Wencke Bencke uśmiechnęła się, widząc, że wyciągnęła rękę nad wózek, rozsuwając palce nad szydełkowym kocykiem.

- Miałam kilkakrotnie okazję spotkać pani męża - oznajmiła pisarka. - Mogę się przysiąść?

Inger Johanne nie odpowiedziała. Ani drgnęła.

- Nazywam się Wencke Bencke. Mamy wspólnych znajomych. Oprócz oczywiście pani męża.

Usiadła. Ramieniem dotknęła Inger Johanne, nim usadowiła się wygodniej, zakładając nogę na nogę. Lekko kołysała czubkiem buta.

- Straszna historia z tymi zabójstwami gwiazd. Byłam świadkiem w ostatniej sprawie, może ją pani pamięta? Niestety, wygląda na to, że te nieszczęsne ofiary powoli odchodzą w niepamięć.

- Kiwnęła głową, wskazując leżące między nimi gazety. - W tych sprawach policja najwyraźniej natrafiła na mur. Dziwne. Podobno nie ma żadnych śladów. Po prostu nie mają nic.

Inger Johanne wreszcie doszła do siebie. Usiłowała wstać.

- Chwileczkę - powiedziała Wencke Bencke życzliwie, łapiąc ją za rękę. - Nie może pani posiedzieć jeszcze chwilę? Tylko kilka minut. Tyle nas łączy. Mam wiele do powiedzenia.

Czy to ciekawość każe jej siedzieć, czy nogi nie chcą jej słuchać?

- zadała sobie w duchu pytanie.

Inger Johanne siedziała nieruchomo, przyciskając do siebie torbę z rzeczami małej i jedną ręką osłaniając córeczkę.

- Czy kiedykolwiek mieliście jakichś innych podejrzanych oprócz mnie? - spytała Wencke Bencke przyjaźnie.

Ona nie odpowiada, myślała. Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Teraz na pewno nie jest już ciekawa. Boi się. Dlaczego nie krzyczy? A zresztą co miałyby krzyczeć?

- Bo widzi pani, dostałam to pismo. - Wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę. Rozpostarła ją na kolanie. - Informacja o niejawnym wydaniu dokumentów - wyjaśniła. - Z sądu rejonowego. Tak jak nakazuje prawo. Z pouczeniem, gdzie się mogę skarżyć na to, że pani mąż wtykał nos w moje sprawy. - Przez chwilę wpatrywała się w pismo, w końcu pokręciła głową i z powrotem schowała je do kieszeni. - Ale mnie się nie chce nic robić. Właściwie może i dobrze się stało, bo teraz już zostałam oczyszczona z wszystkich ewentualnych późniejszych oskarżeń. Można powiedzieć, że robota została dobrze wykonana. - Zaśmiała się arogancko. - Ten wyjazd do Sztokholmu musiał wam nieźle dokuczyć - powiedziała, zanim znów wyciągnęła list z kieszeni. Położyła go na prawej dłoni i ścisnęła. Potem wstała i zagroziła drogę wózkowi. - Śliczne dziecko - stwierdziła, pochylając się nad Ragnhild. - I będzie miało dołeczek w brodzie.

- Proszę odejść! Odejść!

Wencke Bencke zrobiła krok w tył.

- Przecież ja jej nic nie zrobię. Nikogo nie skrzywdzę.

- Muszę już iść - oświadczyła Inger Johanne, zmagając się z hamulcami wózka. - Nie chcę z panią rozmawiać.

- Oczywiście. Nie zamierzam się narzucać. Nie było ani trochę moim zamiarem zdenerwowanie pani. Chciałam po prostu porozmawiać. O wspólnych zainteresowaniach i

wspólnych...

Hamulce się zaklinowały. Inger Johanne zaczęła ciągnąć wózek po ścieżce. Gumowe kółka piszczały na asfalcie. Ragnhild się obudziła i zaczęła głośno płakać. Wencke Bencke uśmiechnęła się i zdjęła okulary. Oczy miała lekko umalowane. Wyglądały teraz na większe i ciemniejsze.

Ona nigdy nie zniknie, pomyślała Inger Johanne. Nigdy nie przepadnie. Dopóki będzie żyła. Dopóki ja będę miała siłę...

- Skończyłam pisać książkę - rzuciła Wencke Bencke, wolno idąc za wózkiem. - Jest dobra. Mogę wysłać pani egzemplarz, kiedy przyjdzie z drukarni.

Inger Johanne zatrzymała się i otworzyła usta do krzyku.

- Ależ nie... - Wencke Bencke powstrzymała ją gestem. - Nie musi mi pani podawać adresu. Wiem, gdzie pani mieszka.

Lekko skinęła jej głową i odeszła.

POSŁOWIE

Otwierający powieść cytat Waltera Benjamina pochodzi z książki Larsa Fr.H. Svendsena *Kjedsomhetens filosofi* [Filozofia nudy] (Universitetsforlaget 1999). Esej ten był mi bardzo przydatny i inspirujący podczas pracy.

Na stronie 190 znajduje się cytat, którego źródła nie podałam: „I umierasz tak powoli, że wydaje ci się, że żyjesz”. Winna jestem wyjaśnienie. Cytat ten to tytuł wiersza, a zarazem zbioru poezji Bertranda Besigye (Gyldendal 1993).

Dziękuję Alexandrowi Elgurenowi za nieustający entuzjizm, a Randi Krogsveen za nieocenioną pomoc.

Ta książka jest dla Ciebie, Tine, tak jak wszystkie moje książki są Twoje.

Oslo, 18 czerwca 2004
Anne Holt

„To, co się nigdy nie zdarza” to najl
powieść kryminalna, jaka pojawiła
ostatnio na rynku.

„Aften

W historii dziennikarki zamordowar
we własnym domu – z odciętym
językiem, który morderca dodatkov
rozkroił na czubku – wieje chłodem
Nie sposób się oderwać.

„Evening Sta


Norweska pisarka Anne Holt snując
opowieść o brutalnym zabójcy
medialnych celebrytów, umiejętnie
powieść sensacyjną i thriller z wątk
obyczajowymi, a jej książka w nicz
nie ustępuje najlepszym dokonano
Henninga Mankella.

No i nie dajcie się zwieść tytułowi:
„To, co się nigdy nie zdarza” opowia
historię, która mogła się zdarzyć.
Rodzime gwiazdy teleturniejów
i prowadzący programy śniadaniow
powinni mieć się na baczności!

Robert Ziębiński, „New



Anne Holt (ur. 1958) ukończyła prawo
na Uniwersytecie w Oslo. Pracowała jako
dziennikarka w telewizji, młodszy prokurator
policji w Oslo, a następnie prowadziła własną
praktykę adwokacką. W latach 1996–97 była
ministrem sprawiedliwości w Norwegii.
Jako pisarka debiutowała w 1993 roku.
Ma w dorobku 15 książek, a jej powieści
kryminalne cieszą się wielką popularnością,
są filmowane i tłumaczone na ponad
dwadzieścia języków.



ANNE HOLT

TO, CO SIĘ NIGDY NIE ZDARZA

Zima 2004 roku. W okolicach Oslo dochodzi do serii brutalnych zabójstw. Odnajdywane są kolejne zbezczeszczone zwłoki norweskich celebrytów. Czy ofiary łączy coś oprócz tego, że były powszechnie znane? I czy wszystkich zbrodni dokonał jeden zabójca?

Yngvar Stubø, komisarz z Centrali Policji Kryminalnej w Oslo, i Inger Johanne Vik, psycholog zajmująca się kryminalistyką, właśnie zostali rodzicami. Inger Johanne, mimo licznych nowych obowiązków, pomaga mężowi w śledztwie. Wyraźnie symboliczne okaleczenia zwłok przypominają jej coś, o czym chciałaby zapomnieć.

Patronat medialny



dla **Studenta**.pl



AliBaba